



Martyna Goszczycka

*Jedynie poświęcenie prowadzi do odrodzenia*

# ODRODZENIE

SAGA WIZJI PARADOKSALNYCH

RW2010

**MARTYNA GOSZCZYCKA**

**ODRODZENIE**

tom pierwszy Sagi Wizji Paradoksalnych

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2012

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Andrzej Homańczyk, Robert Wieczorek

Redakcja techniczna: zespół RW2010

Copyright © Martyna Goszczycka 2012–2015

Okładka Copyright © Tomasz Golec 2012

Zdjęcie na okładce © babkin / Fotolia.com

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2012-2015

e-wydanie I

ISBN 978-83-63111-75-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: [marketing@rw2010.pl](mailto:marketing@rw2010.pl)

Zapraszamy do naszego serwisu: [www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)

*Dedykuję temu, dla którego  
ta opowieść nie jest tylko zwykłą opowieścią.*

*To moja piąta próba stworzenia życia. Poprzednie cztery zakończyły się sukcesem, dlatego wierzę, że ta nie okaże się wyjątkiem. Postępuję co prawda niezgodnie z kodeksem Nimf, ale postanowiłem go zignorować. Gotowy jestem zaryzykować, by stworzyć dzieło idealne – tak jak poprzednie pozbawione możliwości rozrodczych, a przez to jedyne i niepowtarzalne, oraz posiadające absolutną władzę nad jednym z Żywiołów – ale potężniejsze od tamtych, przewyższające mocą każdą istotę, na tyle głupią, by mu się sprzeciwić. Tym razem stworzę dzieło, którego Zaświat i Przedświat nie zapomną.*

*Kroniki Nimf – fragment Pamiętnika Stwórcy  
Starszy Alchemik Derek Vosuke*

# Prolog

Ród Saruku – najznakomitszy ród demonów, najbardziej wpływowy w Transylwanii, a znany w całym bezgranicznym Przedświecie, niepokonany i wyrafinowany, budzący podziw w wyższych sferach, a respekt pośród plebsu. Jego członkowie wyrobili sobie reputację inteligentnych i tajemniczych, eleganckich i niebezpiecznych, lecz nigdy brutalnych. Słynęli ze swojego opanowania i dystygowania, nawet opiekuńczości, lecz przede wszystkim z ekscentryczności. Nikt tak naprawdę nigdy ich nie poznał ani nie rozgryzł, trzymali innych na dystans. Ani dobrzy, ani źli. Balansujący na granicy mroku i jasności.

Dwór, który zamieszkiwali, stanowił ich odzwierciedlenie. Dziwny, okryty aurą zagadkowości i pewnej grozy, a jednocześnie zdający się stać przed każdym otworem. Majestatyczna rezydencja o grubych murach rosnących ku niebu w kilku piętrach; obrośnięta pnączami bluszczu niemal całkowicie zakrywającymi jasne ściany z rzędami smukłych okien. Monstrualny budynek – a jednak tchnący ciepłem i spokojem. Otaczał go wielki ogród, zadbane i bogaty w rzadko spotykaną roślinność; wypełniony niezliczoną ilością drózek, wijących się jak labirynt pomiędzy żywopłotami a teatrem posągów.

Swoją nietypowość ogród zawdzięczał właśnie kamiennym postaciom. Liczne nieruchome sylwetki tkwiły wśród kwiecistych kompozycji, małych ozdobnych fontann oraz niskich drzewek. Rzeźby ustawiono również wzdłuż szerokiej drogi wysypanej kamykami, biegnącej przez środek ogrodu – prowadziła ona do drzwi wejściowych dworu. Każdy z posągów – czy to wyprostowany dumnie, czy pochylony w ukłonie, czy też stojący w niedbałej pozie z dłonią opartą na biodrze – posiadał swój własny charakter. Każda z rzeźb miała niepowtarzalną twarz, swoistą mimikę, sobie właściwy strój. Podążając żwirową drogą ku rezydencji, przechodziło się zatem przez korytarz stworzony z martwych, zastygłych w bezruchu postaci, wpatrujących się w gościa nieustannie i natarczywie.

Rośliny posadzono w taki sposób, by rabaty tworzyły prostokąty, koła, kwadraty oraz znaki i symbole, zrozumiałe tylko dla rodziny Saruku. Przeplatały się ze sobą, zachowując specyficzny ład. Panująca w ogrodzie kolorystyka nie była ani jednolita, ani wyblakła, niemniej mieściła się w ogólnie przyjętych normach i nigdy nie stawała się zbyt jaskrawa. Działała więc tu ta sama zasada, co w przypadku posiadłości i całej rodziny: wszystko było z jednej strony nietuzinkowe, a z drugiej stonowane.

Rezydencję otaczał wysoki mur z czarnej, błyszczącej cegły, która mieniła się w promieniach słońca i wyglądała na jaśniejszą niż w rzeczywistości. Otwarta na oścież metalowa brama poskrzypywała cicho w oczekiwaniu na gości.

Poranek tego dnia był przejmująco lodowaty. I niezwykle ważny dla rodu Saruku. A najważniejszy – dla najmłodszego z nich.

Rudy jedenastoletni chłopiec kurczowo ścisnął dłoń swojej jasnowłosej matki. Kobieta miała na sobie długą, aksamitną suknię, bez zbędnych buf i falban, prostą, acz gustowną, w kolorze szarego papieru, co tylko podkreślało bladość jej twarzy. Towarzyszyło im kilkunastu strażników, uzbrojonych we włócznie i trójzęby. Odziani byli w ciemnofioletowe tuniki, spod których wystawały lekkie kolczugi. Na ramionach nosili naszywki z herbem Saruku.

Mały rudzielec zdawał się tutaj nie pasować, ubrany w zwykłe szare spodnie oraz luźną kamizelkę zapinaną na guziki. Wpatrywał się w posągi przodków i wymieniał w myślach ich imiona, pragnąc skupić się na czymś innym niż własne zdenerwowanie. Ale nie pomagało. Złe przecucie nie chciało go opuścić.

Stali na ganku, na schodkach wyrzeźbionych z połyskliwego kryształu. Drzwi za ich plecami były zamknięte. Najwidoczniej gościnność gospodarzy tyczyła tylko ogrodu.

Chłopiec zerkał na boki przerażonym wzrokiem. Jego matka, wysoka kobieta o zazwyczaj jasnej i pogodnej twarzy, dzisiaj była pochmurna i zafrasowana. Trzymała syna za rękę. Jej dłoń była spocona. Nigdy wcześniej nie widział matki takiej spiętej i zagubionej. Wiedział, że dzisiejszy dzień jest ważny. Nie umiał przewidzieć, w jakim stopniu wpłynie na jego los, ale wiele się zmieni. Czuł to. I bał się.

Matka nigdy nie powiedziała mu wprost, że nazbyt się wyróżnia, że jest inny i nie pasuje do rodziny. Nie była na tyle okrutna, by w twarz nazwać go dziwadłem. Może nawet sądziła, że on sam nie zdaje sobie z tego sprawy. Ale miał uszy. Był czarną owcą. Czasami słyszał też słowo „potwór” wypowiedziane surowym głosem ojca. Dzisiaj go przy nich zabrakło. Chłopiec nie zastanawiał się jednak nad nieobecnością ojca; zbyt się bał.

– Idą – usłyszał strwożony szept matki i bezwiednie spojrzął w stronę bramy. Momentalnie zeszytniał i przylgnął do boku kobiety, która nie miała serca go odepchnąć.

Przez rozwartą szeroko bramę przechodziły trzy postacie. Podążały kamienistą drogą pewnym i sprężystym krokiem. Dwaj mężczyźni, wysocy i dumnie wyprostowani, ubrani byli w identyczne czarne stroje, z kołnierzami przesytytymi czerwoną nitką; skupieni na swym celu, wbijali wzrok w czekającą na nich rodzinę. Otaczała ich aura siły i grozy.

Przewodziła im niewysoka młoda kobieta, wyróżniająca się na tle swych surowych towarzyszy. Miała na sobie ciemną luźną sukienkę sięgającą kolan, z szerokim dekoltem odsłaniającym chude ramiona. Zbyt długie, szerokie rękawy zakrywały jej dłonie. Materiał sukni – zbyt cienki jak na tak chłodny poranek – falował wokół smukłego ciała, dodając ruchom dziewczyny kociej miękkości. Zdawała się płynąć w powietrzu – żwir nie chrząścił pod podeszwami jej wysokich skórzanych butów.

Nietypowym strojem kobieta wcale nie zamierzała maskować swojej inności. Długie, sięgające pasa włosy, barwy pierwszego śniegu, opadały na plecy niczym welon. Mleczna skóra była nieskazitelnie biała. Duże oczy tworzyły niezwykle kontrast ze śnieżną cerą – źrenice miały kolor krwi.

Trójka obcych bez oznak strachu czy wahania szła przez piękny ogród. Żadne nie omiotło go bodaj szybkim spojrzeniem. Żadne nie zwróciło uwagi na mijane posągi, które na innych wywierały tak wielkie wrażenie.

Chłopiec nie pojmował... Czemu ci goście nie byli jak inni? Jego rodzina często przyjmowała wizyty i każdy z odwiedzających albo zachwycał się dworem, albo rozglądał wokół z lęklwym szacunkiem. Matka tłumaczyła mu kiedyś, że budzą wśród ludzi respekt podszyty strachem. Nie do końca to rozumiał, lecz natychmiast za tym zatęsknił. Bowiem obcy krocący w ich kierunku zachowywali się tak nonszalancko i arogancko, iż wywoływali w nim trwogę. Wolałby już uniżoność i fałszywe uśmiechy, do czego przywykł.

Ci nieznajomi, nieprzejęci pozycją i bogactwem rodu Saruku, wyglądali na takich, którzy stoją znacznie wyżej od jego rodziny. I zbliżali się coraz bardziej, sunąc po żwirowej dróżce jak zjawy. Nie było przed nimi ucieczki.

Zatrzymali się naprzeciw przedstawicieli rodziny Saruku. Chłopiec wyczuł, że jego matką wstrząsnął silny dreszcz, potem nabrała głęboko do płuc chłodnego porannego powietrza. Straż natychmiast zgięła się w ukłonie, włócznie i trójzęby zabrzączały głośno. Strażnicy nie prostowali się, a atmosfera wokół aż gęstniała od napiętego do granic oczekiwania. Chłopiec odważył się przemknąć wzrokiem po trójce obcych i szybko zrozumiał, o co chodzi. Dwaj mężczyźni uśmiechali się do jego matki złośliwie i znacząco – od niej również oczekiwali ukłonu. Białowłosa albinoska o porcelanowej twarzy lalki wyglądała na znużoną. Czerwone oczy, badawcze i bezdenne, patrzyły na jego matkę i... przez nią, gdzieś daleko.

Chłopiec zadygotał, poczuwszy na sobie tchnienie zimnego wiatru. A może zadrżał z przerażenia? Jego spojrzenie biegło niespokojnie to tu, to tam, ale zawsze wracało ku beznamietnemu obliczu

białowłosej kobiety. Wysokie kości policzkowe nadawały jej rysom władczości. Przyciągała go i przerażała, nie potrafił wyzbyć się ciekawości, choć całe jego ciało napinało się ostrzegawczo. Dziecięce zaintrygowanie walczyło z instynktem samozachowawczym, który szeptał natrętnie: uciekaj. W końcu śnieżnoskóra spojrzała na niego od niechcienia, a jego przeszył lodowaty dreszcz. Pospiesznie spuścił wzrok i mocniej zacisnął dłoń na palcach matki. Czuł, że ona jest równie mocno wystraszona. Czemu więc nie chciała się pokłonić?

– Głupia... – usłyszał schrypnięty kobiecy głos, niepasujący do drobnej dziewczęcej postaci. – Marnujesz mój czas.

Jego matka jęknęła i zagryzła wargi. Wreszcie pochyliła się i klękła na jedno kolano, ciągnąc za sobą chłopca. Posłusznie naśladował jej gesty, nie chcąc niczego zepsuć. Nie mógł się tylko powstrzymać od ukradkowego zerkania na białowłosą. Szybko tego pożałował, zauważywszy na jej wąskich ustach lekki uśmiech, niemal niezauważalny, a jednak przykro drwiący. Szybko przeniósł wzrok na matkę, lecz widok jej upokorzenia wcale mu nie pomógł. Jedynie mocniej zakłuło go w piersi.

– Pani, pokornie proszę o opiekę nad moim synem.

Chłopiec zadygotał jak galareta, chciał poderwać się z kolan, usta rozwarł do krzyku. Lecz matka boleśnie ścisnęła jego dłoń, nie pozwalając mu na żaden ruch, na żaden sprzeciw. Do jego czekoladowych oczu napłynęły łzy. Zdradziła go, sprzedała...! Jego własna matka, jego rodzina. Był przecież odmieńcem... Szloch targnął ciałem chłopca. Nie potrafił zrozumieć, co się dzieje. Czuł tylko odrzucenie. Ptak wypchnięty z gniazda. Nie kochała go... Matka po prostu go nie kochała! Wyparła się go. Wyrwała jak zbędny chwast z ogrodu!

A jednak wciąż trzymał ją za rękę. Coraz bardziej kurczowo.

Straże nadal trwały w półukłonie, jasnowłosa Saruku klęczała na jednym kolanie, a małym rudzielcem wstrząsał bezskutecznie tłumiony płacz. Gryzł wargi, łykał własną gorycz, ale łzy i tak płynęły po policzkach. Jego rozpaczliwy szloch był jedynym dźwiękiem, który rozrywał ponurą ciszę.

Białowłosa uśmiechnęła się chłodno.

– Bez obaw. Odpowiednio się nim zajmiemy. – Uniosła dłoń i pstryknęła palcami. Towarzyszący jej mężczyźni pospiesznie skinęli głowami i w kilku długich krokach znaleźli się obok chłopca i jego matki.

Kobieta nawet nie próbowała się sprzeciwiać. Wstała, znowu ciągnąc syna. Stanowczo uwolniła rękę z uścisku dziecięcych palców i popchnęła chłopca w kierunku wielkich, groźnych obcych. Rudzielec był tak oszołomiony, że nim zdążył zareagować, silne ręce jednego z mężczyzn pochwyciły go jak obcego. Nieznajomy poderwał go i przycisnął ramieniem do piersi. Dłonią zawczasu zakrył mu usta, skutecznie tłumiąc wrzask, który wydarł się z malca okamgnienie później. Chłopiec szarpał się i wymachiwał nogami, lecz cały jego bunt był niczym szamotanina muszki złapanej w sieć wielkiego pajaka. Przez mgłę łez spojrział na matkę, pilnowaną przez drugiego mężczyznę – co okazało się zupełnie zbędne, bowiem stała bez ruchu, spłowiła jak stara kartka papieru, z błyszczącymi dziwnie oczami.

– Wybacz, synku... Ale nie pasujesz do nas. Nie pasujesz...

Serce zakołatało i... stanęło na chwilę. Wyrzekła się go, ot tak. Był dla niej nieodpowiedni, nie zasługiwał na miłość własnej matki.

A jednak wyrywał się do niej. Rozpaczliwie.

Krwistooka albinoska westchnęła przeciągle. Potem skinęła głową na swoich podwładnych. Rudzielec szarpał się i krzyczał, póki trzymający go osiłek nie obrócił się tyłem do rezydencji. Ruszył ku bramie wyjściowej ogrodu.

Chłopiec, straciwszy matkę z oczu, zawisł bezwładnie, pokonany i pozbawiony nadziei. Nawet łzy przestały płynąć. Ogarnęło go uczucie pustki. Wtedy za plecami usłyszał chłodne słowa albinoski:

– Synowie wracają. On też do ciebie wróci. Ale tylko po to, żeby cię zabić.

# CZEŚĆ PIERWSZA

## Rozdział I

Pokój, do którego go przyprowadzili, nie był ani zadbane, ani obszerny. Cztery gołe ściany zamykały skromną przestrzeń wypełnioną stęchłym powietrzem. Małe okno, umieszczone niemal pod sufitem, wpuszczało do środka skąpe światło. Duchota i odór ściskały za gardło.

Drewniane, pociemniałe od wilgoci drzwi z trzaskiem zamknęły się za chłopcem. Stał na progu pomieszczenia, mierząc wewnątrz izdebki pełnym goryczy spojrzeniem. Podpuchnięte od płaczu powieki uniosły się w zdumieniu, usta wykrzywiły w odrazie. Dokładniejsza lustracja wywołała kolejną falę rozpacz.

Właściwie nie było tu czego oglądać. Popękane ściany. Betonowa, nierówno wylana podłoga. W kątach zgniłozielona pleśń, w rogach pod sufitem grube pajęczyny. Pomieszczenie było szare, ponure i przygnębiające. Cisza wręcz krzyczała.

Pod ścianą, tą wzbogaconą o małe okienko, znajdowała się wydrążona w podłodze dziura. Czując dochodzący z niej fetor, bez trudu domyślił się, do czego służyła. Po prawej stronie od drzwi wejściowych stało skromne łóżko. Brudny, poplamiony zaschniętą krwią materac przesiąknięty był potem wcześniejszych mieszkańców celi. Poprzecierany i podziurawiony gubił wilgotną słomę. Drewniane nogi łóżka, niskie i grube, wyglądały tutaj na jedyną solidną rzecz. Obok pryczy znajdował się nieoheblowany stolik, ze sterczącymi zadziornymi. Na nim stała gliniana miseczka wypełniona parującą zupą, w której zanurzono drewnianą łyżkę. Chłopiec wzdrygnął się na widok jedzenia – w takim otoczeniu wywoływało jedynie mdłości. Zresztą jak mógłby przełknąć choćby kęs po tym, co go spotkało? Co miał teraz ze sobą zrobić? Potrafił tylko stać w miejscu i patrzeć z rozpaczą na swoje więzienie. Oczy znów napełniły się łzami.

Nie pamiętał zbyt dobrze, jak tu dotarł. Droga pozostała rozmazanym wspomnieniem, urywanym, z wyciętymi fragmentami. Był w takim szoku, że nie potrafił skupić się na widokach. Kojarzył jedynie potężny, długi budynek z powybijanymi oknami. Jak przez mgłę pamiętał szerokie drzwi połyskujące resztkami potłuczonych witraży. Potem osiłek niósł go przez korytarze, ciemne, wyzbyte dźwięków i barw, śmierdzące krwią i obecnością czegoś... złego. Od czasu do czasu mijały ich jakieś postacie – osnute mrokiem, niewyraźne cienie. Poza tym było tak pusto, iż każdy ich krok odbijał się echem wśród chropowatych, posępnych ścian niekończących się korytarzy. A duszna, zepsuta atmosfera tego miejsca do reszty otumaniła chłopca.

Z transu wybudził się dopiero tutaj, nie pojmując, jakim cudem utrzymuje się na nogach. Mięśnie miał tak zeszywniałe, iż przez długi czas po prostu stał w miejscu, w którym zostawił go tamten mężczyzna. Nieruchomy jak jeden z posągów w ogrodzie, którym szczyciła się jego rodzina.

Nie... To już nie była jego rodzina!

Nieoczekiwanie wróciło wspomnienie matki, stanowczo uwalniającej się od niego, pchającej w stronę obcych. Oddała go, pozbyła się jak niepotrzebnego zielska... Dręczącą pustkę odrzucenia nagle po brzegi wypełniła furia. Z wrzaskiem rzucił się na skrzypiące łóżko, nie zwracając uwagi na kurz i fetor, jakie uniosły się nad sponiewieraną pryczą. Kopał siennik, gryzł, drapał paznokciami, drąc i tak już mocno zniszczony materiał. Na przemian krzyczał i zanosił się płaczem. Jego dziecięce ciało trzęsło



się, ogarnięte emocjami, których nadmiar przygniatał go niczym tony piasku. Niewidzialne pazury ścisnęły mu serce, piekąca gęł rozzastała się w płucach, rozrywając go od środka, i nie mała mimo lawiny zdzierającego gardła krzyku.

Miotał się rozpaczliwie, aż zabrakło mu łez i sił. Trauma i zmęczenie sprawiły, że w końcu zmorzył go pełen koszmarów sen.

\*\*\*

Obudził się następnego dnia, z czołem zroszonym potem, zdrętwiały i obolały. Z jękiem przewrócił się na plecy i wbił spójwienie w spękany sufit.

Był wykończony, do cna wyczerpany. Czuł się jak wyżęta ścierka, wyciśnięty z wszelkich emocji i myśli. Znów był tak samo pusty jak wtedy, gdy wnoszono go do tego przesiąkniętego odorem śmierci budynku. Poprzedniego dnia wyrzucił z siebie całą wściekłość i gorycz. A dziś? Czuł, że nie ma w nim już niczego. Nic mu nie pozostało. Był sam pośród zupełnie obcego świata.

Dopiero teraz dotarło to do niego. Krytyczność i beznadzieja sytuacji spadły na niego jak kowadło. Wcześniej, zaślepiiony żalem do matki, nie zorientował się, w jak wielkim znalazł się niebezpieczeństwie. Teraz, gdy złość odbierająca jasność myślenia spłynęła wraz ze łzami, do jego jedenastoletniego umysłu zaczął docierać ogrom czyhających na niego zagrożeń.

I pustkę wypełnił strach. Bał się o własne życie, o to, co się z nim teraz stanie. Po co go tutaj przytargali? Duszny jak nora pokój nie wskazywał na dobre zamiary nieznanomych. Rudzielec nie chciał tu tkwić ani chwili dłużej, czuł się jak zwierzę w klatce, w bardzo zaniedbanej klatce, śmierdzącej odchodami i wymiocinami.

Rozmyślania chłopca przerwało skrzypnięcie otwieranych drzwi. Do pomieszczenia wlało się pasmo mdłego światła, w którym pojawił się cień czyjejś sylwetki. Rudzielec podniósł się z posłania, spoglądając niepewnie ku wejściu.

Do celi wkroczył krępy mężczyzna o siwej, przeredzonej czuprynie. Skórzany strój ciasno przylegał do umięśnionego ciała. Tylko narzucona na ramiona kamizelka była luźna i rozpięta. Surowe spójwienie szarych oczu wlepił w chłopca, przyprawiając go o dreszcz trwogi. Rudzielec pospiesznie zeskoczył z pryczy. Nogi ugięły się pod nim, mięśnie zapiekły, nie wytrzymując ciężaru ciała. W popłochu złapał się stolika, lecz wywrócił się wraz z nim. Do łoskotu upadku dołączył trzask pękającej miski. Wystygła już zupa rozlała się po nierównościach posadzki i zmoczyła włosy chłopca. Ten odczołgał się w kąt i przywarł do ściany.

Mężczyzna obserwował całe zajście bez słowa. Jego pokryta zmarszczkami twarz nie wyrażała ani rozbawienia, ani rozdrażnienia. Rudzielec gapił się na niego wystraszonym wzrokiem.

– Nie bój się – odezwał się łagodnie mężczyzna, tonem, który zupełnie do niego nie pasował. Choć mówił, jego usta nie poruszały się, a przynajmniej wyglądały na nieruchome.

– Kim jesteś? Gdzie jestem? – wyrzucił z siebie jednym tchem chłopiec, coraz mocniej wciskając plecy w ścianę. Marzył, by ją przeniknąć, znaleźć się na zewnątrz, daleko stąd, w domu... Nie, nie miał już domu! Nie powinien za nim tęsknić! Ale tęsknił, okropnie. Za ciepłem wygodnego pokoju, za opiekuńczością matki, za nieograniczoną przestrzenią korytarzy i komnat, w których mógł się swobodnie bawić. To wszystko zostawił za sobą: komfort, ciepło, troskę. Chciał do tego wrócić! Mógłby spróbować wrócić, nawet jeśli rodzina się go wyparła... Może gdyby ich poprosił, przygarnęliby go z powrotem? Nie mogli go tak zostawić... Nie mogli!

Posiwiwały mężczyzna zbliżył się o kilka kroków, nie odrywając od chłopca srogiego spójwienia, kontrastującego z delikatnym brzmieniem głosu:

– Strach to jedna z cech, których Syndykat nie akceptuje. W najbliższym czasie będziesz musiał

wyzybyć się strachu i wielu innych słabości.

Chłopiec nie pojął sensu jego słów. Odpowiedź nieznanego jakimś się miała do jego pytania. Sprawiała jedynie, iż nabrał jeszcze większej ochoty, by uciec z tego przeklętego miejsca. I zrobiłby to natychmiast, gdyby tylko trafiła mu się okazja. Na razie podkulił kolana i ciasno objął je ramionami, pomiędzy którymi skrył twarz.

– Nie chcę... – wybąkał zduszonym głosem. – Chcę wrócić do domu. Nie chcę tu być...

– Haru Saruku, tak? – Mężczyzna podszedł jeszcze bliżej. – Twoje szlacheckie pochodzenie wyjaśnia tę bezczelność. Chłopcze, nie przyszedłem tu, by służyć twoich życzeń.

Haru poderwał głowę, rzucając mu rozgorączkowane spojrzenie. Zagryzł wargi, by stłumić kolejną falę rozpacz; starał się przybrać hardą minę. Tak jak robił ojciec, gdy przyjmował ważnych gości. Niestety – jego zapłakana twarz i srogie oblicze ojca nie miały ze sobą nic wspólnego.

– Chcę wiedzieć, gdzie jestem! – Głos, w zamierzeniu kategoriyczny, zabrzmiał żałośnie, jak skarga rozkapryszonemu dziecku, który udaje, że wcale nie umiera z przerażenia.

Na twarzy mężczyzny pojawiła się wreszcie reakcja: pobłażliwy uśmiech.

– Przecież już ci mówiłem. Jesteś w Syndykacie.

– Syndykacie? – Chłopiec pociągnął nosem, wpatrując się w nieznanego z niezrozumieniem.

– Tak. W miejscu, gdzie z takich jak ty robimy doskonałych zabójców.

Haru rozwarł usta, lecz zamilczał, nie wiedząc, co powiedzieć. Pokręcił przecząco głową, mocniej przycisnął kolana do piersi. Zabójców...? – znaczenie tego słowa wstrząsnęło nim. Miał się stać jednym z nich? Nie rozumiał, nie pojmował, nie mógł... Pragnął tylko wyrwać się stąd, wrócić do domu, z którego go zabrano.

– Nie chcę – powtórzył uparcie, marszcząc gniewnie czoło.

– Nie chcesz, bo mało jeszcze rozumiesz. – Mężczyzna patrzył na niego z góry, z protekcyjnym uśmiechem. – Ale zrozumiesz. Każdy z was w końcu to pojmuję. Ci, którzy nie rozumieją, przeważnie giną.

– Nie chcę... – Słowa te same, ale ton inny, pełen lęku, nie uporczywy.

– Spokojnie, jeśli będziesz posłuszny i okażesz się wystarczająco silny, nic ci się nie stanie. –

Siwowłosego pochylił się nad nim i położył szorstką, spękana dłoń na jego głowie. – Nauczymy cię wszystkiego od podstaw. Sprawuj się dobrze, to może dostaniesz lepszy pokój.

Mały rudzielec wbił w niego zaszklone oczy. Słowa protestu uwięzły mu w gardle, choć dotyk tej ciężkiej, zimnej dłoni wcale nie był przyjemny i chciał się od niego uwolnić jak najszybciej. Niepewnie potrząsnął głową, obawiając się reakcji mężczyzny. Tamten o dziwo uśmiechnął się z zadowoleniem i cofnął na środek pokoju.

– Pierwszym twoim zadaniem będzie wyparcie się swojej rodziny.

– To oni wyparli się mnie... – burknął Haru, pochmurniejąc.

– Owszem, a ty musisz zrozumieć dlaczego. Wiesz dlaczego?

– Bo jestem inny... Bo mnie nie chcą... – Chłopiec odczuł, jak ciężar bolesnej, wstydlivej tajemnicy stał się ciut lżejszy. Powiedział to na głos i niespodziewanie mu ulżyło. Chociaż nie polubił tego dziwnego, zadręczającego go pytaniami mężczyzny, tylko z nim mógł porozmawiać. A bardzo potrzebował rozmowy. Musiał powiedzieć komuś o swojej krzywdzie, musiał ją z siebie wyrzucić.

– Nie. To nie twoja wina. – Odpowiedź siwowłosego odrobinę podniosła go na duchu. – To ich strata i głupota. Wiesz, czemu się ciebie wyparli? Bo się ciebie bali. Sami są niczym, zbędnym brudem, skazą na majestacie naszego świata. Nie potrafili zrozumieć twojej siły. Uznali ją za inność, bo się jej boją. Dlatego to tylko niewarte naszej uwagi ścierwa.

Chłopiec poderwał się jak oparzony. Zignorował ból mięśni i rzucił się z pięściami na typa lżącego

jego rodzinę.

– Nie obrażaj ich! – warknął wściekle.

Wielkie dłonie chwyciły go za nadgarstki. Ścisnęły. Mocno, aż coś chrupnęło. Haru wrzasnął, szarpnął się kilka razy – daremnie, oprawca uniósł go do góry bez wysiłku. Wyciągnięte ramiona rwały niemiłosiernie, nogi dyndały bezradnie w powietrzu, a poczerwieniała z oburzenia i upokorzenia twarz znalazła się na równi z pobrużdżonym obliczem siwowłosego.

– Widzę, że jeszcze jest za wcześnie, żebyś mógł to pojąć – skwitował, wciąż miażdżąc mu nadgarstki w żelaznym uścisku palców. – Ale im szybciej to zrozumiesz, tym szybciej wyjdiesz z celi. Twoja rodzina wyparła się ciebie ze strachu. Okazali słabość. Powinieneś nimi gardzić.

– Nie są słabi! Nie muszę myśleć tak, jak mi każesz! – Haru szamotał się i wierzgał nogami, tylko powiększając ból naciągniętych mięśni i ścięgien.

– Buntujesz się, sprzeciwiasz, nie dajesz złamać. – Surowa twarz oprawcy złagodniała w uśmiechu satysfakcji. – To cechy, które powinieneś w sobie pielęgnować. Cechy, które uczynią cię silnym. Ale odróżniaj bunt od głupoty – zakończył szorstko i rozwarł palce, pozwalając, by obolałe ciało chłopca gruchnęło o posadzkę.

Rudowłosy zwinął się w kłębek, przyciągając piekące ramiona do boków. Zacisnął powieki, kryjąc się w ciemności. Chciał zasnąć, zniknąć, przestać istnieć. Było mu niedobrze z bólu, mdliło go od tego potwornego smrodu, w głowie kręciło się od niechcianych myśli. Rodzina odrzuciła go ze strachu? Z obawy przed jego siłą? Przecież nie był dla nich groźny, kochał ich! Jak mogli popełnić taki okropny błąd? Jak mogli dopuścić do siebie tak absurdalne obawy? Nigdy by ich nie skrzywdził. Nigdy!

– Musisz zacząć od zrozumienia tych podstaw – ciągnął mężczyzna, a jego masywna sylwetka rzucała na skulonego chłopca złowrogi cień. – Powinieneś być wdzięczny Syndykatowi, że raczył cię przyjąć. To oznacza, że posiadasz jakiś potencjał, który możesz albo zmarnować, albo rozwinąć. Ciesz się, że uwolniłeś się od słabeuszy, w których obfitowała twoja rodzina.

– Oni... oni mnie nie chcą? Czemu? – Haru potrafił myśleć tylko o tym. Czemu go nie chcieli? A wyjaśnienia mężczyzny nie podobały mu się ani trochę, nie dopuszczał ich do siebie. Nie był kimś, kogo trzeba się bać. A na pewno nie stanowił zagrożenia dla własnej rodziny.

– Nie chcą cię – usłyszał nad sobą nieznośnie monotony głos siwowłosego – bo są za słabi. Ty jesteś silny, a słabi obawiają się siły. To jest właściwa odpowiedź na twoje pytanie. Innej nie będzie, pogódź się z tym. Masz siłę, której oni nie umieli docenić, ale którą na pewno doceni Syndykat, o ile się postarasz i pokażesz, co potrafisz. Zostawię cię na noc z tymi myślami. Bez jedzenia i picia.

\*\*\*

Pół nocy spędził na rozmyślaniach, na kontemplowaniu słów siwego mężczyzny, którego imienia nie poznał. Leżał na łóżku, przyciśnięty plecami do chłodnej ściany. Otulała go kołdra nocy, ciemna i nieprzenikniona. Nie widział czubka własnego nosa, ale to pomagało mu się skoncentrować. Tylko burczenie w brzuchu wytrącało go raz po raz ze stanu skupienia. Nie jadł od blisko dwóch dni, a gdyby nawet dostał coś innego prócz tamtej zmarnowanej zupy i tak niczego by nie przełknął. Gardło miał ściśnięte, żołądek również.

Rozprawiał się z przeszłością. Jego rodzina wyrzekła się go ze strachu i z głupoty. To nie jego wina, taki się urodził. To oni go zawiedli, bo nie potrafili pojąć i docenić siły, jaka w nim drzemała. Powtarzał sobie te zdania, by się z nimi oswoić. By się na nie otworzyć, by zaakceptować prawdę, którą niesły. Im częściej je powtarzał, tym bardziej mu się podobały. Odpowiadała mu wersja, w której nie on był inny, dziwaczny, ale to oni okazali się nieodpowiedni dla niego. Takie tłumaczenie podnosiło go na duchu i tworzyło ochronną otoczkę, zatrzymującą smutek i wyrzuty sumienia. Nie był niczemu winny! To oni

zgrzeszyli lękiem przed tkwiącym w nim potencjałem. Takie przekonanie łątało ranę w sercu, kołło żal, napełniało go czymś przyjemnym, czego jeszcze nie umiał nazwać, ale już zaczynało mu się podobać. Bowiem dawało ukojenie i nadzieję, że wcale nie jest taki zły, jak mu się dotąd wydawało. To oni popełnili błąd... On nie zrobił niczego złego.

Z takim przeświadczeniem było mu po prostu łatwiej. Nie rozumiał jedynie o jakiej sile, o jakim potencjale mówił siwowłoso. Czy miał na myśli talent do... zabijania? Chłopiec wzdrygnął się z odrazą i wtulił twarz w twarde, dziurawy materac, drapiąc policzki o ostre źdźbła wystającej z niego słomy.

Wkrótce umknął przed zmęczeniem i głodem w krainę snów.

\*\*\*

*Kwadratowy pokój ustrojono płachtami białej tkaniny. Materiał podczepiono do sufitu, skąd spływał po ścianach precyzyjnie ułożonymi kaskadami i opadał na podłogę. Całkowicie ją pokrywał, uwypuklając się i uginając niczym morskie fale.*

*Pomieszczenie zastawiono zgaszonymi świecami. Znajdowały się wszędzie. Na podłodze wśród zagięć aksamitnego materiału. Na przysłoniętych białymi obrusami stolikach. W niszach wydrążonych w ścianach, zakrytych przez lejącą się z sufitu tkaninę. Świece – różnych kształtów i wielkości, jedne wysokie i smukłe, inne niskie i grube, te proste, tamte gięte – wszystkie były krwistoczerwone. Nie płonąc, zdawały się pozbawione duszy, okradzione ze swojego piękna. Ożywić mógł je tylko ogień.*

*I tak też się stało – gdy okryta ciemnym płaszczem postać wsunęła się do środka przez wąskie drzwi, wszystkie świece zapaliły się wraz z podmuchem jakiegoś magicznego tchnienia. Pokój rozbłysł czerwonym światłem, które chlusnęło na boki i przylgnęło do połaci białego materiału, znacząc go intensywną barwą wina.*

*Jasnowłosa mężczyzna omiótł pokój zafascynowanym spojrzeniem – wszystko wokół tonęło w szkarłatnym blasku. Z ostrożnością i niezwykłą delikatnością zamykał coś pomiędzy dłońmi. Nie zaciskał palców, ale stykał je opuszkami, tworząc małą klatkę, tak jakby schwytał motyla i nie chciał go zmiążyć. Sprężystym krokiem przeszedł na środek pokoju, brodząc w fałdach materiału, który zagłuszał jego kroki.*

*Jego jasnozielone oczy połyskiwały obłędem i podekscytowaniem. Przez młodą twarz, pociągłą i gładką, przebiegł cień niezdrowego podniecenia.*

*– Cicho, cicho, spokojnie, moja mała... – mamrotał do siebie, powolnie rozwierając drżące dłonie. Z uniesieniem wpatrywał się w to, co wyłaniało się spomiędzy jego palców. Na rozchylonych dłoniach spoczywał kwiat, którego idealnie białe płatki, w przeciwieństwie do fal materiału, nie wchłaniały w siebie czerwonego blasku świec. Skrzyły się własnym światłem – jaskrawym połyskiem śnieżnej bieli, która tłumiała każdą inną barwę, niepodzielnie królując nad przestrzenią wokół siebie. Kanciaste płatki o ostrych krawędziach pokrywały igiełki lodu. Krótka, skryta pod kwiatostanem łodyżka, pozbawiona zielonego barwnika, była niemal przezroczysta. Smukłe przejrzyste listki wychylające się spod płatków również wyglądały lichutko.*

*– To miejsce będzie idealne. Przygotowałem je specjalnie dla ciebie. – Blondyn uśmiechnął się szeroko i przyklęknął na ziemi, zanurzając kolana w fałdach tkaniny. Ułożył kwiat przed sobą. Śnieżne płatki zadzwoniły cichutko, strząsając z siebie kilka kryształków lodu. Kiedy łodyga dotknęła materiału, ten natychmiast zeszywniał od zimna i zatrzeszczał przejmująco. Okrągła plama czystego lodu rozrosła się wokół niepozornego, rozczulająco kruchego kwiatka.*

*– Masz taką słabiutką i białą aurę... – Blondyn pokręcił głową z politowaniem. – Ale spokojnie, nakarmię cię najintensywniejszą czerwienią. Rośnij, moja Shirane... Rośnij, Shirane no Chou. Jeszcze będziesz potężna... I moja.*

## Rozdział II

Powieki Haru rozwarły się gwałtownie, lecz oczy trzymały się jeszcze resztek snu. Choć patrzył przed siebie, nie widział ani pokoju, ani swojego łóżka. Nie mógł nabrać oddechu. Jakby jakaś niewidzialna obręcz ścisnęła mu pierś. Nie mógł się też poruszyć, jakby ktoś przybił go do pryczy. Pozbawiony władzy w rękach i nogach, ograbiony z oddechu, czuł się więźniem w cudzym i martwym ciele, nad którym nie posiadał żadnej kontroli. Co gorsza – pomimo wrażeń, że to ciało do niego nie należy – w pełni odczuwał skutki uboczne bezdechu. Zrobiło mu się gorąco z przerażenia, mózg rozsadzał skronie, jakby czaszka nagle poczęła się kurczyć. Pozbawione powietrza płuca opadały w dół, naciskając i spowalniając pracę serca. Dusił się!

Ktoś złapał go za ramię i brutalnie zrzucił z łóżka. Chłopiec runął na zimną podłogę, uderzając w nią plecami. Ostry ból przeszył nerki, a uwolnione żebra uniosły się wysoko, w nagłym, aż nazbyt głębokim wdechu. Zakrztusił się nadmiarem powietrza i błyskawicznie zwinął w kłębek, z jękiem przykładając dłonie do obolałych piersi. Chrapliwy kaszel targnął jego gardłem. Przy każdym ruchu ciała prawy policzek ocierał się o chropowatą posadzkę. Ledwo widział stojącego nad nim posiwiąłego mężczyznę, który bez słowa przyglądał się walce chłopca o tlen. Uśmiechał się do niego z pobłażliwym ubolewaniem, ale nawet nie drgnął, by mu pomóc. Jego litość upokarzała rudzielca.

Kiedy wreszcie oddech Haru wrócił do normy, a przynajmniej uspokoił się i ustał męczący kaszel, chłopiec zmierzył mężczyznę wyzywającym spojrzeniem, nie chcąc okazać strachu. Siwowłosy skwitował to szerokim uśmiechem – właśnie takiej postawy oczekiwał.

– Gotowy na kolejną lekcję...

Rudzielec nie słuchał go. W jego głowie wciąż przewijały się obrazy ze snu. Dziwaczne i fascynujące. Lodowy kwiat tak pięknie lśnił w klatce męskich dłoni... Jasnowłosa mężczyzna budził w chłopcu niezrozumiałą wstępną. Jeszcze nie wiedział, czy sen będzie należał do tych niesamowitych marzeń sennych, do których chce się wracać, czy okaże się niechciany koszmarem. A może był jednym i drugim?

Naraz Haru ogarnęło niesamowite uczucie, którego dotąd nie znał. Pewność. Absolutna. Przez jego dziecięcy i niewiele jeszcze pojmujący rozum przemknęła błyskawica absolutnej pewności, że ten piękno-straszny sen jest niebywale ważny.

– Mówiłem ci wczoraj o sile. – Jego nauczyciel przysiadł na łóżku, obserwując chłopca z góry. – O sile, której bała się twoja tchórzliwa rodzina. Chcę ci dziś pokazać, co w tobie drzemie.

Rudzielec momentalnie zapomniał o śnie, niezmiernie zaniepokojony słowami siwowłosego. Co w nim drzemie? Połowę nocy zastanawiał się właśnie nad tym. Jaką to niby tajemniczą mocą zraził do siebie całą rodzinę? Co takiego w nim siedziało, skoro nawet własna matka się go bała? Wciąż nieco roztrzęsiony podparł się na rękach i usiadł na ziemi. Skrzyżował nogi i zaintrygowany wlepił wzrok w nauczyciela. Zaczął go nazywać nauczycielem zupełnie bezwiednie.

Siwowłosy uśmiechnął się wyrozumiale, acz z nutą wyrachowania.

– Urodziłeś się i wychowałeś w rodzinie demonów. Ale czy nauczono cię, że demony dzielą się ze względu na kolor swojej energii? Wiesz w ogóle, czym jest demoniczna aura?

Chłopiec prychnął oburzony. Sam był demonem, więc jak mógłby nie wiedzieć o czymś tak prostym i oczywistym jak aura? Każdy z demonów naznaczony był kolorową poświatą własnej energii, której przebudzenie i intensywność zależały od sytuacji i emocji właściciela. Widywał to podczas treningów

Straży, kiedy ubrani w lekkie zbroje mężczyźni ruszali do walki na miecze, okryci smugami jasnych aur. Matka tłumaczyła mu wtedy, iż rozbudzenie energii dodaje walczącym sił i sprawności.

Nigdy jednak nie słyszał o podziale ze względu na kolor. Był na tyle zaciekawiony, iż zapomniał o doskwierającym głodzie, coraz mocniej kęsającym żołądek.

– O jakim podziale mówisz? – wymamrotał.

Starzec skrzywił się. Jego siwe, krzaczaste brwi ściągnęły się w grymasie dezaprobaty, a pobrużdżone czoło zmarszczyło się jeszcze bardziej.

– Czy w tej twojej szlacheckiej rodzinie nie nauczono cię okazywania szacunku, szczeniaku?! – Zamachnął się wielką dłonią, lecz uderzył tylko powietrze. Rudzielec zdołał się w porę uchylić. Nauczyciel trwał przez moment w zdumieniu, z szeroko otwartymi oczami i zastygłą w powietrzu dłonią. Potem zamrugał i zaśmiał się rubaszenie.

– No proszę, proszę, masz lepsze predyspozycje, niż sądziłem! – wydusił wśród gasnących sałw śmiechu i przetarł oczy palcami. – Wspaniały refleks, chłopcze.

Rudzielec kulił się na ziemi, przerażony i skołowany. Czekoladowe oczy wpatrywały się w opiekuna wzrokiem wystraszonego zająca, który cudem uniknął śmierci. Był zaskoczony własnym zachowaniem i dziwną reakcją nauczyciela – naprawdę go pochwalił czy igrał z nim jak kot z myszą? Chłopiec przez dłuższą chwilę leżał wtulony w lodowatą posadzkę. Opiekun zmierzył go ironicznym spojrzeniem i wycedził:

– Jednak to, że masz jakiś tam potencjał, nie zwalnia cię z okazywania mi szacunku. I nie tylko mnie. Ja poprowadzę twoje lekcje tylko do końca tego tygodnia, potem przyjdzie ktoś inny, znów jedynie na tydzień, i tak dalej. Nadążasz? Żadne z nas nie poda ci swojego imienia, bo jeszcze na to nie zasługujesz. Musisz zwracać się do swoich opiekunów należycie, bo kolejny może nie być tak wyrozumiały jak ja.

Słyszając to, Haru zaśmiał się gorzko w duchu. Wyrozumiałość nie miała tu nic do rzeczy, lecz zrozumiał, co jego nauczyciel miał na myśli. I wcale nie chciał zależeć za skórę silniejszym od siebie dorosłym, od których zależało jego życie. Może był hardy, ale nie głupi. Poza tym w domu rodzinnym uczono go, jak okazywać starszym należyty respekt. Chłopiec nie znosił pokory, lecz wiedział, kiedy lepiej ustąpić.

– Przepraszam... Panie... – Te słowa opornie przeszły mu przez gardło, niemal poczuł w ustach smak wymiocin. Wzdragał się na myśl, że szybko zdąży do tego przywyknąć.

– Tak o wiele lepiej. – Siwowłosa wydał wargi w zadowoleniu i gestem głowy nakazał chłopcu podnieść się z posadzki. Młody demon ponownie usiadł, krzyżując nogi. Najchętniej stanąłby prosto i dumnie, lecz czuł, że kolana ma miękkie jak z waty. Pewnie przewróciłby się i zbłąźnił, a tego wolał uniknąć.

– Na czym polega podział aur, panie? – powtórzy swoje wcześniejsze pytanie, lecz w bardziej uniżonej formie. Podporządkował się, bo był złakniony wiedzy; musiał za wszelką cenę uzyskać odpowiedzi na dręczące go pytania i wątpliwości.

– Może zacznijmy od tego, jakiego koloru aury widziałeś w domu?

Chłopiec uniósł głowę, błędząc spojrzeniem po spękanych suficie. Zamyślił się, szperając w pamięci. Przywołał różne sytuacje, w których mógł ujrzeć energie swoich bliskich. Pamiętał treningi Straży, pamiętał gniew ojca, karcącego swoich podwładnych, pamiętał też smutek matki, gdy czasami samotnie przesiadywała w ogrodzie.

– Straże naszej rodziny miały aury w kolorze jasnego błękitu, energia mamy była jak ser, a taty zielona jak trawa – wyliczył.

– Tak jak myślałem. – Nauczyciel prychnął krótko. – Wszystkie te aury są jasne i ciepłe. A takie aury uznajemy za słabe. Poczynając od żółtych, idąc przez pastelowe biele i kremy, a kończąc na kolorach

nieba i roślin. Każdy jasny czy blady kolor oznacza słabość.

Haru zamrugał, pospiesznie przetrawiając uzyskane informacje. Próbował przypomnieć sobie jakiś inny kolor, który może widział gdzieś przypadkiem. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. Zawsze otaczały go jasne, przejrzyste energie. Jego rodzina, odwiedzający ich goście – każdy z nich posiadał aurę co najwyżej w kolorze nieco ciemniejszego nieba. Najciemniejsza barwa, jaką widział, należała do jego ojca.

– A ty...? – Przyciszone, chytre zapytanie nauczyciela zapaliło w rudowłosym nagłą lampkę olśnienia. No tak, jego aura zawsze wyróżniała go spośród rodziny. Była ciemna, bardzo ciemna, znacznie ciemniejsza niż energia ojca.

– Moja aura...

– Pokaż mi ją!

– Ale... Mama zawsze mówiła, że moja energia jest brudna, że nie powinienem nikomu jej pokazywać...

– Już zapomniałeś?! – huknął mężczyzna, uderzając dłońmi o stoliczek, który zatrzęszczał głośno. – Twoja rodzina to banda durnych słabeuszy, którzy wyparli się ciebie! Sprzedali cię, bo w swojej lękliwej głupocie uznali twoją siłę za coś złego! A siła to dar, o którym oni mogą tylko pomarzyć. Nie wolno ci wstydzić się swojej siły, masz być z niej dumny!

Rudzielec zgarbił się i pochylił kornie głowę. Zagryzł wargi i zacisnął powieki. Siła to jego dar, a rodzina – jego głupia rodzina – nie potrafiła tego pojąć. On był silny, oni słabi.

– Moja aura jest czarna jak noc i jestem z niej dumny – wycedził przez zaciśnięte zęby, wolno wypuszczając powietrze. Wraz z wydechem wokół jego ciała zatliła się ciemna poświata. Najpierw mdła i niewyraźna, podnosząca się z ziemi jak poranna mgła. Jednak z każdą chwilą gęstniała. Nabierała wyraźniejszej struktury i mocniejszego koloru. Węgliste smugi krążyły wokół siedzącego chłopca, oplatały jego nadgarstki, wiły się wokół piersi. Cieniste fale buchały spod niego, jak gorąco z rozpalonego pieca. W końcu mroczna mgła wystrzeliła żywo, ogarniając całą postać rudowłosego. Zdawało się, że chłopiec zajął się hebanowym ogniem.

W oczach mężczyzny błysnęła iskra fascynacji, a jego uśmiech po raz pierwszy był szczery. Potarł dłońmi kolana i zaśmiał się krótko, z satysfakcją. Był wielce zadowolony, niemal szczęśliwy.

– Niesamowite... – stęknął. – Nieskazitelnie czarna energia. Idealna. Masz w sobie niezmierzone pokłady siły, chłopcze.

Haru zamrugał wypełnionymi czernią oczami. Jego energia syknęła, zatańczyła pospiesznie wokół jego postaci i zgasła, opadając w dół. Chłopiec oddychał ciężko; był zmęczony pokazem swoich możliwości. Przywołanie tak dużych pokładów energii wykończyło go, kilka kropel potu zrosiło tętniące skronie.

– Siły...? – Tylko tyle zdołał z siebie wykrztusić.

– Tak, siły. – Głos nauczyciela był ożywiony. – Tej siły, która dla twojej rodziny jest niepojęta i którą zmarnowałbyś, zostając w rodzie Saruku. Nauczymy cię, jak ją wykorzystywać. Jeśli tylko pozwolisz nam ją z siebie wydobyć. Możesz stać się dzięki niej kimś niezwykle potężnym. Takie osoby jak ty to cenny nabytek dla Syndykatu.

Czekoladowe oczy chłopca zapłonęły. Był zmęczony, głodny i spragniony. Lecz to wszystko zdawało się nieistotnym szczegółem w porównaniu z wiedzą, jaką zyskiwał. Czarna energia, którą od zawsze uważał za ohydną, bo rodzina jej nie akceptowała, okazała się jego darem. Mroczna aura, przez którą traktowano go jak wyrzutka, miała stać się źródłem jego potęgi. Wszystkie znane mu osoby gardziły nim, a Syndykat chciał go przyjąć w swoje szeregi, traktując jak kogoś wyjątkowego i posiadającego wielkie możliwości. Taka nagła zmiana przyjemnie grzała pełne smutku i żalu serce. No i łechtała chłopięcą

próżność – wreszcie został przez kogoś doceniony.

– Chcę... chcę tu zostać, panie. Chcę stać się silny – powiedział, w pełni świadom znaczenia swoich słów. Nie chciał już wracać do swojej słabej rodziny, która nie umiała zobaczyć w nim niczego dobrego ani przydatnego. Tutaj poczuł się potrzebny i niezwykły.

– Spokojnie, zostaniesz tu. – Mężczyzna patrzył na małego rudzielca z powagą, jakby nagle zmienił swój stosunek do ucznia. – Posiadasz nieograniczone możliwości, ale musisz się jeszcze sporo nauczyć. Musisz przejść wiele prób, odbyć wiele lekcji, by w pełni poznać i rozwinąć swoje moce. Jesteś na to gotowy?

Rudzielec żywo potaknął głową, już nie mogąc doczekać się dalszego ciągu szkolenia. Miał jedynie nadzieję, że teraz, kiedy tak wiele zrozumiał, nauczyciel wypuści go z tego cuchnącego, więziennego pokoju.

– Dobrze więc, Haru. – Opiekun pierwszy raz zwrócił się do niego po imieniu i uśmiechnął się życzliwie. – Wróćmy do teorii na temat aur. W Syndykacie istnieje pewien podział. Do naszych szeregów przyjmujemy tylko osoby z wystarczająco ciemną, czyli silną aurą. Naszych uczniów pozyskujemy w różny sposób.

Pozyskujemy... To słowo nieprzyjemnie zazgrzytało w uszach chłopca. Nauczyciel mówił o ludziach jak o przedmiotach. Chłopiec chciał przełknąć ślinę, ale jego gardło było do cna wysuszone. Desperacko potrzebował wody. Nawet jego demoniczny organizm nie mógł wytrzymać zbyt długo bez nawilżenia.

– Niektórych, tak jak było w twoim przypadku – ciągnął mężczyzna – odnajdujemy wśród słabych rodzin, ze strachu chcących się pozbyć swoich dzieci. Inni rodzą się w Syndykacie. Ci, którzy rodzą się ze zbyt jasną energią, są natychmiast zabijani. – Oznajmił to przeraźliwie spokojnym głosem, najwidoczniej nie przejmując się reakcją Haru. A może celowo chciał go nastraszyć, otwarcie i bez ostrzeżenia wyznając, jak brutalne zasady rządzą w Syndykacie.

Rudowłosy znieruchomiał. Zimny dreszcz postawił mu włoski na karku. Nie umiał sobie nawet wyobrazić, jak trzeba być okrutnym lub... zdyscyplinowanym, by bez skrupułów zabijać noworodki. Niczym grom spadła na niego świadomość, że i jego zabiją bez wahania, gdy tylko przestanie być przydatny lub posłuszny. Już nie był tak pewny, czy pragnie tu zostać, ale wiedział, że nie ma wyboru. Trafił w szeregi zabójców i jeśli chciał przeżyć, nie mógł się wycofać.

Mężczyzna przecesał dłonią resztki siwych włosów i przechylił głowę na bok.

– To cię przeraża? A nie powinno. Jeśli chcesz być silny i przydatny dla Syndykatu, nie możesz bać się zabijania i nie możesz czuć litości dla słabych. Słabeusze zasługują tylko na pogardę i na unicestwienie. Jeżeli okazujesz litość, sam stajesz się słaby. Na początek musisz się nauczyć braku skrupułów.

Haru bez przekonania potaknął głową. Miał mieszane uczucia, gubił się w tych pierwszych naukach. Z jednej strony przynależność do Syndykatu dawała mu poczucie wyjątkowości, z drugiej budziła w nim odrazę.

Nauczyciel przemknął po nim szarym spojrzeniem. Jego naznaczona bruzdami czasu twarz przybrała beznamiętny wyraz, taki sam jak podczas ich pierwszego spotkania.

– Wśród jasnych aur nie ma wyjątków. Wszystkie oznaczają po prostu niedołęstwo i zbędne cherlactwo. Ciemne aury są różne. Wymienię ci je od najsłabszej do najsilniejszej. Do Syndykatu przyjmujemy osoby z aurą granatową, brązową, fioletową, brunatną i wreszcie czarną.

Chłopiec zdębiał. Jego aura znajdowała się na końcu listy, czyli była najsilniejsza ze wszystkich akceptowanych w Syndykacie. Przeszedł go dreszcz podekscytowania. Tutaj naprawdę był kimś. To akurat bardzo mu się podobało.

– Aury granatowe i brązowe posiadają przeważnie Kapłani i Alchemicy – kontynuował mężczyzna. –



Na pewno spotkasz kilku na swojej drodze. Fioletowe, brunatne i czarne energie należą do Skrytobójców.

– Skrytobójców?

– Tak właśnie nazywamy zabójców, którzy zabijają na zlecenie. Dostają swój cel, osobę, którą muszą zabić, a potem otrzymują zapłatę za wykonane zadanie. Nadążasz?

Haru jedynie skinął głową, znowu nie mogąc wykrztusić ani słowa. Stanie się jednym z nich... Miał czarną aurę, więc przynależał do Skrytobójców... Do morderców, którzy zabijali w zamian za wynagrodzenie. Obrzydzenie wywracało mu żołądek, żółć podchodziła do gardła, lecz przemógł mdłości. Zdusił wątpliwości i skrupuły w zarodku. Musiał to przetrzymać, jeśli nadal chciał być uważany za cenny nabytek, jeśli chciał przetrwać tu dłużej niż kilka marnych dni.

– Będę jednym z nich... – wybełkotał pod nosem.

– O ile dotrwasz do końca. – Wargi mężczyzny rozciągnęły się w kpiącym uśmiechu. – Już na początku zdradzę ci kilka podstawowych zasad, na których przyswojenie będziesz miał sporo czasu. Jednak im szybciej to zrobisz, tym lepiej dla ciebie. Po pierwsze nie bierz zbyt dosłownie znaczenia słowa Kapłan. Są tu potrzebni do odprawiania rytuałów i zaklęć. Leczą rannych tylko czasami, jeśli sytuacja koniecznie tego wymaga. Nie przyjdą do ciebie, gdy rozboli cię brzuch, nie zajmą się tobą, gdy wrócisz poobijany z treningów. W Syndykacie nie ma miejsca na narzekanie, nie ma leków i specjalistów usmierzających ból. My nie tłumimy cierpienia, zadajemy je słabym, a sami akceptujemy ból, odnajdując w nim kolejne źródło siły.

Słowa nauczyciela brzmiały tak przerażająco, że od samego słuchania zawirowało rudzielcowi w głowie. Nie chciał sobie nawet wyobrazić, ile cierpienia jeszcze go czeka. Nie miał dokąd uciec. Nie mógł wrócić do rodziny, której zaczynał szczerze nienawidzić. Bardzo chciał stać się silniejszy, by pokazać im wszystkim, na co go stać, co stracili. Lecz słuchając kolejnych brutalnych zasad, zaczynał żałować swojego wyboru. Zaraz, jakiego wyboru? Trafił do Syndykatu jako więzień, przed którym otwarto jedną możliwą drogę. Na jej końcu stanie się Skrytobójcą.

– Alchemicy – siwowłose opiekun mówił dalej – tworzą trucizny i eliksiry, które potrzebne są Skrytobójcom do ich zadań. Siła bowiem nie polega wyłącznie na sile mięśni. To także spryt i pomysłowość, dzięki którym zabójcy pozbywają się wrogów cicho i bez świadków. Ciebie również nauczymy przygotowywać podstawowe, niezbędne w tym fachu trucizny. Jest ich tylko kilka, resztę możesz spokojnie zostawić Alchemikom.

– Mogę o coś zapytać, panie? – przerwał mu nagle Haru, wpatrując się w nauczyciela roziskrzonym wzrokiem.

– Pytaj.

– Jakiego koloru jest twoja aura?

Mężczyzna zmarszczył brwi z irytacją, lecz po chwili jego twarz wygładziło chłodne zadowolenie. Dociekliwość chłopca spodobała mu się.

– Jest czarna, tak samo jak twoja. Ale nie łudź się, na razie twoje talenty nie dorastają moim do pięt. Brak ci wyćwiczenia i praktyki. I zapamiętaj sobie, póki jesteś uczniem, musisz okazywać szacunek każdemu, kto ma więcej doświadczenia od ciebie. Kiedy już skończysz swoje szkolenie, kiedy przestaniesz podlegać nauczycielom, ze swoją czarną aurą zobowiązany będziesz do okazywania respektu tylko Przywódczyni.

– Przywódczyni? – Ciekawość chłopca wzrosła, rozpalając jego czekoladowe spojrzenie.

Nauczyciel zareagował nie mniejszym przejęciem. Jego surowa twarz rozpromieniła się. Szare oczy zasnuła mgiełka wzruszenia, głowa delikatnie opadła w dół. Oddawał Przywódczyni cześć nawet wtedy, gdy jedynie o niej myślał.

– Władczyni Syndykatu. Plage Fu-Setusa. Posiadaczka czerwonej aury. Jest to energia najsilniejsza spośród wszystkich, potężniejsza nawet od czerni. Czerwień to bowiem barwa krwi, a więc symbol okrucieństwa, cierpienia i morderstwa. Na dodatek nie posiada jej nikt inny, tylko Przywódczyni. Z tego, co mi wiadomo, Pani sama przysłała pod twój dom, smarkaty szczęściarzu. Musiała mieć naprawdę ważne sprawy w pobliżu, skoro stawiała się po ciebie osobiście. – W jego głosie zabrzmiała nuta zazdrości.

Haru oniemiał, przypominając sobie przerażającą białowłosą kobietę. Mimo iż widział ją tylko raz, zapamiętał jej twarz bardzo dokładnie, do najdrobniejszego szczegółu. Jej bezdenne i lodowate spojrzenie, przewiercające go na wylot, lisi uśmiech, porcelanową cerę, okrutne piękno oblicza. Zadygotał i pokręcił głową, chcąc odgonić wyobrażenie jej niemal namacalnej postaci.

Obserwujący go mężczyzna zaciskał dłonie na masywnych udach, starając się stłumić narastającą w nim złość. Podniósł się gwałtownie, opuszczając napięte ramiona wzdłuż ciała.

– To ci starczy na dziś, dzieciaku. Oswajaj się z tym, co ci powiedziałem. Ach tak. – Sięgnął za pazuchę rozpinanej kamizelki i z wewnętrznej kieszeni wyciągnął szeroki, płaski bukłak. – To w nagrodę. – Rzucił naczynie na posadzkę i obrócił się. Długimi krokami podszedł do wyjścia, gniewnie chwycił za klamkę i szybko rozwarł skrzypiące drzwi. Wkrótce rozległ się szcęk zamykanych z drugiej strony zamków.

Haru wbił pełen nadziei wzrok w ciemny bukłak. Powoli rozplótł nogi, lecz był zbyt osłabiony, by na nich stanąć. Na kolanach podczołgał się do naczynia i chwycił je w drżące dłonie. Wewnątrz zachlupotała jakaś ciecz... Woda, zbawienna woda. Nie mogła mu dodać sił, ale pomoże oszukać głód, nawilży wysuszone gardło, a przede wszystkim choć w małej części ugasi palące go pragnienie.

To musiało mu starczyć do następnej wizyty nauczyciela. I może do kolejnej nagrody, na którą zasłuży.

\*\*\*

*Lodowe Kwiaty porastały cały pokój, zakrywając białe fale materiału. Tkanina niknęła pod nimi. Pomiędzy płatkami umieszczono palące się spokojnym płomieniem świece. Ich subtelny blask nasycił pokój czerwonym światłem. Wszystko tonęło w czerwieni – przegrywała z nią również biała poświata kwiatów. Ich niemal przezroczyste płatki traciły swój jasny połysk, przesiąkając barwą wina.*

*W centrum pokoju, pomiędzy miękkościami aksamitu, spoczywała nieruchoma postać. Otulona kwiatami, przykryta płatkami jak kołdrą. Nurzała się w nich jak w płytkim stawie z biało-czerwoną wodą. Miała drobniutkie i chudziutkie ciało dziesięciolatki. Spała ułożona na plecach. Jej długie, białe włosy rozrzucone wokół twarzy tonęły pod grubą rzęsą płatków. Jej naga, obsypana kwiatami skóra oślepiła i oszołamiła śnieżną bielą cery. Jej mleczna twarz, choć dziecięca i ukojona snem, wyglądała na poważną i bezduszną.*

*Ukryte w głębi pokoju drzwi otworzyły się cicho i ostrożnie. W progu zamajaczył cień wysokiej męskiej sylwetki.*

*Powieki nieruchomej jak posąg dziewczynki rozwarły się szeroko. Jej oczy jarzyły się krwistą czerwienią.*

## Rozdział III

Haru obudził się z wrzaskiem, który zaraz uwiązał mu w gardle. Jego usta pozostały szeroko otwarte, lecz nieme. Tak jak poprzednio obudził się znieruchomiały, zupełnie jakby coś go zamroziło i wgniotło w materac. Widział swój pokój jak przez mgłę, rozmazany, chwiejący się na boki. Tym razem mógł jednak oddychać, choć przychodziło mu to z niebywałym trudem. Nie musiał obawiać się uduszenia.

Niemniej kompletne odrętwienie nie należało do przyjemnych doświadczeń. Leżał na twardym posłaniu, sztywny jak posąg. Słyszał skrzypienie własnych żeber, kiedy te ociężałe unosiły się w wykradanych desperacko wdechach. Słyszał burczenie pustego żołądka, wściekle domagającego się pokarmu. Potem wszystko przyćmił ogłuszający szum rozsadzający skronie. Chciał złapać się za głowę, ale jego dłonie i ramiona były jak przykute do łóżka. Z rozchylonych ust wyciekła mała strużka śliny.

Obrzydliwość.

Napiął wszystkie mięśnie do granic możliwości, zmuszając wargi, by się zamknęły. Wysiłek był tak wielki, jakby zatrząskiwał wielką, ciężką bramę. Potem skupił się na prawej dłoni – szum w głowie przeszkadzał w koncentracji – ale nie ustawał w wyczerpujących staraniach, by unieść choćby jeden palec. Kiedy wreszcie mu się to udało, odpuściło całe odrętwienie.

Wszystko z niego spłynęło. Ciężar bezruchu zniknął, ciało Haru odzyskało czucie i... natychmiast zajęło się ogniem bólu, wypełniającym sflaczałe mięśnie. Pot ściekał mu po czole i skroniach, kapał na brudny materac. Chrapliwy oddech stał się lżejszy, za to przyspieszył, poganiany przerażeniem i zmęczeniem.

Chłopiec zacisnął powieki, zagradzając łzom drogę. Niech zostaną w środku. Nie wolno płakać, marnować wody. Poza tym szkolił się na Skrytobójcę, więc nie mógł pozwalać sobie na coś tak żałośnie słabego jak płacz. Jednak był tylko dzieckiem, osaczonym przez własne myśli, zagubionym wśród labiryntu własnych emocji i dręczących go koszmarów.

To już drugi dziwny sen, niepokojąco podobny do pierwszego. A raczej nie tyle podobny, co stanowiący dalszy ciąg... Ten sam pokój, lecz pokazany z innej perspektywy. To samo pomieszczenie, lecz ukazane po upływie pewnego czasu. Kilku świec, dni, może lat... Tego Haru nie wiedział, choć bardzo chciałby się dowiedzieć. I tego, czemu w ogóle przyśniło mu się coś takiego? Skąd się wzięła w jego głowie ta wizja? Powróci jeszcze?

O dziwo, pragnął, żeby powróciła.

Bo obrazy ze snu trwożyły go i przyciągały zarazem, odpychały i nęciły, zupełnie jak tamta białowłosa kobieta. Przywódczyni. Jak śnieżnoskóra, która... Właśnie! To ją widział w swoim śnie! Nie miał co do tego wątpliwości! Tylko ona mogła mieć tak mleczną cerę i tak krwiste oczy. Tylko ona mogła być tak przerażająco piękna. Lecz czemu pojawiła się w jego śnie, na dodatek w ciele dziewczynki?

Nie potrafił tego pojąć, ale łapał się na chełpliwym przeświadczeniu, że ten sen był przeznaczony tylko dla niego, łączył się z nim nierozzerwalnie, tworząc więzy uczucia, którego nie potrafił nazwać słowami. Nie powinien dopuszczać do siebie tak absurdalnych i butnych myśli, ale... nie umiał się ich pozbyć. Cała jego głowa, dusza, całe jego obolałe ciało pulsowały pewnością, że między nim a białowłosą istnieje jakaś więź.

Mijała świeca za świecą, a do pokoju Haru nikt nie przychodził. Chłopiec beczynn timer leżał na łóżku, gapiąc się na pustą, popękaną ścianę. Raz po raz zerkał na bukłak z wodą, schowany w rogu pomieszczenia. Tak bardzo chciałby wypić wodę jednym haustem, całą naraz. Ale wiedział, że musi ją

oszczędzać, bo nie miał pojęcia, kiedy dostanie więcej. Jeden, góra dwa łyki na dzień, zwłaszcza że wczoraj wypił trochę za dużo, nie potrafiąc powstrzymać silnego pragnienia.

Głód dręczył go coraz dotkliwiej. Haru przypominał sobie, jak matka opowiadała, że dojrzały demon potrafi wytrzymać bez jedzenia, nie odczuwając żadnych skutków, kilka tygodni lub nawet kilka miesięcy. Lecz on nie posiadał jeszcze takiej wytrzymałości, nie miał kiedy jej nabyć, a jego organizm był za młody na podobne eksperymenty. Dlatego tych kilka dni stanowiło dla niego istną męczarnię, taką samą, jaką przechodziłby zwykły człowiek w podobnej sytuacji. Świadomość tego nie pomagała mu ani trochę.

Czekał do wieczora na pojawienie się siwowłosego. Chociaż podejrzewał, że wizyta nauczyciela nie będzie należała do przyjemnych, chciał, żeby opiekun wreszcie przyszedł. Brak zajęcia, kompletna cisza i smród zalegający w celi sprawiały, że umysł młodego demona popadał w apatię. Chłopiec cały dzień przeleżał w jednym miejscu i w jednej pozycji, zapomniał nawet o wypiciu wydzielonej sobie dawki wody. Nie miał siły ani ochoty na nic.

Aż w końcu jego otepiały umysł zapadł w sen.

\*\*\*

*Białe drzwi rozwarły się szerzej i wysoki blondyn ostrożnie wszedł do usłanego kwiatami pokoju. Z wielką uwagą stawiał stopy, stąpając wśród roślin i płonących świec. Poruszały się bezszelestnie, gdyby nie ciemny płaszcz, który wydawał cichy szmer przy każdym kroku. Blondyn skrzywił się. Krwawy blask świec raził go w oczy. Aksamit i porastające go kwiaty plątały się pod nogami. Jakby sam pokój był przeciwko niemu, próbując powstrzymać go przed zbliżeniem się do tej, która spoczywała w centrum.*

*Mężczyzna nie zrażał się jednak. Skradał się dalej, z lepkiem, plugawym uśmiechem na ustach. Był coraz bliżej, jego podekscytowanie rosło, może dlatego zapomniał o czujności. Stał się nieostrożny, jego ruchy straciły swą cichą płynność, ale nie potrafił wytrzymać napięcia. Tak bardzo chciał ją zobaczyć, natychmiast.*

*I kiedy wreszcie znalazł się tuż przy niej, zamarł w bezruchu, przeszyty paskudnym zimnym dreszczem.*

*Z dołu patrzyła na niego para krwistych oczu. Nienaturalnie wielkich w drobnej porcelanowej twarzyczce. Przerażliwie pustych i badawczych. Przenikały go spojrzeniem na wskroś, paraliżowały i zdawały się czytać w nim jak w otwartej księdze.*

*Blondyn stał nad śnieżną dziewczynką, z obliczem zmienionym przez zaskoczenie i strach. A gdy patrzył na nią, lękliwe zdumienie ustępowało narastającej coraz bardziej fascynacji.*

*– Obudziłaś się... P...przebudziłaś się... – wymamrotał wielce poruszony, na granicy uniesienia. Jego ciało tkwiło w miejscu. Nie spuszczała go z oka, kiedy wreszcie ugiął kolana i klęknął przy niej.*

*On też badał ją wzrokiem – nachalnie, natarczywie, pochłaniając oczami drobną sylwetkę. W końcu wyciągnął drżącą dłoń, chcąc dotknąć jej ramienia. Obróciła głowę, podążając spojrzeniem za ruchem jego ręki.*

*– Spokojnie... – wyszeptał, wyginając usta w obłudnym uśmiechu. – Nie jestem twoim wrogiem, jestem twoim stwórcą, rozumiesz?*

*Przekręciła głowę i wróciła wzrokiem do ściągniętej podnieceniem twarzy blondyna.*

*Ten przesunął palcami wzdłuż jej ramienia, lecz w powietrzu, nie muskając nawet białej skóry. Zaśmiał się nerwowo pod nosem i złapał za jeden z Lodowych Kwiatów. Wyrwał go z aksamitu i pokazał dziecku.*

*– Nie wiem, czy jesteś już w stanie cokolwiek pojąć, ale narodziłaś się właśnie z takiego kwiatu. Pielęgnowałem cię przez wiele dni, by wyrosła z ciebie duża i silna dziewczynka. – Krwawy blask*

świec, padający na twarz mężczyzny, podkreślił lubieżność jego kolejnego uśmiechu.

Białowłosa obserwowała go, nie mrugając powiekami. Miękkimi kocimi ruchami przechylała głowę to w jedną, to w drugą stronę. Jej krwiste oczy jarzyły się mocno wśród morza czerwonego blasku. Przepastne źrenice przyglądały się mężczyźnie w zamyśleniu. Aż wreszcie po raz pierwszy zmrużyły się... drapieźnie.

– Śmierć... – wysyczała przeciągle, zachrypniętym i nazbyt kobiecym jak na swój wiek głosem. Blondyn zdążył tylko zamrużyć w niezrozumieniu, a potem jakaś niewidzialna siła wyrzuciła go w górę, wciskając w sufit. Zawisł na nim niczym makabryczny żyrandol. Ze ściśniętymi żebrami, krwią płynącą z gardła, krztusił się i dławił. Wybałuszonymi oczami wpatrywał się w śnieżnobiałą dziewczynkę, nadal leżącą bez ruchu w tym samym miejscu, dokładnie pod nim, pośród białych kwiatów skąpanych w czerwonej poświacie. Próbował wyrwać się z okowów tajemniczej mocy, uwolnić swoje przygwożdżone ciało, ale wobec jej potęgi okazał się słaby i bezradny jak niemowlę. Mógł tylko tkwić na suficie i patrzeć w twarz leżącej spokojnie dziewczynki.

Mierzyła go wzrokiem niczym zabawkę, z którą nie wiedziała, co zrobić; w końcu jej usta uniosły się w delikatnym, aroganckim uśmieszku.

– Stworzyłeś własną śmierć, głupku – wycedziła, sprężyste podnosząc się z pośłania. Nie użyła rąk, by się podeprzeć. Po prostu giętka jak wąż jednym płynnym ruchem ustawiła swoje ciało w pionie. Płatki kwiatów zsunęły się, odsłaniając jej nagość. Długie białe włosy opadły na chude plecy, ramiona i zupełnie płaski mostek. Wolno uniosła twarz do góry, beznamiętnie wpatrując się w blondyna dławiącego się własną krwią. Przymrużyła powieki, nadając swojej młodziutkiej twarzy cyniczny wyraz.

Niespodziewany podmuch lodowatego wiatru za jednym zamachem zgasił wszystkie świece. Poderwał z ziemi kwiaty, zawirował wraz z nimi w szaleńczym balecie, kołując po całym pokoju niczym śnieżna zamieć. Biały aksamit darł się na strzępy z żalonym jękiem. Dopiero teraz, w kompletnych ciemnościach, uwidoczniła się aura dziewczynki. Krwistoczerwona mgła otaczała dziecięcą sylwetkę, krążąc wokół niej kolistymi smugami. Łopotała śnieżnymi włosami, rozrzucając je wokół białej twarzy. Trzaskała na boki krwistymi błyskawicami, które szarpały resztkami białego materiału, niegdyś zdobiącego pokój. Białe strzępki tkaniny natychmiast porywał wiatr i dołączały do wirujących w powietrzu kwiatów. Kilka gęstszych, szkarłatnych wąsów energii strzeliło w górę, w stronę blondyna – miażdżyły jego pierś, dusiły za gardło, owijały się wokół nadgarstków i kostek, rozciągając go na powierzchni sufitu.

Mała albinoska patrzyła w jego załzawione oczy, leniwie przekrzywiając główkę na boki. Powoli uniosła ramiona i rozstawiła palce, kierując je na blondyna.

– Giń – mruknęła krótko.

Podłoga przed białowłosą zatrzeszczała głośno, a chwilę później wystrzelił z niej gruby lodowy szpikulec. I przeszył pierś blondyna. Zduszony jęk był ledwo słyszalny pośród huku czerwonej energii.

Pienista świeża krew chlusnęła na twarz nieporuszonej dziewczynki.

\*\*\*

Po raz kolejny obudził się z wrzaskiem. Śmiertelnie wystraszony poderwał się z łóżka, opierając dłońmi o chropowatą ścianę. I tak został. W głowie szumiał wodospad, przed oczami tańczyły czarne plamy. Z ciałem stało się to, co wcześniej – zastygło jak posąg. Chłopiec siedział więc wsparty o ścianę, patrząc na brudną pościel, mokrą od jego własnego potu. Z ulgą stwierdził, że może normalnie oddychać, bez większych trudności. Zauważył też, że drętwoła mija nieco szybciej.

To był trzeci sen – jego organizm zdawał się przyzwyczajać. Za każdym razem przyjmował to lepiej.

Niby dobrze, bo Haru przeczuwał, iż na tym koszmarze się nie skończy. Ponieważ mógł oddychać, bezruch ciała nie wydawał mu się aż tak okropny jak wcześniej. Był jednak uciążliwy i irytujący. Chłopiec miał wrażenie, iż jego umysł się obudził, tylko ciało nadal trwa w letargu. Nie robił jednak nic, nie próbował się szarpać, by na siłę przezwyciężyć paraliż. Czekał i ku swojej uldze wreszcie poczuł, jak drętwota ustępuje. Gdy spłynęła całkowicie, z głośnym westchnieniem opadł plecami na łóżko i zakrył twarz dłońmi.

Nie wiedział, co myśleć o tym śnie. Piękny koszmar – ohydny i cudowny zarazem. Mimo nierealności oglądanych wizji, był pewien, iż śni o białowłosej kobiecie, która przyszła wtedy po niego, o Przywódczyni Syndykatu, o swojej Przywódczyni. Plage Fu-Setusa – tak nazywał ją nauczyciel. Ale czemu nawiedzała akurat jego? Co znaczyły te wszystkie niepokojące obrazy? Czy naprawdę została stworzona... z kwiatka? Czy to, co widział, było prawdą, czy tylko rojeniem zmęczonego umysłu? Za dużo pytań, na które nie znał odpowiedzi. Za mało wskazówek, które mogłyby pomóc. W celi towarzyszył mu jedynie przeżerający wszystko smród, zgnilizna zatęchła w kątach, stare, rozwalające się meble i porażająca cisza do kolekcji. No i pusty żołądek coraz silniej, boleśniej domagający się jedzenia. To nie pomagało w koncentracji.

Haru przeturlał się po łóżku i zsunął na zimną podłogę. Kilka razy próbował stanąć na nogach, ale zwiotczałe mięśnie nie chciały go słuchać. Podpełził więc na rękach i kolanach do leżącego w kącie bukłaka i chciwie złapał go w dłonie. Odkorkował naczynie zębami i odrzucił czop – wczoraj nic nie wypił, więc dzisiaj mógł pozwolić sobie na dwa łyki więcej. Niestety jego pragnienie okazało się zbyt wielkie i bez opamiętania wlewał ciecz do gardła, odpuszczając sobie liczenie łyków. Z trudem pohamował się przed wypiciem wszystkiego – musiał niemal siłą odrywać bukłak od ust. Zakorkował go pospiesznie i odrzucił w bok, by nie kusił go już dzisiaj.

Tego dnia również nikt do niego nie przyszedł.

\*\*\*

*Zaplamione krwią rączki gładziły białe płatki kwiatów rozsypane w nieładzie po pokoju. Zarówno podłoga, jak i ściany oraz sufit pokryte były lśniącą warstwą lodu. Pomieszczenie wyglądało jak wnętrze kostki lodu.*

*Mała albinoska, otulona jedynie długimi włosami, siedziała pośród strzępów aksamitu. Dywan podartych kwiatów był miękki i falował przy każdym najmniejszym tchnieniu chłodnego powietrza. Skąd wiał ten wiatr? W środku zamkniętego pomieszczenia...? Jego źródłem była energia, która nadal promieniowała z drobnego ciała dziewczynki. W czerwonych od krwi dłoniach przesypywała płatki kwiatów, zbierała je z podłogi i wyrzucała w górę, patrząc, jak opadają niespiesznie, niczym śnieg. Zadzieraa główkę – i wielce zaintrygowana obserwowała taneczne, leniwe ruchy szybujących płatków.*

*Natomiast zupełnie ignorowała martwe ciało, przykute do sufitu wyrosłym z podłogi stalagmitem. Trup zwisał bezwładnie i zdawał się tulić do sopła, który przeszywał mu pierś. Gęsta, zmrożona krew pomalowała lodowe ostrze długimi smugami.*

*Białowłosa bezszelestnie i giętko uniosła się z ziemi. Omiotła pokój spojrzeniem, zatrzymując się na wąskich drzwiach, widocznych zza resztek poszarpanego aksamitu. Wpatrywała się w nie przez dłuższą chwilę, jakby oczekiwała czyjś nadejścia. Jej twarz stężała w wyrazie powagi, niepasującej do dziecka; przypominała marmurową maskę. Tylko oczy połyskiwały – lисio i niebezpiecznie.*

*– Skąd tu tyle lodu?! – rozległ się słodki kobiecy głos, któremu zawtórował trzask drzwi wyważonych kopniakiem.*

*Do pokoju wtargnęła jasnowłosa kobieta. Jej twarz była bliźniaczo podobna do twarzy zamordowanego mężczyzny. Miała ten sam zmijowaty uśmiech i te same turkusowe oczy. Jej policzki*

okalały fale długich blond włosów. Była wysoka, smukła, ubrana w szafirową tunikę. Jej uśmiezek zmienił się w poirytowane skrzywienie, które z kolei przeszło w kpiący grymas, kiedy tylko ujrzała szczupłą dziesięciolatkę.

– Ty? – rzuciła lekceważąco. – Ty niby jesteś tą potężną Nimfą, którą stworzył Derek!? Czuję się rozczarowana...

Dziewczynka wsparła dłoń na biodrze i rozciągnęła wąskie wargi w delikatnym uśmiechu.

– Ty jesteś rozczarowana? – zaczęła ironicznym tonem, kontrastującym z jej dziecięcą posturą. – Pomyśl, jak ja się czuję, przyglądając się bezbrzeżnej głupocie mojej siostry.

– Nie jestem twoją siostrą, smarkulo! – Blondynka prychnęła gniewnie, a wokół jej sylwetki rozbłysły lekkie, ledwie widoczne kosmyki ciemnej energii.

– Moje ciało to tylko nic nieznacząca powłoka. – Mała albinoska stała niewzruszenie niczym rzeźba, z beczelnym uśmiezkiem na marmurowych ustach. – Za to do poziomu twojej inteligencji pasowałoby raczej ciało pięciolatki. Ten cały Derek chyba minął się z celem, kiedy cię tworzył. – Od niechcenia zarzuciła głową w prawą stronę.

Jasnowłosa kobieta znowu prychnęła pogardliwie, wiodąc wzrokiem za gestem małej. Już otwierała usta do kolejnej zaczepki – ale zamknęła je natychmiast, zachłystując się wziętym z nagła oddechem. Jej oczy rozszerzał strach, gdy przesuwiała wzrokiem od dołu w górę, po długim soplu łączącym podłogę z sufitem. Skurczyła się, zgarbiła, a jej ciało przebiegł dreszcz paniki, kiedy wreszcie utkwiała wzrok w martwym ciele Dereka, przybitym do stropu, porośniętym szronem i uwalanym zakrzepłą krwią.

– Z...zabiłaś Stwórcę!

– Och – powiedziała dziewczynka.

– Zabiłaś go!

– Powalająca spostrzegawczość.

– Jak śmiałaś go zabić, mała zdiro?! – Wokół blondynki wybuchła gęsta granatowa aura. Słup jej energii uderzył w sufit i roztrzaskał pokrywający go lód. Jasne włosy poderwały się do góry, podrzucane przez podmuchy rozbudzonej aury. Tunika szeleściła głośno, targana przez wiatr. Ręce opuściła wzdłuż ciała, dłonie zacisnęła w pięści. Stała w ogniu granatowej energii, rozwścieczona, z trudem powstrzymując się od ataku.

Albinoska nie cofnęła się, nie drgnęła, nawet nie mrugnęła powieką. Tylko jej śnieżne włosy falowały pod wpływem podmuchów wiatru. Ze spokojem przyglądała się furii kobiety.

– To było żałośnie łatwe. – Wzruszyła ramionami. – I co mi zrobisz? Zemścisz się?

– Zatłukę cię! – Blondynka uniosła dłoń do ciosu i ruszyła na nią jak wystrzelona z procy.

Granatowa energia momentalnie ogarnęła całe pomieszczenie, napierając na trzeszczące zlodowaciałe ściany. Wtem coś huknęło potężnie, a pokój zatrzęsł się w posadach. Fala uderzeniowa poderwała z ziemi kwiaty i skruszony lód, który zadźwięczał jak tłuczone szkło – i rozdarła granatową mgłę energii. Aura blondynki stuliła się jak zranione zwierzę i błyskawicznie rozplynęła w powietrzu, odsłaniając zdumiewający widok.

Kobieta klęczała na popękany lodzie, krzywiąc się z bólu i z trudem hamując krzyk. Dziewczynka stała nad nią i trzymając za nadgarstek, brutalnie wykręcała jej ramię – robiła to powoli i z rozmysłem. Drobną postacią górowała nad dorosłą kobietą, coraz głośniej jęcząc u jej stóp. Śnieżna twarz zastygła w wyrazie okrutnej pogardy.

– Ze swoimi marnymi zdolnościami raczej nie masz tu nic do gadania – powiedziała schrypniętym głosem i uwolniła rękę blondynki. Kobieta syknęła, ale nawet nie zdążyła zaczerpnąć tchu, kiedy biała stópka kopnęła ją w brzuch, z siłą kafara rzucając na zmrożoną ścianę. Lód roztrzaskał się z hukiem,

blondynka runęła na podłogę, a ostre jak igły odłamki posypały się na nią, raniąc i paraliżując chłodem.

Albinoska podeszła do niej demonstracyjnie niespiesznym krokiem i bosą stopą docisnęła głowę siostry do posadzki. Kawałeczki lodu wbijały się w skórę twarzy, a sponiewierana wola nie była w stanie podnieść obolałego ciała. Nie potrafiła sprzeciwić się sile tej smarkuli – była zbyt potężna. Obezwładniała ją, miażdżąc ducha i ciało. Kobieta jęczała w podłogę, zaciskając dłonie na lodzie, który ranił jej skórę do krwi.

– Mogłabym zabić cię tak samo jak tego... tam. Ale wiesz co? To byłaby zbyt wielka łaska z mojej strony. Pozostawię cię przy życiu, by patrzeć, jak gnijesz, dławiąc się swoim marnym, głupim istnieniem. Bo nie wytrwasz bez swojego Stwórcy, co? Wierne kundle zwykle zdychają, gdy tracą właściciela.



# Rozdział IV

– Podnoś się! Już!

Chłopiec poderwał się z łóżka, z kołatającym sercem i zlepionymi snem powiekami, za którymi wciąż widział tańczące białe płatki... Brudna rzeczywistość obskurnej celi mieszała się z marą białego, splamionego krwią pokoju – dopiero po chwili zorientował się, że stoi na nogach. Słabych, drżących... Ale stoi. A raczej stał przez chwilę.

Potem miękkie kolana ugięły się pod nim i wycieńczone ciało poddało się. Upadł, ocierając się i objając o nierówny beton. Zagryzł wargi, tłumiąc jęk. Nie rzucił słowa skargi, właściwie niezbyt się przejął upadkiem. Nie obchodził go stan fizyczny jego zwiotczałych mięśni, skoro umysł wreszcie się rozbudził. Myśli przepychały się między sobą, walcząc o jego uwagę. A było co rozważać. Sen przyniósł wiele informacji i wiele nowych pytań. Przyniósł zatrważający obraz dziewczynki o zbyt dojrzałym spojrzeniu i pozostawił w głowie Haru jedno intrygującego go słowo: Nimfa.

Naraz dotarło do niego, że nie ma odrętwiałego ciała i oddycha normalnie. Nie kręciło mu się w głowie i mógłby się bez problemu poruszać, gdyby ciało dało radę. Pierwszy raz po przebudzeniu ze Snu nic go nie ograniczało. Prawie się z tego ucieszył, lecz natychmiast zaskoczyła go kolejna anomalia. Minęła tylko noc, a on czuł pragnienie, jakby nie pił co najmniej od tygodnia. Miał kompletnie wyschnięte gardło i wydawało mu się, iż jego pozbawiona wody skóra zapada się i kurczy. A głód... Głód przenikał teraz każdą komórkę jego ciała.

– Jakim prawem mnie ignorujesz?! – Skrzekliwy kobiecy głos znów musiał przywołać go do porządku. Haru pospiesznie przetrął oczy; prawie zapomniał, że nie był w celi sam! Wreszcie ktoś postanowił przerwać jego ogłupiającą samotność! Przekreślił się przez bark i usiadł, podpierając rękami. Spojrzał na swego gościa. Gotowy był się niemal uśmiechnąć, ale wygląd przybysza zniechęcał do takich przyjaznych manifestacji.

Stała nad nim wysoka kobieta, odziana w kremową tunikę. Miała drobną twarz z małymi, ciemnymi oczkami, wpatrującymi się w niego drwiąco. Jej długie za ramiona włosy były zielone niczym trawa. Podpierała się pod boki dłońmi, pokrytymi brzydkimi znamionami.

Haru czegoś tu nie rozumiał. Przecież zmiana nauczyciela miała nastąpić dopiero po tygodniu. Siwowłosy mężczyzna uczył go zaledwie cztery dni, przy czym pojawił się tylko dwa razy. Coś było nie tak.

– Kim jesteś...? – wydusił i pospiesznie dodał: – Pani.

– Twoją nową nauczycielką. Nie zostałeś poinformowany o cotygodniowych zmianach? – Kobieta skrzywiła się i obrzuciła pokój zniesmaczonym spojrzeniem.

– Ale... nie minął jeszcze tydzień – wybąkał niepewnie.

Małe ślepka zielonowłosej zmierzyły go uważnie i pogardliwie. Wydatne usta, zbyt wypukłe w niedużej twarzy, wydęły się kpiąco.

– Straciłeś rachubę czasu, szczeniaku.

Haru zdrętwiał. I oblałby się zimnym potem, gdyby została w nim choć kropla zbędnej wody. Nie, nie stracił rachuby czasu. Był lekko ośpiony, ale liczyć wschody nadal umiał. Po prostu zasnął czwartego dnia i obudził się dopiero po paru dobach. Było to tak niewiarygodne, oszałamiające, iż... uśmiechnął się bezwiednie pod nosem. Jak to możliwe, że przespał tyle czasu? Czy to z powodu wyczerpania organizmu, czy zawinił otepiały umysł? Stąd krytyczne odwodnienie – pojął i przeraził się, bo co by było, gdyby

kobieta nie obudziła go w porę?

– Głodny, prawda? – usłyszał jej ironiczne pytanie.

– Nie, skąd! – fuknął opryskliwie w odpowiedzi, nie potrafiąc opanować narastającego w nim buntu.

O dziwo, kobieta nie wściekła się, co najpewniej uczyniłby jego poprzedni nauczyciel. Uśmiechnęła się jedynie w nieprzyjemny, arogancki sposób i zasmakowała ostrzegawczo.

– No, no. Już niedługo się najesz, o ile sobie zasłużysz. Dziś masz szczęście, nie chcę od ciebie wiele, tylko zobaczyć twoje Zwierciadło Duszy.

– Po co?

– Nie przeginaj, szczeniaku – mruknęła, najwidoczniej uznając, iż rudzielec pozwala sobie na zbyt wiele. – Darowałam ci brak szacunku, a ty od razu zachowujesz się jak rozpuszczony bachor.

– Mam się poprawić? Proszę... Dlaczego, o pani? – Głos chłopca wręcz ociekał sarkazmem. Sam nie rozumiał, czemu się stawia, ryzykując gniew nauczycielki i srogą karę. Czy aż tak drażnił go jej uśmiech? A może wraz z wodą stracił też rozsądek? Tak, to nie byłoby niczym dziwnym w tych okolicznościach.

– Ujmij tylko ten szyderczy ton, a będzie idealnie. – Zielonowłosa potraktowała jego wypowiedź lekceważąco i z taką samą ironią. Haru czuł, że coś się zmieniło. Był pewien, iż wcześniej za takie zachowanie zostałby co najmniej ciśnięty o ścianę. Teraz jego lekcje wkroczyły na inny, wyższy poziom. Miał wrażenie, że zielonowłosa prowokuje go celowo, jakby uczyła go nie tylko szacunku, ale także wyrabiała w nim odpowiednio silną i dumną postawę, godną Skrytobójcy. Właściwie nie miał nic przeciwko temu, słowna szermierka była o niebo lepsza niż dostawanie po twarzy za każde niestosowne wyrażenie.

– A jeśli nie pokażę mojego Zwierciadła?

– Nie dostaniesz jedzenia przez następny tydzień – odparła uśmiechnięta od ucha do ucha.

Haru zadygotał z wściekłości i rozpacz. Musiał zrobić, co kazała. Musiał jej słuchać, bowiem miała nad nim władzę i przewagę. Choć pozwalała mu na drobną niesubordynację, to nadal ona była górą. Znienawidził ją za to, i za ten nieznośnie protekcyjny uśmiech. Wziął głęboki oddech i przymrużył powieki. Przywołał energię, która w postaci gęstego czarnego dymu owionęła jego sylwetkę, na moment całkowicie go zakrywając. Aura zatrzęszczała cicho, a potem zaczęła się kurczyć, to samo czyniąc z młodym demonem. Jego ciało przesłonięte mgłą zmieniało się, przybierając kształt kota. Czarna energia rozwiała się z nieznacznym szumem, ukazując młodego czarnego jak węgiel koczurka o jaskrawopomarańczowych ślepiach. Był okropnie wychudzony, z zapadniętymi bokami – sama skóra i kości. Futerko, wcześniej pewnie gęste i zadbane, teraz sterczało na boki, brudne, posklejane i zmierzwiłone. Długie łapy chwiały się pod nim, rozjeżdżały, z trudem utrzymując zabiedzone ciało.

– Ach... Więc kot... – skwitowała krótko zielonowłosa, lustrując go z nikłą uwagą, choć cień czegoś złowrogiego przemknął przez jej małą twarz. – Wspaniale. Jestem zadowolona, a to znaczy, że jutro dostaniesz pożywienie. O ile zdołasz je zdobyć.

\*\*\*

– *Beatrice! Beatrice, uspokój się!* – Ktoś szarpał blondynkę za ramię, nawołując ją zatroskanym głosem. Kobieta szlochała głośno, kiwając się przy ciele Dereka, już zdjętym i ułożonym pośród poszarpanych płatków.

– *Panie! Panie...* – powtarzała w kółko, nie zwracając uwagi na stojącą za jej plecami czarnowłosą dziewczynę, która próbowała ją uspokoić.

– *Proszę cię, przestań.*

– *Odpieprz się, Neiliel!* – Beatrice wzruszyła ramieniem, wrywając je z uścisku. Zaniósł się jeszcze głośniejszym płaczem i opadła na zmasakrowane ciało swego Stwórcy. Była zrozpaczona,

kompletnie rozbita przez żal i gorycz.

Neiliel, nastoletnia dziewczyna o tęczęwkach zielonych jak trawa i włosach sięgających ramion, cofnęła się o krok. Była wystraszona, powieki miała spuchnięte, a oczy zaszkłone łzami. Dłonie zaciskała w pięści, aż bieleły jej kostki.

– Nie możemy już nic zrobić... – wyszeptała.

– Możemy! Zemścić się! – Palce blondynki zacisnęły się na zakrwawionym płaszczu Dereka i szarpnęły nim wściekle.

– Ale Beatrice... Mistrz Derek stworzył nas wszystkie. Ciebie, mnie, Charlotte i Soszę. Stworzył też Plage... Wszystkie jesteśmy siostrami, nie możemy... Znasz nasze prawa.

– Skąd wiesz, jak ją nazwał? Skąd?! – Beatrice zerwała się na równe nogi i okręciła gwałtownie. Złapała Neiliel za ramię i ścisnęła boleśnie.

Drobniejsza i słabsza dziewczyna jęknęła głucho, bez skutku próbując się uwolnić. Wreszcie podniosła załzawione spojrzenie na starszą siostrę, a jej wargi zadrgały, bliskie szlochowi.

– Opowiadał mi o niej dużo... Był naprawdę zaintrygowany... – dukała niezgrabnie, uważnie obserwując grymasy przebiegające przez twarz Beatrice. – Nie rozumiesz, siostrzyczko? Plage jest tym samym co my... Jest piątą Nimfą i Stwórcy bardzo zależało na jej przebudzeniu... Jeśli ją zabijemy... Nie tylko złamiemy przyrzeczenie, ale zniszczymy jego marzenie, nie rozumiesz?!

– Nie podnoś głosu, gówniaro! – Palce blondynki niczym kleszcze ścisnęły ramię Neiliel, przebijając paznokciami ubranie i skórę. – Dlaczego... Dlaczego zwierzał się tobie, nie mnie?! W czym jestem gorsza?! A ty, idiotko, nawet nie próbowałaś go powstrzymać! Przecież dobrze wiesz, wszyscy wiedzieliśmy, że nie może być pięciu Nimf!

– To boli, Bea... Boli... Proszę, przestań... – Czarnowłosa zagryzała wargi, łkając cicho. – To nie moja wina! Myślisz, że nie próbowałam? Mówiłam mu, że to niebezpieczne! On też doskonale to wiedział, ale tak bardzo chciał ją stworzyć... Tak bardzo chciał ją zobaczyć i...

– I się przeliczył – skwitowała sucho Beatrice, rozwierając palce. Neiliel szybko złapała się za ramię, rozmasowując je. Kilka łez spłynęło po policzkach, lecz starła je w popłochu. Wyglądało, jakby próbowała udawać bardziej dorosłą, niż była.

– Ale na pewno nie chciałby... – ponownie zaczęła tłumaczyć, ciągle omijając wzrokiem zakrwawione zwłoki Stwórcy. – Nie chciałby, żebyśmy coś jej zrobiły... To nasza siostra... mimo wszystko. I cokolwiek zrobiła, nie możemy się obrócić przeciwko niej...

– Nawet jeśli zabiła Stwórcę?! Otwórz oczy, kretynko! – Dłoń blondynki znowu wystrzeliła w stronę Neiliel, lecz tym razem nie zdołała jej pochwycić. Czarnowłosa w porę uskoczyła, a jej twarz ściągnęła się w gorzkim grymasie gniewu.

– Też jej za to nienawidzę!

– Czemu więc jej bronisz? – wyszczała Beatrice, palce uniesionej dłoni zaciskając w pięść.

– Bo to jedna z Nimf i nasza siostra. Nie mamy prawa, ot tak, jej osądzać i pozbawiać istnienia. Musimy wspólnie zdecydować, co z nią zrobić. Musimy też nauczyć się żyć bez Stwórcy...

Twarcz blondynki poszarzała, a ona sama pogrążyła się w głębokiej rozterce. Czuła się tak, jakby również jej serce przebił lodowy nóż.

– Nie możemy... Nie możemy bez niego żyć, Nel... Jak? Powiedz mi: jak?

Czarnowłosa Nimfa posmutniała i objęła siostrę współczującym spojrzeniem. Podeszła do niej, ostrożnie stawiając kroki wśród pokruszonego lodu. Wahała się, lecz tylko przez moment, potem przytuliła się mocno do zeszywniałej, oniemiałej Beatrice.

– Jego śmierć boli nas wszystkie tak samo, Bea.

– Gdzie więc są Sosha i Charlotte?

– Jesteśmy... – Ponury głos, pełen żałobnego przygnębienia, rozbrzmiał za plecami wtulonych w siebie Nimf. Dwa długie cienie padały do połowy pokoju, a dwie postacie stały nieruchomo w progu. Jakby bały się wejść głębiej, jakby nie chciały zobaczyć, co spotkało ich Stwórcę.

– Zapamiętamy ten dzień, bo przyniesie nam dużo zmian.

\*\*\*

Nimfy. Nimfy. Pięć Nimf – tłukło się po głowie Haru. Leżał na swoim twardym łóżku i tylko jego czekoladowe oczy migotały emocjami. Wybudził się ze Snu bez żadnych problemów, jego ciało nie było zdrętwiałe, ale wcale nie miał ochoty się poruszać. Nie miał ochoty na nic innego poza bezwładnym leżeniem i wpatrywaniem się w sufit.

Stęchła woń nie przeszkadzała mu już wcale, zdążył się przyzwyczaić. Ciasnota i nędza celi też przestały go odstręczać. Myśli chłopca skupiły się na jednym – skrawki informacji, które otrzymywał w Snach, były niewystarczające, jedynie pobudzały jego ciekawość, dając przedsmak tego, czego jeszcze mógłby się dowiedzieć. Mógłby, gdyby nie ograniczały go cztery ściany i zamknięte na cztery spusty drzwi! Głównie dlatego miał dość swojej celi – nie ze względu na panujące w niej fatalne warunki, czy raczej drastyczny brak jakichkolwiek warunków, ale z racji niemożności rozwikłania dręczących go zagadek. Tkwiąc tu jak więzień, nie mógł nawet spróbować ich rozwiązać.

Jego oczy błyszczały niezdrowo. Trzeszczało mu w głowie, gdy o tym myślał, o tych wszystkich tajemnicach. Bezradnie zerknął na małe okno umieszczone tuż pod sufitem. Między kratami przenikały promienie porannego słońca. Tak samo czerwonego jak oczy małej albinoski. Chciał dowiedzieć się o niej więcej, pragnął poznać każdy szczegół z jej życia, przeszłości i teraźniejszości. Ale żeby to zrobić – musiał wydostać się z tej piekielnej dziury!

Wtem usłyszał klekot otwieranych zamków. Haru nie zareagował zbyt energicznie. Nie miał na to ani humoru, ani sił. Podniósł się powoli na łokciach i flegmatycznie obrócił głowę w kierunku uchylających się drzwi.

Przeszła przez nie zielonowłosa i zamknęła je za sobą kopniakiem, bowiem obie ręce miała zajęte. W jednej trzymała młodego, chudego jak szkielet kocura, który miauczał rozdzierająco. Jego bura sierść była postrzępiona, a w niektórych miejscach powyrywana do gołej skóry, która wisiała na zwierzaku jak za duży stary płaszcz, brudny i poprzecierany. W drugiej dłoni kobieta dzierżyła soczysty kawałek surowego mięsa, ociekający jeszcze strużkami krwi.

Oczy młodego demona zalśniły zachłannością. Jego zmęczone ciało zapomniało o wycieńczeniu. Poderwał się na równe nogi. Intensywny zapach świeżego mięsa przytłumił panujący w celi odór, pobudzając ślinianki oraz kwasy żołądkowe. Nic innego się teraz nie liczyło – tylko pokarm, wyglądający tak soczyście i pachnący tak zniewalająco. W jednej chwili głód rudzielca stał się jeszcze bardziej dotkliwy, musiał go zaspokoić za wszelką cenę. Chłopiec ruszył ku nauczycielce drobnymi, szybkimi kroczkami. Nie patrzył na nią ani na kota. Widział tylko jedzenie.

– Nie tak szybko. – Złośliwe prychnięcie zielonowłosej chłósnęło go jak uderzenie bata. Haru zastygł w miejscu, czując, jak żołądek skręca mu się z głodu. W głowie mu huczało, bał się, że zaraz zemdleje albo zacznie żebrać o bodaj kęs, o byle ochłap jedzenia. Pod wpływem zapachu mięsa jego głód stał się niemal namacalny, niemożliwy do uciszenia lub choćby zignorowania. Instynkt samozachowawczy zaciął się na jednej nucie, uparcie powtarzając: jeść, jeść, jeść!

– Proszę.... – Więc jednak zniżył się i zaczął błagać, wyciągając drżące ręce ku nauczycielce.

– Dostaniesz ten smakowity kąsek, o ile zrobisz to, co mnie zadowoli – oznajmiła i wysunęła przed siebie wychudzonego kota. Trzymała go za pozbawioną tłuszczu skórę na karku, a ten szeroko rozwierał pyszczek, miaucząc przejmująco. Rudzielec potarł skronie, krzywiąc się od przewiercającego uszy i mózg

dźwięku.

– Co mam zrobić? – zapytał, łypiąc to na uśmiechniętą twarz zielonowłosej, to na zabiedzonego zwierzaka.

– W tej chwili ten kociak jest twoim naturalnym wrogiem, pojmujesz? On również bardzo chętnie zjadłby trochę mięsa. Nie powiem ci, co powinieneś zrobić. Sam zdecyduj. Możliwości masz tylko dwie.

– Po prostu daj mi jeść... – wycedził rudzielec, wwiercając się w nią dzikim wzrokiem. Nie miał nastroju na jej gierki i zagadki. Huczało mu pod czaszką, jakby ktoś wpuścił tam stado szerszeni. Przemowny głód odbierał mu zdolność logicznego myślenia, wszystko go piekło, a drżące mięśnie bezradnie próbowały się napinać.

– Sam musisz zdobyć jedzenie – odparła nauczycielka, ledwo słyszalna poprzez przenikliwe miauknięcia. – Jeśli zdecydujesz, żeby kot się najadł, sam stracisz taką możliwość. Jeśli...

– Zabiję go – wyrzucił z siebie chłopiec bez zastanowienia. Czuł jednak, że mógł to zrobić. Tak. Łaknienie zagłuszało zdrowy rozsądek i sumienie. Nie słyszał niczego poza żalosnym jękami własnego pustego żołądka.

Zielonowłosa najpierw wysoko uniosła trawiaste brwi, a potem wygięła usta w pełnym satysfakcji uśmiechu.

– Brawo, szybko się orientujesz.

Haru jednak wcale nie powiedział tego, by zadowolić nauczycielkę, nie obchodziło go w danej chwili, czego od niego oczekiwała. Decyzja, żeby zabić, przysłała do niego sama, wyłoniła się z głębi wygłodniałych trzewi. Chciał zabić, musiał zabić, bo wiedział, że tylko w ten sposób zdobędzie to, czego pragnie.

Kobieta nie powiedziała już nic więcej. Stukając butami, przeszła obok zneruchomiałego Haru i położyła kawał krwistego mięsa na drewnianym stoliku. Zasłoniła dostęp do niego i sięgnęła po sztylet przy skórzanym pasie. Rzuciła broń pod nogi chłopca i czekała.

Kocur desperacko miauczał.

Rudzielec opuścił spojrzenie na sztylet. Jego ciałem targnął paskudny dreszcz, wprawiając jego mięśnie w wibrowanie. Przed oczami mu pociemniało, w głowie zaszumiało. Poczł się jak na wirującej szybko karuzeli, po której jednak mógł bez problemu chodzić. Wszystko stało się nagle bardzo wyraźne, czuł każdą woń, a jęki kota przeszywały mu skronie jak gruba igła. Chłopiec zadygotał mocniej i wrzasnął gniewnie, niespodziewanie łapiąc za upuszczony sztylet. Błyskawicznie okręcił się i skoczył ku nauczycielce.

Kobieta wypuściła kota z dłoni i obserwowała, jak zwierzę pada na ziemię, niezdolne utrzymać się na łapach. Z aprobatą patrzyła, jak chłopiec rzuca się na kocura, przygniatając go do posadzki. Zwierzak próbował się bronić, drapiąc pazurami i gryząc napastnika. Chłopiec odtrącał jego łapy i pyszczek, jakby zapomniał, iż dzierży w ręku ostrze – a może po prostu nie miał pojęcia, jak go użyć. Wtedy kocur w ostatnim rozpaczliwym kontrataku mocno wyciągnął szyję i ostrymi kłami złapał prawe ucho Haru. Poląła się krew. Lecz chłopiec nawet nie krzyknął. Zareagował inaczej – ujął rękę ostrza, uniósł go wysoko do góry, a potem uderzył. Raz, drugi, trzeci, i znowu, i jeszcze... Przestał liczyć, ile razy ostrze przebyło drogę z góry na dół. Widział tylko chlustającą krew, obryzgującą mu twarz i dłonie. Widział tylko szamoczące się coraz wolniej ciało... Niemal widział samego siebie, jakby stał z boku i obserwował, jak zabija wynędzniałego, właściwie bezbronno kociaka. Widział, lecz nie potrafił się tym przejąć.

W końcu odrzucił zakrwawiony sztylet i wstał. Gęsty szkarłat ściekał mu po włosach, strużkami spływał po twarzy, rękach. Czekoladowe oczy płonęły, wlepione w zielonowłosą kobietę. Nie uśmiechała się już – była posągowo poważna i dumna. Jednym spokojnym krokiem odsunęła się na bok,

pozwalając, by chłopiec dojrzał czekającą na niego nagrodę. Jak szalony rzucił się do stolika i pochwycił mięso w drżące dłonie. Wskoczył na trzeszczące łóżko i schował się w najdalszy kąt, jakby obawiał się, iż ktoś za chwilę okradnie go z jego łupu. Wreszcie zatopił zęby w mięsie i zaczął je łapczywie pochłaniać.

Zupełnie jak zwierzę.

# Rozdział V

Drzewa kołysały się i skrzypiały przejmująco. Ich suche gałęzie ocierały się o siebie i łamały z trzaskiem. Grube, ciemne konary splatały się niczym pędy winorośli i pięły ku nocnemu niebu jak spiralne wieże. Puszyste chmury tworzyły nieprzenikalną dla światła księżyca i gwiazd zasłonę. Las topił się w przygnębiającym, nieprzyjaznym mroku, napawającym lękiem nawet zwierzęta. Tylko niektóre odważyły się przybyć w otchłanie złowrogiego cienia okrywającego las. I te, które wytrwały, mogły w nagrodę przyglądać się zagadkowej scenie rozgrywającej się pośrodku ponurej gęstwiny.

Było to jedyne miejsce, do którego docierał blask księżyca. Jego jasny, srebrzysty snop przeszywał gęstą warstwę chmur i opadał ku ziemi, skupiając się w jednym punkcie: na kamiennym ołtarzu, topornie wyrzeźbionym w niskiej skale. Tkwił pośród ciernistych krzewów i posępnych drzew – niepozorny, acz perfekcyjnie wpasowany w otoczenie. Jego chropowata powierzchnia migotała setkami maleńkich światełek, budzonych do życia przez księżycowe światło.

Neiel, obrócona tyłem do ołtarza, patrzyła przed siebie z twarzą ściągniętą przerażeniem.

– Nie, proszę... – zakwiliła cicho.

– Co mówiłaś? Bo nie dosłyszałam. – Plage stała naprzeciwko niej, drobna i krucha, nadal okryta jedynie welonem włosów. Pod prawą pachą trzymała opasłą księgę. Na wąskich ustach błąkał się porcelanowy uśmiezek. Skąpana w blasku księżyca jaśniała – urokliwa i wyniosła zarazem.

– Sama przecież chciałaś pogadać, Plage... Jak siostra z siostrą, tak? Mówiłaś, że chcesz spokojnie porozmawiać o pojednaniu i... Myślałam, że...

– Lepiej nie myśl – przerwała jej szorstko dziewczynka. – Naprawdę byłaś tak głupia, żeby uwierzyć w moją nagłą odmianę? Aż taka naiwna jesteś? Spodziewałam się po tobie odrobinę więcej inteligencji... Nie, czekaj, co ja mówię! – Jej uśmiech stał się złośliwy. – Przecież dlatego skontaktowałam się właśnie z tobą. Bo jesteś najgłupsza z nich i wiedziałam, że od razu tu przybiegniesz.

Czarnowłosa Nimfa cofnęła się o krok, dotykając plecami zimnej, pełnej nierówności powierzchni skały. Zerknęła za siebie przez ramię i zagryzła wargi, by nie krzyknąć ze strachu. Rytualny ołtarz – natychmiast zrozumiała, o co chodziło.

– Czego ode mnie chcesz? – spytała, zdobywając się na odwagę.

– Od ciebie? – Plage parsknęła z odrazą. – Nie chcę niczego. Od tego, co zaklął w tobie Derek, owszem. A tak przy okazji... chcę się trochę zabawić – dodała na koniec, mrużąc oczy. Drapieźnie i okrutnie.

– Nie pozwolę ci! Nie dostaniesz żadnych informacji! – Czarnowłosa warknęła gardłowo i ugięła kolana, by skoczyć, lecz gdy tylko spróbowała uciec, jej ciałem coś szarpnęło. Syknęła z bólu i pospiesznie zerknęła na swoje nogi – były po kostki skute lodem, przymrożone do ziemi.

– Pff... Tak jakbyś miała coś do powiedzenia – usłyszała zachrypnięty głos małej Plage. Wbiła w nią błagalne spojrzenie.

– Nie rób tego...

– Ty mi będziesz rozkazywać? – Długie włosy albinoski uniosły się wraz z rozbudzającą się dopiero aurą. Biczowate kosmyki smagały jej stężałą twarz, raz po raz przysłaniając wielkie, czerwone oczy. Wtem powietrze skoncentrowane wokół Plage buchnęło potężnie i w Neiel uderzył silny podmuch energii, która wyrwała jej nogi z lodu i rzuciła dziewczyną o skałę ołtarza.

– Włóż, ale już!

Czarnowłosa Nimfa zdołała tylko pospiesznie zagryźć wargi. Gęsta aura albinoski przypierała ją do skały, jakby uderzały w nią wzburzone fale. Nie potrafiła się poruszyć, mogła tylko patrzeć na skąpaną w zimnym świetle twarz dziewczynki. Plage przekrzywiła głowę na bok i rozciągnęła wargi w rozbawionym, drapieżnym uśmiešku.

– Nawet tego nie potrafisz? Wczołgasz się na tę skałę sama czy mam ci pomóc?

Neiliel zadrzała. Nawet gdyby chciała się ruszyć, nie mogłaby – jej mięśnie sparaliżowała trwoga. Tylko serce podeszło do gardła, zapierając dech. Energia albinoski nabierała mocy i coraz bardziej przygniatała czarnowłosą.

– Poczekaj... pro... – urwała. W jej głowie wybuchł jazgot nie do zniesienia. Co...? Kto...? To białowłosa doskoczyła do niej, stając blisko, za blisko! Jej aura... niszczyła ją, wyciskała duszę z ciała... miażdżyła skronie... Ból... nie do wytrzymania...! Neiliel miała wrażenie, że jej głowa zaraz pęknie, roztrzaskując się jak szklana kula na milion kawałków.

Plage ostentacyjnie powoli zacisnęła dłoń w pięść. Posłała Neiliel kolejny złośliwy uśmiešek, a potem zamachnęła się i z wielką siłą uderzyła ją od dołu, prosto w podbródek. Czarnowłosa wleciała do góry niczym kukła, jakby jej ciało nic nie ważyło i spadła dokładnie na środek ołtarza. Kości zagrzechotały, uderzając o kamienie, a z gardła zielonookiej bluznęła krew.

Plage już stała obok. Złapała za księgę i rozwarła gwałtownie. Gdy ją puściła, ciężkie tomisko samo utrzymywało się w powietrzu, unosząc dokładnie na wysokości oczu białowłosej dziewczynki. Kiedy zaczęła czytać, wszystko wokół zamarło.

Stojąc nad przepaścią  
Rozdrapując chmury

Ciało Neiliel zaczęło pokrywać się dziwnymi literami, które paliły skórę, wżerając się w nią aż do mięśni. Nimfa wrzeszczała i wiła się konwulsyjnie, ale niewzruszona Plage czytała dalej.

Rozpościerając skrzydła  
Wzlatując w niebo

Krwawe napisy w nieznanym języku coraz gęściej pokrywały krzyczącą wniebogłosy Neiliel, jej skóra skwierczała jak przypalana na ogniu. Księżyce oświetlał masakrowane ciało, żłobione wciąż nowymi fragmentami tajemniczego tekstu. Nimfa wiła się, miotła z boku na bok jak w szale. Ocierała się o kamienie i drapała dłońmi skórę, jakby chciała pozbyć się piekących napisów. Ale nie mogła, podobnie jak nie mogła zsunąć się z ołtarza. Skałę otaczała niewidzialna magiczna bariera i Neiliel skazana była na cierpienie. Jego długość zależała od kaprysu Plage, której porcelanowe usteczka ciągle szeptały inkantację.

Rozrywam twój umysł na strzępy

Czerwone oczy przyglądały się udręce Neiliel z chłodnym rozbawieniem.

Krwiste napisy syczały coraz intensywniej, bezustannie pojawiając się na skórze Nimfy. Jej ciało stało się żywą kartą zapełnianą czerwonymi znakami. Twarz przecinały linie i zawijasy, układające się w starożytny tekst. Niezrozumiałe słowa i zdania pokrywały szyję, ramiona i każdy skrawek skóry, nachodziły na siebie i zlewały się ze sobą, te świeże, dymiące, i te starsze, już gasnące. Ubranie



wisiało w strzępach, zniszczone przez ogniste litery. Neiliel była niczym zalana krwią ludzka książka.

– PRZESTAŃ!!! – Jej wrzask przypominał wizg zarzynanego zwierzęcia i wystraszył kilka wron, które poderwały się z gałęzi i pospiesznie odfrunęły.

Albinoska parsknęła krótkim śmiechem, a jej dłonie zawisły nad zwijającym się z bólu ciałem czarnowłosej. Gdy palce zacisnęła w pięści – Neiliel znowu zakwiczała nieludzko, wyginając się w pałąk. Krwawe napisy zaczęły syczeć jak gaszone wodą ognisko. Buchały gęstym dymem, którego smugi skręcały się, wydłużały, oplatały nawzajem i unosiły się, wirując w świetle księżyca, by wreszcie z szumem opaść na białowłosą dziewczynkę.

Wszystko na dłuższy moment ucichło i znieruchomiło. Potem ciało Neiliel bezwładnie opadło na ołtarz, a krew zaczęła spływać w obfitych strugach po skale. Czarne, postrzępione włosy rozsypały się wokół poranionej twarzy. Dym otaczający Plage podrygiwał delikatnie. Dziewczynka stała w bezruchu, nieodgadniona i nieobecna, zapatrzona w tajemniczą dal... I chłoneła. Wchłaniała gęste opary przez pory skóry, wdychała przez nos, połykała przez delikatnie rozchylone usta.

\*\*\*

Haru obudził się nieruchomy i otępiały, przygnieciony rozterką i poczuciem winy. Nie miał siły podnieść powiek, a co dopiero głowy czy całego tułowia. Żołądek, choć zjadł mięso, rozdzierała pustka. W gardle tkwiła gula zbitych nerwów, której ani wypluć, ani przełknąć się nie dało. A gdy tylko pomyślał o jedzeniu, chciało mu się wymiotować.

Bo od razu przypominał sobie, jak zdobył pożywienie. Zabił. Zabił z premedytacją, kierowany niskim instynktem i egoistycznym pragnieniem. Pocieszał się, że każdy postąpiłby tak samo na jego miejscu. Przecież ratował swoje życie! Musiał to zrobić, żeby przetrwać. Wybrał mniejsze zło... Nie istniało lepsze rozwiązanie. Więc dlaczego nie odczuł ulgi? Bo zabijając tamtego kota, zabił część siebie. Dosłownie i w przenośni. Uśmiercając zwierzę, będące Zwierciadłem jego duszy, raz na zawsze przekroczył pewną barierę, granicę moralności, która niegdyś powstrzymałaby go przed popełnieniem zła.

Powoli uniósł ręce i wzdrygnął się, widząc na nich plamy krwi. Wiedział, że nie tylko ręce ma zbroszone posoką koloru... jej oczu. Ona jedna towarzyszyła mu każdej nocy, dzięki niej nie był samotny. Plage też zabijała i robiła to z uśmiechem na ustach. Więc może nie postąpił źle? Przeciwnie – może zasłużył na pochwałę?

Zamek szcęknął głośno i drzwi rozwarły się z przeciągłym skrzypnięciem. Rudzielec nie poruszył się, tylko wymamrotał coś pod nosem z niechęcią. Do ciemnej celi wlała się z korytarza mdła poświata. Padł na nią kobiecy cień. Zielonowłosa stała w progu, nie wchodząc.

– No, Haru, czas poszerzyć twoje horyzonty – wymruczała słodko, szerokim, zachęcającym gestem ręki wskazując otwarte drzwi, za którymi czekał inny, nowy świat...

\*\*\*

Korytarz niewiele różnił się od pokoiku, w którym rudzielec mieszkał przez ostatnie dwa tygodnie. Te same obdrapane ściany z odpadającym tynkiem, ten sam odór gnijących ciał i ta sama pusta ciemność, oświetlana jedynie mglistym blaskiem pochodni, umieszczonych wzdłuż ścian.

Chłopiec ledwo stał na nogach. Niby jadł, ale trudno, żeby jeden posiłek przywrócił mu pełnię utraconych sił. A gdy tylko znów pomyślał o mięsie, zazgrzytał zębami ze wstrętem. Przypominał sobie, że nadal ubabrany jest zaschniętą krwią kota. Najchętniej zdrapałby ją z siebie paznokciami. Objął się ramionami i wymamrotał pod nosem kilka przekleństw... Skąd je znał? Nie miał pojęcia. Jakoś tak same wypłynęły mu na usta.

Zielonowłosa kolejnym gestem dłoni nakazała chłopcu iść za sobą, a potem ruszyła sprężystym krokiem. Nie oglądała się, by sprawdzić, czy uczeń za nią nadąży.

– To podziemia. Znajdujemy się na ich najwyższym piętrze, gdzie trzymamy tobie podobnych, przygotowując ich do życia w Syndykacie – oznajmiła. Mijali kolejne pary obrośniętych pleśnią drzwi, zamkniętych na wiele zamków.

Haru sunął za nią, powłócząc nogami. Zastanawiał się, czy za tymi wszystkimi drzwiami faktycznie tkwią tacy sami pechowcy jak on. Współczułby im, gdyby potrafił rozbudzić w sobie choć odrobinę empatii. Ale empatia spała głęboko, przygnieciona tonami zmęczenia, złości, żalu.

– Co jest na niższych piętrach? – spytał, by przerwać milczenie.

– Niżej? – Nauczycielka udała zdziwienie. – Nic ważnego. Ale jeśli zechcesz się kiedyś dowiedzieć, wystarczy, że złamiesz kilka zasad, a na pewno tam trafisz.

Rudzielec uśmiechnął się krzywo, czytając między wierszami i wyobrażając sobie salę tortur, choćby w postaci celi o wiele ciasniejszej i bardziej smrodliwej od tej, w której dotychczas przebywał. Może zielonowłosa kłamała, żeby go nastraszyć, ale wolał tego nie sprawdzać. Syndykat już mu pokazał, do czego jest zdolny.

Kolejne rzędy starych drzwi, kolejne dopalające się pochodnie... Mijali je w milczeniu. Ciszę zakłócały tylko ich kroki i oddechy: jej – miarowe i spokojne, jego – szybkie i nieskoordynowane. Wreszcie doszli do wąskich schodków pnących się w górę. Prowadziły do mosiężnej bramki pokrytej rdzą.

Zielonowłosa z zaciekawieniem zerknęła na Haru, a jego czekoladowe tęczęwki rozbłysły nadzieją. Wyjście – właśnie na to tak długo czekał.

\*\*\*

Rudzielca poraziło mocne światło dnia. Stęknął cicho, zaciskając powieki. Trochę trwało, nim odważył się je otworzyć, a jeszcze więcej czasu zajęło, zanim jego oczy na nowo przyzwyczyliły się do jasności.

I rozczarował się. Światłość dnia wydała mu się jakaś wyblakła, smętna, nijaka.

– Wyjście Zamczysko. Wszystko, co widzisz, to właśnie ono.

Chłopiec poczuł się przytłoczony ogromem rozpościerającej się przed nim budowli. A właściwie zespołu zabudowań. Budynki różniły się rozmiarami, lecz wszystkie były ogromne i ciągnęły się niczym miasto zbudowane z klocków olbrzyma. Powyginane dachy rzucały cienie na liczne mosty i tarasy, które łączyły poszczególne elementy w jedną całość. Wszystko wykonano z jakiegoś ciemnego materiału, pewnie drewna, które nawet z daleka wyglądało na niebywale trwałe. Pomiędzy budynkami kłębiły się tłumy małych istot, oblepiając mosty jak mrówki.

– Robi wrażenie, co? – zagadnęła zielonowłosa z dumą.

Oszołomiony Haru potaknął. Nie mógł zaprzeczyć. Kształty niebotycznych budowli skojarzyły mu się z orientálną kulturą, o której często słyszał od matki. Nie sądził, że kiedyś będzie miał okazję zetknąć się z nią osobiście.

Coś się jednak nie zgadzało. W opowiadaniach matki te charakterystyczne budowle o stożkowatych dachach tchnęły ciepłem, radością, kolorem. Domy tutaj były surowe, ascetyczne, ich potęgi nic nie łagodziło. Wręcz przeciwnie. Zabudowania przykrywała szarawa mgiełka, strojąc je w złowieszczą aurę. Otoczone mrocznym lasem miasto-zamek wznosiło się nad błotnistym brzegiem i nad samą taflą jeziora.

– Wyjście Zamczysko to w zasadzie szereg budynków – ciągnęła nauczycielka, pozwalając Haru nasycić się widokiem – z których każdy przeznaczony jest do innych zadań. W najwyższym znajduje się Siedziba Przywódczyni. Bez pozwolenia tam nie wejdiesz i radzę ci nie próbować.

Rudowłosa demon zamrugnął i przeniósł spojrzenie na budowlę, którą trudno było przegapić. Potężna

wieża górowała nad całym zamkiem, w wyobraźni chłopca sięgając niemal chmur.

– Trafilibym do tamtych strasznych podziemi, co? – zażartował krnąbrnie, zerkając na nauczycielkę z krzywym uśmieszkiem.

– Nie. – Kobieta odwzajemniła kpiący uśmiech. – Trafilibyś w ręce Przywódczyni. A uwierz mi, tego byś nie chciał.

Naprawdę? Chciała go tylko nastraszyć czy to była realna groźba? Młody demon nie znał odpowiedzi, ale wzdrygnął się mimowolnie, jakby podświadomie sam siebie ostrzegał: uważaj, Haru... Ale czy faktycznie byłoby to takie straszne? Przecież w głębi serca chciał ją zobaczyć. Plage... Dziewczynka z jego snów, teraz całkiem inna, dorosła, a jednak to nadal ona.

– Kawalek obok... – Głos kobiety wyrwał go z rozmyślań; powędrował wzrokiem za jej ręką. Wskazała kolejno dwa wąskie i sporo niższe (choć i tak bardzo wysokie) budynki, stojące po obu stronach Siedziby Przywódczyni. – Mieszkania Starszyny. To Alchemicy, Skrytobójcy i Kapłani, którzy stoją ponad resztą, ale nigdy ponad Przywódczynią. Na to stanowisko trzeba sobie zasłużyć wieloletnią służbą w Syndykacie, ale nie tylko. Teraz ta wiedza nie jest ci jednak potrzebna.

Rudzielec poczuł się zawiedziony. Chciał wiedzieć więcej, chciał wiedzieć wszystko, co pomogłoby mu kiedyś zbliżyć się do Plage. Zaraz... Skąd w jego głowie tak śmiała myśl? Nie zdążył jej rozważyć ani odgonić, bo jego uwagę znów przyciągnęła dłoń nauczycielki. Wskazywała teraz kilka niskich budowli, najbardziej wysuniętych do przodu.

– Sala treningowa, biblioteka i łaźnie – wyjaśniła, celując palcem w każdy z gmachów po kolei. Chłopiec starał się zapamiętać ich położenie, by później nie zabłądzić lub nie popełnić jakiejś gafy. Najbardziej zaintrygowała go biblioteka; niewątpliwie tam będzie przesiadywał najczęściej. Wreszcie poszuka potrzebnych informacji. Na samą myśl jego dłonie zaczęły drżeć z niecierpliwości.

– Na treningi czasami będziesz wzywany również tam. – Machnęła ręką w kierunku wysokiego smukłego budynku, z licznymi dachami i belkami. – Tam Skrytobójcy odbierają swoje zapłaty i przyjmują nowe zlecenia. Na najwyższych piętrach znajdują się natomiast pracownie alchemików, a niektóre pokoje, jak już mówiłam, są przeznaczone do specjalnych treningów.

Wszystkie wymienione przez zielonowłosą budynki były połączone ze sobą systemem zaokrąglonych mostków oraz szerokich i prostych tarasów, gdzieniegdzie poprzecinanych czerwonymi belkami – te skromne zdobienia rozmywała unosząca się znad jeziora mgiełka, która uparcie wspinała się na drewniane pomosty, pokrywając je szarym aksamitem.

– Trochę musimy się przejść, jeśli mam ci pokazać twoje lokum.

Nauczycielka wymownie uniosła brwi i ruszyła w stronę zamku. Minęło znacznie więcej czasu niż trochę, zanim dotarli do pierwszego z mostów. Rudzielec posłusznie podązał za kobietą, rozglądając się badawczo wokół.

Mijali drewniane budynki, kroczyli po szerokich tarasach, przeciskając się pomiędzy przechodniami. Haru przyglądał się ukradkowo każdemu – większość, bez względu na wiek, była podobnie ubrana, w ciemne, długie do ziemi szaty przeszyte czerwoną nitką. Pomiędzy budynkami wędrowali rówieśnicy rudowłosego, biegały młodsze od niego dzieciaki, spacerowały grupki starszej młodzieży; dorośli zmierzali ku swoim sprawom zdecydowanym krokiem, starcy dreptali powolnie, nigdzie się nie spiesząc. Haru przypatrywał się mieszkańcom zamku z zainteresowaniem, a oni go ignorowali. Tylko niektórzy z dorosłych przystawali na moment, rzucając zagadkowe spojrzenia ku zielonowłosej – ona odpowiadała tajemniczym uśmieszkiem. Zdawali się rozmawiać ze sobą bez słów. Chłopca to irytowało. Miał wrażenie, iż mówią o nim, knują coś...

Grube belki, podtrzymujące wygięte zadaszenia, inkrustowano wyżłobionymi w drewnie literami, które tworzyły niezrozumiałe dla Haru, obcojęzyczne napisy. Belki zdobiły wyblakłe korale, talizmany

i dzwoniące głucho dzwoneczki, kołyszące się w rytm wiatru. Szli dalej, a drewniane kładki skrzypiały pod ich stopami.

Nauczycielka zaprowadziła Haru na tyły biblioteki. Gdy ją okrążali, chłopiec próbował zerkać przez okna, lecz znajdowały się za wysoko; nawet gdy stawał na palcach, niewiele wiedział. Zresztą zielonowłosa zatrzymała go gestem dłoni i ruchem podbródka nakazała spojrzeć daleko przed siebie.

Chłopiec wychylił się zza jej smukłej sylwetki i ujrzał trzy budowle, usytuowane pod samym lasem, częściowo w nim ukryte. Były wysokie i szerokie, zdolne pomieścić w sobie mnóstwo osób. I zapewne tak było. Masywne drzwi budynków co rusz się uchylały, gdy ktoś wchodził nimi lub wychodził. Spiczaste dachy ginęły w baldachimie ciemnych gałęzi. Drzewa mrocznego lasu kołysały się, zaglądając przez okna budowli. Wielkie gawrony poroziadały się na czubkach dachów, napełniając powietrze swoim schrypniętym, nieprzyjemnym nawoływaniem.

– Pierwszy budynek po prawej, pokój numer osiemset sześćdziesiąt trzy, znajdziesz go sam – oznajmiła kobieta i zeszła na bok, odsłaniając rudzielcowi drogę. Ten spojrzał na nią pytająco, nie do końca wiedząc, jak się zachować.

– Ale...

– Na dziś to wszystko. Masz wolne, a raczej masz czas na zapoznanie się z terenem. – Nauczycielka zacmokała. – Pojmujesz? Masz jeden dzień na to, by zapamiętać całą strukturę Wyjącego Zamczyska. Jeśli będziesz się gubił i spóźniał na spotkania, zrobi się nieciekawie. Jutro pierwszy trening i nie życzę sobie czekać, aż znajdziesz drogę.

– A ja nie jestem wróżką spełniającą życzenia – odgryzł się chłopiec, dumnie zadzierając podbródek. Wiedział już, że przy zielonowłosej może pozwolić sobie na trochę buntu. I czuł się z tym swobodniej, bardziej naturalnie.

– Owszem, nie jesteś. Za to jesteś dzieciakiem, który musi słuchać moich rozkazów. – Okręciła się na pięcie i ruszyła w drogę powrotną.

Chłopiec prychnął tylko pod nosem i wrócił spojrzeniem do trzech masywnych budowli. Tłocząca się przed budynkami masa ciemnych postaci wcale go nie zachęcała. Nie miał ochoty przeciskać się między identycznie odzianymi osobnikami, wcale nie interesowało go, jak wygląda jego pokój. Pragnął zbadać coś innego. A zielonowłosa nie wyznaczyła przecież kolejności, w jakiej miał poznawać Zamczysko.

Odczekał, aż nauczycielka dostatecznie się oddali, a wtedy pospiesznie zawrócił i pobiegł mostkiem ciągnącym się wzdłuż biblioteki. Rozpychał się, nie zwracając uwagi na goniące za nim obelgi i warknięcia. Oczy błyszczały mu z ekscytacji, a blada twarz promieniała. Wreszcie wychynął zza rogu budynku i wyhamował niezdarnie, łapiąc obiema dłońmi za belkę. Uśmiechnął się, widząc trzy stopnie płaskich schodów prowadzących do szerokich dwuskrzydłowych wrót biblioteki. Było tutaj o wiele luźniej niż w innych miejscach, niemal pusto, cicho, za to aż gęsto od informacji, które musiały znajdować się za tymi wielkimi, majestatycznymi drzwiami.

# Rozdział VI

Wnętrze biblioteki prezentowało się niczym monumentalne prastare archiwum. Haru nie był w stanie dojrzeć krańca pomieszczenia, zastawionego rzędami długich, wysokich regałów. Wykonane z ciemnego mahoniu półki, zapełnione księgami i zwiniętymi tubami papirusów, ugięły się pod ciężarem informacji. Serce Haru zabiło szybciej na ten widok.

Pod sufitem znajdowały się wielkie żyrandole z powyginanego abstrakcyjnie metalu – w jakiś magiczny sposób osadzone w nich świece nie ociekały woskiem. Wyglądało na to, że w ogóle się nie topią. Wieloramienne świeczniki porozwieszano w równych rzędach i odległościach od siebie, tak by oświetlały przestrzeń pomiędzy regałami. Blask bijący od delikatnie drgających płomyków był niesłychanie silny, zapewne również wzmacniany magią. Biblioteka posiadała więc doskonałe oświetlenie; nie było zakamarka, który ukryłby się przed jasnością. Pomieszczenie doskonale przygotowano do pełnionej funkcji i Haru to zaskoczyło. Jak dotąd widział wyłącznie zatęchłe nory i ciemne lochy, których funkcjonalność stała pod dużym znakiem zapytania.

Czyjaś ciężka dłoń spoczęła zniemacka na jego ramieniu i rudzielec podskoczył wystraszony. Obrócił się pospiesznie z walącym dziko sercem. Jak mógł nie usłyszeć kroków?!

Pochylająca się nad nim postać okazała się starą kobietą o mocno pomarszczonej skórze i obwisłych policzkach. Jej oczy niknęły wśród zmarszczek, które niegdyś były powiekami. Długie pokrzywione przez starość palce drżały w powietrzu, a wąskie spękane usta dychawicznie łykały powietrze.

– Cego sobie zycys, chłopce? – wysepleniła i zaskrzeczała niczym ropucha. Głos pasował do jej wyglądu.

Haru wlepił w nią spojrzenie, w myślach zastanawiając się nad jej pytaniem.

– Potrzebuję... potrzebuję... – Nie potrafił sprecyzować, czego szukał. Bo faktycznie nie wiedział. Miał tak wiele pytań, że nie wiedział, od czego zacząć. Pogubił się.

– Zuc hasło – mruknęła kobieta, przybliżając twarz. Chłopiec cofnął się odruchowo, czując jej śmierdzący oddech.

– Hasło – powtórzyła. – Cego sukas? Jedno słowo, ja sajme się restą.

– Nimfy... – odparł niepewnie młody demon, nieufnie przyglądając się starczej twarzy i zgarbionej sylwetce bibliotekarki.

– Nimfy... – powtórzyła z ekscytacją, która objawiła się głośniejszą żabią chrypą. – Choc za mną.

Staruszka okazała się niesamowicie zwinna. Jej długie ramiona wyglądały jak obciągnięte skórą kości, na plecach miała garb, ale chude nogi niosły ją szybko i zdecydowanie. Bez wahania skręcała pomiędzy kolejnymi regałami, rudzielec ledwo za nią nadążał. Czuł się w jej obecności nieswojo, lecz wiedział, że bez pomocy nie znalazłby niczego w tym labiryncie, a najpewniej zgubiłby się między setkami regałów. Dziwiło go i radowało zarazem, że prawie nikogo tu nie było, dostrzegł tylko dwa, może trzy cienie przemykające pomiędzy półkami.

– Tseba wejsc na drugie piętro – oznajmiła nagle staruszka, skręcając w prawo przy jednym z regałów. Chłopiec pospieszył za nią i wreszcie ujrzał ścianę zamykającą pomieszczenie; znajdowały się tu kręte schody, pnące się spiralnie ku górze. Stara kobieta niemal wskakiwała po stopniach, a rudzielec dostawał zadyszki.

Na całe szczęście, gdy weszli na drugie piętro – równie wielkie i świetnie oświetlone jak parter i pierwsze piętro – wreszcie zatrzymali się przy jakimś regale. Kobieta wyciągnęła kościstą dłoń

i sękatymi palcami szybko przejechała po grzbietach książek, mamrocząc pod nosem ich tytuły. Potem złapała za róg jednej z nich, niezbyt grubej, i wyciągnęła ją delikatnie. Okładka była wyblakła, podniszczona i pokryta kurzem, a rogi okute miedzią, która pordzewiała.

– Niewiele mamy informacji o Nimfach, chłopce – mówiąc to, bibliotekarka wcisnęła mu książkę w dłoń i wyminęła go, nie czekając na odpowiedź.

Rudzielec stał przez chwilę w miejscu, wsłuchany w jej oddalające się kroki. Wreszcie pokręcił głową, otrząsając się z oszołomienia. Przygarnął książkę do piersi, rozejrzał się, a gdy odnalazł wzrokiem mały stolik, wciśnięty między jeden a drugi regał, podbiegł do niego i z niecierpliwością ułożył na blacie książkę. Usiadł na skrzypiącym taborecie, złapał za okładkę książki, zamarł...

Jego dłonie nadal były brudne od zaschniętej krwi. Wzdrygnął się ze wstrętem. Zapomniał... Pochłonięty pytaniami i chęcią znalezienia na nie odpowiedzi, zapomniał. Co się z nim działo? Jak mógł wypchnąć z pamięci coś tak ważnego? Wciąż był umazany krwią, naznaczony piętnem zabójcy...

Siedział w bezruchu, nie wiedząc, co ze sobą począć. Powinien wyjść i odwiedzić łaźnię. Marzył, by wreszcie zmyć z siebie dowody okrutnej zbrodni... Nie! To mogło poczekać, najpierw informacje! Za długo już zadręczał się pytaniami. Musiał najpierw nasycić umysł, potem zajmie się tym ohydny smrodem, którym przesiąkło jego ciało i ubranie.

Zagryzł wargi z podekscytowania i gwałtownie otworzył księgę.

\*\*\*

*Nimfy to istoty patronujące poszczególnym żywiołom, którymi władają. Wyróżniamy cztery podstawowe żywioły: ogień, woda, powietrze i ziemia. Każdy z nich ma swoją panią i bezwzględnie jej podlega. Bez Nimf żywioły pozostawałyby bez kontroli, a nasz świat pogrążyłby się w chaosie. Tak samo stałoby się w przypadku, gdyby [...].*

Zdanie urywało się, rozmazane i wytarte. Chłopiec ściągnął brwi z rozczarowaniem, przewrócił kilka kartek, na których tekst był niemożliwy do rozszyfrowania. Gdy natrafił na czytelną treść, znów chciwie pochłaniał ją wzrokiem.

*Legends głośzą, że stworzył je człowiek. W niewyjaśnionych okolicznościach uwięziony on został w Zaświecie. Sam, dysponując jedynie swoim umysłem i umiejętnościami, podjął się stworzenia istot, które mogłyby władać przyrodą, a jednocześnie podlegać jemu jako swojemu Stwórcy. Nikt go nie widział i nikt nie wie, czy w ogóle istniał i nadal istnieje. [...]*

Stwórca. Derek. Chłopiec aż zadygotał. Widział go w swoich snach. Pamiętał jego budzącą niechęć twarz i choć go nie znał, cieszył się, że Plage zrobiła z nim to, co zrobiła. Nie! Zacisnął mocno powieki. Czemu cieszył się z czyjejs śmierci? Czy naprawdę stawał się takim, jakim chciał go widzieć Syndykat?

*Natomiast co do autentyczności Nimf nie ma żadnych wątpliwości. Co prawda Nimfy żyją w Zaświecie i stamtąd sprawują władzę nad żywiołami, jednak można doszukać się wielu wiarygodnych, popartych dowodami zeznań przypadkowych świadków, którzy widzieli te niesamowite istoty na własne oczy. [...]*

On też je widział, w pewien sposób także na własne oczy. Bo święcie wierzył, iż Sny nie były wyłącznie tworem jego umysłu. Widział Beatrice, Neiel i słyszał dwie inne Nimfy, których nie zdążył jeszcze zobaczyć. Zaraz... Zamrugał i pospiesznie przekartkował książkę, wracając na pierwszą stronę.

Wyróżniamy cztery podstawowe żywioły: ogień, woda, powietrze i ziemia.

Chłopiec zmarszczył czoło i podrapał się po głowie z zafrapowaniem. Czyżby autorzy książki nie wiedzieli o Plage? Może nikt o niej nie wiedział? Przecież Plage była Nimfą Lodu, a przynajmniej tak Haru wywnioskował ze Snów. Pamiętał również, co mówiły o niej Neiliel i Beatrice – nie mogło być pięciu Nimf. Może dlatego książka nie wspominała o albinosce? Może Plage była czymś, co nie miało prawa istnieć? Dłonie Haru pokryły się gęsią skórką z ekscytacji. Plage stanowiła wielką niewiadomą, tajemnicę, i wybrała właśnie jego, by ją poznał. Była zagadką, którą on musiał rozwiązać. Nie mógł więc jej zignorować, nie mógł pozostać obojętny! Nawet by nie umiał... Sprawa albinoski pochłaniała go bez reszty, absorbowała wszystkie jego myśli, czy tego chciał, czy nie.

Jego twarz płonęła rumieńcem ciekawości, oczy lśniły, a palce pośpiesznie przewracały stronę za stroną.

*Imiona Nimf także nie są tajemnicą. Chociaż nikt nie wie, czy nadał im je Stwórca, czy też zostały wymyślane przez plemiona oddające im cześć.*

*Nimfę Ognia nazywano Charlotte. Kojarzy się ją z wybuchowością, niełatwym charakterem i impulsywnością. Często oskarżano ją o susze oraz pożary. Plemiona uznawały ją za złe bóstwo, które sprowadza na ziemię nieszczęścia, bowiem często popadała w zły humor. Jednocześnie dziękowano jej za światło ognistego słońca i ciepło ogniska.*

*Nimfa Wody to Beatrice. Zdradliwa i nieprzewidywalna jak morze – raz może być spokojna i cicha, innym razem gwałtowna i groźna. Modlono się do niej, prosząc o deszcz; była patronką żeglarzy, którzy przed wypłynięciem na pełne morze zawsze prosili ją o spokojny rejs.*

*Nimfa Powietrza Sosha to beztroski lekkoduch, niesforna duszyczka, przepętniona umiłowaniem wolności. Plemiona uznawały ją także za patronkę płodności, ze względu na to, iż właśnie wiatr rozsiewa nasiona, zapylając lasy, łąki i pola.*

*Oraz ostatnia z czterech siostr – Neiliel, Nimfa Ziemi, którą charakteryzuje łagodność i oddanie naturze; z dawnych wierzeń możemy się dowiedzieć, iż w modłach proszono ją o udane plony i sadzono drzewa w hołdzie dla niej.*

*Dzisiaj większość tych tradycji została zaniechana; mało kto pamięta o potężnych Nimfach. One również zaprzestały wysyłania do Przedświatu znaków, które dowodziłyby ich istnienia. [...]*

*Nieznane nam źródła donoszą, iż kiedyś żyła piąta Nimfa. Nimfa Lodu. Jednak, jak wspominaliśmy, Nimf może być dokładnie tyle, ile jest głównych żywiołów – cztery. Powstanie piątej Nimfy zaburzyłoby równowagę panującą w przyrodzie, co mogłoby wywołać wiele plag i nieszczęść. Dlatego jeśli Nimfa Lodu kiedykolwiek istniała, zapewne została niezwłocznie unicestwiona. [...]*

– Nie! Nie została! – Buntowniczy krzyk chłopca przeszył zalegającą w bibliotece ciszę. Przecież była tutaj, w Przedświecie! Nie mógł się mylić, to Plage była piątą Nimfą.

– Więc dlatego to wszystko... – wymamrotał do siebie, zaciskając palce na szeleszczących kartkach. Siostry albinoski, pozostałe cztery Nimfy, uważały tak samo jak autorzy księgi. To dlatego Plage była tutaj, w Przedświecie. Ukrywała się! Tylko on znał prawdę. Tylko on wiedział, że piąta Nimfa zesłała z Zaświatu i żyje pośród śmiertelników. Czemu akurat na niego spadł ciężar tej wiedzy? I co miał z nią począć? Głośno przełknął ślinę, czując, jak napięcie ściska go za gardło. Nagle zdało mu się, że patrzy na niego setki oczu, chociaż był wśród labiryntu regałów zupełnie sam. Miał wrażenie, iż wszyscy wiedzą o jego tajemnicy i zaraz zechcą mu ją wydrzeć. A nie mógł na to pozwolić! Plage powierzyła mu swoją przeszłość, swój sekret, od którego zależało jej życie. Musiał chronić tę wiedzę za wszelką cenę.

Wtem za plecami usłyszał dźwięczny perlisty chichot, nieco chrapliwy, ale niewątpliwie dziecięcy. W popłochu zatrzasnął księgę, obrócił się na skrzypiącym przejmująco taborecie i... zlodowaciał.

Mała albinoska, odziana w cienką czarną sukieneczkę, szukała czegoś między półkami. Jej chudziutkie dłonie przesuwały się po grzbietach książek, zgarniając z nich kurz. Stąpała bezszelestnie, powoli idąc wzdłuż regału i przypatrując się wnikliwie księgom.

Rudzielec oparł się plecami o stolik. Serce waliło mu jak oszalałe. Zaciskał dłonie na krawędziach taboretu, nie zdając sobie sprawy, jak silnie to robi. Chciał przetrzeć oczy, uszczypnąć się, wyrwać się z tego... snu, wizji, lecz nie potrafił się poruszyć. Był przykuty do krzesła, sparaliżowany.

– To... to... niemożliwe... – wybełkotał, zapierając się stopami o podłogę. Jego plecy coraz mocniej napierały na stolik.

Dziewczynka nie zwracała na niego uwagi, pochłonięta przepatrywaniem książek. Jej twarzyczka była skupiona, wyglądała na dojrzałą, zbyt dojrzałą jak na swój wiek. Długie włosy opadały na wątłe ramionka. Palce niespodziewanie zatrzymały się na jednej z książek. Okładka była nieskazitelnie biała, tak samo jak skóra dziewczynki. Lecz kiedy wzięła tom w dłonie, natychmiast zalał się czerwienią. Lepka ciecz wsiąkała w kartki księgi, kapała na ziemię, strużkami wspinała się po dłoniach albinoski, docierając aż do łokci.

Haru z całej siły zacisnął powieki, przecząco kręcąc głową.

– Nie ma cię tu... – szepnął.

Zaśmiała się krótko.

– Otwórz oczy, Haru. To nie sen. Należę do ciebie.

Rudzielec wbił palce w krawędź krzesła tak mocno, że otarł skórę do krwi. Serce dudniło głucho, podchodząc do ściśniętego gardła.

– A...ale ty... – Ze strachem uchylił powieki i natychmiast zamarł z rozchyłonymi ustami.

Stała tuż przed nim. Twarzą w twarz. Patrzyła mu prosto w oczy z porcelanowym uśmieszkiem. Jej dłonie od łokci aż po palce pokryte były grubą warstwą czerwieni. Podobnie jak księga, którą trzymała.

Chłopiec nie mógł uwierzyć własnym oczom! Ale zaprzeczyć ich świadectwu też nie potrafił. A może zwariował? Skoro jego Sny przeniosły się do rzeczywistości...

– Czemu... – wydusił. – Czemu akurat ja... Czemu wybrałaś akurat mnie?

Jej odpowiedzią był szerszy i dziwnie wyrozumiały uśmiech. Tak wyrozumiały, że aż przerażający. Jakby okazywała mu miłość i nienawiść jednocześnie. Uniosła księgę wysoko nad głowę. Krew z kartek zaczęła ściekać na jej włosy i twarz. Unurzane w lepkiej mazi włosy przykleiły się do okrwawionych policzków i ramion. Cała była we krwi, jej oczy błyszczały obłąkaniem.

Haru nie potrafił złapać tchu, czuł, że się dusi, że zaraz zemdleje. Było źle, było przeokropnie.

– Czemu... Czemu to robisz?

Zachichotała chrapliwie i okręciła się kilkukrotnie wokół własnej osi, szeleszcząc fałdami zabrudzonej sukienki. Jej stópki pluskały w kałuży krwi. Cały czas trzymała księgę nad głową i nie przestając wirować, zaczęła nucić pod nosem.

Chłopiec nie znał tego języka, lecz rozumiał każde słowo, wwiercające się w jego mózg. Nie mógł oprzeć się tej mieszance przerażenia i zafascynowania, jaką rozbudzała w nim białowłosa. Plage, mała dziewczynka z jego Snów i dorosła kobieta z teraźniejszości, która przywiodła go do Syndykatu. Bezwzględna zabójczyni, która z jakiegoś powodu powierzyła swój los właśnie jemu. To było jak przekleństwo i błogosławieństwo zarazem.

Zatrzymała się nagle, a ciężka od krwi sukienka okręciła się wokół jej kolan i oblepiła skórę. Powoli zsunęła księgę po płaskiej piersi i utkwiała wzrok w oniemiałej twarzy rudzielca. Rozchyłał i zamykał usta, przełykając słowa, których nie umiał wypowiedzieć.



– Plage... – wydusił i wyciągnął dłoń w jej kierunku. Jego ramię zadrżało z przejęcia. Pragnął podejść do niej i dotknąć oblanej czerwienią skóry, ale nie potrafił oderwać się od taboretu. Mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa, jakby mała Lodowa Nimfa je zamroziła. Tylko prawa dłoń Haru unosiła się w powietrzu, rozpaczliwe sięgając w kierunku nieosiągalnej tajemnicy.

– Zabierz mnie...

Białowłosa ściągnęła brwi i prychnęła buńczucznie. Przechyliła głowę na bok, włosy przelały się na prawą stronę szyi. Spokojny uśmiezek błąkał się po jej wąskich wargach.

– Jesteś przeznaczeniem. – Mówiąc to, przeniosła spojrzenie na wyciągnięte ramię chłopca, które momentalnie pokryło się grubą warstwą lodu. Haru wrzasnął z przerażenia, a potem usłyszał trzask łamanej kości. Ujrzał, jak jego dłoń przekrzywia się powoli pod dziwnym kątem, wyginana przez skrzypiący lód. Szok i ból był nie do wytrzymania. Wrzask rozdzierał mu gardło i usta, kości przesywano niemiłosierne cierpienie. Wzrok zaćmiła czerwień, a potem...

Potem ocknął się, leżąc z twarzą na otwartej książce, z dłońmi ułożonymi na stoliku. Zdezorientowany i spłoszony przez chwilę nie miał odwagi się podnieść. Jawa czy sen? To, co działo się przed chwilą, było tak realistyczne, iż nie miał pewności. Lecz odetchnął z ulgą, czując, że z jego ręką wszystko w porządku. Choć na wspomnienie okropnego bólu przeszył go lodowaty dreszcz. Pamiętał każdy szczegół wizji. O ile mógł nazwać to wizją. Czymkolwiek to było, nie należało do przyjemnych doświadczeń. Mimo to prócz strachu ogarniało go również uniesienie. Jego Sny stawały się rzeczywistością! To było niezwykle, niesamowite... I niebezpieczne.

Oparł dłonie o blat stolika i podniósł twarz z książki. Osłupiał, kiedy spojrział na kartki – pokryte były krwawymi literami, układającymi się w słowa piosenki, którą nuciła białowłosa. Znowu poczuł obręcz ekscytacji ściskającą krtań. Rozumiał... Mimo iż nigdy nie uczył się tego języka. Z przejęciem począł czytać zagadkową inkantację:

*Zbłąkane duszyczki,  
na zawsze opuszczone,  
w objęcia śmierci  
nigdy niedopuszczone.  
Zbłąkane duszyczki,  
przez śmierć nieukochane,  
na zawsze zapomniane.*

# CZEŚĆ DRUGA

## Rozdział I

– Mamy ją wreszcie! – syknęła z zadowoleniem jasnowłosa Beatrice.

Drzewa kołysały się na wietrze, a ich liście szeleściły z cichym oburzeniem, jakby nie zgadzały się z tym, co miało się zdarzyć.

Było późne popołudnie. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, nadal jednak raźnie oświetlało podlegające mu krainy. Powietrze, rześkie jak to po burzy, pachniało deszczem. Ciężkie krople błyszczały na gałęziach i liściach, ciągnąc źdźbła trawy ku ziemi.

Białowłosa dziewczynka, odziana w cienką sukienkę, leżała na ziemi z rękami rozrzuconymi na boki, niczym porzucona kukiełka. Wyglądała na trzynaście lat.

Nad jej ciałem stały trzy kobiety i jedna nastolatka. Cztery siostry, cztery Nimfy. Pani wody, jasnowłosa, zdradliwa Beatrice. Władczyni ziemi, czarnowłosa Neiliel o trawiastych oczach. Orędowniczka wiatru Sosha, z blond włosami spiętymi wysoko w koński ogon i z przepaską zasłaniającą jedno oko. I ostatnia z nich, z wiecznie naburmuszoną twarzą, z ogniście rudymi kręconymi lokami i jasnozielonymi tęczęwkami – Charlotte, władczyni ognia. Właśnie ona uśmiechnęła się szeroko i podeszła bliżej małej albinoski, by demonstracyjnie postawić na niej stopę.

– Głupia lisica w końcu wpadła w pułapkę.

– Nie masz się z czego cieszyć, Char. – Sosha burkliwie ostudziła jej zapal. – Umyka przed nami od trzech lat. Jedna mała dziewczyna ucieka czterem wiecznym Nimfom. To żaden powód do radości. Ani do dumy...

– Nie musisz mi przypominać! – Ognista zgromiła ją rozwścieczonym wzrokiem, a stopą mocniej docisnęła ciało Plage do ziemi. – Że też nie można zabić tego ścierwa... Głupie prawa Nimf! Czemu Stwórca nie przewidział czegoś takiego?

– Przestań się ekscytować, Char. – Beatrice spojrzała na nią wyniośle i splotła palce, z trzaskiem wyłamując kostki. – Zrobimy to, co zaplanowałyśmy. Ten rozkapryszony bachor będzie płakał i błagał o litość, gdy spędzi trochę czasu w Celach Poczucia Winy.

Tylko Neiliel milczała, obejmując się i rozcierając ramiona dłońmi. Wpatrywała się w lodowato spokojną twarz śpiącej dziewczynki i dygotała jak osika, raz po raz przygryzając wargi ze strachu.

\*\*\*

– Nie! – Haru gwałtownie poderwał się z łóżka. Zakrzuszył się zbyt łapczywym wdechem i z jękiem złapał za pierś. Podpuchnięte oczy omiotły pokój nerwowym spojrzeniem.

Pomieszczenie było sterylnie czyste, zadbane i duże. Gdy tu trafił, paradoksalnie przeszkadzała mu jasna obszerność nowego lokum, przykro przytłaczająca, wywołująca irracjonalny lęk. Chłopak pamiętał jeszcze, że przez pierwszy tydzień czuł się tu bardzo nieswojo. Przyzwyczajony do ciasnej i śmierdzącej celi, nie potrafił oswoić się ze schludnością i przestronnością nowego miejsca. Teraz, po trzech latach, przywiązał się do swojego pokoju, który stał się jego azylem. Drewniane ściany i podłogi lśniły czystością, jedno spore okno wpuszczało do wewnątrz fale porannego światła, a czasem wlatywały zeschnięte liście, opadające z czarnych drzew rosnących wokół mieszkań Młodzików – tak nazywano

uczniów szkolonych na Skrytobójców. Łóżko rudzielca – połączenie metalowych prętów i twardego, lecz wygodnego materaca – stało w rogu pokoju. W odległym przeciwnym kącie znajdował się skromny stolik, na którym leżały dwa poręczne sztylety i scyzoryk. Przy wyjściu, czyli przy rozsuwanej ścianie, w płaską niszę wmontowano szafę, zamykaną na klucz. Te trzy meble stanowiły całe wyposażenie dużego pokoju, w którym wyraźnie dźwięczało echo.

Lecz czternastoletni Haru zdążył już przywyknąć do tych specyficznych warunków, dawno przestały robić w nim wrażenie, stając się elementem jego codzienności. Tak samo jak nieodłączną częścią jego życia były Sny. Nie opuszczały go, towarzyszyły mu niemal każdej nocy, pokazując ważniejsze i mniej ważne momenty z przeszłości Plage. Albinoska żyła w jego głowie, tak jakby żyła obok niego. Dorastała wraz z nim, razem doświadczali wzlotów i upadków. Była niczym najlepsza przyjaciółka, która odganiała samotność, choć nie mógł jej dotknąć ani zamienić z nią jednego słowa. Od czasu spotkania w bibliotece Haru nie doznał ani razu tak realnej wizji, czego żałował, bowiem tylko wtedy miał szansę z nią porozmawiać – nawet jeśli była wytworem jego umysłu. W Snach mógł ją jedynie obserwować. Chociaż przypatrywanie się, jak rozkwita, samo w sobie było czymś cudownym, bezcennym, bez czego nie wyobrażał już sobie życia. Sny zrosły się z nim, Plage stała się częścią jego duszy, a on był częścią jej istoty, nawet jeśli ona sama nie zdawała sobie z tego sprawy.

Dzisiejszy Sen przepełnił go trwogą i adrenaliną. Przez trzy lata w swoich wizjach obserwował, jak Plage sprytnie umykała starszym siostram. Nie mógł uwierzyć, że faktycznie ją złapały.

– Jeśli one ci coś zrobią... – wycedził przez zęby, ze złością zaciskając dłonie na kolanach. Sam do końca nie rozumiał uczuć, które go ogarniały. Przecież doskonale wiedział, że Plage nie mogło się stać nic złego, bo istniała tutaj, w teraźniejszym życiu, rządziła Syndykatem. Jednak z jakiegoś niezrozumiałego powodu Haru traktował Sny niemal tak samo jak rzeczywistość i każde rozgrywające się w nich zdarzenie przeżywał całym sobą – dlatego często nie potrafił skupić się na lekcjach alchemii lub w trakcie treningów.

Czy był dobrym uczniem? Niekoniecznie, był jak każdy inny, nie wyróżniał się. Może tylko czasami zazdrozczono mu nieskazitelnie czarnej energii. Sam nadal nie umiał jej dobrze wykorzystywać, jego wewnętrzna siła wcale nie chciała go słuchać. Ale i tak wolał ćwiczenia z energią i ciałem niż alchemię, która, acz intrygująca, w ogóle nie wchodziła mu do głowy. Może dlatego, że za bardzo chciał się jej nauczyć. Plage tak ją uwielbiała...

– Zaraz! Przecież dzisiaj jest...! – przypomniał sobie nagle młody demon, nieruchomiejąc z wrażenia.

Dzisiaj był niebywale ważny dzień. Salę treningową Młodzików miała odwiedzić sama Przywódczyni.

\*\*\*

Wnętrze sali treningowej było monstrualne. Musiało wszak pomieścić setki Młodzików. Do treningów nie używano żadnych machin ani drewnianych kukieł. Uczniowie walczyli bezpośrednio między sobą, prawdziwą i ostrą bronią, darując sobie zabawy z drewnianymi atrapami. Haru pamiętał, że było tak od samego początku, od pierwszego treningu, o którym akurat wolałby jak najszybciej zapomnieć.

Drewniane ściany połyskiwały matowo i złowrogo, jakby miały duszę; wysokie i mocne, obserwowały tych, których zamykały w swych gigantycznych objęciach. Podłogę wyłożono ciemnozieloną matą, która w pewnym niewielkim stopniu łagodziła upadki. Z drugiej strony – zbędna ostrożność, skoro upadek i tak wiązał się ze zranieniem do krwi. Wielu zasad panujących w Syndykacie nie dało się logicznie wytłumaczyć i chłopak szybko przestał sobie tym zawracać głowę.

Stał w progu wielkiej sali. W dłoni ścisnął długą smukłą kataną, swoją ulubioną broń, czarną niczym jego energia – na dzisiejszy trening każdy miał przynieść to, co chciał. Narastała w nim irytacja, gdy

przyglądał się tłumom wypełniającym pomieszczenie. Nie zawsze tyłu ich ćwiczyło, ale na dzisiejszym zbiorowym treningu każdy, kto mógł, chciał się pojawić i pokazać. Bo nie każdy posiadał prawo wejścia. Tylko wybrańcom przypadł w udziale zaszczyt wystąpienia przed Przywódczynią. Przybyli tylko ci, którzy przeszli wcześniejszą selekcję – wybrano kilkuset uczniów spośród ponad tysiąca. Haru załapał się do grupy szczęśliwców i nie miał zamiaru rezygnować z powodu drażniącej masy innych Młodzików. Zaczerpnął głęboko tchu i wkroczył do środka.

Krzywił się i prychał za każdym razem, gdy ktoś otarł się o niego ramieniem lub przypadkowo na niego wpadł. Było ciasno i duszno, wszyscy przepychali się ku przodowi sali, tam gdzie na Przywódczynię już czekał wielki tron upleciony z bambusa.

Po bokach sali pojawili się nauczyciele, którzy natychmiast ogarnęli chaos panujący wśród młodzieży. Nie potrzebowali zbyt wielu słów, nie musieli używać siły, wystarczyło kilka komend i srogich spojrzeń, by pogrupować Młodzików wzdłuż ścian. Zostali ustawieni w równych rzędach, tak by środek sali pozostał wolny. Haru wcisnął się w jeden z tylnych rzędów, ale nie miał problemów z obserwowaniem tego, co działo się z przodu. Jak na swój wiek był bardzo wysoki, co teraz się przydało.

Nauczyciele wykrzyknęli kolejną komendę, na której dźwięk w sali zaległa cisza. W szerokich drzwiach wejściowych zamajaczył cień wiotkiej postaci. Nikt nie miał wątpliwości, kim jest nowo przybyła. Plage Fu-Setusa, Przywódczyni Syndykatu. Nikt jej nie towarzyszył, wkroczyła do auli zupełnie sama. Miała na sobie luźną sukienkę, niechlujnie obdartą u dołu, z przydługimi rękawami poplamionymi świeżą krwią. Najprawdopodobniej dopiero co wróciła z misji lub z sali tortur, a treningu Młodzików nie uważała za wystarczający powód do przebrania się.

Jej drobna postura i delikatna jak u lalki cera na pierwszy rzut oka czyniły z niej kruchą, słabą kobietę. Ale wszyscy znali prawdę – piękny i delikatny wygląd Plage stanowił zdradziecką pułapkę dla nieostrożnych, osądających po pozorach. Gdy przekroczyła próg i zatrzymała się na krawędzi maty, wszyscy pokornie spuścili wzrok. Ona sama najpierw omiotła salę przenikliwym spojrzeniem, a potem ostentacyjnie przewróciła oczami i westchnęła ze znużeniem. Najwidoczniej pokaz szacunku nie zrobił na niej wrażenia, raczej ją znudził. Szła przez środek sali, poruszając się z kocią gracją. Nikt nie śmiał podnieść na nią wzroku, chociaż wszystkich korciło. Mogli oglądać tylko jej stopy w skórzanych kozakach.

Gdy wreszcie podeszła do tronu, spojrzała na mebel z takim niesmakiem, jakby wcale nie miała ochoty na nim siadać, ani w ogóle tu przebywać, ale cóż... Prychnęła pod nosem, okręciła się na pięcie, ostentacyjnie odgarnęła fałdy sukienki i bezwładnie opadła na siedzisko. Wsparła łokieć o poręcz tronu, ułożyła policzek na dłoni, a drugą ręką od niechcienia machnęła ku zebrany.

– Streszczajcie się.

W sali znów zagrzmiały głosy nauczycieli, którzy dzielili i ustawiali poszczególne grupy. Było za mało miejsca, by wszyscy naraz mogli pokazać swoje umiejętności. Dlatego większość uczniów nadal stała przy ścianach, a na środek występowały tylko wywołane zespoły zawodników. Drużyny ustawiały się naprzeciwko siebie i na znak jednego z nauczycieli ruszały do ataku. Obowiązywała jedna zasada: wszystkie chwytów dozwolone. To była chaotyczna walka szkolonych do zabijania młodych bestii – każdy robił to, co potrafił najlepiej. Bowiem każdy chciał wpaść jak najlepiej.

A wszystko dla białowłosej kobiety, która z nudów niemal przysypiała. Spod półprzymkniętych powiek z nikłym zainteresowaniem obserwowała krwawe zmagania Młodzików. Raz po raz ziewała, to znów krzywiła się zdegustowana, gdy jej uszy drażniły wrzaski i jęki walczących dzieciaków. A walczyli między sobą zawzięcie, do krwi i omdleń, nikt się nie oszczędzał i nie okazywał litości. Zielona mata coraz szybciej zabarwiała się czerwienią. Kiedy nauczyciele uznali, że pokaz jednej grupy dobiegł końca, odsyłali ją z powrotem do szeregu, niezbyt interesując się marnym stanem niektórych uczniów. Jeżeli nie

byli w stanie ustać na nogach, musieli odczołgać się na bok. Dopiero na widok tej jatki znudzone spojrzenie albinoski nieco się ożywiło.

Wreszcie na środek wezwano grupę, do której przydzielony był Haru. Chłopiec wyszedł z szeregu na lekko drżących nogach i stanął na macie wraz z innymi podeksycytowanymi Młodzikami. Drużyna ich przeciwników zatrzymała się naprzeciwko, drapieźnie błyskając oczami. Rudzielec zaklął pod nosem, zły na własne dygocące ciało. Nie bał się walki. Za dużo przeszedł przez te trzy lata, by obawiać się mniejszych lub większych obrażeń. Wyparł nawet strach przed śmiercią. Co innego nie dawało mu spokoju, wprawiało w nerwowość. Czuł, że Ona na niego patrzy. Taksowała go tak badawczo, że nie mógł się mylić. Wwiercała się w niego spojrzeniem, przeszywała na wylot, a on nie miał prawa nawet zerknąć w jej stronę. Świadomość, że go obserwuje, odbierała mu pewność siebie, obezwładniała. W głowie widział siedzącą na tronie okrutną kobietę z podbródkiem wdzięcznie opartym na dłoni. Patrzyła na niego z lodowatym, choć niemal niezauważalnym uśmiechem. Chłopak nie wiedział, czy ten obraz to tylko wytwór jego wyobraźni, czy może ona sama podsyła mu tę wizję. Ale po co miałyby to robić? Czyżby coś wyczuła? A może przeszukała jego umysł i wyciągnęła z niego Sny? Nie znał odpowiedzi i właśnie dlatego dygotał. Na szczęście jego towarzysze byli zbyt zajęci sobą, by zwracać uwagę na jego trzęsące się kolana.

Nauczyciel wysoko podniósł ramię i wydał komendę do walki.

Drużyny rzuciły się na siebie z wrzaskiem. Haru czuł tętniącą w żyłach adrenalinę, która wyostrzyła mu zmysły. Wszystko jakby zwolniło. Czujnym spojrzeniem wyłapywał każdy ruch nacierających na siebie zawodników. Ich krzyki docierały do niego stłumione, słyszał tylko szcęk i świst broni. Czyjaś krew trysnęła mu tuż przed oczami. Ktoś na niego wpadł. Chłopak uskoczył i natychmiast odparował kataną czyjś atak. Krew znów chlusnęła, ale nawet nie wiedział, gdzie i kogo trafił. Wykręcił się w instynktowym piruecie, unikając pchnięcia sztyletem. Mocniej zacisnął palce na rękojeści katany i zawirował nią w kilku kolejnych cięciach. Poczł opór ciała i zobaczył zalewającego się krwią przeciwnika, który upadł mu pod nogi. Płuca rudzielca pracowały miarowo, wyćwiczone ciało nie czuło zmęczenia, był skoncentrowany na zadaniu.

Unik. Atak. Zwód. Potem znowu atak. Zmaganiom nie było końca, wyczulone nozdrza Haru przepełniał zapach świeżej krwi. Było jej coraz więcej, wrzaski stawały się coraz głośniejsze. A on tańczył pośród tego obłędu, nie myśląc za wiele. Bo ta makabryczna walka nie polegała na myśleniu, należało zdać się na instynkt oraz nabyte doświadczenie.

Długa katana rudzielca cięła i blokowała na przemian. On sam dopadał do przeciwników i odskakiwał, siłując się z nimi na umiejętności. Nie z każdym radził sobie łatwo i szybko, sam również nabawił się kilku bolesnych, krwawiących ran. Nie zważał jednak na to, nie ustawał ani na moment. Działał pośród tego piekła jak zaprogramowana maszyna. Wszyscy tacy byli i każdy miał ten sam cel – zwyciężyć.

W końcu na polu walki zostało tylko dwoje Młodzików: Haru i mocno umięśniona dziewczyna, starsza od niego. Reszta wykończonej i zmarnowanej młodzieży odeszła lub odczołgała się pod ściany.

Rudzielec oddychał ciut nierówno, ale bez łapczywości, w miarę normalnie. Stojąca naprzeciw niego czarnowłosa dziewczyna była jak gład, nawet się nie spociła; o walce świadczyły jedynie plamy czerwieni na jej ubraniu. Ruszyła pierwsza, z impetem doskakując do chłopaka. Posługiwała się długim sztyletem – wystarczyło jej kilka zwinnych ruchów, by wytrącić rudzielcowi katanę z ręki i powalić go na ziemię. Haru uderzył plecami o namokłą krwią matę, lecz natychmiast poderwał się. Warknął z irytacją i otaksował wzrokiem przeciwniczkę, która uśmiechała się do niego drwiąco. Nie szukał już broni, skoczył na nią z gołymi rękami. Jej sztylet kilka razy śmignął mu koło ucha, przy szyi, ale Haru unikał ostrza lub odtrącał je szybkimi ruchami dłoni. Aż wreszcie udało mu się podejść do dziewczyny dość

blisko – z całej siły uderzył ją pięścią w nos, odrzucając kilka kroków do tyłu. Z trudem wyhamowała i z jękiem schwyciła się za twarz. Otrząsnęła się jednak czym prędzej i ruszyła na ruzielca z jeszcze większą zaciętością. Chłopak był od niej szybszy, zgrabnie uchylał się i uskakiwał przed błyskawicznymi cięciami jej sztyletu. Znów przez dłuższą chwilę tańczył wokół rywalki w plątaninie zwodów, aż wyczekał odpowiedni moment, by nagłym ślizgiem podciąć jej nogi. Dziewczyna runęła na ziemię, ale nie przejęła się zbytnio. Momentalnie odbiła się ramionami od maty, pewnie stając na nogach. Zdyszany Haru już wiedział, co zrobić – musiała tylko popełnić jeszcze jeden błąd.

Zaciętość masywnej dziewczyny sprzyjała mu. Gdy ruszyła na niego niczym taran, z wściekłym wrzaskiem, pospiesznie zaparł się dłońmi o ziemię, a potem wyrzucił obie nogi w górę, wymierzając jej potężne kopnięcie w pierś. Pęd dziewczyny i siła Haru dały lepszy efekt, niż się spodziewał. Dziewczyna grzmotnęła o zbrukaną matę i ślizgając się na krwi, przejechała kilkanaście kroków, niemal wpadając na tron Przywódczyni. Plage nie drgnęła, jej beznamiętne spojrzenie ignorowało leżącą tuż obok dziewczynę. Od niechcienia zerknęła w jej stronę dopiero wtedy, gdy Haru pomknął za rywalką jak pocisk.

Czarna mgła otoczyła go ciasno i błyskawicznie przemieniła w czarnego chudego kota. Zgrabnie odbił się od ziemi i spadł prosto na twarz leżącej na plecach dziewczyny. Ostre pazury były idealną bronią – jak małymi sztyletami rozdzierał nimi skórę, bezlitośnie celował w oczy, zamierzając je wydrapać. Dziewczyna wrzeszczała dziko i wymachiwała dłońmi, bezskutecznie próbując zgonić z siebie rozjuszone zwierzę. Krew zalewała jej twarz licznymi strumykami. Kolejne głębokie zadrapania znaczyły usta, skronie, czoło, powieki. Kocur syczał, prychał, miauczał przejmująco, a do ataków pazurami dołączał ugryzienia ostrymi jak szpilki kłami. Nastrożonym ogonem machał sztywno na boki.

Plage obserwowała nierówną walkę spod przymrużonych powiek. W końcu dziewczynie udało się rzucić kocura i pospiesznie obróciła się na brzuch, chowając zmasakrowaną twarz między ramionami. Salę przeszył jej przeraźliwy płacz. Kocur zgrabnie wylądował obok i miauknął jeszcze kilka razy. Najeżone futro powoli wygładziło się, a mięśnie rozluźniły. Potem czarna mgielka znów ogarnęła zwierzę, przywracając mu ludzką postać. Haru zerknął na swoje zakrwawione dłonie, potem na szlochającą dziewczynę. Nie współczuł jej, nie czuł niczego poza adrenaliną szumiącą w uszach i nieco gorzkim posmakiem zwycięstwa w ustach. Wygrał. Jako jedyny pozostał na macie spośród dwóch wypuszczonych do walki grup. Wygrał, lecz nie dostał za to ani pochwał, ani braw. Tylko to przenikające go na wskroś spojrzenie lodowatych oczu... A może tylko mu się zdawało.

Nie tracono czasu. Nauczyciele wydali następne komendy, Haru musiał wrócić na swoje miejsce, na wpół oślepią dziewczyna również. Na środek sali wywołano kolejne dwie grupy. Rudzielec z rosnącym zdenerwowaniem obserwował następujące po sobie rzezie. Zaczynał wątpić, by trening służył tylko popisaniu się przed Przywódczynią. Bardziej wyglądało to na naturalną selekcję, którą przeżyć mieli tylko najsilniejsi i najlepiej wyszkoleni, albo najsprytniejsi.

Masakra wreszcie dobiegła końca. Salę przepelniały jęki rannych i cierpki zapach krwi. Mata, niegdyś zielona, przesiąkła czerwienią. Powietrze gęstniało od narastającego napięcia. Oczekiwano werdyktu. Czekający byli wykończeni walką albo pobudzeni do granic. Przypominali sforę psów, których poszczekiwanie i skomlenia natychmiast ucichły, kiedy Przywódczyni z ociąganiem podniosła się z tronu.

Obojętnym spojrzeniem omiotła całą salę. Postąpiła do przodu kilka kroków. Potem wzrok jej zimnych oczu spoczął na jednym z nauczycieli, stojącym za szeregiem Młodzików. Bez słowa skinęła na niego dłonią, a on wyrwał się ku niej jak dźgnięty ostrogą. Przepchnął się między młodzieżą; gdy znalazł się przed Przywódczynią, ukląkł na jedno kolano i pokornie pochylił głowę.

– Pani?

Westchnęła z politowaniem.

– Spójrz na mnie, kretynie.

– Ale...

– Jesteś głuchy czy przygłupi? Powiedziałam: spójrz na mnie.

Mężczyzna niepewnie uniósł głowę. Miał około czterdziestu lat, a przy Przywódczyni wyglądał jak wystraszone dziecko.

– Czy to ty wybierałeś uczniów do treningu?

– Tak, pani – wychrypiął ledwo słyszalnie, coraz gorzej znosząc jej spojrzenie.

– I byłeś wtedy przekonany, że wszyscy są do tego gotowi? Nie radzę kłamać.

– T...tak, pani.

Spoliczkowała go bez ostrzeżenia, odrzucając na kilkanaście kroków. Mężczyzna przeturlał się po podłodze i z trzaskiem zatrzymał na drewnianej ścianie. Nie zdołał się nawet przekręcić, a ona już stała nad nim i stopą dociskała jego twarz do maty. Sala zamarła, nikt nie śmiał głośniej zaprotestować lub choćby szepnąć.

– Połowa tej hołoty to marne szczyle nienadające się do walki – oznajmiła głosem wypranym z emocji. – Nie zauważyłeś tego? Gdybyś bardziej pomyślał podczas selekcji, nie ponieśliśmy takich strat.

Trener zabełkotał coś chrapliwie w odpowiedzi, lecz każde jego słowo zagłuszała mata. Albinoska wzmocniła nacisk stopy i ściągnęła cienkie brwi w grymasie wzdargy.

– Jesteś odpowiedzialny za dobiecie krytycznie rannych. – Tu odwróciła się w stronę tłumu uczniów. Uśmiechnęła się, widząc, jak niektórzy gwałtownie pobledli. Ciszę rozdarło kilka przerażonych jęków. Nadal jednak nikt nie ośmielił się zaprotestować, a ci, których okrutna decyzja dotyczyła, nawet nie mieli na to sił.

Przywódczyni cofnęła stopę z głowy mężczyzny, który krztusząc się, zaczął łapać oddech.

– Niech nikt nawet nie próbuje ich leczyć. Mają zginąć, nie będziemy hodować miernot. – Z tymi słowami odwróciła się przez ramię i sprężystym krokiem ruszyła przed siebie. Zatrzymała się pośrodku unurzanej we krwi maty i oparła dłonie na biodrach. Jej wąskie usta drgnęły w leciutkim porcelanowym uśmiešku.

– To teraz mój nieszczęsny uczeń... – wymruczała do siebie i nie zabrzmiało to miło, jak powód do dumy, raczej jakby wybierała kolejną ofiarę, a nie adepta, któremu inni będą zazdrościć.

Wyciągnęła ramiona nad głowę i zamknęła oczy. Przez moment mamrotała coś pod nosem, a potem rozłożyła ręce na boki. Jej prawa dłoń wskazała jednego z Młodzików, lewa – drugiego. Wyglądało, jakby zwyczajnie ich wylosowała. Czyżby więc trening był niepotrzebną farsą, okrutnym przedstawieniem? A może Przywódczyni tylko udawała, że zdaje się na ślepy traf?

Haru nie potrafił odpowiedzieć na te pytania, ale przestał się nad nimi zastanawiać, bo... lewa dłoń wskazała właśnie jego. Dostał gęsiej skórki z podniecenia, a przez plecy przebiegł mu dreszcz strachu. Bał się i cieszył zarazem. Naprawdę go wybrała?! Nie mógł w to uwierzyć! Ukradkiem zerknął na drugiego wybrańca – nieznanego chłopaka, którego włosy mieniły się żółcią i czerwienią niczym ogień, wyglądał na tak samo przejętego.

– Na co czekacie? Mam was za rączki poprowadzić? – Słowa albinoski wyrwały chłopaków z odrętwienia.

Rudzielec na uginających się nogach ruszył ku Przywódczyni, ze wszystkich sił starając się iść godnie. W gardle mu zaschło, w płucach świszcząco, a serce mało nie wyskoczyło z piersi. Gdy w końcu zatrzymał się parę kroków przed Plage, z drugim wybrańcem stojącym obok, kompletnie nie wiedział, jak się zachować. Więc po prostu zastygł w bezruchu i wbił wzrok w czerwoną od posoki matę.

– Wasze imiona, pieprzeni wybrańcy. – Ordynarny rozkaz białowłosej wywołał u rudzielca następną

falę ciarek. Otworzył usta kilka razy, lecz nie potrafił wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Ognistowłosey chłopak okazał się szybszy i pewniejszy siebie.

– Ares Matsumara – przedstawił się z pochyloną głową i uśmiechnął się pod nosem, kątem oka zerkając na rudzielca.

Młody rudowłosey demon odwzajemnił kpiące spojrzenie, ale co z tego. Bezsilnie zacisnął pięści, czując, jak jego policzki pokrywają się rumieńcami. *No brawo, Haru, niezły początek!*

– Haru Saruku, pani. – Włożył w to krótkie zdanie tyle szacunku i godności, ile tylko zdołał.

Białowłosa obojgu potraktowała tak samo – zbyła ich cierpkim śmiechem. Potem wsparła dłonie na biodrach i zaczęła krążyć wokół nich niczym drapieżnik wokół ofiary. Reszta zebranych obserwowała ich w absolutnej ciszy – niektórzy spoglądali z zazdrością, inny wyraźnie odetchnęli z ulgą.

– Zaprezentujcie swoje aury, szczeniaczki – padła kolejna beznamiętna komenda.

Haru rozpromienił się i tym razem to on z drwiną spojrział na rywala. Mało kto przecież posiadał równie idealnie czarną energię jak on. Wśród Młodzików tylko on mógł się taką poszczycić, tylko w nim drzemał tak wielki potencjał, nawet jeśli nadal potrzebował wielu lat treningu, by opanować swoją moc.

Aury obu chłopaków wybuchły jednocześnie, ciasno otaczając swoich właścicieli. Ognistowłosey Ares posiadał brunatną aurę, gdzieniegdzie strzelającą fioletowymi pasmami. Jego energia wyglądała jak mieszanka dwóch silnych aur, posłusznie współgrających ze sobą – pewnie i spokojnie krążyła wokół chłopaka, nie wymykając się spod kontroli.

Energia Haru stanowiła jej zupełne przeciwieństwo. Mimo że perfekcyjnie czarna, tak ciemna, iż niemal całkowicie przysłaniała postać Młodzika, była też bardzo niespokojna. Jej smugi niczym małe błyskawice strzelały na boki i syczały głośno. Mgła w kolorze mroku krążyła wokół Haru raz w jedną, raz w drugą stronę i wybrzuszała się na boki, jakby chciała uwolnić się spod władzy demona. Krótko – nie kontrolował jej w pełni. Dlatego też węgliste smugi energii z miejsca uderzyły w spokojną aurę unoszącą się nad Aresem i z trzaskiem wyładowań odepchnęły go na bok.

Ognistowłosey chłopak prychnął zirytowany i pospiesznie złapał równowagę, zaś jego aura odpowiedziała kontratakami. Gdy dwie różne energie natarły na siebie, w sali rozpełtała się mała burza. Zabłyszczało od wyładowań i zahuczało od trzasków. Zaskrzyło się od iskier i zamgliło od dymu. Wokół rozszedł się swąd spalenizny. Aury wzbierały na sile, coraz szybciej krążąc wokół swoich rozwścieczonych właścicieli. Z coraz większym impetem uderzały o siebie. Wzbijające się w górę wąsy energii ocierały się o siebie z sykiem, splatały w morderczym uścisku, a przeciwnicy z zawziętością patrzyli sobie w oczy poprzez otaczające ich ciemne, naładowane iskierkami mgły.

Aż wreszcie dłoń albinoski z łatwością wsunęła się między walczące energie i obie runęły na swoich panów, wnikając w nich tak gwałtownie, że obaj z jękami bólu padli na kolana, dusząc się i dławiąc. W pomieszczeniu znów zapanowała przejmująca cisza – pełna zdumienia. Po energiach nie pozostało nawet śladu, gest białowłosej całkowicie je wyłączył. Jedynym dowodem, że przed chwilą szalała tu energetyczna burza, była dwójka chłopaków, uginających się pod ciężarem własnych nadmiernie rozbuchanych aur. I białowłosa, która stała nad nimi jak kat.

– Czy pozwoliłam wam na jakąkolwiek walkę? – spytała niemalże współczującym głosem.

Nie odpowiedzieli jej, bo żaden z nich nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Mogli tylko bełkotliwie jęczeć. Przywódczyni ujęła pasmo swoich długich włosów.

– Podsumujmy was – rzekła, machinalnie bawiąc się kosmykiem. – Ares Matsumara: mieszanka dwóch energii, czyli gówniany miszmasz, służący nie wiadomo do czego. Na swoje szczęście przynajmniej panujesz nad tym łajnem.

Ares zagryzł wargi i zamamrotał coś pod nosem, ciągle trzymając się za pierś. Jego oddech normował się powoli, lecz ból nadal nie ustępował. Chłopak spojrział w kierunku rudowłosego przeciwnika i ujrzał



na jego ustach ironiczny uśmiezek. Haru nie wyglądał lepiej od niego – także dyszał głośno i klęczał na ziemi – lecz był wyraźnie zadowolony z oceny, jaką Plage wystawiła Aresowi.

– Haru Saruku. – Oczy albinoski skierowały się na rudzielca. – Rzadka czarna energia. Tak idealna, że aż nudna. Na dodatek nie umiesz jej kontrolować. Mam wrażenie, że to ona rządzi tobą, nie ty nią.

Młody demon jeszcze bardziej pochylił głowę, słysząc cichy chichot Aresa. Rudzielec zacisnął pięści na kolanach, dygocząc z wściekłości. Czuł się obnażony przed wszystkimi. Bo choć nikt nie komentował, a obie oceny albinoski były równie niepochlebne, to Haru wręcz namacalnie czuł spojrzenia wszystkich obecnych na sobie. Może to była sprawka jego wybujałej wyobraźni, a może paranoja, ale jedno nie ulegało wątpliwości – czuł, że lada chwila wybuchnie ze złości. Wtedy usłyszał coś, co przepełniło czarę goryczy:

– Ares Matsumara, powstań. – Słowa Przywódczyni nie pozostawiały złudzeń, Haru domyślił się dalszego ciągu. – Wybieram cię na swojego ucznia...

Rzucone od niechcienia, niemal z lekceważeniem, zdanie oznaczało jednak wybór, jakiego dokonała Plage. I wybór ten nie padł na niego, ale na tego pajaca! Dlaczego?! Przecież on miał słabszą energię! Był słabszy! Czemu Plage wybrała Aresa, a nie jego?! Wściekłość wybuchła i wylała się poza granice. Nie panował nad tym, co robi.

Z wrzaskiem rzucił się na stojącego już Aresa, ściągając go z powrotem na matę. Kilku nauczycieli poderwało się z miejsc, lecz Plage zatrzymała ich gestem dłoni – uśmiechnęła się pod nosem; chyba wreszcie zaczynała się dobrze bawić.

To, co się działo, było szybkie i brutalne. Ognistowłosey chłopak nie miał czasu na obronę, Haru przycisnął go do ziemi; siadł na nim okrakiem i okładał rywala pięściami, gdzie popadnie. Robił to tak szybko, iż jego ruchy umykały oczom zdumionych obserwatorów. Szczęka Aresa odchyliła się to w jedną, to w drugą stronę, za każdym razem chłopak pluł krwią i śliną. Ciosy były tak silne, iż ogłuszały go, odbierając zdolność jakiegokolwiek reakcji. Haru górował. Zmienił się w bestię sterowaną wyłącznie instynktem, tak samo jak wtedy, gdy zabił po raz pierwszy, gdy uśmiercił wychudzonego kota, by zdobyć kawałek mięsa. Teraz chciał zabić za coś innego – za uwagę albinoski.

Na sali rozległy się szept i nerwowe chichoty, równe rzędy Młodzików zaczęły się łamać. Uczniowie wierzili się, nie wytrzymując natłoku wrażeń. Zdawało się, że każdy z nich chce dołączyć do okrutnego przedstawienia, które stawało się coraz brutalniejsze. Ares bluzgał juchą, jego połamana szczęka i zmiążdżone kości policzkowe chrzęzczały paskudnie.

I byłoby o wiele gorzej, gdyby nie Plage, która niespodziewanie złapała Haru za kołnierz i jednym szarpnięciem odrzuciła go do tyłu. Chłopak plasnął plecami o matę, dławiąc się własną furią. Zadygotał, zacisnął zęby z warkotem i objął się ramionami. Wtedy ujrzał ją nad sobą, wyniosłą i uśmiechniętą.

– Dobrze, narwany koteczku, dostaniesz to, czego tak bardzo pragniesz. – Pochyliła się nad nim lekko, po raz pierwszy patrząc mu prosto w oczy, głęboko i zniewalająco. Pod tym spojrzeniem wszystko w nim opadło i zgasło, poczuł, jak oblewa go przyjemny chłód, a umysł i serce toną w głębinie jej czerwonych oczu. – I możesz być pewny, że tego pożalujesz.

## Rozdział II

Zatęchłe, ciemne lochy śmierdziały trupami. Wilgotny i zimny korytarz, o ciemnozielonych, obrosniętych pleśnią ścianach, ciągnął się daleko przez podziemia, prowadząc do licznych cel, znajdujących się po obu jego stronach. Niektóre z krat porzewiały tak bardzo, że kruszyły się od lekkiego stuknięcia palcem. Inne błyszcząły nową, mocną stalą. Wszystko spowijał półmrok, rozświetlany tylko mdłym światłem lampionów uwieszonych pod sufitem niekończącego się korytarza. Chłodny wiatr poruszał lampami, a te odpowiadały cichym, żalonym jękiem. Wśród ciszy dudniły krople uderzające o chropowate, betonowe podłoże. Większość cel była pusta, a jeśli coś w nich leżało, od dawna już nie żyło.

Mała albinoska przebywała w jednej z nich, wilgotnej i lodowatej, o mocnych kratkach i zbutwiałych ścianach. Siedziała zaszyta w ciemnym rogu, brudna, podrapana, umazana zaschniętą krwią, w podartej sukience. Pusty wzrok wlepiała w porośnięty mchem sufit, z którego kapłała woda. Krople, jedna za drugą, spadały na posadzkę w monotonnym rytmie, na jednostajnie irytującą nutę. Białowłosa nie reagowała w żaden sposób. Ubrudzonymi błotem i krwią rękami objęła podkulone kolana, z których zsuwała się poszarpana sukienka. Na szyi miała ciężką, metalową obrozę.

Nagle usłyszała czyjeś zdecydowane kroki, cierpki śmiech, odgłosy rozmowy. Obróciła głowę i bez wielkiego zainteresowania spojrzała za kratę. Po posadzce i ścianach korytarza najpierw rozlały się dwa chwiejne cienie, a potem oczom albinoski ukazały się dwie Nimfy: Charlotte i Beatrice.

Otaksowała je chłodnym wzrokiem, ignorując ich złośliwe uśmiechy. Obserwowała spokojnie, jak podchodzą do jej celi i kluczem otwierają drzwi w kracie. Starsze siostry weszły do środka i stanęły, przypatrując się dziewczynce z politowaniem. Momentalnie jej puste spojrzenie przepełniła duma, a popękane wargi uniosły się w aroganckim uśmiechu.

– Co jest? Masz ochotę nas zagryźć? – mruknęła Beatrice. – Jeszcze się nie nauczyłaś? Możesz o tym zapomnieć, póki nosisz na szyi Zaklinacz, smarkulo.

Białowłosa nadal wpatrywała się w nią z beczelną miną, nawet uśmiechnęła się szerzej. Blondynka prychnęła z irytacją, a jej ognistowłosa siostra pochyliła się gwałtownie i boleśnie schwyciła podbródek Plage w swoje ciepłe, wręcz gorące palce.

– To cię bawi? – wycedziła groźnie. Bez efektu. Białowłosa patrzyła jej prosto w oczy z pogardliwym uśmiechem. Charlotte mocniej wpiła palce w białą skórę.

– Przystaniesz się tak uśmiechać, gdy posiedzisz tu jeszcze kilka miesięcy! – warknęła ostro i drugą dłonią chwyciła małą za włosy, by bez problemu unieść ją i cisnąć o ścianę. Albinoska nie wydała z siebie żadnego dźwięku, choćby cichego jęku lub syknięcia. Osunęła się i skuliła na betonie, by po chwili zacząć coś nucić pod nosem i chichotać.

Charlotte i Beatrice spojrzały po sobie, krzywiąc się z niechęcią i frustracją. Tym razem to Nimfa wody zaatakowała, kopiąc dziewczynkę w żebra. Chude ciało podskoczyło i Plage skuliła się jeszcze bardziej, ale nawet nie pisnęła z bólu. Za to nie przerwała nucenia piosenki.

– Przestań zawodzić! – Rozjuszona Beatrice wymierzyła jej kolejnego kopniaka; tym razem uderzyła prosto w odsłonięte ramię. Coś trzasnęło. Białowłosa zagryzła usta, a potem zaśmiała się krótko i wróciła do śpiewu.

– Odsuń się. – Charlotte podeszła do Beatrice i nie czekając, odepchnęła ją na bok. – Już ja jej zmyję ten uśmieszek. Uduśisz się tym swoim podśpiewywaniem. – Zaciśnięte w pięści dłonie wybuchły

niedużymi, ale mocno jaśniejącymi płomieniami.

– Poczekaj, Char, to nie ma sensu. – Beatrice złapała siostrę za ramię, powstrzymując ją chłodnym spojrzeniem. – Znowu skatujesz ją niemal na śmierć, a my znów nic na tym nie zyskamy. Musimy znaleźć na nią inny sposób. Zostawmy to Soshy.

\*\*\*

Pierwsze, co poczuł, gdy wybudził się ze Snu, to mrowienie wewnątrz skroni i chłodny, gęsty pot na czole. Powieki miał ciężkie i zaklejone zbierającymi się pod nimi łzami bezsilności. Zacisnął usta i pięści, przez moment dygocząc z zimna i złości.

– Co one ci zrobiły...? – wycedził przez zęby i uniósł dłonie, by otrzeć oczy.

Naraz w jego pokoju rozległ się cichy szum i silny kopniak zrzucił go z łóżka. Chłopak przeturlał się po podłodze zdezorientowany; nie zdążył się podnieść, bo czyjeś kolano wbiło mu się między łopatki, silnie dociskając go do posadzki. Rudzielec pospiesznie obrócił twarz, by uderzyć w podłogę policzkiem, a nie nosem.

– Co do cholery? Co się...? – Czyjaś dłoń złapała go za włosy i brutalnie odgięła mu głowę do tyłu. Lodowaty metal sztyletu dotknął naprężonej skóry szyi.

– Zero czujności, szczurołapie – usłyszał beznamienne stwierdzenie tuż przy lewym uchu. Zimny oddech omiół mu policzki i Haru już wiedział, kto z taką łatwością przyparł go do ziemi.

– Pani – wymamrotał zduszonym głosem. – Przecież ja... Przecież dopiero co...

– Sen to żadna wymówka. – Niespodziewanie cofnęła sztylet, za to złapała go za kark, przyciskając mu nos do posadzki. – Wróg nie będzie czekał, aż się wyśpisz i przetrzesz oczka. Największy tchórz zarżnie cię właśnie podczas snu, rozumiesz? – Jeszcze przez moment silnie przyduszała go do podłogi, potem energicznie cofnęła kolano spomiędzy jego łopatek. Stała nad nim z dłońmi wspartymi na biodrach. Czekala.

Haru uniósł głowę i wziął kilka głębszych oddechów. Klęknął, wymamrotał coś pod nosem, z którego lała się krew. Otarł juchę wierzchem dłoni i rozciągnął ramiona, krzywiąc się z bólu. Czuł na sobie jej wyczekujące spojrzenie. Ociężale stanął na nogach, lekko pochylając głowę. Rumieńce zmieszania paliły jego policzki, a wstyd ścisnął za gardło. Nie powiedział ani słowa.

Chłodne prychnięcie albinoski przerwało ciszę.

– Ja też nie jestem twoją przyjaciółką. Gdybym nie chciała jeszcze trochę się tobą pobawić, już byś nie żył.

– Myślałem, że to trening, nie zabawa, pani – odparł, dopiero po chwili orientując się, że mogło to zabrzmieć zbyt wyzywająco. Zaklął myślach i zacisnął powieki, szykując się na ostrą ripostę. Słowną lub cielesną.

Ta jednak nie nastąpiła. Ukarala go znacznie gorzej – śmiechem. Krótkim, choć autentycznie rozbawionym. To zabolalo bardziej niż uderzenie.

– Owszem, koteczku, dla ciebie to trening. Taki, którego nigdy nie zapomnisz. Dla mnie to tylko wyśmienita zabawa.

Haru oblał się rumieńcem. W jej obecności zawsze czuł się taki mały, bez znaczenia, pozbawiony wszelkich talentów, choć przecież co nieco już potrafił. Lecz czym był przy niej? Nie umiał nawet spojrzeć na Plage bez zawstydzającego drżenia rąk i oszalałego bicia serca. To, że od trzech lat widywał ją w Snach, wcale nie pomagało mu w skupieniu i wyciąganiu nauk z jej słów; całym sobą, każdym zmysłem, każdą komórką mózgu koncentrował się na niej samej. Stała się jego obsesją.

– Jestem zaszczycony, że mnie wybrałaś, pani – wyszeptał, chcąc jakoś odkupić swoje wcześniejsze przewinienie. Poza tym mówił szczerą prawdę, jakkolwiek miałyby ten ich wspólny trening wyglądać.

– Przestań się płaszczyć – burknęła albinoska z dezaprobatą i obróciła się w stronę okna. Bez wahania wskoczyła na nie, zwinnie lądując na parapecie dłońmi i stopami, niczym kot, który zawsze spada na cztery łapy. – Chcę cię widzieć za ćwierć świecy. Znajdziesz mnie w Najwyższej Pracowni Alchemicznej.

Wymknęła się przez okno, cicho i nie oglądając się za siebie.

Haru pozostał w pokoju sam. To był dopiero początek treningu, a czuł się, jakby już dostał porządnego kopniaka w tyłek. Aż bał się pomyśleć, co czeka go dalej. Choć sam tego chciał. No i dostał to, czego tak bardzo pragnął.

\*\*\*

Żwawym krokiem przemierzał liczne, przecinające się korytarze, pełne rozsuwanych ścian, przez które bez przerwy ktoś wchodził lub wychodził. Znajdował się na najniższym piętrze budowli, czyli tu, gdzie Skrytobójcy odbierali swoje zlecenia, a potem otrzymywali umówioną zapłatę – dlatego było tu tak tłoczno. Z podziwem zerkał na zakapturzone postacie bezszelestnie przesuwane wzdłuż ścian, mijające go niczym nierzeczywiste cienie. Wieloletnie doświadczenie, wpojona rutyna zachowań sprawiały, że nawet tutaj poruszali się bezszmerowo. Właśnie do takiego ideału dążył Haru, chociaż nim go osiągnie, czekało go jeszcze wiele lat treningu.

Stopniowo korytarze pięły się do góry, a kroki rudzielca traciły swą dziarskość. Wyższe piętro dzieliło się na kilka sal treningowych i kilka pracowni alchemicznych. Było tu znacznie mniej przechodniów i młody demon mógł poruszać się swobodniej. Jednak wcale tej swobody nie czuł; im wyżej wchodził, tym bardziej zbliżał się do Przywódczyni.

Kolejne piętra, zdobywane z coraz większą obawą, pustoszały, tonąc w ciszy. Teraz mijał jedynie pracownie Alchemików, ciągnące się aż do ostatniego piętra, na którym Przywódczyni przeprowadzała swoje badania. W wyłożonych ciemnym drewnem korytarzach unosiły się ciężkie i kwaśne zapachy ważonych eliksirów; atmosfera zgęstniała, bo chociaż chłopak nie mógł zobaczyć Alchemików pracujących za ścianami, to nawet z daleka czuł ich skupienie, przyprawiające o ból głowy.

Wchodził korytarzami i schodkami coraz wyżej i wyżej, a nogi coraz bardziej odmawiały mu posłuszeństwa. Serce szalało pod żebrami. Trema, podekscytowanie, a także zwykły strach sprawiały, że żołądek skręcał się i wywracał. Rudzielec mamrotał pod nosem, nie potrafiąc opanować podenerwowania, a przecież tak bardzo chciał wyglądać przed Plagę na pewnego siebie. Głęboko zaczerpnął tchu, co okazało się fatalnym pomysłem, biorąc pod uwagę, czym było przesiąknięte powietrze wokół. Momentalnie zakrztusił się i skrzywił bezradnie, wściekły na samego siebie. Z tego wszystkiego dopiero teraz zauważył, że znalazł się na ostatnim piętrze, przez które ciągnął się tylko jeden, długi i całkowicie pusty korytarz, prowadzący do szerokiej ściany przedzielonej na dwoje i ozdobionej grubym czerwonym papierem. W nos uderzyła go kolejna fala intensywnych woni, których drażniąca mieszanka pozbawiła go tchu i przyprawiła o mdłości. Musiał się zatrzymać i uspokoić oddech – by jakoś przyzwyczać organizm do dusznych odorów, zdających się pochłaniać tlen. Potem zacisnął dłonie w pięści i ruszył ku wejściu najbardziej zdecydowanym krokiem, na jaki umiał się zdobyć.

Gdy rozsunął ścianę, jego zdumionym oczom ukazała się obszerna sala, w której unosiły się pyłki i delikatny, mocno woniejący dym, jakby z kadzideł. Pełno tu było regałów i półek, zastawionych przewracającymi się książkami, glinianymi naczyniami o dziwacznych kształtach i fiolkami, wypełnionymi płynami w najróżniejszych kolorach. Na środku pokoju stał szeroki i długi stół, zrobiony z czarnych kryształowych płyt. Błat lśnił intensywnie i nie miał ani jednej rysy, najwidoczniej został specjalnie przystosowany do przeprowadzania na nim wszelakiego rodzaju eksperymentów. Na stole leżała rozwartą księga, stało też kilka naczyń i pustych fiolek.

Haru powoli przekroczył próg, wchodząc w unoszący się dym. Poczł, jak pieką i swędzą go oczy, a gardło drażni zbierający się kaszel. Jeśli będzie musiał zostać tu dłużej, niż płonie ogarek świecy, zrobi się nieciekawie. Na dodatek nigdzie nie widział Plage. Nie było jej przy regałach ani przy kryształowym stole.

Demon zasunął za sobą ścianę, niepewnie rozglądając się wokół. Odchrząknął parę razy, czując nasilające się drapanie w gardle.

– Pani? – zawołał stłumionym głosem.

Wtem zza stołu wyłoniło się niezwykle zwierzę. Biała jak śnieg lisica, smukła, z wydłużonym pyskiem, o wiele większa niż pospolity lis. Stąpała miękko i giętko, ciągnąc za sobą dwa puszyste i bardzo długie ogony. Zakołysała się delikatnie i wybiła z podłogi, zgrabnie wskakując na stół. Nie potrafiła ani jednej fiołki. Usiadła spokojnie pośród nich i uniosła łeb. Czerwone ślepie, osadzone głęboko, wyglądały jak dwa wielkie paciorki.

Haru zdawał sobie sprawę, z kim ma do czynienia. Każdy w Syndykacie wiedział, iż Zwierciadłem Duszy Przywódczyni jest lisica o dwóch ogonach. Rudzielec zobaczył ją jednak pierwszy raz i widok ten zaparł mu dech w piersiach. Zafascynowany zjawiskowością stworzenia, zapomniał o tym, że wzrok powinien mieć spuszczone. Przyglądał się jej nachalnie, czekoladowe oczy błyszczały nieskrywaną ciekawością.

– Na co czekasz? – Jej zimny głos poniósł się po pokoju, choć nie otworzyła pyska. – Bierz się do roboty.

Rudzielec drgnął i zamrugął skołowany.

– A...ale...

– Po twojej prawej stronie leży kołczan ze strzałami. Wybierz odpowiednie składniki i przygotuj właściwą truciznę.

Spojrzał we wskazanym kierunku i faktycznie dostrzegł strzały leżące u stóp jednego z regałów. Przez moment gapił się na kołczan, nie bardzo wiedząc, co począć. Plage nie dała mu zbyt jasnych instrukcji, pewnie celowo. Musiał zgadnąć. Strzały i trucizna... No tak! Należało nasaczyć groty trucizną. Brzmiało prosto, z wykonaniem mogło być gorzej, tym bardziej że istniało kilka trucizn odpowiednich do tego zadania, a on musiał wybrać tę, która najbardziej zadowoli Przywódczynię. Nie miał odwagi spytać – w najlepszym wypadku nie odpowiedziałyby, w najgorszym... wolał się nie domyślać. Bez słowa poszedł więc po strzały i podniósł je z podłogi. Ciągle czuł na sobie jej wzrok – ciarki chodziły mu po plecach.

– Myślisz, że tego nie widać? – Jej głos ponownie rozszedł się po sali, choć tym razem zabrzmiał w nim kąśliwy ton. – Tego, że w ogóle nie nadajesz się do alchemii?

Rudzielec drgnął, niemal upuszczając kołczan. Milczał, bo nie wiedział, co mógłby powiedzieć na swoją obronę. Odwrócił się tylko w jej stronę z opuszczoną pokornie głowę.

Lisica miękko zeskoczyła na ziemię, ciągnąc za sobą parę długich ogonów. Ruszyła za kryształowy stół, bezszelestnie stawiając łapy.

– Wiele rzeczy można wyczytać z twojej aury. A z twojej głowy jeszcze więcej; nie umiesz maskować myśli.

– Myśli? – Chłopak kurczowo zacisnął dłonie na kołczanie i przygarnął go do piersi w obronnym geście. Czyżby chciała powiedzieć, że z łatwością mogła czytać w jego myślach?! Pobladł i znieruchomiał. Czyli nici ze skupienia, wciąż będzie musiał uważać, co myśli, by jej nie obrazić.

– Nie wysilaj się aż tak. – Zza stołu dobiegł go śmiech. – Jeśli będziesz uważał na każdą myśl, to tym bardziej zaczną ci się wymykać takie, których wolałabym nie słyszeć, rozumiesz? Czuj się swobodnie – zachęciła go z ironią, więc Haru spał się jeszcze bardziej. Jakby nie wystarczało paraliżujące odkrycie,

iż bez żadnych trudności wtargnęła do jego głowy!

– I jeszcze jedno. To, że nie masz predyspozycji na alchemika... Dobrze wiesz, że mało mnie to obchodzi, prawda? To żadne usprawiedliwienie, więc radzę ci się przyłożyć do tego, co robisz. Nie akceptuję porażek, rozumiesz?

– Tak jest, pani – wydusił z siebie.

Próbował wyciszyć umysł, przegnać z niego wszelkie myśli, ale nie było to możliwe – przynajmniej dla niego. W jego głowie zawsze kłębiły się setki pytań, hipotez, refleksji, również teraz, gdy był przy Przywódczyni. A raczej – zwłaszcza teraz.

Prychnęła cicho zza stołu. Czyżby i to usłyszała? Chłopak sztywno ruszył przed siebie. Unoszące się w pomieszczeniu zapachy drażniły go coraz bardziej, do tego jeszcze ta okropna świadomość, że jego myśli nie należały już tylko do niego. Gdy dotarł do stołu i położył na nim strzały, zerknął za blat. Lisica leżała spokojnie na podłodze, z pyskiem ułożonym na wyciągniętych łapach, otulona puszystymi ogonami. Miała zamknięte oczy, wypoczywała.

– Zastanawiasz się, czemu jestem w tej formie, co? – mruknęła, znowu podstępnie wdzierając się w jego myśli. – Moje Zwierciadło Duszy w pewnym stopniu ma czulsze zmysły, przede wszystkim zmysł węchu. Kiedy ty będziesz ślęczał nad tymi strzałami, ja zamierzam trochę odpocząć, a najlepiej odpoczywam wtedy, gdy moje płuca wypełniają się oparami eliksirów i trucizn. To wonie, które oczyszczają i odprężają, zgodzisz się ze mną? – Zerknęła na niego spod oka, oczekując odpowiedzi.

– Tak, pani. – Haru napiął mięśnie i zacisnął powieki, by jakoś zatrzymać myśl, która diametralnie różniła się od jego odpowiedzi. Przecież te... wonie przeżerały mu nozdrza aż do mózgu, niemal się nimi dusił, zaś podrażnione dymem oczy łzawiły okropnie! A ona spała pośród tego fetoru niczym otulona zapachem kwiatów.

– Kłamca z ciebie idealny – zakpiła lisica. – Ale nie musisz się martwić, mało interesuje mnie twoje zdanie na temat moich uzależnień.

Rudzielec przełknął ślinę. Nie umiał ukryć przed nią myśli, nie było sposobu, by je zatrzymać, bo same pchały się do głowy, a ona celowo je prowokowała. Bawiła się nim jak kot myszą. Było tak jak uprzedzała na początku: dla niego to trening, dla niej tylko zabawa.

– Mówiłam ci, że pożalujesz – znów odpowiedziała na jego myśli. Potem jednak westchnęła znużona i ponownie zamknęła powieki. – Rób, co do ciebie należy. Więcej nie dotknę twoich myśli, bo i tak nie kryje się w nich nic ciekawego.

Demon nie był pewny, czy może jej wierzyć, ale nie miał innego wyboru. Zebrał się w sobie i złapał za leżącą na stole księgę. Musiał przypomnieć sobie te wszystkie przeklęte trucizny, zanim zabierze się do ich przyrzadzania. Przez głowę przemknęła mu tylko jedna myśl:

*Bez wybuchu się nie obędzie.*

## Rozdział III

Wybuchów nie było, ale pierwsze próby przygotowania trucizny skończyły się tym, iż rudzielec dotkliwie poparzył sobie dłonie i spalił kilka naczyń, które wydawały się niezniszczalne. A twarz osmałiły mu czarne i gęste opary, które wcale takie być nie powinny. Nie szło mu ani trochę. Co próba – to gorsza porażka. Dłonie Haru drżały, podrażnione oczy wypełniały się łzami, które czasami odruchowo ocierał brudnymi dłońmi i tylko pogarszał sprawę. Płuca go paliły, gęste dymy unoszące się znad stołu zapychały mu nos i gardło.

*To tylko durna trucizna na strzały, najprostsze zadanie jakie mogłeś dostać!* – złościł się i zastanawiał, czy faktycznie jest taką łamagą w alchemii, czy po prostu nie umie się skupić w obecności Przywódczyni. Ostatecznie uznał, że i jedno, i drugie. Lecz faktem było również, iż spośród wielu przepisów i receptur na trucizny Haru wybrał najtrudniejszą. Chciał zrobić dobre wrażenie, chciał jej pokazać, że wcale nie jest takim złym Alchemikiem, za jakiego go uważała. I udowodni to, tworząc truciznę, którą uważano za najwytworniejszą i najbardziej skomplikowaną.

A Plage? Zdawało się, że śpi, niewzruszona jego przeciągającymi się staraniami i coraz liczniejszymi przekleństwami. A może nadal śledziła jego myśli, jedynie udając wypoczynek? Tego nie mógł wiedzieć, lecz miał nadzieję, że nie kłamała i faktycznie nie znalazła w nich niczego interesującego. Niech wydają się jej nudne – bo jeżeli stale by zaglądała do jego głowy, w końcu natrafiłaby na Sny. A tego nie chciał, w żadnym razie. Gdyby się dowiedziała, pewnie zginąłby na miejscu straszną śmiercią.

Ale najpierw musiał przeżyć przygotowywanie trucizny.

Z obrzydzeniem spojrzął na własne dłonie, czerwone i poparzone, jakby włożył je we wrzątek. Bał się próbować po raz kolejny. Bał się, że znów źle wymiesza składniki, które zbulgoczą w naczyniu jak żrące bagna, pryskając prosto na jego poranione ręce. Co innego mógł jednak zrobić? Przecież nie poprosi Plage o pomoc. Westchnął i zaczął od początku.

Bardzo delikatnie dobierał składniki, mieszał je powoli i z uwagą; dygoczące palce nie pomagały mu w tym ani trochę. Niemniej w końcu coś zaczynało mu wychodzić. Opary unoszące się nad eliksirem nabrały właściwej, jasnej barwy i nie piekły w oczy tak bardzo jak poprzednie. Ciecz bulgotała cicho, zamiast pluskać szaleńczo na boki. Gdy w końcu przelał ją ostrożnie do naczynia wypełnionego białym pyłkiem, ciecz zgęstniała i zastygła w postaci kleistej, przezroczystej mazi. Chłopak odetchnął z ulgą, opierając się dłońmi o blat. Miał ochotę krzyczeć z radości, ale był zbyt zmęczony.

Wtem zza stołu uniosła się krwista, trzeszcząca cicho mgła, a w jej środku urosła ludzka postać albinoski. Wyłoniła się ze swojej aury, robiąc krok do przodu. Przez jej twarz przebiegł cień rozbawienia, a brwi uniosły się lekko. Odgarnęła dłonią kłęb ciemnego dymu zalegającego nad stołem i spojrzała na umorusanego chłopaka.

– Jesteś gorszy, niż myślałam – stwierdziła, łapiąc w dłoń miseczkę z mazią. – Choć szczerze powiedziawszy, nie sądziłam, że uda ci się coś zdziałać do następnego ranka. – Spod przymrużonych powiek przyglądała się specyfikowi i delikatnie wciągnęła w nos jego zapach.

– Staralem się, pani... – wymamrotał Haru, gapiąc się, jak obraca naczynko w dłoni.

– Tak, nie zaprzeczę. – Omiotła go nieprzyjemnym, lodowatym spojrzeniem, po czym z trzaskiem odstawiała miseczkę na stół. Rudzielec podskoczył mimowolnie.

– I zrobiłem to, o co prosiłaś, pani... – wydusił jeszcze, wpatrując się w przezroczystą kleistą substancję. Dzieło, które kosztowało go parę świec żmudnej pracy i poparzone ręce.

Białowłosa prychnęła i gwałtownie przechyliła się przez stół. Lewą dłonią oparła o blat, a prawą schwyciła policzki chłopca w żelazny uścisk palców. Zdecydowanie uniosła jego głowę, tak by patrzył jej prosto w oczy.

– Czy maść, którą cudem udało ci się zrobić, wygląda na truciznę? – wycedziła, przekrzywiając głowę to w jedną, to w drugą stronę.

Rudzielec z trudem przełknął ślinę. Jej uścisk sprawiał mu ból, a zarazem dziwną przyjemność, której młody demon nie potrafił ani nazwać, ani zrozumieć. Wiedział jedynie, że było to miłe uczucie, wygrywające nawet z upokorzeniem i bólem.

– Przecież właśnie to... zrobiłem, truciznę... Czy ta jest nieodpowiednia? – Z nieznaną sobie wcześniej odwagą znosił jej spojrzenie.

– Trucizna! – Prychnęła mu w twarz i mocniej ścisnęła policzki palcami. – Od kiedy to maź lecznicza jest trucizną? Wyjaśnij mi? Bo chyba pominęłam ten fakt.

Haru zeszywniał i zerknął na miseczkę z mazią. Przecież postępował według tego, co mówiła księga! Podawała recepturę na jedną z najlepszych trucizn. Jak to możliwe, że zamiast trucizny przyrządził lek?!

– Ja przecież...

– Masz szczęście – przerwała mu bezceremonialnie. – Gdybyś nie poparzył sobie dłoni, z tej paćki nie byłoby teraz żadnego pożytku. A jeśli nie byłoby z niej żadnego użytku, ty też stałbyś się zbędny. Rozumiesz? – Ostentacyjnie rozwarła palce i cofnęła dłoń, nie czekając na odpowiedź. W kilku długich krokach obeszła stół, złapała za naczynie i wepchnęła mu je w dłonie, po czym bez słowa odsunęła go na bok.

Rudzielec także milczał, przez dłuższą chwilę wahając się i namyślając. W końcu jednak skorzystał z okazji i zanurzył palce w lepkiej, chłodnej substancji. Natychmiast poczuł ulgę. Szybko zapomniał o wszystkim wokoło i począł rozsmarowywać lek na obu poparzonych dłoniach. Dopiero po chwili zorientował się, iż Plage coś do niego mówi.

– Dobrze wiesz, że leczenie tak nikłych ran i uśmierzanie tak nieznacznego bólu to oznaka słabości, potępiana w Syndykacie – wyklepała to jak regułkę, prześlizgując się wzrokiem po kartach książki otwartej na recepturze trucizny. – Pozwalam ci na to tylko dlatego, bo nie cierpię, gdy jakikolwiek wytwór Alchemii się marnuje.

I tym razem Haru zachował absolutne milczenie. Nie chciał jej dodatkowo drażnić. Jednocześnie cieszył się w duchu, iż poznał jedną z jej fascynacji. Pamiętał z nauk nauczycieli, że Przywódczynię określano mianem Bogini o Trzech Twarzach. Była bowiem wyśmienitym Skrytobójcą, szaloną Kapłanką znającą najdziwaczniejsze, najokrutniejsze rytuały oraz doskonałym Alchemikiem. Dziś miał okazję ujrzeć jej trzecią twarz.

Skinęła na niego dłonią. Chłopak podszedł, nadal smarując dłonie przyjemnie zimną mazią. Plage wskazała mu palcem jakieś zdanie, po którym pospiesznie przebiegł wzrokiem. Nim zdążył wyciągnąć jakiś wniosek, Przywódczyni sama mu wytłumaczyła:

– Wystarczy jedna kropla płynnej mandragory za dużo, jedna malutka kropelka, wpuszczona przez przypadek, by śmiertcionośna trucizna zmieniła się w lek. Wybrałeś sobie truciznę, której przyrządzenie przekracza twoje możliwości. Na przyszłość mierz zamiary na siły, a swoje głupie ambicje dostosowuj do swoich mizernych umiejętności. – Z hukiem zatrasnęła książkę, aż chmurki kurzu uniosły się spomiędzy kartek. – Dałam ci możliwość wybrania trucizny, by sprawdzić twoje logiczne myślenie. Wnioski? Stwierdzam, że logicznego myślenia u ciebie brak.

Za dużo było tej krytyki. Haru z trudem ją znosił, ale wiedział, że nie może się sprzeciwić ani nawet wyrazić własnego odrębnego zdania. Musiał słuchać, niezależnie od przykrości, jaką sprawiały mu słowa Plage. Dziwiło go, iż tak mocno się tym przejmował. W ciągu trzech lat spędzonych w Syndykacie



uodpornił się na obelgi, nie miał też kłopotów z ostrą ripostą. Przy niej jednak słowa grzęzły mu w gardle, a cała buntownicza natura gdzieś się chowała. Mógł się pocieszać jedynie tym, iż maść goiła dłonie w zawrotnym tempie i nie czuł już tego okropnego pieczenia. Oraz tym, że nie wieciec kiedy przyzwyczał się do drażniących oparów unoszących się w powietrzu. Z rozmyślań wyrwał go niezadowolony pomruk albinoski.

– Nie będziemy tracić czasu na szkolenie umiejętności, których i tak nie zdobędziesz. Popracujesz nad czymś innym.

Rudzielec odetchnął z ulgą. Miał dość Alchemii, i to na długi czas. W innych kategoriach spróbuje pokazać się Plage z lepszej strony. Białowłosa podeszła do niego bliżej.

– Powiem ci, jak możesz kryć swoje myśli przed nieproszonymi gośćmi – zaczęła spokojnie, a oczy rudzielca zapłonęły. – To nic trudnego. Żaden z twoich nauczycieli nawet ci o tym nie wspominał, prawda? Dlatego że mało jest na świecie osób, które potrafią wkraść się do cudzych myśli. Te głąby sądzą, że taka wiedza nie przyda się Skrytobójcom, bo nawet jeśli spotkają kogoś potrafiącego grzebać w ich głowach, to okaże się on na tyle silny, iż tak czy siak nie zdołaliby się obronić. Częściowo mają rację. Poza tym uczenie każdego z was sztuki ukrywania myśli byłoby zwykłą stratą czasu. Ale skoro już tu jesteś i nie dajesz sobie rady z Alchemią, pomęczysz się z kontrolą umysłu.

– To zaszczyt, pani.

Chłopak palił się do zadania, do zdobycia nowej wiedzy, na dodatek unikalnej, której nie posiadał nikt inny. A jemu ów sekret powierzyła sama Przywódczyni.

– Dam ci tylko jedno proste polecenie. Nie mogę wyjaśniać za dużo, bowiem każdy musi opanować tę umiejętność po swojemu i samodzielnie. Na pewno nie uda ci się za pierwszym razem, ale im więcej będziesz ćwiczył, tym lepszą barierę wytworzysz wokół własnych myśli. I właśnie to musisz zrobić. Wytworzyć w swojej wyobraźni coś, co otoczy twój umysł. Może to być mur, który zagraża innym dostęp, albo pudełko, które zamyka twoje myśli w środku. To już zależy od ciebie. Rozumiesz? No to zaczynaj.

Nieznacznym ruchem głowy wskazała mu róg pokoju, a sama wróciła do zastawionego fiolkami i naczyniami stołu.

Rudzielec ruszył we wskazanym kierunku, powtarzając sobie bezgłośnie jej słowa. Zauważył, że podłoga w kącie wyłożona została cienkim jasnym materiałem. Obok, na regale, stały dwie małe świece. Miejsce zdawało się być przygotowane do medytacji. Haru zignorował kadzidła i usiadł na materiale, krzyżując nogi. Tkanina, choć wyglądała na cieniutką, okazała się miękka i wygodna. Chłopak właśnie tego potrzebował do skupienia: wygody i ciszy. Koncentracja nie było jego mocną stroną, bo pod czaszką zawsze kłębiła mu się istna burza myśli. I tym razem było podobnie. Ledwie zamknął oczy, zaraz je otworzył, słysząc cichy brzęk. Przemknął spojrzeniem po pomieszczeniu i w zdumieniu zatrzymał je na pracującej albinosce.

Jej smukłe dłonie błyskawicznie chwyciły fiolki, precyzyjnie przelewały ich zawartość i zaraz łąpały kolejne naczynia. Nie wahała się, nie zatrzymywała, nie patrzyła nawet na własne ręce, działała niczym maszyna, różniąc się od niej tylko niezwykłą gracją, z jaką białe palce przemykały wśród ampułek, tworząc mieszanki proszków i cieczy. Ani jedna kropelka nie spadła na blat, ani jedna drobinka nie wymknęła się spod kontroli doświadczonych dłoni.

Haru momentalnie zapomniał o swoim skupieniu, przypatrując się maestrii, z jaką wykonywała truciznę za trucizną. Wyczuła na sobie jego wzrok i również spojrzała na chłopca – nie przerywając pracy, nadal żonglując fiolkami – ściągnęła znacząco brwi i rudzielec szybko zacisnął powieki. Próbował wyciszyć burzę w głowie, nie myśleć o obecności Plage, nie zadawać sobie tylu pytań naraz. Przekształcenie tych starań w coś owocnego zajęło mu trochę czasu, choć nie wyszło tak idealnie, jak

powinno. Z zamkniętymi oczami słyszał każdy najmniejszy szelest, który natychmiast rozpraszał jego uwagę. Ciemność wyostrza zmysły słuchu i węchu, dlatego zamiast odciąć się od rzeczywistości, czuł ją jeszcze intensywniej.

*A zdawało się to takie proste...*

Skrzywił się na myśl, która pojawiła się nieproszona w jego głowie i niemal w tym samym momencie rozległ się podejrzany świst. Jakby coś leciało... Uchylił się instynktownie i rozwarł powieki, słysząc tuż obok swojej głowy trzask rozbijanego szkła. Zerknął za siebie – na półce rozprysła się fiolka. Pospiesznie wrócił wzrokiem do albinoski. Uśmiechała się chłodno.

– Za dużo myślisz – oznajmiła, po czym uniosła sugestywnie brwi. – A byłam przekonana, że nie-myślenie przyjdzie ci łatwo.

Chłopak zignorował jej kpinę. Zaskoczyła go nagłym atakiem, serce nadal biło mu szybciej, ale mimo wszystko był z siebie dumny. Może nie udało mu się stworzyć zapory wokół myśli, ale uniknął uderzenia, z zamkniętymi oczami!

– Tak, uniknąłeś – odezwała się Plage, świdrując go spojrzeniem. Rudzielec drgnął rozdrażniony. Znow grzebała mu w głowie! I właśnie dlatego musiał ćwiczyć swój umysł bardziej niż ciało – nie miał pojęcia, kiedy albinoska znów zechce wtargnąć do jego głowy.

– Zrobiłeś bardzo prostą sztuczkę. – Przywódczyni ciągnęła wywód swoim chłodnym głosem. – Wyłączyłeś wzrok, a tym samym wyculiłeś pozostałe zmysły. Dlatego byłeś w stanie w porę usłyszeć świst ciśnietego przeze mnie przedmiotu. – Tu jej wargi drgnęły leciutko. – Ale nie czas na to. Teraz twoim zadaniem jest tworzenie muru wokół własnych myśli. Jeśli chcesz to osiągnąć, musisz wyłączyć wszystkie zmysły, nie tylko wzrok. Dlatego właśnie medytacja jest taka niebezpieczna i najlepiej wchodzić w stan skupienia w ukryciu. Wróg może do ciebie z łatwością podejść, bo znajdując się w transie, nie usłyszysz go, ani nie wyczujesz, a na pewno nie zobaczysz. Nie możesz też medytować za każdym razem, gdy będziesz chciał chronić swoje myśli. Musisz to wyćwiczyć do tego stopnia, by stawianie psychicznej blokady stało się czynnością automatyczną, która przychodzi ci tak łatwo i naturalnie jak oddychanie, rozumiesz?

Haru chłonał jej słowa, wpatrując się w Plage z podziwem i potakując głową na znak, że rozumiał. Choć zdawał sobie sprawę, iż nie będzie to takie proste, jak sądził na początku. Będzie musiał często ćwiczyć, by wytrenować umiejętność koncentracji, która uchroni go przed intruzami włamującymi mu się do głowy. Na razie nie stworzył w swojej wyobraźni żadnego obrazu, który mógłby posłużyć jako zaporę przed natrętami i wrogami. Od tego musi zacząć. Zamknął oczy, wziął kilka głębszych oddechów i wrócił do prób wyłączenia się z rzeczywistości.

\*\*\*

Gdy nadszedł wieczór chłopak nadal siedział w tym samym miejscu, skupiony i psychicznie odcięty od otoczenia. Nie miał pojęcia, co dzieje się wokół, nie wiedział nawet, że zapadł już zmrok. Jego myśli otoczył kokon ciszy i spokoju, zawisły w idealnej pustce. Nie myślał, po prostu. Nie słyszał, nie czuł, nie widział, dał się ogarnąć ciemności, która pochłaniała każdą najmniejszą myśl, gdy tylko spróbowała się obudzić.

Rudzielcowi została trudniejsza część zadania. Teraz z pustki i ciszy musiał utworzyć ścianę, barierę chroniącą jego umysł przed obcymi. Nie było to proste, bowiem chcąc zbudować taki mur, nadal nie miał prawa o nim myśleć, a działać samą wyobraźnią. Zdawało się to niemożliwością, sprzecznością samą w sobie, wszak wyobraźnia brała się z myśli, albo na odwrót. Jedno wiązało się z drugim, jedno nie mogło bez drugiego istnieć, a jednak rudowłosy musiał właśnie dokonać niemożliwego: oderwać wyobraźnię od myśli i zadziałać tylko fantazją.

Coś nagle podrażniło idealną pustkę, uderzyło o ściany ciszy, jakie wokół siebie zbudował. Czyjś głos, zdeformowany i niewyraźny. Gdy zaatakował go ponownie, przez twarz Haru przemknął grymas niezadowolenia, a brwi ściągnęły się mocniej. Usilnie starał się utrzymać skupienie. Jednak dobijający się do jego świadomości głos był zbyt zdecydowany, zbyt szorstki i twardy, z łatwością przedzierał się przez grube mury koncentracji, rozdzierając je na strzępy. Na koniec coś zimnego dotknęło jego czoła i skupienie prysnęło jak bańka mydlana.

Chłopak gwałtownie rozwarł powieki. Zdezorientowany, zamrugał kilkukrotnie. Ujrzał nad sobą albinoskę – pochylała się nad nim, jej długie białe włosy spływały po ramionach, rozdzielone łabędzią szyją na dwa wodospady. Wpatrywała się w niego, dwoma palcami dotykając środka jego czoła. Twarz Haru momentalnie pokryły palące wypieki, a ciało, zbyt gwałtownie wytrącone ze stanu transu, zdrętwiało. Jego usta poruszyły się, lecz to Plage jak zwykle odezwała się pierwsza:

– Nieźle, kompletnie się wyłączyłeś. Naprawdę nieźle jak na pierwszy raz.

Nie uśmiechnęła się, ani kpiąco, ani z zadowoleniem. Jej twarz pozostała obojętna. Mimo to rudzielec poczuł się dumny. Pochwała z jej ust – nie sądził, że kiedyś się doczeka – podziałała na niego niczym balsam kojący ból urażonej dumy, którą sponiewierały jej poprzednie krytyczne uwagi. Teraz chłopak mógł mieć nadzieję, że uda mu się w końcu zaprezentować Przywódczyni z lepszej strony. Pech chciał, że zaczęła trening od Alchemii. A może celowo tak wybrała, bo doskonale wiedziała, że w ten sposób najszybciej go ośmieszy? Cóż, nie trafił do szkoły dla arystokratów, był w Syndykacie, gdzie każda lekcja uczyła przyszłego zawodu, fachu bezlitosnego zabójcy. Nikt nie cackał się z nieudolnymi uczniami, słabych likwidowano – Haru już przyzwyczał się do owej zasady, przyjmując ją z takim samym spokojem jak cała reszta adeptów i trenerów. Miał szczęście, że od Skrytobójców nie wymagano dobrej znajomości Alchemii. Właśnie dlatego Syndykat szkolił również Alchemików – ktoś musiał przyrządzać trucizny dla zabójców, skoncentrowanych głównie na ćwiczeniach ciała i umysłu.

Albinoska cofnęła palce i wyprostowała się, patrząc na chłopaka z góry. Wsparła dłoń na biodrze, zamyśliła się... Haru nie wiedział, czy spuścić wzrok, czy pozwolić sobie na obserwację. Miał okazję porównać dwa wizerunki Plage. Jedna była małą dziewczynką, żyjącą w jego Snach, druga dojrzałą kobietą, której wieku nie potrafił odgadnąć. Wyglądała młodo, najwyżej na dwadzieścia lat, lecz chłopiec wiedział, że demony potrafiły zatrzymać proces starzenia się w momencie, gdy osiągały wiek dorosły. Potrafiły, ale nie musiały. Wiedział także, że Plage jest Nimfą, istotą istniejącą od setek, a może tysięcy lat. Mógł się tylko domyślać, jak długie życie miała już za sobą i jak wiele zdobyła w tym czasie doświadczeń. Nic dziwnego, iż bezproblemowo rządziła w brutalnym świecie Syndykatu.

– Jutro wybierzesz się ze mną na małe zlecenie – oświadczyła nagle. – Oczywiście będziesz tylko obserwował. Na więcej nie licz. Przy twoim braku wprawy mógłbyś wszystko zepsuć. Sam fakt, że cię ze sobą biorę, grozi klęską misji.

Zdumiony Haru nie wierzył własnym uszom. Jego pierwsza misja! Tak wcześnie! Gdyby ktoś inny go szkolił, nie miałby prawa wychodzić poza ziemie Syndykatu. Żaden z jego rówieśników nie mógł jeszcze brać udziału w wyprawach, właściwie żaden z uczniów tego nie mógł, póki nie osiągnął odpowiedniego poziomu i nie przeszedł odpowiedniej selekcji. Plage zapewniła mu udział w misji z wielkim wyprzedzeniem i nawet jeśli miał się on ograniczyć jedynie do obserwacji, chłopak aż płonął z podekscytowania.

– Nie zawiodę cię, pani!

\*\*\*

*Ogromna szklana kula miała promień ponad sześciu kroków i zajmowała większość pomieszczenia o ciemnych metalicznych ścianach. W jej wnętrzu hałaśliwie pęczniał kłęb krwistej energii, smugami*

*i błyskawicami napierając na ściany naczyń.*

*Cztery Nimfy stały przed monstrualnym naczyniem, osłaniając oczy przed czerwonym blaskiem. Aura syczała i trzeszczała w sposób, który do złudzenia przypominał śmiech.*

*– Ty chyba żartujesz, Sosh? – odezwała się z niedowierzaniem Charlotte.*

*– Nie, to nie żarty. To moc tej małej, nie cała oczywiście, jedynie trochę ponad połowa jej mocy.*

*– Czy ten kretyń oszalał?! – syknęła rozwścieczona Charlotte. – Co on sobie myślał, tworząc coś takiego?*

*– Nie obrażaj Stwórcy. – Beatrice zerknęła na nią spod oka, a potem przeniosła spojrzenie na wielką kulę energii. – Chcesz powiedzieć, Sosh, że nawet połowa jej mocy zmiażdżyłaby nas cztery razem wzięte bez najmniejszego problemu?*

*– Dokładnie – potwierdziła Nimfa Wiatru ponurym głosem, poprawiając nerwowo opaskę na oku. – To dlatego Wysysacz, którego za nią wysłałyśmy, nie mógł jej znaleźć. Z takim pokładem mocy z łatwością go dezorientowała. Gdy ją wreszcie dopadł... Potrzebował całych trzech lat, by wyssać z niej trochę więcej niż połowę energii i kilku tygodni, by ją uspić.*

*Neiel wpatrywała się w ogrom energii szeroko rozwartymi oczami, choć jaskrawość aury niemal ją oślepiła. Jej szczęka drżała zauważalnie. Wyglądała tak, jakby przemarzła do szpiku kości.*

*– Czemu przez kilka miesięcy ukrywałaś przed nami moc Plage? – wydusiła wreszcie z siebie.*

*Sosha przemknęła po niej spojrzeniem.*

*– Właśnie dlatego, Nel, że nawet teraz trzęsiesz się jak osika. Nie chciałam was straszyć, póki sama byłam przerażona i nie wiedziałam, co zrobić. Musiałam to najpierw zbadać i znaleźć jakieś rozwiązanie.*

*– Czyli masz jakieś? – Beatrice uniosła brwi.*

*Nim jednak Nimfa Wiatru zdążyła się odezwać, Charlotte warknęła głośno i wysunęła się przed siostry. Zamknięta w kuli energia zawirowała i z trzaskiem uderzyła o szkło, które zapiszczało przejmująco, z trudem wytrzymując atak krwistej aury. Czerwone smugi syczały wściekle i jedna za drugą nacierały na ścianę naczyń, próbując przebić się do Charlotte, która najwidoczniej podeszła za blisko. Ta przyglądała się temu zjawisku lekko zbита z tropu, lecz po chwili zacisnęła pięści i znów obróciła twarz ku siostrze.*

*– Nie chcę twojego rozwiązania, Sosha. Cokolwiek zrobimy, będzie źle. Tylko jedno wyjście jest słuszne. Trzeba ją unicestwić! Same widzicie, co się dzieje! Piąta Nimfa nie może pozostać przy życiu, nie powinna w ogóle powstać! Derek złamał Prawo Czterech Nimf i mamy z tego powodu same kłopoty. Jeśli tego nie naprawimy...*

*– Poczekaj, Charlotte – przerwała jej Sosha, unosząc dłoń. – Sama sobie przeczysz. Skoro tak bardzo przeszkadza ci łamanie naszych praw, nie powinnaś chcieć śmierci Plage. Przecież wiesz, że Nimfom nie wolno zabijać się nawzajem. Sama widzisz, co się stało, gdy Stwórca złamał jedno z praw. Jeśli zabijemy Plage, złamiemy kolejny zakaz, i nie wiadomo, co wtedy nastąpi. Jakoś nie mam ochoty się o tym przekonywać.*

*– Przecież to małe ścierwo – cedziła Charlotte przez zaciśnięte zęby, a jej dłonie poczęły pokrywać się językami płomieni – gdyby tylko miało taką okazję, zabiłoby nas wszystkie bez wahania.*

*– Miała ku temu już wiele okazji, nie sądzisz? – Sosha przyglądała się siostrze chłodnym wzrokiem. – Choćby gdy dokonywała rytuału Wiedzy na Nel lub gdy Beatrice spotkała ją po śmierci Mistrza...*

*– Właśnie, Mistrz! – warknęła ognistowłosa, niemal strzelając piorunami z oczu. – Ta mała zdzira go zamordowała! To dla ciebie nic nie znaczy?! To też złamanie naszych praw! Nimfy powinny być oddane i posłuszne swojemu Panu!*

*Koński ogon zakołysał się, gdy Sosha pokręciła głową, z coraz większym trudem trzymając emocje*

na wodzy. Mocno zacisnęła wargi, by po chwili głośno westchnąć.

– I nadal do ciebie nie dociera, że dwa złamane prawa to o dwa za dużo? Wystarczy! Nie zrobimy już niczego wbrew Prawom Nimf, bo w końcu spowodujemy jakiś cholerny koniec świata!

Beatrice i Neiliel wymieniły między sobą znaczące spojrzenia. Sosha naprawdę się rozzłościła. Jej zwykle spokojną twarz zmąciło wzburzenie, we włosach zatańczył wiatr. Srebrne oko błyszczało groźnie. Zdawało się, że jeszcze chwila, a łagodny wietrzyk zmieni się w szaleńczą wichurę.

Charlotte zadarła podbródek, pogardliwie wydymając usta. Jęzory ognia wspięły się od dłoni aż po łokcie, nadal jednak nie paląc rękawów wytwornej sukni.

Powietrze w sali zgęstniało od napięcia, a siostry zaciekle mierzyły się wzrokiem. Nie padało żadne słowo, lecz potyczka ich spojrzeń mówiła sama za siebie. Rzuciłyby się na siebie, gdyby nie nagły zgrzyt szkła.

Całe pomieszczenie zatrzęsło się w posadach, a czerwona energia zamknięta wewnątrz kuli zaczęła eksplodować w serii błyskawic, z hukiem uderzających o ściany naczyń. Ogłuszający pisk wydobywający się z krwistej aury ranił uszy i kruszył sufit, który pokrył się siatką grubych rys. Pokój dygotał, coraz więcej tynku spadało na posadzkę, która również zaczęła pękać. Chmury pyłu przestłoniły widok. Wszystko tonęło w szarej, gęstej mgle...

– Stłumcie swoje aury do minimum, ale już! – Głośny rozkaz Soshy przedarł się przez chaos.

Coś zahuczało i zawirowało w zszarzałym od kurzu powietrzu. Naczynie było przepełnione czerwoną energią po brzegi i na jego ścianach pojawiły się małe pajęczyny pęknięć. Jaskrawa czerwień błyskała jak podczas burzy, raz po raz wypełniając salę oślepiającym światłem.

– Róbcie, co mówię! – Kolejny wrzask Soshy był pełen przerażenia i ledwie słyszalny poprzez jednostajny pisk energii Plage.

Siostry nie widziały się wzajemnie, lecz czuły, że nie pora na kłótnie. Posłuchały najstarszej Nimfy.

Rozedrgane drobinki kurzu zawirowały swobodniej, delikatniej. Pisk osłabł. Z każdą chwilą chaos się zmniejszał, nerwy i napięcie znikwały. Aż wreszcie wszystko ucichło, a chmury kurzu opadły na ziemię, odsłaniając obraz zniszczeń.

Zdewastowaną salę okrywał ciemny całun pyłu. Energia Plage uwięziona w kuli świeciła jasno, spokojnie wirując. Nimfy przywierały plecami do ścian, brudne i potargane. Przerażone wpatrywały się w siebie nawzajem.

– Co... to... było? – wykrztusiła Neiliel i zaniósła się kaszlem.

– Chyba wkurzyliśmy tę jej cholerną energię – burknęła Beatrice, dłońmi strzepując kurz z ramion.

– Od kiedy to energie mają własny rozum? – syknęła Charlotte, odpychając się od ściany. Wsunęła dłonie w zmierzwione loki i skrzywiła się z niesmakiem. Zamrugała, kiedy wyczuła pod palcami ciepłą ciecz. Fuknęła rozwścieczona, wymacawszy na skroni spore rozcięcie.

– Ta ma – odezwała się wreszcie Sosha, jednym machnięciem ręki przyzywając wiaterek, który zdmuchnął z niej kurz. – A mówiąc dokładniej, zareagowała na nasze pobudzone energie własną wściekłością i... Cholera! – zaklęła nagle. Z cichym pyknięciem zniknęła, by pojawić się kawałek dalej, obok wielkiego naczyń. Przymrużyła oczy, oślepione krwistym blaskiem, lecz bez trudu wypatrzyła na szkło zarysowania i pęknięcia.

– Niedobrze... Jeszcze jedna taka akcja i naczynie nie wytrzyma.

Zapadła cisza. Żadna z siostr nie ośmieliła się zabrać głosu. Patrzyły tylko po sobie zmieszane. Dopiero po dłuższej chwili Beatrice ściągnęła brwi i spojrzała wyczekująco na najstarszą siostrę.

– Nie traćmy więc czasu. Mówiłaś, że masz jakieś rozwiązanie.

– Tak. Przywrócimy Stwórcę do żywych. On zdecyduje.

## Rozdział IV

Haru był mocno podenerwowany. Miał na sobie typowy strój do walki, z ciemniej skóry, dopasowany i wygodny, z luźniejszą kamizelką przesyta czerwoną nitką. Stał w cieniu najwyższej i najpotężniejszej budowli Wyjącego Zamczyska. Siedziba Przywódczyni – wysoka do nieba, spiczasta i drapieżna – spoglądała na niego setkami małych okien. Wieżę zdobiły powyginane daszki i inkrustacje z błyszczącego drewna. Na zwężających się ku górze ścianach wyryto gdzieniegdzie obcojęzyczne napisy, dla Haru zupełnie niezrozumiałe.

Nie wpuszczono go do środka, czego zresztą się spodziewał. Nie był godny takich odwiedzin, nie miał wystarczającej pozycji, by zyskać prawo naruszania przestrzeni należącej do Przywódczyni. Mało kto takie prawo posiadał.

Czekał więc na nią u stóp wieży, tak jak mu nakazała.

Cisza drażniła go. Nikt nie kierował tu swoich kroków, każdy omijał to miejsce z daleka, jakby było wyklęte. Rudzielec stał zupełnie sam na szerokim tarasie. Słyszał jedynie gwizd wiatru i skrzek gawronów szybujących gdzieś nad lasem Shado-Karasu. Poranek był ciemny i ponury, zwłaszcza w tym miejscu, okrytym cieniem niebosiężnej budowli. W głowie rudzielca trwała walka – jedna myśl przepychała drugą. Nerwy ścisnęły mu żołądek, wyobraźnia podsuwała coraz czarniejsze wizje tego, co może się dzisiaj wydarzyć. Do tego jeszcze Sen, który jak zwykle nie dawał mu spokoju i zakłócał skupienie. Krew się w nim burzyła, gdy tylko pomyślał o siostrach Plage i o Dereku. Z każdym Snem nienawidził ich wszystkich coraz bardziej.

Gryząc wargi i pocierając dłonie, przestępował z nogi na nogę. Przepeliśniały go sprzeczne emocje. Z jednej strony bardzo chciał już zacząć misję, z drugiej – bał się, na co jego mięśnie napinały się odruchowo. Taka dawka nerwów była dla niego nowością. W trakcie trzyletniego treningu wyzbył się wszelkich lęków, sądził, iż nic nie jest w stanie go wystraszyć. Tego bowiem od Skrytobójców wymagano: nienaturalnej odwagi, wbrew instynktowi samozachowawczemu, nielogicznego wręcz wyzbycia się obawy przed śmiercią i cierpieniem. Haru szybko się do tego wymagania dostosował; od dawna uznawał ból za nieodłączną część swojego istnienia i często narażał życie podczas brutalnych, ryzykanckich treningów. Lecz od dnia, w którym stał się uczniem Plage, dopadał go inny rodzaj przerażenia. Paranoicznie obawiał się tego, iż ją zawiedzie, że się przed nią ośmieszy, że zrobi coś, czego nie powinien. A im bardziej się bał, tym częściej popełniał błędy.

Lodowaty sztylet niespodziewanie dotknął jego szyi. Zimne ramię oplotło pierś Haru, unieruchamiając go i przyciskając do reszty lodowatego ciała. Rudzielec nie musiał się obracać, by wiedzieć, kto go podszedł. Ale potrzebował czasu, by otrząsnąć się z zaskoczenia i uspokoić galopujące serce. Czemu zawsze wariowało w jej obecności? I czemu jego policzki płonęły? Już nie był taki pewny, czy wstydzi się, bo znów go zaskoczyła, czy może chodzi o coś bardziej złożonego. Może reagował tak na jej bliskość, na dotyk jej chłodnego ciała, ramion oplatających... Zaraz! Skąd w jego głowie takie dziwaczne myśli?! Silne objęcia uniemożliwiały mu jakikolwiek ruch. Ostrze na gardle utrudniało mówienie. Ona tymczasem pochyliła się i połaskotała zimnym oddechem jego zarumieniony policzek.

– Umarłeś właśnie po raz drugi – wyszeptała mu do ucha. – Zostało ci siedem z dziewięciu żyć, kotku. – Puściła go i wykonując zgrabny taneczny obrót, błyskawicznie znalazła się przed nim. Ubrana była w strój przeznaczony do walki: obcisły skórzany gorsecik i przylegające do skóry spodnie związane na łydkach rzemykami. Na nadgarstkach i biodrach miała pasy z klamrami służącymi do przytrzymywania

bronii. Swój krótki srebrzysty sztylet wsunęła za pasek na prawym nadgarstku – dziś była to jedyna broń, jaką posiadała. Przez ramię przewiesiła sporych rozmiarów skórzaną torbę.

Rudzielec bezwiednie wodził wzrokiem po jej postaci. Potem zamrugał i pochylił głowę jak skarczone dziecko. Jej kąśliwa uwaga nie mijała się z prawdą; już drugi raz skończył ze sztyletem przytkniętym do gardła. Ale czy był w stanie usłyszeć jej bezszelestne kroki, czy potrafiłby uciec przed jej atakiem?

– Siedem żyć... Starczy do końca tygodnia, pani. – Uśmiechnął się pod nosem, nie ośmielając się unieść wzroku. Ha! Czy on właśnie zażartował? Przy Plage? Prosił się chyba o zmniejszenie liczby swoich żyć do sześciu.

Poczuł jej spojrzenie. Nie musiał patrzeć. Zmierzyła go lodowato, bez żadnego uśmiechu czy choćby grymasu.

– Nie traćmy czasu – odezwała się i sprężystym krokiem ruszyła przez szeroki drewniany mostek. Haru pobiegł za nią.

\*\*\*

Nieokreślony niepokój oblepił jego ciało zimnym potem. Las Shado-Karasu z zewnątrz nie wyglądał aż tak strasznie i groźnie jak od wewnątrz. Haru przemierzał go po raz pierwszy i nawet mając przy sobie Plage, czuł się nieswojo. Splątane gałęzie drzew zagradzały drogę światłu, pękate korzenie wystające z ziemi wyglądały jak wielkie robale. Rudzielec, przyzwyczajony do ścian i murów Wyjącego Zamczyska, czuł się tutaj jak w obcym, nieznanym świecie. Tajemnicze odgłosy osaczały go z każdej strony, jeden dziwniejszy od drugiego. Nozdrza były atakowane przez kwaśne i cierpkie zapachy ciernistych roślin oraz trujące opary unoszące się nad bulgoczącymi bagnami. Przypatrywał się czarnym, powyginanym pniom z uwagą – dawno już nie widział drzew z bliska. Ostrożnie stawiał kroki, idąc za albinoską, która przemierzała las pewnie i bez wahania. Nie oglądała się na niego, choć ledwo za nią nadążał. Wędrowali już pół świecy i jak dotąd milczeli. Haru na nowo oswajał się z przyrodą. Od chwili gdy trafił do Syndykatu, jedynym jego kontaktem z naturą było wsłuchiwanie się w szum jeziora, które falowało pod tarasami i mostkami Wyjącego Zamczyska, oraz przypatrywanie się z zewnątrz lasowi, który otaczał ich i zamykał jak w klatce. Wychodził „na zewnątrz” pierwszy raz od trzech lat, na dodatek od razu na niebezpieczną misję, u boku Przywódczyni, którą najwidoczniej niewiele to obchodziło.

– Naszym celem jest Blue Bloodline – odezwała się wreszcie bez żadnych wstępów; pewnie byli już blisko i Plage uznała, że warto mu co nieco objaśnić. Uderzyło go słowo „naszym”. To zabrzmiało niemal jak akceptacja i uznanie go za towarzysza. – Bloodline to arystokratyczny ród wilkołaków, rządzone przez dwie siostry, które dobrze poukładane w głowach nie mają – ciągnęła białowłosa, zgrabnie i bezszelestnie manewrując między gęstymi, ciernistymi zaroślami. Ani na chwilę nie zwalniała kroku. Jego kimono raz po raz haczyło o kolce i plątało się między lianami zwisającymi z grubych gałęzi; w gęstą czuprynę wczepiały się liście i patyki. Musiał prawie biec, by nie stracić ani słowa z jej przemowy. – Maharet, starsza z sióstr, zleciła nam zabicie młodszej, Blue. Głupkowate rodzinne porachunki, chęć władzy i tym podobne pierdoły, powód nas nie interesuje. Co powinno nas interesować?

Młody demon wbił zdziwione spojrzenie w jej plecy, zorientowawszy się, że to jemu zadała pytanie. Dysząc z wysiłku, zmarszczył czoło w zamyśleniu. Tutaj mógł się wykazać. Wiedział wszystko o procedurach postępowania Skrytobójcy.

– Musimy wiedzieć jak najwięcej o naszym celu, znać jego słabe punkty, rozkład dnia, przyzwyczajenia, by móc to wykorzystać przeciwko niemu – powiedział jednym tchem i uniósł nieco podbródek, z mimowolną dumą.

– Brawo! – Ton komentarza białowłosej jak zwykle mało miał wspólnego z pochwałą. Równie

dobrze mógł być ironią. – Może jednak coś z ciebie będzie.

– Jeszcze się zdziwisz, pani! – Podbudowany swoją wiedzą, Haru zaśmiał się i natychmiast tego pożałował. Albinoska zatrzymała się i spojrzała na niego przez ramię. No tak, znów się zapomniał, żarty przy niej nie należały do mądrych pomysłów.

– Jeszcze nie miałeś okazji się wykazać. Lepiej zachowaj energię na później i postaraj się nie plątać pod nogami, rozumiesz?

Zbesztany Haru spuścił wzrok, w milczeniu kiwając głową. Tylko jego serce wciąż wariowało, uradowane nie wiedzieć czym. Chłopak zaklął w myślach i zwinnie przeskoczył przez wysoki korzeń. Coraz szybciej przyswajał strukturę otoczenia, w czym kotowate Zwierciadło Duszy bardzo mu pomagało. Musiał tylko ochłoniąć i uspokoić zmysły, które szalały od tej nowej mieszanki zapachów i odgłosów.

– Wracając do tematu – zimny głos Plage przerwał milczenie – dzisiaj Blue wydaje przyjęcie urodzinowe. Maharet udostępniła nam zaproszenia, a jedyne, co musimy zrobić, to wtopić się w tłum i podejść jak najbliżej.

– Przyjęcie...? – Rudzielec zamrugnął skołowany. Plage zerknęła na niego z chytrym uśmieszkiem.

– Tak, zabawimy się.

\*\*\*

Zatrzymali się na wysokim wzgórzu, gdzie las nagle się kończył i zmieniał w polanę, przechodzącą z kolei w głęboką zieloną dolinę. W centrum owej doliny znajdowała się wielka budowla, o ciemnych grubych ścianach i małych oknach. Dwie okrągłe i niewysokie wieże umieszczono po obu stronach budynku. Nie było ogrodu ani wybrukowanych ścieżek. Z daleka budowla wyglądała na opuszczoną starą świątynię.

– No i proszę. Oto zapyziały ród Bloodline. – Stwierdzenie albinoski wyrwało młodego rudzielca z zamyślenia. Omiótł otoczenie uważnym spojrzeniem. Przy budowli nie dostrzegł żadnych drzew, muru czy choćby krzewu. Mówiąc krótko, brakowało miejsc mogących posłużyć za kryjówkę.

– Będzie trudno z dostaniem się do środka, pani – ocenił.

– Mylisz się. To będzie bardzo proste.

Chłopak usłyszał, jak Plage ciska skórzaną torbą o ziemię. Odwrócił się i ze zdumieniem patrzył, jak białowłosa wyjmuje z niej czerwoną suknię. Przez moment nic z tego nie rozumiał, lecz po chwili przypomniał sobie jej słowa o wtapianiu się w tłum. Przypatrywał się, jak wciąga nieco wygniecioną kreację przez głowę. Długie do ziemi fałdy zakryły skórzany obcisły strój. Ramiona oraz dekolt pozostały odsłonięte i biała skóra wspaniale kontrastowała z krwistym materiałem. Albinoska skrzywiła się, poprawiając suknię kilka razy. Białe falbany wystające spod długich rękawów chyba ją nieco irytowały, podobnie zresztą jak cała kreacja, która mimo jej niechęci leżała idealnie. Tylko ciężkie buty ani trochę nie pasowały do reszty – na szczęście przykrył je szeroki dół sukni.

Rudzielec nawet nie poczuł, kiedy na jego usta wypłynął nieśmiały uśmiech. Ciekawym doświadczeniem było oglądać groźną Przywódczynię w tak niecodziennym stroju. Wyglądała w nim na jeszcze drobniejszą.

– Ślicznie... – wyrwało się chłopakowi, po czym pospiesznie uciekł spojrzeniem w bok, udając, że kontempluje wzrokiem trawę. Plage łypnęła na niego, ale nie powiedziała ani słowa, kucnęła tylko przy torbie i znów wyjęła coś z jej głębi.

– Zakryj się, w tym kimonie za bardzo rzucasz się w oczy.

Z całej siły cisnęła w chłopaka szarym, zwiniętym w kostkę płaszczem. Haru ledwo utrzymał się na nogach, kiedy zawiniątko w niego uderzyło. Szybko jednak złapał równowagę i rozwinął płaszcz jednym



trzepieniem. Potem założył go, owijając się szczelnie połami.

– Będiesz udawał mojego sługę. Trzymaj się z dala, ale miej mnie ciągle w zasięgu wzroku.

Rudzielec potaknął posłusznie. Rola sługi nie bardzo mu odpowiadała, ale przecież nie o jego dumę tutaj chodziło. Miał się przyglądać, uczyć, wyciągać wnioski. A do tego nierzucające się w oczy przebranie sługi było najlepsze.

Białowłosa jeszcze raz wsunęła dłonie do torby i wyciągnęła z niej czerwoną maskę, zdobioną piórami. Założyła ją i poprawiła pióra, tak by jak najbardziej zasłaniały twarz. Wyprostowała się i kopnęła torbę między drzewa. Wygładziła włosy, mamrocząc coś pod nosem, jeszcze raz poprawiła fałdy sukni i spojrzała na chłopca.

– No to idziemy zatańczyć.

Lisi uśmiech zatrważająco dobrze pasował do maski.

\*\*\*

Ogromne drewniane drzwi rozwarło na oścież. Wysokie i szerokie, wykonane z grubych belek, wyglądały trochę jak wrota zamczyska. Posadzka w środku, wyłożona wielkimi kamiennymi płytami, była ciemna i spękana. Ściany, grube i surowe, miały barwę zgniłej zieleni.

U wejścia stało tylko dwóch strażników. Ich chłodne, niemal rybie spojrzenia wwiercały się w każdego gościa, a potem z uwagą wpatrywały się w pokazywane przez przybyszów zaproszenia. Kiedy nadeszła kolej Plage i Haru, rudzielec zachował zimną krew, sunąc obok albinoski z pochyloną głową, zakrytą kapturem płaszcza. Nie widział, kiedy albinoska wyciągnęła zaproszenie, lecz trzymała je w dłoni, gdy przystanęli obok strażników. Dwójka wysokich i ciężko uzbrojonych mężczyzn zmierzyła ich wzrokiem od góry do dołu, a jeden z nich przez dłuższą chwilę przypatrywał się twarzy Plage. Ona patrzyła na niego spokojnie zza pierzastej maski, aż wreszcie westchnęła zniecierpliwiona, wachlując się zaproszeniem:

– Marnujesz mój czas.

Strażnik jeszcze przez moment obserwował ją w skupieniu, lecz w końcu szerokim gestem zaprosił do środka.

– Wybacz, pani.

Nic nie odpowiedziała. Weszła pewnym krokiem, a Haru podreptał za nią.

Buty gości stukały po zaniedbanej posadzce. W centrum sali znajdowały się schody o nierównych i szerokich stopniach. Na wysokości półpiętra rozchodziły się na dwie strony. Nie posiadały barierki ani żadnych ozdób, nie okrywał ich dywan. Wszystko tu było surowe, ponure, a cmentarny ciężki klimat dodatkowo podkreślała panująca w powietrzu duchota.

– Jak w grobowcu – skwitowała białowłosa.

Chłopiec potaknął szybkim skinieniem głowy i ciasniej otulił się płaszczem. Spod kaptura obserwował rozmawiających gości, których pojawiało się coraz więcej – wszyscy wstępowali na wysokie schody, kierując się na piętro. W końcu i białowłosa zrobiła to samo, a Haru podążył za nią.

Obszerna sala balowa, do której wchodziło się niemal wprost ze schodów, niewiele różniła się od tej na dole. Ciemne ściany i podniszczona posadzka upodabniały pomieszczenie do wnętrza grobu. Jedyne ozdoby były posążki gargulców w kątach. Oświetlenie stanowiły siedmioramienne świeczniki stojące na parapetach wąskich okien. Daleko w głębi sali znajdował się fortepian, na którym ktoś wygrywał smętną melodię, przez co przyjęcie urodzinowe bardziej przypominało pogrzeb. Tym, co ożywiało pomieszczenie, byli sami goście. Poubierani w wymyślne, różnokolorowe stroje świecili w mrocznej ponurej sali silniej niż świece. Brakowało co prawda tańców i radości, ale szmery przyciszonych rozmów i chichotów niosły się po komnacie na równi z muzyką wygrywaną na fortepianie. Jedzenie

i alkohol podawali służący, prosto do rąk gości – stołów nie było. Dlatego też nikt nie zwracał uwagi na braki w wystroju, każdy z niecierpliwością wyczekiwał swojego kieliszka i talerza. Rozwiązała się również sprawa strażników; na dole było ich tylko dwóch, za to na górze stanowili większą część balowiczów.

Rudowłosey przyglądał się korowodowi bladych twarzy i fałszywych uśmiechów. W oczach mieniło mu się od kreacji i jaskrawych barw, a nasilający się szmer rozmów drażnił uszy. Niedobrze, za dużo osób w jednym miejscu. Tłum i hałas – nie cierpiał tego. Albinoska, dotykając znienacka jego ramienia, zaskoczyła go. I przestraszyła, bo brak uwagi mógł się źle skończyć. Bezgłośnie zaczerpnął powietrza, podrywając na nią spłoszony wzrok.

– Też tego nie znoszę – wyznała bezbarwnym głosem, a Haru poczuł, jak jego serce mięknie. Istniało więc coś, co ich łączyło, nawet jeśli nie było to nic wielkiego, znaczącego. Poza tym mógłby przysiąc, że w jej głosie przez króciutki moment zabrzmiał smutek. Spojrzał na jej zamaskowaną twarz z troską.

– Po co więc to wszystko, pani? – odważył się zapytać.

Dłoń spoczywająca na jego ramieniu najpierw zadrżała minimalnie, a potem boleśnie wpiła się palcami w skórę i mięśnie. Niemal usłyszał trzask łamanych kości. Zagryzł wargi, by nie jęknąć.

– Nie zadawaj głupich pytań, smarkaczu – wysyczała. – I nie patrz na mnie w ten sposób, bo wydlubię ci te współczujące oczka. Nie ma tu miejsca na litość i smutek, zrozum to wreszcie.

– Przepraszam... – wymamrotał, walcząc z bólem, który paraliżował mu ramię. Plage rozwarła kleszcze palców, na co chłopak odsunął się pospiesznie i złapał za obolałe miejsce. W myślach skarcił się za nieuwagę; nie powinien okazywać przy niej słabości. Uczucia do Plage były taką słabością. Skąd w ogóle się wzięły?

– Gdyby coś poszło nie tak... – Przyciszony głos białowłosej zgrał się z dyskretnym gestem, gdy niepostrzeżenie wsunęła w dłoń rudzielca mały sztylet. – Uważaj, jest nasączony trucizną.

– Czemu coś miałyby pójść nie tak, pani? – wyszeptał chłopak, chowając broń w szerokim rękawie płaszcza.

– Zawsze istnieje taka możliwość.

Haru wiedział, że Plage ma rację. Nawet najlepszy skrytobójca mógł popełnić błąd. Chociaż szczerze wątpił, aby Przywódczyni popełniała jakieś błędy. Tak czy siak, mogło wydarzyć się coś nieoczekiwanego, więc lepiej być przygotowanym na każdą ewentualność.

Chłopak próbował się wyciszyć i odciąć od natarczywego gwaru rozmów oraz śmiechów, które coraz bardziej go irytowały. Robiło mu się duszno, coraz gorzej znosił ciasnotę i odór ściśniętych ciał. Atmosfera panująca w sali i jej ponury wygląd sprawiały, że czuł się niemal jak w zbiorowej mogile. Nie rozumiał, jak ktoś może się dobrze bawić na takim przyjęciu. On czuł się wielce niekomfortowo, choć przecież pobyt w Syndykacie też nie obfitował w wygody. Nawet fakt, że stał razem z Plage na uboczu, przy jednej z zimnych ścian, nie pomógł w przełamaniu niechęci, w pozbyciu się wrażenia osaczenia. Wystarczyło, że patrzył na gości tłoczących się w centrum sali, na służących, przeciskających się między nimi z pełnymi tacami, a miał ochotę uciec. Podniesione głosy rozmawiających mieszały się ze sobą i przeplatały z żalobną muzyką fortepianową. Jakby trafił do koszmarnego świata na opak. Skoro przyjęcie urodzinowe obchodzono w ten sposób, to na pogrzebie zapewne wszyscy się radowali.

– Poczekaj tu – usłyszał cichy głos albinoski.

Bezwiednie powiódł za nią wzrokiem. Szła przez tłum spokojnym i pewnym krokiem, lekko kołysząc biodrami. Chłopak gapił się na nią, zapominając o celu misji. Z nieświadomego rozmarzenia otrząsnął się dopiero wtedy, gdy albinoska zatrzymała się przy jednym z posągów, przedstawiającym gargulca z wyszczerzonymi kłami. Skierował spojrzenie dokładnie tam, gdzie patrzyła Przywódczyni. Zorientował się, iż ukradkiem przygląda się pianistce, której wcześniej nie poświęcała zbytnej uwagi. Kobieta miała

długie czarne włosy i bladą skórę. Z takiej odległości nie widział rysów jej twarzy, zwłaszcza że siedziała bokiem, ale zauważył, iż ma długi tułów, a jej ramiona są szerokie oraz umięśnione jak u mężczyzny.

*To właśnie nasza ofiara* – w jego głowie nagle i znikąd pojawił się głos albinoski. Zamrugnął zdezorientowany i pośpiesznie wrócił spojrzeniem do białowłosej, lecz ta nadal wpatrywała się w pianistkę, jednocześnie odbierając kieliszek wina od jakiegoś służącego.

*Nie panikuj, koteczku. To tylko telepatia* – kolejne nieproszone słowa wdarły się do jego głowy. Skołowany mógł tylko stać w miejscu i zaciskać dłonie w pięści. O czym jeszcze nie wiedział? Czym jeszcze białowłosa miała zamiar go zaskoczyć? Nie dość, że czytała w jego myślach, to jeszcze mogła mu wysyłać własne! Zaczynało go to irytować, a zarazem pogłębiało fascynację, jaką w nim wzbudzała.

*Z tego, co wiem, po tym żalnym koncercie Blue ma się udać do swojej komnaty, by przygotować się na ceremonię urodzinową.* – Słowa białowłosej bez problemu docierały do umysłu oddalonego od niej chłopca, podczas gdy ona sama spokojnie sączyła wino z kieliszka. – *Do jej pokoju dostaniemy się przejściami dla służących. Będziesz siedział za mną w pewnej odległości. Aha, i postaraj się tego nie spieprzyć.*

Niemal w tym samym momencie melodia płynąca z instrumentu ucichła. Goście zaczęli bić brawo, a Blue podniosła się z krzesła i obróciła przodem do słuchaczy, by wykonać ukłon. Haru spostrzegł, iż kobieta ma intensywnie niebieskie oczy i wydatne wargi wykrzywione w drwiącym grymasie, zupełnie jakby urodziła się z takim wyrazem twarzy i nie mogła się go pozbyć. Zachwycone szmery przebiegały przez oklaskujący pianistkę tłum. Rudzielec przypatrywał się obliczom oraz reakcjom gości i widział w nich wyłącznie obłudę. Fałszywe uśmiechy, nieszczerze owacje i komplementy. Znajomy obrazek. Przypomniały mu się przyjęcia i uroczystości, w jakich brał udział w domu, dawno temu. Było niemal tak samo, tylko mniej ponuro. Ród Bloodline wydał mu się parodią jego własnej rodziny.

*Przygotuj się, za chwilę będziesz musiał wstrzymać oddech* – usłyszał zdumiewające ostrzeżenie albinoski. Wstrzymać oddech? O co jej chodziło? Niestety, stojąc z dala od Plage, nie mógł dopytać o szczegóły. Musiał jej tylko zaufać. Wydało mu się to zabawne. Wszak Syndykat potępiał wszelką słabość. A poleganie na innych było swego rodzaju ułomnością. Chłopak nie miał jednak wyboru. Wzmocnił swoją czujność, czekając nie wiadomo na co.

Blue obróciła się przez ramię i odeszła od fortepianu. Skierowała się ku wysokim łukowym drzwiom znajdującym się w głębi sali. Goście odprowadzali ją wzrokiem aż do momentu, kiedy zniknęła za drzwiami, zamykając je cicho za sobą. Wtedy wrócili do swoich rozmów, które bez towarzyszącej im muzyki stały się o kilka tonów głośniejsze i jeszcze bardziej drażniące.

*Teraz* – usłyszał komendę i natychmiast zaczerpnął duży haust powietrza, jakby szykował się do nurkowania. A potem...

Białowłosa spokojnie rozwarła palce, wypuszczając z dłoni pusty kieliszek. Naczynie spadało, a wargi Plage poruszały się szybko. Kiedy kieliszek sięgnął posadzki, zachował się w nietypowy dla szkła sposób. Nie rozbił się na kilka kawałków, lecz z cichutkim brzękiem rozprysł się w trylion maleńkich cząsteczek. Ten niby-pyłek błyskawicznie poderwał się w górę, ogarnął całą salę, po czym przezroczyście drobinki opadły na nieświadomych niczego gości oraz strażników. Ich rozmowy nagle przeszły w bełkot, a wyprostowane sylwetki poczęły garbić się i kołysać. Obecni pokrzykiwali, jęczeli lub chichotali bez żadnego powodu, chwiejąc się jak drzewa targane wiatrem.

Rudowłosa mało nie rozdziawił ust ze zdziwienia. Na szczęście w porę się powstrzymał. Taniec szaleńców – tak określił dziwaczne zachowanie balowiczów. Nie miał ochoty do niego dołączyć. Pośpiesznie zlustrował salę, szukając Przywódczyni. Dopiero po dłuższej chwili z ulgą dojrzał czerwony rąbek sukni, znikający w wąskim korytarzu znajdującym się niedaleko drzwi, przez które wyszła

Bloodline. Natychmiast ruszył za Plage, przeciskając się przez rozkołysany, zawodzący tłum gości. Objęli się o niego i zagrządzali mu drogę, mamrocząc coś bez ładu i składu. Łapali go za ramiona, to znów popychali, chichocząc do siebie. Zirytowany i zaniepokojony chłopak z wielkim trudem wstrzymywał oddech. Płuca paliły, domagając się tlenu. Kroki traciły płynność, wirowało mu w głowie, nie widział już, w którą stronę zmierza. Przed oczami migają otepiałe twarze, postacie ogarnięte amokiem, uszy zapychały jęki i zawrota. Robiło mu się niedobrze.

Jakimś cudem dotarł do wąskiego korytarza. Wypadł z sali, potykając się o własne nogi. Mało nie upadł. Nie wiedział, czy tutaj jest już bezpieczny, ale nie wytrzymał dłużej – zaczerpnął powietrza. Nic się nie stało...

Albinoska stała nieopodal, obojętnie wsparta o ścianę. Nie powiedziała ani słowa, jedynie skinęła na chłopaka, nakazując mu iść za sobą. Sprężystym i bezszelestnym krokiem ruszyła w głąb korytarza. Rudowłosa odetchnął głęboko kilka razy, by uspokoić tętno, i za moment podążył za nią. Chciał ją spytać, co się stało tam w sali, jak tego dokonała, lecz doskonale rozumiał, że nie pora na rozmowy, nawet gdyby raczyła odpowiedzieć. Musieli zachowywać się cicho. Choć większość strażników została otumaniona wraz z gośćmi, nadal kilku mogło patrolować korytarze.

Wkrótce napotkali pierwszy zakręt. Białowłosa szepnęła, że ktoś się zbliża i momentalnie przylgnęła do ściany; Haru zrobił to samo, chociaż niczego nie usłyszał. Albinoska uśmiechnęła się pod nosem i na moment przymknęła powieki. Nie musiała nawet wychylać się zza rogu, by ocenić liczbę zbliżających się nieszczęśników.

*Jest ich dwóch* – poinformowała go. Do Haru dopiero teraz dotarł cichy stukot czyichś butów. Czekał, wstrzymując oddech.

Nie zdążyli dotrzeć do rozwidlenia korytarza, kiedy białowłosa na nich wyskoczyła. Haru rozpoznał chrzęst łamanego karku, a potem świst sztyletu przecinającego powietrze. Kiedy się wychylił, ujrzał dwa trupy leżące na podłodze, jeden z wygiętą nienaturalnie szyją, drugi ze sztyletem w krtani. Zszokowany patrzył na Plage, nie mogąc pojąć, jak zdołała zabić ich tak szybko – żaden nie zdążył nawet jęknąć. Ona sama nie wyglądała ani na zadowoloną, ani na rozczarowaną. Jej porcelanowa twarz nie zdradzała żadnych emocji. Pochyliła się i złapawszy za skraj sukni, jednym szybkim ruchem rozerwała ją od dołu do góry. Najwidoczniej miała dość tej nienadającej się do walki kreacji; rzuciła ją na trupy mężczyzn.

– Mamy ćwierć świecy, zanim przejdzie tędy drugi patrol – oznajmiła, okręcając się na pięcie i ruszając w prawą odnogę korytarza.

– Wtedy ich zauważą i podniosą raban, prawda? – mruknął rudzielec, spokojnie przechodząc obok zwłok. Zapomniał o okazaniu należytego szacunku: nie dodał słowa „pani”. Plage również to zignorowała. Ścierając krew z policzka, odparła:

– Wtedy będziemy już daleko stąd.

\*\*\*

Przed pokojem Blue panowała kompletna cisza. Korytarz nie różnił się niczym od poprzednich – był tak samo zimny i ponury, zbudowany z ciemnych cegieł noszących ślady starości i zgnilizny. Białowłosa przystanęła nieopodal zaśniedziałych mosiężnych drzwi, na których wygrawerowano rozwartą wilczą paszczę. Wsparała dłonie na biodrach i ściągnęła brwi w skupieniu.

Haru stał tuż obok, przyglądając się jej zamyślanej twarzy. Wyglądała na zdeglustowaną. Coś poszło nie tak? Nie miał odwagi spytać. Zresztą jaki problem mógł się pojawić teraz, kiedy dotarli pod samą komnatę ofiary?

*Ona wie* – usłyszał głos Plage i zerknął na nią pytająco. – *Nie wiem skąd, ale Bloodline wie, że tu jestem. Słyszę jej oddech i przyspieszone bicie serca. Stoi tuż pod drzwiami. Czeki.* – Wąskie białe usta

wygięły się w rozbawieniu. – *Pewnie sądzi, że mnie zaskoczy. Co za durna, naiwna suczka.*

Rudzielec milczał, obserwując, jak Plage sięga do metalowej klamki. Popchnęła drzwi, zdecydowanie wkraczając do pokoju. Natychmiast czyjeś dłonie pochwyciły ją za ramiona i odciągnęły do tyłu. Haru nie miał wątpliwości, że białowłosa po prostu dała się złapać. Wysoka czarnowłosa kobieta oplotła ramieniem szyję Plage, a do gardła przytknęła długi, szeroki nóż.

– Sądziłaś, że nie wiem? – wycedziła jej do ucha.

Albinoska gwałtownie odchyliła głowę, potylicą uderzając w twarz przeciwniczki. Cichy trzask łamanej szczęki zabrzmiał dziwnie głośno w pustym, pozbawionym mebli pokoju. Zawtórował mu żalony jęk czarnowłosej, która zatoczyła się do tyłu i uderzyła głową o ścianę. Kiedy jej zamglone spojrzenie odzyskało ostrość, zdążyła tylko zobaczyć zbliżającą się pięść. Uderzenie było tak potężne, iż do reszty zgruchotało twarz Blue, a ją samą wbiło w ścianę. To był koniec – bolesny i upokarzający. Zginęła od uderzenia pięści, nawet nie od sztyletu.

– Trzeba było ciąć, zamiast pieprzyć. – Plage stała przed nieruchomym ciałem, patrząc na nie beznamiętnie. Powoli wyciągnęła ze zmiażdżonej twarzy swoją oblepioną tkankami i odłamkami pięści. Ciemnoczerwona maź z nieprzyjemnym chrzęstem ciągnęła się za jej dłonią. Albinoska rozluźniła poklejone palce, poruszyła nimi kilka razy, by w końcu wytrzeć je o ubranie. Drugą dłonią starła z twarzy bryzgi krwi.

Rudzielec stał za jej plecami, kompletnie oszołomiony. Już? Tak szybko? Zabiła jednym uderzeniem pięści! Z szoku i zachwyty aż w gardle mu zaschło. Przyglądał się Plage oczarowany, całkowicie zapominając o kontroli emocji. Musiała to wyczuć, bowiem łypnęła na niego karcąco.

– Czego się gapisz? Znikamy z tego grobowca.

# Rozdział V

*Wysokie obcasy eleganckich czerwonych butów stuknęły głośno na stopniach schodów. Ciemnoczerwona suknia szeleściła, ciągnąc się za właścicielką, która zbiegała w dół coraz szybciej i szybciej. Krótki, wściekły jęk odbił się od wilgotnych ścian lochów.*

*– Przeklęta gówniara!*

*Charlotte zatrzymała się gwałtownie, kiedy ujrzała zdewastowaną celę Plage. W złodowaciałych kratkach ziała wielka dziura o nierównych brzegach. Grube metalowe pręty były połamane, powyginane i powyrywane; walały się wokół jak po wybuchu. Ceglaste ściany popękały pod okrywającym je lodem. Kawałki sufitu wciąż spadały na podłogę usłaną śniegiem. W powietrzu panował ziąb – gorący oddech Nimfy Ognia przemieniał się w chmurki. Zacisnęła dłonie w pięści, aż zbieleły jej kostki.*

*– Jakim cudem ta szczeniara... – urwała, dostrzegłszy w rogu sali złamaną na pół magiczną obrozę. – Zerwała Zaklinacz...*

*– Nie powinno cię to dziwić, Charlotte, to była kwestia czasu – usłyszała głos Soshy, która właśnie zesłała po schodach i kroczyła wąskim korytarzem w jej stronę. – Widziałas przecież, jaką ta mała ma energię.*

*– Ale wyssałyśmy z niej większą część! – syknęła ognistowłosa, zarzucając bujnymi lokami.*

*– Co nie znaczy, że to, co zostało, jest słabe. Wręcz przeciwnie, nadal nas przewyższa.*

*– To niemożliwe! – wycedziła Nimfa Ognia, zaciskając palce na jednym z wygiętych prętów.*

*Pokrywający go lód zaskwierczał pod jej dotykiem, lecz nie roztopił się. Brwi Charlotte uniosły się w zdumieniu.*

*– To już bez znaczenia – oznajmił dziwnie słodki męski głos.*

*Na schodach pojawiła się wysoka postać, odziana w białe szerokie kimono. Twarz przybysza skrywał cień. Widoczny był tylko jego przestłodzony uśmiech.*

*– Znajdę ją wszędzie.*

\*\*\*

Haru gwałtownie zaczerpnął tchu – to nie była przyjemna pobudka. Jęknął głucho, obejmując się ramionami. Serce waliło mu jak młotem, a w uszach szumiało. Pod powiekami jeszcze wisiał obraz paskudnego uśmiechu. Chłopak pospiesznie przetarł oczy i westchnął głośno. Ostatnio Sny męczyły go noc w noc; czuł, że jeśli potrwa to dłużej, zwyczajnie zwariuje. Jego psychika była mocno nadwyrężona; akurat teraz, kiedy potrzebował maksimum skupienia i koncentracji, by trenować z Plage.

Ociężale otworzył oczy, mając wrażenie, jakby ktoś nasypał mu piachu pod powieki. Niemrawo rozejrzał się po pokoju. Usiadł na łóżku, ziewając głośno. Słońce jeszcze nie wzeszło, w pomieszczeniu zalegała szarość mglistego poranka. Młody demon obudził się trochę za wcześnie, ale dzięki temu zyskał nieco więcej czasu na rozciągnięcie ospałych mięśni i lepsze przygotowanie się do kolejnego spotkania z Przywódczynią. Na samą myśl poczuł dreszcz na karku i trudno mu było określić, czy to ze strachu, czy z przyjemnej ekscytacji. Przyjemnej...? Skąd w jego głowie takie niestosowne myśli?! Potrząsnął głową, próbując je odgonić. Nie zdążył. Usłyszał jej cierpki chichot. Chłopak zamrugał zdezorientowany i pospiesznie prześliznął się spojrzeniem po pokoju. Zamarł, kiedy ujrzał ją stojącą pod ścianą.

Była jak wyciągnięta z jego Snów. Dziewczynka, już nie dziecko, ale jeszcze nie dorosła kobieta. Posiniaczona i zakrwawiona. Ubrana w porwaną czarną sukienkę. Rozczochrane włosy zakrywały jej twarz. Czerwone oczy połyskiwały pomiędzy brudnymi kosmykami, kiedy wyciągnęła podrapane ramiona

w kierunku oniemiałego Haru.

Wargi chłopaka najpierw zadrgały panicznie, a potem zacisnęły się w wąską kreskę. Żrenice rozszerzyło przerażenie zmieszane z fascynacją. Palce wpiły się w twarde materac łóżka, z którego tak bardzo chciał wstać, a jednocześnie nie potrafił tego zrobić.

– Nie ma cię tu..

Jej spękane wargi uśmiechnęły się kpiąco. Głowę przekrzywiła lekko na prawo. Lewą dłonią odgarnęła postrzępione włosy, odsłaniając jedno oko, które przeszło go spojrzeniem.

– Powierzyłam ci siebie. Nie śmieć się mnie wypierać. – Jej głos był silnie schrypnięty i rozgniewany. Z oka powoli zaczęła sączyć się gęsta czerwień, ni to krew, ni farba. Spływała wprost na jej wykrzywione usta.

Demonowi zaschło w gardle. Oddech przyspieszył. Przez ciało przemknął zimny dreszcz. Jeszcze mocniej zacisnął dłonie na materacu.

– Nie... może... cię tu być... – powtórzył, kręcąc głową na boki. Starał się myśleć racjonalnie, lecz czy na to nie było już za późno, skoro miał tak realistyczne zwidy?!

Uśmiechnęła się, leniwie oblizując usta z czerwonej mazi. Potem przemówiła.

*Upuszczając krwi  
Rozlewając łzy*

Krew z jej oka i ust sączyła się dalej. Jak wąż sunęła po szyi i ramionach Plage, prześlizgiwała się wśród fałdów sukienki i niczym wstążka oplatała jej ramię. Dotarła do nadgarstka, tam owijając się najciaśniej.

*Obdarowując cierpieniem  
Dzieląc się smutkiem*

Krwawa smuga jak bicz wystrzeliła z jej dłoni. W okamgnieniu płynna strużka zmieniła się w grubą, twardą linę z ostrymi wypustkami. Owinięta wokół ramienia Plage raniła jej skórę, lecz dziewczyna niezbyt się tym przejmowała. Zacisnęła palce na biczu i kilka razy smagnęła nim w powietrzu. Rudowłosy obserwował wizję z zapartym tchem, nie wiedząc już, w co wierzyć. Chciał zamknąć oczy, uszczypnąć się i wybudzić z tej dziwacznej iluzji, lecz nie potrafił poruszyć nawet powiekami, ciągle szeroko rozwartymi. Nie umiał oderwać od niej wzroku, sparalizowany, zafascynowany.

*Zabierając sny  
Zostawiając wrzask*

Niespodziewanie strzeliła biczem w stronę chłopca. Gruba lina owinęła się wokół nadgarstka Haru, a ostre wypustki wbiły się w skórę. Wrzasnął, czując piekący, ostry ból, pochodzący nie tylko z zadanych ran. Natychmiast rozbolała go głowa, miał wrażenie, że jakieś potężne imadło ściska mu skronie. Na piersi zaległ niewidzialny gład, potwornie ciężki. Tymczasem bicz niczym żywe stworzenie oplatał mu rękę, pnąc się po przedramieniu, wpijając głęboko w skórę. Zatrzymał się dopiero przy łokciu.

Chłopak oddychał szybko i płytko. Z przestachem obserwował swoją rękę, broczącą krwią pomiędzy oplotami bicza. Serce tłukło się o żebra jak oszalałe, a on nadal nie potrafił się poruszyć. Wbił spanikowany wzrok w albinoskę. Uśmiechała się leciutko. Jej ściśnięte przez bicz ramię też krwawiło. Byli złączeni ową paskudną liną, po której płynęło coraz więcej czerwieni, spadającej na podłogę z cichym kap-kap.

Haru poczuł, jak przez jednoczący ich bicz przepływa fala energii. Cała jego dłoń zapłonęła bólem, który wyrwał mu z gardła dziki wrzask. Zawirowało mu w głowie. Żołądek podszedł do gardła, w oczach stanęły łzy. Pierwszy raz czuł tak ohydny i przytłaczający ból. Nie miał wątpliwości, że zaraz zemdleje. Oddech zamierał mu w płucach, a wzrok zasnuwały czarno-czerwone plamy. Nie poczuł nawet, gdy osunął się na bok i spadł z łóżka. Ostatnim, co zapamiętał, był śmiech małej Plage, chrapliwy i posepny.

Ocknął się nagle, krztusząc się własnym oddechem. Usiadł zbyt gwałtownie. W głowie znów mu zawirowało, a żołądek skreślił się nieprzyjemnie. Kilka kropli potu spłynęło po skroniach i kapnęło na podłogę. Zakaszłał, walcząc z mdłościami.

– Cholera... – wydukał, przygryzając dolną wargę. Odruchowo spojrział na swoje prawe ramię – było całe i zdrowe, bez ran po biczu. Wszystko przebiegło tak samo jak w pierwszym Śnie na jawie, kilka lat temu. Odetchnął głęboko i opadł plecami na podłogę. Zerknął w bok, w stronę łóżka i... serce podeszło mu do gardła.

Pościel zabrudzona była wielkimi plamami krwi. Zerwał się na równe nogi i obrzucił badawczym spojrzeniem cały pokój. Od łóżka aż do miejsca, w którym stała wcześniej albinoska, ciągnęła się nierówna ścieżka krwi. Raz szersza, raz węższa. Na końcu zmieniała się w lepka kałużę, w której odcisnęły się ślady małych stóp. Wokół skrzył się szron.

Rudzielec z wrażenia cofnął się pod ścianę. Przywarł do niej ciasno, a potem osunął się z jękiem na podłogę...

Zwariował. Oszalał na punkcie Lodowej Nimfy.

\*\*\*

Sala treningowa była wielka i pusta. Grube belki z wypolerowanego drewna podtrzymywały strop. Gołe ściany połyskiwały surowo, a podłogi nie wyłożono matami, mogącymi złagodzić upadek. Rudzielca wcale to nie dziwiło. W Syndykacie wyznawano zasadę: im więcej bólu, tym skuteczniejsza nauka. Miał zapamiętać ten trening i – co do tego nie miał żadnych złudzeń – zapamięta go na długo.

Białowłosa krążyła wokół niego, przyglądając się mu przeciagle. Nie wiedział, co chciała tym osiągnąć. Może wystawiała na próbę jego cierpliwość, a może oceniała go lub badała w jakiś inny sposób. On, w przeciwieństwie do niej, nie umiał czytać myśli. Choć dałby wiele, by bodaj na chwilę zajrzeć do głowy Plage i znaleźć tam odpowiedzi na dręczące go pytania.

Starał się patrzeć w ścianę i nie wodzić wzrokiem za białowłosą. Jednak ona sama się o to prosiła. Jej strój przyciągał wzrok. Miała na sobie białą sukienkę, swobodnie związaną na szyi. Materiał, który niemal zlewał się z jej skórą, prześwitywał lekko, ukazując bandaże ciasno opasujące biust i biodra. Bose stopy Plage bezdźwięcznie dotykały podłogi. Chłopak nie pierwszy już raz zastanawiał się, czy Przywódczyni nie unosi się minimalnie nad ziemią. Bowiem gdzie by się nie znajdowała, jak by nie była ubrana, zawsze poruszała się bezszelestnie. Rozpoznawał ją po delikatnym, zniewalającym zapachu mięty...

Haru szybko zamknął oczy, walcząc z własnymi fantazjami, w których on i Plage... Sam siebie nie rozumiał. Skąd mu się brały te myśli, a zwłaszcza uczucia, nad którymi zupełnie nie panował? Westchnął w duchu, zawstydzony. Poza tym wciąż nie potrafił zapomnieć porannego spotkania. To, co zaszło, burzyło jego spokój, niweczyło skupienie. Gdy wychodził z pokoju, krew i lód jeszcze tam były – nie miał odwagi ich zetrzeć.



Białowłosa zatrzymała się nagle, na wprost niego, stojąc w lekkim rozkroku, z rękoma splecionymi pod biustem.

– Czy domyślasz się, z jakiego powodu jestem tak ubrana?

Zaskoczyła go tym pytaniem. Nie spodziewał się, że Przywódczyni przyjdzie na trening tak skąpo odziana, a tym bardziej że będzie z nim o tym rozmawiać. Zarumienił się.

– Chyba po to, żeby mnie rozpraszać, pani... – wyrwało mu się i zaraz tego pożałował.

Albinoska parsknęła cicho.

– Swoje popędy lepiej schowaj głęboko i zapomnij o nich. To tylko kolejna, zbędna słabość. Moje ubranie jest białe, by lepiej uwidocznic ci różnicę w naszych poziomach. Podczas gdy ty będziesz brudny od krwi, ja pozostanę nieskazitelnie czysta. Rozumiesz?

Młody demon pospiesznie potaknął głową. Zapowiadało się na coś o wiele bardziej brutalnego, niż sądził. Mocniej zacisnął palce na rękojeści broni. Miał przy sobie swojego ulubionego towarzysza walk: czarną, długą katanę. Natomiast jego ubranie diametralnie różniło się od odzienia białowłosej. Chłopak nosił zwyczajny strój do walki, skórzany i ciemny.

– Atakuj – usłyszał obojętny rozkaz. Zerknął na nią niepewnie. Patrzyła na niego nagłoco, ale nadal stała z założonymi rękami, w ogóle nieprzygotowana do walki. – No, na co czekasz?

– Nie chcę walczyć, gdy ty, pani, nie masz żadnej bro...

Nie dokończył, bo białowłosa nieoczekiwanym kopniakiem podcięła mu nogi. Stało się to tak szybko, że rudowłosy nawet nie zauważył, kiedy znalazł się na podłodze, z jej stopą na plecach.

– To się dzieje, kiedy masz zbędne skrupuły. To po pierwsze. Po drugie, naprawdę sądzisz, że potrzebuję broni, by pokonać kogoś takiemu jak ty? Moje i twoje doświadczenie dzieli odległość tak wielka, jak stąd do Morza Wschodniego. – Jej słowa wgniały go w podłogę bardziej niż drobna bosa stopa. – Wiesz, gdzie to jest?

– Tysiące mil stąd... – bąknął rudzielec, ze wstydem wpatrując się w podłogę. Miała rację, skrupuły nie powinny go powstrzymywać. I przecież nie hamowały od momentu, w którym pierwszy raz zabił, by zdobyć pożywienie. Co się z nim działo? Zawsze przy niej miękł i zmieniał się w potulne ciele, którym przecież nie był. Trzeba z tym skończyć. Jakkolwiek.

Plage cofnęła stopę. Rudowłosy demon nie zdążył porządnie stanąć, kiedy usłyszał:

– Dobrze, zaczynamy.

I natychmiast został wyrzucony w powietrze niezauważalnym a potężnym ciosem. Uderzyłby o ścianę, lecz w ostatnim momencie wypuścił katanę z dłoni, przeistoczył się w kota, obrócił w locie i zaparł o drewno wszystkimi czterema łapami. Mięśnie napięły się boleśnie, poduszeczki łap zapiekły, lecz kończyny zadziały jak sprężyny. Odbił się i nieco niezgrabnie opadł na podłogę. Przeturlał się i wrócił do ludzkiej postaci. Potrząsnął głową i rzucił się w stronę leżącej na posadzce katany. Wyprzedziła go stopa albinoski, która przydepnęła miecz, a potem szybkim ruchem odepchnęła go daleko w głąb sali.

– Sprytne, ale nieprzemysłane – oznajmiła, patrząc na niego z góry. Chłopak warknął gardłowo i odbił w bok, chcąc ją wyminąć. Plage zakręciła się w zgrabnym piruecie i w mgnieniu oka znalazła się przed rudowłosym. Zamachnęła się prawą nogą, wymierzając demonowi silne kopnięcie w szczękę. Znowu potężne uderzenie wyrzuciło go w górę i cisnęło o ścianę, tym razem z pędem, który nie dał mu szans na jakąkolwiek reakcję. Walnął plecami o twarde drewno i runął na ziemię z głuchym stęknieniem. Charknął krótko, zapierając się dłońmi o podłogę i unosząc pierś. Poczawszy w ustach krew, splunął siarczyście i pospiesznie wstał. Nie mógł się guzdrać i zniechęcać bólem. Albinoska na pewno nie poczeka, aż się otrząśnie. Gdzie zniknęła? Przed oczami mu wirowało. Skupił wzrok, ale nigdzie jej nie było. Ujrzał za to katanę, leżącą samotnie w odległym kącie sali. Już miał ruszyć w jej kierunku, kiedy Plage śmignęła mu za plecami i uderzyła łokciem między łopatki. Chłopak prychnął ze złością; tym razem utrzymał

równowagę, ratując się od upadku szybkim obrotem przez ramię. Niewiele to jednak pomogło, bowiem białowłosa już była gdzie indziej – właśnie przelatowała nad jego głową w wysokim saltie. Rudzielcowi adrenalina zagotowała się w żyłach, ale i tak miał wrażenie, że w porównaniu z nią porusza się jak w smole. Wylądowała za nim, bez choćby cichego plaśnięcia bosych stóp o podłogę. Odwrócił się instynktownie i zasłonił ramieniem. To był błąd – mocne, błyskawiczne i wysoko wyprowadzone kopnięcie trafiło go w przedramię, łamiąc kość. Upadł, zwijając się w kłębek i przyciągając obolałą rękę do brzucha. Zadrzał, warcząc z bólu przez zaciśnięte wargi.

Plage zatrzymała się nad nim jak kat, jej cień padł na wykrzywioną twarz chłopaka.

– I to wszystko? Podnoś się! – rozkazała nieporuszona cierpieniem swego ucznia. Rudzielec zajączkał głośniej, chroniąc dłonią wygięte nienaturalnie przedramię. W jego głowie brzęczało stado szerszeni, zwiększając ból, odbierając zdolność logicznego myślenia i jakiegokolwiek działania. Nie mógł nic zrobić, kiedy albinoska chwyciła go za kamizelkę. Siłą go postawiła i spojrzała lodowato w mętniejące oczy.

– Masz walczyć.

– Jak mam walczyć ze złamaną ręką?! To głupie! – wykrzyczał, purpurowiejąc z wysiłku. Jego głos zabrzmiał śmiesznie słabo, a w głowie zahuczało jeszcze bardziej. Spuchnięta od wcześniejszego uderzenia szczęka pulsowała bólem. Przedramię płonęło. Obawiał się, że długo już nie wytrzyma.

Jak przez mgłę widział kamienną twarz Przywódczyni. Nie zrobił na niej wrażenia swoim nagłym buntem. W końcu uśmiechnęła się i niespodziewanie złapała go za rękę – jednym błyskawicznym ruchem nastawiła kości. Nieoczekiwany ból znów wyrwał wrzask z gardła rudowłosego. Gdy Plage go puściła, upadł, kuląc się w pozycji embrionalnej. Co to miało być? Uczestniczył już w wielu brutalnych treningach, na których nauczyciele kazali mu walczyć mimo siniaków, zwichnięć i krwawiących ran, lecz nikt nigdy nie zmuszał go do walki ze złamaniami. Czy to było w ogóle możliwe?!

Białowłosa stała nad nim; nie musiał patrzeć jej w oczy, by wiedzieć, że właśnie spogląda na niego z pogardą i obrzydzeniem.

– Głupie jest to, że nie umiesz wykorzystać tego, kim jesteś – zaczęła. – Demony to nie ludzie, nie elfy czy wilkołaki. Uznawani jesteśmy za najwytrzymalszą z ras. A ty przecyzysz temu założeniu. Posiadamy energię, która umożliwia nam ignorowanie bólu i leczenie rozległych obrażeń. Jeśli nie nauczysz się tego wykorzystywać, długo nie pożyjesz, a na pewno nie przeżyjesz moich treningów.

Chłopak zaciskał powieki, łykając krew płynącą z popękanych warg. Nastawione przedramię nie bolało już tak okropnie, ale nadal nie dawało o sobie zapomnieć. Wiedział, że Plage ma rację. Demony regenerowały własne obrażenia, lecz działało się to zwykle podczas snu, w przeciwnym razie potrzebowały na to wielu świec. Jednak on leżał u stóp najbardziej brutalnej nauczycielki, z jaką dotąd miał do czynienia i nie sądził, by dała mu czas na leczniczy sen.

– W takim razie... – zaczął bełkotliwie, plując krwistą śliną – muszę zasnąć, pani... Albo zyskać więcej czasu...

– Rób, co chcesz. – Obróciła się do niego plecami i wyciągnęła dłoń przed siebie. Czerwone smugi energii wystrzeliły z jej palców i popłynęły przez salę, by wreszcie dotrzeć do leżącej w kącie katany. Oplotły ją szczelnie i przyciągnęły. Chłopak zadrzał, widząc swoją ukochaną broń w dłoni Plage. Ona nie zaszczyciła go jednym spojrzeniem. Ruszyła do wyjścia, oznajmiając w przestrzeń:

– Kiedy wrócę, masz być gotowy.

## Rozdział VI

– Nie uciekniesz, Plage!

Biegła przez mgłę. Jej bose stopy nurzały się w bagnistej ziemi, która pluskała głośno niczym woda. Otaczał ją ciemny las pełen ciernistych krzewów, chwytających za zniszczoną i ubłoconą sukienkę. Promienie wschodzącego słońca ledwo przebijały się przez gęste korony drzew, malując na opadłych liściach krwisto-rude plamy.

Dziewczynka wybiła się wysoko nad ziemię i złapała za grubą gałąź. Zakołysała się, po czym wyrzuciła swoje ciało wyżej, lądując na kolejnym konarze. Natychmiast skoczyła dalej, odrywając drobinki rozkruszonej kory. Uderzyła stopami w następną gałąź i znowu się odbiła. Ciche trzaski tworzyły dźwiękową ścieżkę dla prześladowcy. Plage nawet nie starała się kryć; wręcz przeciwnie, wyglądało na to, iż chciała pozostawić za sobą jak najwięcej śladów.

Przeskakiwała z drzewa na drzewo szybko i sprawnie, lądując na większych konarach bądź chwytając się cieńszych gałęzi. Spoglądała do tyłu z błyskiem w czerwonych oczach. Włosy smagały ją po twarzy i chudych ramionach, czasem przysłaniały wzrok, lecz zerkając za siebie, wciąż widziała podążającą jej tropem postać. Uśmiechała się, jakby z zachętą...

Blondyn w szerokim białym kimonie bez trudu dotrzymywał jej kroku. Chyba dobrze się bawił, biegnąc za nią po drzewach. Był już tuż-tuż, niemal deptał dziewczynce po piętach.

Zdawała się na to czekać. Znienacka chwyciła konar nad sobą i okręciła się wokół niego z impetem. Potężne kopnięcie trafiło nadbiegającego Dereka prosto w pierś i odrzuciło pomiędzy drzewa. Kimono załopotało. Leczące ciało złamało kilka gałęzi i mniejszych drzewek. Zatrzymał je dopiero szeroki pień wiekowego dębu. Głuchy jęk wyrwał się z piersi mężczyzny, z ust wypłynęła strużka krwi. Albinoska nie dała mu opaść na ziemię. Jak strzała przebyła dzielącą ich przestrzeń i z rozpędu kopnęła go wierzchem stopy w szczękę. Kilka większych kropel krwi chlapnęło na liście, a Derek znowu został gwałtownie wyrzucony w powietrze. Białowłosa natychmiast skoczyła za nim.

Wyprzedziła go, zanim uderzył w następne drzewo, i zadzierając wysoko nogę, wymierzyła kolejnego kopniaka. Spadł na głowę mężczyzny z siłą młota. Blondyn runął na ziemię, błoto chlusnęło na boki. Plage wylądowała tuż obok, cicho i zgrabnie. Górowała nad mężczyzną. Kąciki warg wygięła w chłodnym uśmiechu.

– Żałosne. – Wyciągnęła prawą dłoń, zatrzymując ją nad bezwładnym ciałem blondyna. Rozwarła palce i przywołała czerwone smugi energii, które sycząc i strzelając, utworzyły w jej dłoni lodowe ostrze. Pozbawione rękojeści, długie, płaskie, zygzakowate jak błyskawica, o ostrych brzegach lśniących złowrogo. Mierząc w Dereka, uniosła je w obu dłoniach, niczym w rytualnym obrzędzie.

– Giń. – Ze świstem opuściła ostrze, lecz wbiło się tylko w błotnistą ziemię. Jej powieki drgnęły, a źrenice błysnęły zaskoczeniem. Poczowała czyjś obecność za plecami i odwróciła się. Stał tam, brudny i uśmiechnięty szeroko. Nie zdążyła zareagować, kiedy z niesamowitą szybkością chwycił ją za gardło i uniósł wysoko, palcami miażdżąc krtań.

– Nie powinnaś być taka pewna siebie – zaświergotał, wpatrując się w nią turkusowymi oczami węża. – Nie jesteś już najsilniejsza, moja Shirane no Chou.

Prychnęła stłumionym głosem i wierzgnęła nogami, kopiąc go w odsłonięty brzuch. Nie zareagował, to ona poczuła ból, jakby sparzyła się o jego energię. Mocniej zacisnęła palce na lodowatym ostrzu, które momentalnie się wydłużyło. Wzrosło ponad Dereka i zgięło się nad nim jak

kosa, a potem niespodziewanie skręciło w dół, mierząc w czubek jego głowy.

Mężczyzna w ostatnim momencie zastąpił się ramieniem i ostrze przeszło je na wylot. Krew z przebitego ramienia polała się na jego głowę, spływając po skroniach. Kilka strużek pociekło przez czoło i dalej na oczy. Derek odruchowo zamknął powieki.

Plage wykorzystała tę chwilę słabości – z trudem, karkołomnie wykręcając szyję, wgryzła się w jego dłoń. Mężczyzna stęknął cicho i puścił swą zdobycz, odskakując do tyłu. Jego ramię z ohydny chrzęstem zsunęło się z lodowego ostrza; krew siknęła na pobliskie krzewy. Białowłosa opadła na ziemię, z trudem utrzymując równowagę. Spojrzała na skórę swoich stóp z niedowierzaniem – naprawdę się poparzyła. Coś ją przytłaczało, coś niewidzialnego, ledwie trzymała się na drżących nogach, nie radząc sobie z naporem ciężkiego powietrza.

– Dały ci... moją energię... – wysyczała. Zakasłała, duszona przez siłę ciśnienia. Wsparła się na lodowej włóczni i zagryzła wargi.

– Zauważyłaś? – zdziwił się uprzejmie Derek. Bawił się z nią od samego początku. – Tak, twoje siostry ożywiły mnie z pomocą energii, którą wcześniej zabrały tobie. Zdziwiająca... Jakim cudem twoje mizerne ciało utrzymało w ryzach całość tej potężnej siły? – Od niechcienia startł błoto z twarzy i obrzucił małą Plage litościwym spojrzeniem. – Ale nie martw się, teraz większa część tego niesamowitego ciężaru spoczywa na mnie, więc... – Zmrużył oczy w złośliwym grymasie. – Pokłoń się, dobrze ci radzę.

– Pocałuj mnie w dupę. – Wargi dziewczynki wykrzywiły się w drwiącym uśmiechu, a jej kark zadrżał, kiedy nadal uparcie stawiała opór energii Dereka. Ten zacmokał i pokręcił głową teatralnie.

– Nie chciałem tego, ale sama się prosisz, moja Shirane. – Wyciągnął przed siebie dłoń, powolnie zaciskając palce w pięść. Przezroczysta energia wprawiła powietrze w drganie. Albinoska jęknęła głucho, a lodowe ostrze głębiej wbiło się w ziemię i z chrobotem przesunęło w tył. Aura naciskała na Plage coraz mocniej. Opór stawał się daremny, ostre brzegi poczęły ciąć jej dłonie. Wreszcie lodowa włócznia nie wytrzymała i z dźwięcznym trzaskiem rozprysła się na kawałki. Dziewczynka upadła w błoto. Zacisnęła palce na brudnym, wilgotnym piachu i zawarczała głośno, bezskutecznie próbując się podnieść. Energia Dereka bez większych problemów trzymała ją przy ziemi.

– Poznasz w końcu smak przegranej, potężna Shirane no Chou.

\*\*\*

Obudził się, sycząc. Nie był to syk bólu ani goryczy. Był to bezwarunkowy odruch organizmu, jak zwykle zbyt nagle wyrwanego ze Snu. Przez moment nie potrafił pojąć teraźniejszości, w której objęciach znów się znajdował, oślepiiony przeszłością, która ani trochę mu się nie podobała. Nie dowierzał i pragnął zaprzeczyć temu, co zobaczył. Plage, jego niezwycięzona, niebezpiecznie silna bogini, została zepchnięta ze swojego tronu, ściągnięta na ziemię, unurzana w błocie, pokonana przez tego, którego wcześniej z taką łatwością zabiła. Nie! To nie mogło dziać się naprawdę! Nikt nie mógł jej dorównać! Tylko ona posiadała wystarczającą moc, by bezkarnie gardzić wszystkimi wokoło. Ale nikt nie miał prawa gardzić nią. Rudzielec odnosił wrażenie, jakby ktoś wlał mu do głowy płynny żar, roztopiający wewnątrz czaszki. Wszystko, w co wierzył, właśnie zostało podane w wątpliwość. Niepokonana Przywódczyni Syndykatu wcale nie była niezwycięzona? Derek – tak brzmiało imię winowajcy, który śmiał naruszyć świętą zasadę zakodowaną w umyśle Haru! Chłopak nie czuł zawodu ani rozczarowania. Czuł tylko złość i nie była ona skierowana przeciwko Plage, a przeciw temu, który odważył się ją upokorzyć. Niewybaczalna zbrodnia!

Jego ramię zapulsowało, prosząc o uwagę. Rudzielec silniej zacisnął powieki, chcąc wyrwać się z transu. Dzwoniło mu w uszach, skronie mrowiły dziwnym natarczywym bólem. Ociężałe otworzył oczy i z niechęcią spojrzał na obolałe jeszcze ramię. Rozwarł palce i zacisnął je w pięść, kilka razy zgiął

i rozprostował łokieć – złamanie się zagoiło. Jego energia perfekcyjnie poradziła sobie z kontuzją, co chłopca szczerze zdziwiło. Sen był najlepszym sposobem na regenerację ciała demonów, lecz Haru pierwszy raz musiał zająć się tym tak szybko, poganiany przez gniew albinoski. Nie sądził, że mu się uda, ale przynajmniej wiedział teraz, skąd pochodził namacalny wręcz ból głowy. Energia i ciało działały w pośpiechu, poradziły sobie z jednym problemem, ale stworzyły następny.

Niemrawo rozejrzył się po sali treningowej i zorientował się, że nadal jest sam. Świetnie! Jeśli tylko uda mu się wstać, będzie gotowy na powrót Plage i na pewno mile ją zaskoczy. Uśmiechnął się do siebie i szybko uniósł tułów. Równie prędko opadł z powrotem na podłogę, powalony przez potężny zawrót głowy.

– Niedobrze... – wymamrotał, gapiąc się bezradnie w sufit. Jeśli przyjdzie mu kontynuować trening w takim stanie, Plage go rozniesie. Zaraz, już dawno to zrobiła.

– Jeszcze raz. – Tym razem ostrożnie i powoli zaparł się dłońmi o podłogę. Wziął kilka głębszych oddechów i zaczął prostować ramiona, uważając, by głowa nie zmieniała swojego położenia zbyt szybko.

Udało mu się usiąść.

Podłoga i ściany wirowały, mnożyły się w oczach i rozciągały. Niedobrze... tragicznie wręcz. Wyleczenie ręki przyplącił czymś, co zwykle nazywać się kacem. Zbyt duża ilość energii działająca w zbyt krótkim czasie. Nie pozostawało mu nic innego, jak poczekać, aż skutki pośpiechu miną. Modlił się w duchu, by Plage nie miała jeszcze ochoty wracać. Zamknął oczy i spróbował się skoncentrować. Słyszał tylko przemożny szum, obijający się o ściany czaszki jak natrętna mucha o szyby. Co mógł zrobić? Jedyne, co przyszło mu na myśl, to medytacja, której uczyła go albinoska. Wyciszenie i spokój – to mogło pomóc, a przynajmniej miał taką nadzieję.

Nie zdążył jednak nawet spróbować nowej sztuczki, gdy szerokie drzwi sali rozsunęły się, wpuszczając do środka chłodny powiew rześkiego powietrza. Rudzielec jęknął, czując na sobie czyjeś spojrzenie. Czyli, jak się zresztą spodziewał, jego modlitwy nie zostały wysłuchane. Otworzył powieki niechętnie, lecz ku swojemu zdziwieniu nie ujrzał albinoski.

W drzwiach stała pomarszczona staruszka, ta sama, którą regularnie spotykał w bibliotece, a której imienia wciąż nie poznał. Jej maleńkie oczy, niemal niewidoczne w fałdach starczej skóry, wpatrywały się w Haru z zamyśleniem. Potem błysnęły żywo, a kobieta ruszyła ku niemu truchtem. Błyskawicznie schwyciła chłopaka za ramiona i poderwała do pionu, nie zważając na jego słabość i buntowniczy warkot. Zaczęła nim potrząsać, dysząc nerwowo przez spękane usta.

– Musis uciekać! – Jej zdolności wysławiania się jak zwykle pozostawiały wiele do życzenia, zwłaszcza gdy krzyczała, plując na rozmówcę. – Wiem, kim jesteś! Ona jeszcze nie wie, ale kiedy się dowie...

– Puść mnie, do cholery! – Rudowłosy szarpał się w uścisku jej kościstych dłoni, czując, że głowa zaraz mu eksploduje. Co gorsza, mimo swojej postury, staruszka była od niego o wiele silniejsza, chwyt pątkowatych palców był mocny i bolesny.

– Do cholery! Własnie! – Kobieta nadal potrząsała chłopakiem jak kukielką. – Do cholery! Wiezys tej cholery, a ona zabije cię, gdy tylko się dowie! Uciekaj, póki mozes...

– Obrażasz Przywódczynię, stara wariatko – wycedził wściekły rudzielec, wzdrygając się z odrazą. Na twarzy czuł krople jej śliny. Zbierało mu się na wymioty, a bełkot staruchy coraz mocniej go irytował. Tym bardziej że nie rozumiał, o co chodzi.

Bibliotekarka znieruchomiała, a jej twarz zastygła w wyrazie wielkiego zawodu.

– A więc tak dziękujes mi za pestroge, dziecko – wymamrotała i rozwarła palce. Chłopak prychnął pod nosem, z pewnym trudem utrzymując równowagę. Nadal słyszał krzyki staruszki, mimo że ta już

zamilkła. Echo jej wrzasków rozsadzało mu skronie.

– O czym ty bredzisz?

– Ach, więc nie wiesz... Nie wiesz nawet, kim jesteś.

– A to cię oświecę, bo jednak wiem! – Rudowłosa był coraz bardziej rozdrażniony. Czekoladowe oczy pociemniały, wypełniając się czernią. – Haru Saruku, uczeń Syndykatu i przyszły Skrytobójca, durna wiedźmo!

Staruszka splunęła na podłogę i zamamrotała coś pod nosem. Kościste dłonie drgały chaotycznie. Paciorkowate oczka błyskały rozeźleniem i trwogą. Wyglądała jak opętana.

– Nic nie wiesz. Zupełnie nic – bełkotała po swojemu, omiatając salę rozbieganym spojrzeniem. – Ona cię dopadnie. Biała lisica. Ohydna, wstrętna jędza! – Jej dykcja poprawiła się zadziwiająco szybko.

Haru zacisnął dłonie w pięści. Gniew niemal go zatykał. Zazgrzytał zębami, a w oczach rozblęsnął czarny ogień rozbudzonej energii. Chłopak już miał na końcu języka kąśliwe przekleństwo, już rozwierał wargi, by je wypowiedzieć, kiedy rozległ się w sali dźwięk rozsuwanych drzwi. Rudzielec i staruszka zamarli, od razu rozpoznając aurę tej, która weszła do pomieszczenia. Kobieta zatrzęsała się jak galareta, a Haru posłał jej triumfalny uśmiech.

Białowłosa podeszła do skłóconej dwójki i zatrzymała się za plecami zgarbionej staruszki. Westchnęła z politowaniem.

– Ohydna, wstrętna jędza, tak? – powtórzyła i złapała w palce kilka siwych kosmyków. – Po pierwsze mogłaś wymyślić coś bardziej oryginalnego, a po drugie... – bezlitośnie szarpnęła staruszkę za włosy, obracając przodem ku sobie – powtórz to teraz. Powiedz mi to prosto w twarz, spróchniały worku na kości.

Kobieta dygotała, jej ptasia pierś unosiła się w szybkim, rzęzącym oddechu. Z przerażeniem wpatrywała się w spokojną, niemal pogodną twarz Przywódczyni. Wiedziała już, że następnego dnia nie dożyje.

– Wybacz mi, pani! – Padła na kolana i ramionami objęła nogi albinoski. – Błagam cię, nie jestem warta twojego gniewu!

Białowłosa skrzywiła się z odrazą i odepchnęła ją od siebie silnym kopniakiem. Kościste ciało staruszki poturlało się po drewnianej podłodze, zatrzymując dopiero przy rozwartych na oścież drzwiach.

– Wynoś się. – Plage machnęła na nią dłonią. Bibliotekarka wyczołgała się z sali, szlochając przejmująco. Albinoska przewróciła oczami, po czym utkwiała spojrzenie w milczącym Haru. Chłopak nerwowo przełknął ślinę.

W głowie miał mętlik. Mimo wściekłości, która dopiero w nim stygła, wiedział, że staruszka chciała mu coś przekazać. Mogło to być coś niesłychanie ważnego albo... absurdalnego, wyssanego z palca. Ostrzegała go przed Plage, choć przecież od samego początku doskonale wiedział, że Przywódczyni jest niebezpieczna – każdy członek Syndykatu zdawał sobie z tego sprawę. Ostrzegała go przed sytuacją, gdy albinoska pozna prawdę o nim, dowie się... Czyżby chodziło o jego Sny?! Lecz jak?! Skąd by wiedziała...? Stop! Plage stała tuż przed nim i przewiercała go wzrokiem. Mogła w tej chwili czytać w jego myślach jak w otwartej księdze! Potrząsnął głową i nerwowo się po niej podrapał, szukając słów.

– Czemu ta kobieta cię obrażała, pani? – rzucił pospiesznie, nie znajdując innego tematu. – Jakim prawem?

– To tylko idiotka, której starość zaćmiła rozum. Nie bardzo interesuje mnie jej zdanie na mój temat. Mam teraz ważniejsze sprawy na głowie, na przykład twój trening.

Haru rozpromienił się, natychmiast zapominając o zdarzeniu sprzed paru chwil.

– Mój trening jest dla ciebie ważny, pani?

– Dostarcza mi rozrywki.

– Cieszę się, że mogę cię zabawić, pani. – Uśmiechnął się zadowolony, chyba zaskakując ją swoją radością. Uniosła brwi, w na wpół szczerym, na wpół kpiącym zdumieniu. Prychnęła krótko, po czym otaksowała wzrokiem jego wyleczone ramię.

– No proszę, nie spodziewałam się, że poradzisz sobie z regeneracją w tak krótkim czasie. – Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Dla ciebie, pani, mogę... – urwał swój wywód szybciej, niż go zaczął, bowiem Plage przyłożyła palec do jego czoła i popchnęła leciutko. Zachwiał się na nogach i przeklął pod nosem, rumieniąc się. Niemal upadł. Zawstydzony spuścił wzrok.

Przywódczyni zachichotała cierpko.

– Tak myślałam. Twoje ciało nie przywykło jeszcze do tak szybkiej regeneracji. Przez jakiś czas będziesz się czuł jak po wypiciu zbyt dużej ilości alkoholu. Oczywiście, domyślasz się, że nie zatrzyma to twojego treningu, prawda?

– Oczywiście, pani.

– Zaczniemy od typowej, przezabawnej gry. – Białowłosa wkroczyła na środek sali i Haru dopiero teraz spostrzegł, iż trzyma w dłoni jego katana. Fakt, że jego ukochana broń znajduje się w rękach Przywódczyni, z jednej strony irytował go, a z drugiej napawał dumą. Kto inny doświadczył takiego zaszczytu? Nikt, tylko on jeden miał okazję powierzyć Plage własną broń. Nawet jeśli sama ją sobie wzięła.

– Gry? – powtórzył.

– Objaśnię ci zasady. Słuchaj uważnie. Nawet ty powinieneś je zrozumieć. – Czarna katana zawirowała w białej dłoni. – Twoim zadaniem jest odzyskanie miecza. Musisz mi go po prostu zabrać. Ale wraz z upływem czasu będę wprowadzać małe utrudnienia. Jeśli nie odzyskasz swojej broni dostatecznie szybko, mogę zacząć się nudzić, a wtedy zaatakuję. A jeśli kilka zadrapań nadal nie okaże się dla ciebie wystarczającą motywacją do skuteczniejszych starań, zginiesz. Wszystko jasne czy mam powtórzyć?

– Jasne jak słońce, pani. – Rudzielec skrzywił się lekko, oczywiście nie dlatego, iż czegoś nie pojął, a właśnie dlatego, że pojął wszystko doskonale.

Białowłosa uśmiechnęła się do niego lisio.

– Czas start.

Ruszył na nią natychmiast, z impetem wybijając się w górę. Obraz Plage zamazywał mu się przed oczami, młynkująca katana dwoiła się i troiła, a kiedy doskoczył do niej z wyciągniętymi palcami, zniknęła. Rozpędzony chłopak runął na ziemię i przeokoziłkował kilka razy. Wyhamował tuż przed ścianą i momentalnie się poderwał, fukając jak rozeźlony kocur. Odwrócił się i ponownie skoczył w kierunku albinoski. Ta nawet nie drgnęła. Dopiero kiedy chłopak prawie chwycił za ostrze, odchyliła je niby od niechcenia, sprawiając, iż znowu umknęło jego palcom. Udało mu się złapać równowagę, lecz w głowie poczuł nieprzyjemne wirowanie. Przeklął w myślach własną energię i powoli odwrócił się ku albinosce.

Patrzyła na niego z lekkim uśmiechem, spokojnie przerzucając katana z dłoni w dłoń. Chłopaka ogarnęła złość. Najwidoczniej świetnie się bawiła, podczas gdy on czuł się jak idiota, nie potrafiąc odebrać własnej broni. Wziął głęboki oddech, próbując się skoncentrować. Przez moment obserwował jej dłonie; na nich skupiał całą swoją uwagę. Kiedy wybił się silnie, nadal nie spuszczał katany z oczu. Na chwilę wszystko zwolniło, widział każde drgnięcie jej ręki, widział, jak delikatnie napinała mięśnie, kiedy się zbliżał. Nie zdołał jednak zauważyć momentu, w którym zabrała mu broń tuż sprzed nosa, a kiedy ocknął się z transu, znów hałaśliwie ślizgał się po podłodze.

– Podnosimy poprzeczkę – usłyszał za sobą. Podparł się na drżących rękach i wstał. Z ulgą spostrzegł, że szum oraz zawroty głowy zelzały. Może potrzebował tylko rozgrzewki. A może wystarczyło, że

przestał myśleć o swoich dolegliwościach.

– Nie minął nawet ogarek świecy, pani – poskarżył się.

Przywódczyni wzruszyła barkiem.

– Nudzi mi się – stwierdziła po prostu, wymachując kataną i beznamiętnie przypatrując się ostrzu.

Chłopak wystartował, chcąc wykorzystać chwilę jej nieuwagi. Odchyliła się i podstawiła mu nogę. Runął na ziemię jak długi.

– To nie w porządku! – wrzasnął poirytowany, po raz kolejny zmuszony podnosić się z podłogi. Gdy tylko to zrobił, od razu szybkim ruchem wyciągnął dłonie w kierunku katany.

– A będzie jeszcze gorzej – odparowała, sprawnie unikając kolejnego ataku. Chłopak złapał tylko powietrze. Odwrócił się błyskawicznie, znowu rzucił na albinoskę i ponownie bezskutecznie. Przeleciał obok niej i niezgrabnie wylądował na tyłku.

Czas mijał na powtórkach nieudanych prób. Chłopak doskakiwał i podbiegał do albinoski na różne sposoby, raz szybciej, raz wolniej, planując lub improwizując na bieżąco, a ona za każdym razem uchylała się lub przesuwiała o krok. Co rusz też popychała go, podstawiła mu nogę lub uderzała płazem katany w plecy, kiedy śmigał obok niej, łapiąc w dłonie jedynie powietrze. Ani razu nie musnął katany choćby palcem. Kiedy zdyszany i poobijany ponownie rozpląszczył się na drewnianej posadzce, usłyszał nad sobą jej krótkie stwierdzenie:

– Następny poziom.

Rozpoznał charakterystyczny świst opadającego ostrza. Przeturlał się po ziemi, unikając ataku, i czarna katana zazgrzytała o drewno, rysując w nim głęboką bruzdę. Chłopak poderwał się do pionu, oddychając szybko i nierówno. Utkwił spojrzenie w białowłosej zbliżającej się do niego z kocią gracją.

– Jak mam zabrać ci kataną, pani, kiedy nią atakujesz? – wydyszał zniechęcony, napinając mięśnie.

– To już twój problem – odparła. – Ostrzegałam cię. Im dłużej katana pozostaje w moich dłoniach, tym bardziej robi się niebezpieczna. A ty... chyba nie masz zamiaru ciągle uciekać? – Z tymi słowami ruszyła na niego jak wystrzelona z procy. Rudowłosy zareagował właśnie tak, jak powiedziała, ucieczką, wykręcił się w zwodzie i odskoczył, byle jak najdalej od niej. Nie było to rozsądne, bowiem o wiele sprawniejsza i szybsza Plage natychmiast znalazła się tuż za nim i machnęła ostrzem w krótkim, precyzyjnym cięciu.

Rudowłosy zasyczał głośno, łapiąc się za rozcięte ramię. Krew wyciekała spomiędzy palców, płynąc po skórzanej rękawie kurty. Jednocześnie uskoczył w inną stronę, lecz niewiele to dało, bowiem albinoska zastąpiła mu drogę i naznaczyła drugie ramię. Rudowłosy zaklął siarczyście i począł wycofywać się małymi krokami. Szła za nim ze spokojnym uśmiechem.

– Nie będę się powstrzymywać. A tobie radzę, przyłóż się, bo zaraz twoja świeca zgaśnie – skwitowała, zbliżając się nieubłaganie.

Rudzielec stał w miejscu, zaciskając dłonie na rozciętych ramionach. Krew nadal się sączyła, wsiąkając w ubranie. Chłopak wiedział, że rany są płytkie, nie mogły go zabić, za to okropnie piekły. Plage umiała zadawać ciosy, a Haru zdawał sobie sprawę, że wbrew temu, co powiedziała, hamowała się. Gdyby walczyła na serio, gdyby używała wszystkich swoich sił i umiejętności, już dawno leżałby martwy. Niestety nie miał pewności, czy białowłosa znów się nie znudzi i nie podniesie „poziomu”. Musiał się pospieszyć i odebrać jej broń, nim będzie za późno. Zacisnął wargi i ruszył do ataku z gardłowym warkotem.

Przed pierwszym cięciem katany uchylił się zgrabnie, czując, jak stal przecina powietrze tuż nad jego głową. Nie zrażając się niebezpieczeństwem, wyprostował się i błyskawicznie wyciągnął palce po broń. Zgięty łokieć albinoski uderzył go w przedramię, przesuwając jego rękę w dół. Mgnienie później kolejnym celnym sieknięciem zraniła go w bok. Zagryzł wargi i powstrzymał się przed ucieczką –



spróbował złapać rękojeść katany. Białowłosa zawirowała w piruecie i znalazłszy się za Haru, ukośnym cięciem naznaczyła mu plecy. Chłopak wrzasnął głośniejsze, a ona zatańczyła na bosych stopach, by znów znaleźć się przed nim.

– Mam cię tak ciąć po kawałeczku?

Podjudzony rudowłosy odpowiedział doskokiem i chwytem, który znowu okazał się niecelny. Od razu musiał umknąć w giętkim zwodzie, by uniknąć następnego uderzenia katany. Udało się, ale chwilę później Plage poczęstowała go kopniakiem z kolana w brzuch. Zgiął się wpół, a wtedy łokieć Przywódczyni z impetem wbił się między jego łopatki. Runął na podłogę, dławiąc się śliną i bólem. Usłyszał świst ostrza i zrobił największą głupotę, jaka mogła mu wpaść do głowy. Przekręcił się szybko na plecy i wyciągnął dłoń, wystawiając ją wprost pod miecz. Zagryzł wargi, kiedy katana wryła się głęboko w skórę i kości śródrezcza, po czym zacisnął palce wokół ostrza.

– Mam. – Uśmiechnął się szeroko do stojącej nad nim albinoski. Spodziewał się zobaczyć zdumienie na jej twarzy, lecz ona pozostawała niewzruszona.

– Idiota – podsumowała tylko i jednym zamaszystym ruchem wyciągnęła ostrze. Krew bryznęła obficie, a Haru zacisnął wargi, by stłumić wrzask. Zrezygnował. Nie miał zamiaru podnosić się po raz kolejny, lecz wtedy kątem oka ujrzał, jak pięta albinoski opada wprost na jego głowę. Przeturlał się w popłochu, o włos unikając zmiążdżenia czaszki – stopa z hukiem łupnęła o deski, łamiąc wierzchnią warstwę. Chłopak zadrżał, gdy wyobraźnia podsunęła mu obraz tego, co mogło się stać. Instynktownie zerwał się na równe nogi i wbił w białowłosą zdumione spojrzenie. Grała coraz bardziej ostro, a jemu wcale się to nie podobało.

Dalszy trening wyglądał trochę jak taniec, lecz o ile Plage radziła sobie w nim ze zjawiskowym wdziękiem, o tyle rudzielec zdawał się w ogóle nie znać kroków. Jego stopy plątały się, z trudem podtrzymując poranione, obolałe ciało. Coraz rzadziej zdobywał się na próby odzyskania katany, ciągle zmuszany do uników i odskoków, które robił coraz wolniej, bardziej nieporadnie. Ona płaśała wokół niego, zadając cios za ciosem. Broczył krwią obficie z licznych ran, lecz ani jedna kropla nie ubrudziła łopoczącej białej sukienki Przywódczyni. Zupełnie tak, jak to zapowiedziała.

Haru opadał z sił. Kiedy po raz ostatni spróbował doskoczyć do białowłosej, tylko zawirowała kataną w powietrzu i zatrzymała ostrze tuż przed nosem nadbiegającego chłopaka. Zahamował w pośpiechu z szeroko otwartymi oczami, czując jak adrenalina rozsadza mu żyły.

– Cholera!

Zamachał ramionami jak ptak chcący wzbić się do lotu, lecz nie uratował się przed upadkiem i łupnął pośladkami o podłogę. Gdyby nie stracił tyle krwi, pewnie oblałby się teraz rumieńcem. Jednak nie miał już sił nawet na zawstydzenie. Umazany, zdyszany, posiniaczony, poharatany wieloma cięciami, dał radę jedynie podnieść wzrok na górującą nad nim albinoskę.

Patrzyła na Haru jak na ofiarę, którą za chwilę uśmierci. Wyniosła i drapieżna. Jej wąskie usta wygięły się kpiąco.

– Naprawdę nie domyśliłeś się, o co w tym wszystkim chodzi?

– O co... takiego... pani? – wybełkotał, ścierając krew z rozciętych ust.

– Wystarczyło poprosić. – Uśmiechnęła się do niego łagodnie, lekko mrużąc oczy. Rudzielec wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

– I naprawdę oddałabyś mi katanę, pani?

Wydeła wargi, kpina wróciła, gdy mruknęła:

– Nie.

Chłopak czekał na werdykt, starając się nie zwracać uwagi na ból promieniujący z licznych ran, wcześniej tłumiony przez podniecenie walką, a teraz narastający w zatrważającym tempie. Oddychał

płytko i miał problem z utrzymaniem się w pozycji siedzącej. Mimo to czekał posłusznie na polecenia Przywódczyni.

– Wystarczy na dzisiaj – powiedziała tylko, co szczerze rudowłosego zaskoczyło. Spodziewał się wykładu na temat tego, jaki jest beznadziejny. Przyglądał się jej bez słowa, wykończony, zdumiony. – Jutro spróbujemy czegoś innego. Przyjdź tu dopiero po południu. – Obróciła się do niego plecami i ruszyła do wyjścia.

– A...ale... Moja katana...

– Chcesz ją? Więc musisz ją sobie wziąć. Dzisiaj straciłeś na to szansę. Przygotuj się na jutro. Nie oglądając się, wyszła na korytarz.

## Rozdział VII

Tej nocy nie nawiedził go Sen i czuł się wypoczęty bardziej niż zwykle. Nie chciał marnotrawić wolnego czasu, dlatego wybrał się do biblioteki. Doskonale znał drogę i szybko przemierzał mostki. Czasami przeskakiwał barierki i korzystał ze skrótów. Mocne drewniane kładki trzeszczały cichutko pod jego stopami, a on wsłuchiwał się w szum jeziora falującego pod miastem. Bez problemu wymijał inne demony, które tłumnie napotykał na swej drodze. W głowie wciąż tkwiło mu wspomnienie wczorajszego dnia i tego, jak zakończył się trening.

Kazała mu przyjść później, ale nie odważył się spytać dlaczego. Miał się przygotować, ale nie wiedział na co. Dłonie szpeciły liczne szramy i blizny. Cieszył się, że jest demonem, członkiem rasy najlepszej w regeneracji – czuł, że jeszcze nie raz przyda mu się ten dar po treningach z Plage.

Stare schody biblioteki lśniły w promieniach porannego słońca. Było tu cicho i pusto jak zawsze, zwłaszcza o tak wczesnej porze. Wbiegł po stopniach i wpadł przez rozchylone drzwi do wnętrza budowli.

Zapach starych książek i atramentu odurzył go. Uwielbiał tę woń i mógłby nią oddychać zamiast powietrza. Ciągnęło go do tego miejsca, jakiś głosik w głowie powtarzał w kółko, że musi tu dzisiaj przyjść. Rozglądał się w poszukiwaniu bibliotekarki, pamiętając o wydarzeniu z wczoraj. Zastanawiał się, jaka kara ją spotka lub już spotkała za obrazę Przywódczyni. Rzadko ktoś sprzeciwiał się Plage. Nauczyciele wpajali uczniom szacunek do białowłosej, którego ci nie zamierzali podważać, zachwyceni i przejęci opowieściami o nieograniczonej potędze Przywódczyni. Była symbolem perfekcji, do której dążył każdy członek Syndykatu. Mało kto buntował się przeciwko niej, a Haru w ogóle nie pojmował sensu takiej postawy. Przecież albinoska była idealna, wyzbyta z uczuć, pozbawiona wszelkich skrupułów – stanowiła niedościgły wzór, do którego sam aspirował, jednocześnie wiedząc, że nigdy nie osiągnie jej poziomu.

Usłyszał odgłos energicznych kroków i zaciekawiony ruszył w kierunku, skąd dobiegał stukot butów. Minął kilka wypełnionych książkami regałów, aż wreszcie stanął naprzeciw zgarbionej staruszki. A więc nie została w żaden sposób ukarana? Przyglądał się z daleka, jak truchta ku niemu. Ani drgnął, obserwując ją chłodno. Gdy zatrzymała się przed nim, spojrzał na jej pomarszczoną twarz nieco wyzywająco. Staruszka, nadzwyczaj cicha i ponura, położyła drżącą dłoń na jego barku. Chłopak zamierzał się wyszarpnąć, lecz naraz ujrzał na jej obwisłej skórze coś niepokojącego i serce podskoczyło mu do gardła. Na ramieniu bibliotekarki zostały wycięte krwawe słowa: „Ohydna, wstrętna jędza”. Skóra wokół czerwonych, babrzących się bruzd była sino-żółta i napuchnięta. Najprawdopodobniej wdało się zakażenie – rany wyglądały okropnie i wydzielaly odór gnijącego ciała.

Rudzielec starał się zachować zimną krew. Przecież opowiadano mu o torturach, jakie potrafiła wymyślać białowłosa. Ta z „krwawymi literami” podobno była jej ulubioną, choć miała w repertuarze wiele innych, jeszcze paskudniejszych. Słyszał o tym dużo, lecz efekt widział pierwszy raz i musiał przyznać, że robił wrażenie.

Kobieta wykrzywiła usta w niechętnym grymasie i zmarszczki mimiczne pogłębiły się.

– Pani chyba cię lubi. Miała dobry humor po treningu. Inaczej byłabym martwa.

Haru zamrugał, wlepiając w nią zaskoczone spojrzenie. Lubi go? Jakoś nie chciało mu się w to wierzyć. Jeśli faktycznie miała dobry humor, objawiający się „łaskawością”, to najpewniej dlatego, że porządnie go wczoraj sprząła. Z jednej strony żałował, że bibliotekarka nadal żyje – niespecjalnie za nią

przepadał – z drugiej odczuwał niejaką satysfakcję – mógł ją wypytać i mieć nadzieję, że zakażenie, którego się nabawiła, zakończy jej życie.

– Przywódczyni okazała ci zdecydowanie zbyt wiele łaski. Ale skoro już muszę cię oglądać... Przydad się na coś i wyjaśnij te brednie z wczoraj.

Bibliotekarka patrzyła na niego surowo, a on odpowiadał równie twardym spojrzeniem, w duchu zastanawiając się, kiedy stał się taki pewny siebie. Czyżby przebywanie z białowłosą wpływało na niego bardziej, niż przypuszczał? Podobało mu się to.

– Choc za mną – zasepleniła staruszka, szybkim krokiem ruszając między regały. Rudowłosy poszedł za nią, wsłuchując się w głośnie skrzypienie jej wiekowych kości.

Kobieta mknęła w labiryncie regałów, zostawiając chłopaka daleko w tyle. Nie przejmował się tym. Nie była to jego pierwsza wizyta i znał tutejsze zakamarki niewiele gorzej od bibliotekarki. Jednak ciekawość i chęć rozwiązania zagadek prowadziły go za staruszką. Szedł za nią zdecydowanym krokiem, ukradkiem zerkając na grzbiety książek. Miał nadzieję odnaleźć coś przydatnego, może coś na temat ukrywania myśli. Ostatnio nie miał czasu na ćwiczenia, a coraz bardziej obawiał się, że albinoska w końcu wyciągnie z jego głowy zbyt wiele.

– Tutaj – usłyszał zachrypnięty głos staruszki i pospiesznie odszukał ją wzrokiem. Stała przy jednym z regałów i właśnie łąpała za średnich rozmiarów księgę. Odwróciła się do rudowłosego, przydreptała do niego i podała mu wolumin.

– Po co mi to? – Zmarszczył czoło, prześlizgując wzrokiem po spękanej skórzanej okładce, nieposiadającej żadnych ozdób ani nawet tytułu.

– Psecytaj, a zrozumiesz. – Kobieta wepchnęła mu tomiszczę w dłonie i pospiesznie się oddaliła. Rudzielec zastanawiał się przez chwilę, czy nie zignorować jej polecenia i nie odłożyć książki na miejsce. Ale tylko przez chwilę; wiedział przecież, że im księga starsza, tym ciekawsza, a ta wyglądała, jakby miała zaraz rozpaść się w jego rękach. Rozejrzał się i odnalazł wzrokiem mały stolik usytuowany pomiędzy dwoma regałami. Ułożył na nim książkę i usiadł na obdrapanym taborecie. Przesunął palcami po grzbiecie księgi, powoli, niemal z namaszczeniem, po czym otworzył ją ostrożnie. Dopiero tutaj, na pierwszej kartce, pożółkłej i pomarszczonej, ujrzał tytuł: „Jasnowidz Paradoksu”, autor nieznan.

Zaciekawiony przewrócił kartkę i wlepił wzrok w tekst widniejący na następnej stronie. Im dalej czytał, tym bardziej się wciągał.

*Jasnowidz – to słowo kojarzy się każdemu z nas tak samo. Człowiek widzący przyszłość, potrafiący przewidzieć wydarzenia, które dopiero mają nastąpić. Niewiele jest w dzisiejszym świecie autentycznych Wyróżnionych, częściej spotykamy bluźnierców podszywających się pod nie. Jednak ten, o którym piszę w tej księdze, do nich nie należy. Więcej, jest zjawiskiem rzadkim nawet wśród innych Wyróżnionych, stanowi paradoks, niemożliwy absurd, który podważa wszystkie moje dotychczasowe badania dotyczące Jasnowidzów.*

Rudzielec oderwał się na chwilę od lektury, tknięty dziwnym przeświadczeniem, że ktoś go obserwuje. Rozejrzał się uważnie, przepatrując każdy kąt. Nie dojrzał jednak nikogo i uznał, że wyobraźnia płata mu figle. Zniecierpliwiony i zafascynowany wrócił do lektury.

*Wyróżniamy kilka podstawowych cech, które określają Jasnowidza Paradoksu i odróżniają go od zwykłego Jasnowidza.*

*Po pierwsze Jasnowidz Paradoksu nie posiada talentu widzenia przyszłości. Zdarzają się osobnicy, którym się to czasem udaje, jednak zawsze jest to wizja niepełna, symboliczna i bardzo trudna do*

rozszyfrowania, nigdy tak przejrzysta i jasna jak u normalnego Jasnowidza. Jasnowidz Paradoksu widzi odległą przeszłość lub teraźniejszość odległą w przestrzeni.

Po drugie wizje zwykłego Jasnowidza nawiedzają go niezależnie od pory dnia, przychodzą bez zapowiedzi i nie podlegają żadnym schematom, żadnej regule. Natomiast wizje Jasnowidza Paradoksu przychodzą do niego tylko, gdy zasypia. Obrazy pojawiają się w jego snach, zazwyczaj wracając z dużą częstotliwością. Odkryłem kilka niezwykle przypadków, kiedy Paradoks miewa wizje wybiegające poza moje zrozumienie. Przychodzą do niego za dnia, nie będąc ani przeszłością, ani teraźniejszością, czy też przyszłością. Są to twory umysłu, których na razie nie potrafię rozszyfrować. Wizje bardzo realistyczne i przerażające, czasami mogące nawet ranić swojego twórcę.

Serce rudzielca waliło jak szalone. Pokrył się gęsią skórką na całym ciele. Oniemiały wbijał wzrok w tekst. W głowie miał mętlik. To niemożliwe! Próbował wmawiać sobie, że zbieżności między treścią książki a tym, co działo się w jego życiu, to tylko zbiegi okoliczności. Przerażony i ciekawy zarazem, czytał dalej.

Po trzecie i najważniejsze wizje Paradoksa skupiają się tylko i wyłącznie na jednej osobie. Jak dotąd nie odkryłem, czemu tak się dzieje i od czego zależy wybór. Jasnowidz Paradoksu rodzi się z więzi łączącą go z daną osobą (nazwałem ją Sacrum, bowiem przeważnie jest ona traktowana przez Jasnowidza jak świętość, niezależnie od tego, jaka jest naprawdę). Więzy tej nie da się w żaden sposób rozerwać czy zmienić na inną. Gdy moce Paradoksa się budzą, widuje w swoich snach przeszłość Sacrum, od samych narodzin aż do momentu, gdy jego wizje mieszają się z teraźniejszością. Jasnowidz Paradoksu jest więc zmuszony w swych snach przeżywać przeszłość Sacrum, czy tego chce, czy nie, jednocześnie stając się najdoskonalszym źródłem wiedzy na temat danej osoby.

Kiedy wizje przeszłości wyczerpią się, w swych snach widuje wierny obraz teraźniejszości przeżywanej przez Sacrum, przeważnie wtedy, gdy związanej z nim osobie coś zagraża. Nie przecoczy więc żadnego niebezpieczeństwa czyhającego na jego bóstwo, a z tego, co mi wiadomo, większość Jasnowidzów Paradoksu popada w istną obsesję chronienia swojego Sacrum, nawet kosztem własnego życia.

Zastanawiam się więc, czy ów dar nie słuszniej byłoby nazwać przekleństwem.

Rudowłosy demon nie czytał dalej – nie był w stanie. Z nerwów i przejęcia cały dygotał. Wszystko się zgadzało! Jego sny i wizje zawsze we śnie, skupiały się tylko wokół Plage! Oglądał jej przeszłość w Snach, a jedna z realistycznych wizji była bardzo bolesna. Czyżby to chciała mu przekazać bibliotekarka? Naprawdę był Jasnowidzem Paradoksu? Na dodatek Jasnowidzem samej Przywódczyni Syndykatu?! To zbyt niesamowite.

– Niemożliwe... – Głos mu drżał i ledwo przechodził przez ściśnięte gardło. Momentalnie pojął grozę swojej sytuacji. O tym mówiła staruszka. Plage na pewno nie chciałaby, aby ktokolwiek wiedział o niej tak dużo, zwłaszcza że była piątą Nimfą, kimś niemającym prawa istnieć. Kiedy się dowie, zabije go bez wahania!

Poderwał się, z hukiem wywracając taboret. Głośno przełknął ślinę, przyglądając się otwartej księdze z daleka. Nagle wydało mu się, że kartki mogą go poparzyć, że nie powinien ich dotykać. Nie chciał wiedzieć więcej! Dlaczego akurat on?! Dlaczego wybrał na Sacrum Plage?! A może to ona go wybrała? I w jednym, i w drugim wypadku nie miał pojęcia, co o tym sądzić, jak sobie z tym poradzić. Póki nie znał prawdy i nie rozumiał swoich Snów, było mu o wiele łatwiej. Teraz wiedział aż za dużo.

Usłyszał, że ktoś za nim staje i odwrócił się w popłochu. Widząc przed sobą uśmiechniętą krzywo

staruszkę, zacisnął pięści i syknął niczym rozwścieczony kot.

– Skąd wiedziałaś?! – Popchnął ją z całej siły na regał. Książki posypały się na jej głowę, lecz nawet nie jęknęła. Była o wiele bardziej wytrzymała, niż wskazywałyby na to jej wiek i wygląd. Otrzeptała się z kurzu i utkwiała w Haru jadowite spojrzenie małych oczek.

– Chciałam ci pomóc. Chciałam to ukrywać – cedziła, plując obficie. – Ale po tym, co złożyło się wcoraj, wydam cię bez wahania. Pani na pewno mnie wynagrodzi...

– Wydasz mnie? – Chłopiec nie kontrolował mimiki swojej twarzy, nie czuł nawet kiedy uśmiechnął się dziko, a jego oczy wypełniała czarna energia. – O ile przeżyjesz.

\*\*\*

Ktoś boleśnie chwycił go za ramię, odciągając w tył. Głowę Haru rozsadzał przeraźliwy pisk, więc w popłochu złapał się za skronie. Poczł pod palcami ciepłą, lepłą ciecz, pachniała znajomo... Krew. Jego oczy jeszcze zasnuwała czerń, lecz rozplątywała się coraz szybciej. Co się stało?

Wraz z odzyskiwaniem świadomości i ostrości widzenia, wzrastały jego zdumienie i strach. Człczyjąś obecność za plecami, natomiast przed sobą miał istne pobożowisko. Kilka regałów i mniejszych półek przewróciło się, książki leżały wokół, rozrzucone w nieładzie, niektóre rozerwane na pół, inne poszarpane na strzępy. Pod drewnianą ścianą spoczywało przechylone na bok ciało bibliotekarki. W jej brzuchu tkwiła gruba księga, wbita na sztorc głęboko w trzewia, z których sączyła się gęsta krew. Powyżej, po lewej stronie klatki piersiowej, z ciała kobiety wystawała drewniana noga wyrwana ze stolika. Twarz bibliotekarki była blada, a oczy zasły mgłą.

Haru gubił się w natłoku myśli. On to zrobił...? Jak? Kiedy? Czemu nic z tego nie pamiętał?! A może to nie jego sprawa? Więc skąd ten zanik pamięci i krew na dłoniach? Nie tylko na dłoniach – cały był ochlapany jeszcze ciepłą juchą. Zabił, zupełnie nie kontrolując tego, co robi!

Obejrzał się za siebie i ujrzał trójkę oniemiałych nauczycieli. Dwóch mężczyzn, których nie kojarzył, i zielonowłosa kobietę, swoją pierwszą nauczycielkę, o której niemal już zapomniał. Nie odzywali się i z niedowierzaniem patrzyli na zmasakrowane ciało staruszki. Chłopiec poczuł satysfakcję, pierwszy raz widząc na twarzach nauczycieli zwykły strach. Nie opuściło go jednak wrażenie zagubienia, nic z tego nie rozumiał i nie miał pojęcia, jak reagować.

– Ty... – wycedziła zielonowłosa i urwała, jakby nie potrafiąc znaleźć dość mocnej obelgi. – Jak śmiałaś ją zabić?! – Zamachnęła się, by wymierzyć rudzielcowi policzek, lecz ten uchylił się odruchowo, wprawiając trójkę nauczycieli w jeszcze większe osłupienie. Kobieta warknęła i uderzyła jeszcze raz, tym razem nie dając chłopakowi żadnych szans. Z trudem utrzymał się na nogach.

– To tylko stara bibliotekarka, znajdziecie sobie nową. – Uśmiechnął się drwiąco, udając obojętnego. W rzeczywistości trwożyły go własna nieprzewidywalność i dziura w pamięci. Nie potrafił przywołać żadnego obrazu związanego ze śmiercią staruchy.

– Była starsza i obdarzona o wiele większym doświadczeniem niż ty, dumny smarkaczu! – warknął drugi z nauczycieli, ruszając energicznie w kierunku chłopca. – Za taki brak szacunku powinieneś... – Umilkł i zatrzymał się z uniesioną do ciosu pięścią. Pozostała dwójka również zamarła, a po chwili wszyscy uklękli, chyląc nisko głowy. Dopiero teraz rudzielec wyczuł subtelną, znajomą woń mięty zmieszana z chłodnym powiewem aury – zapach Przywódczyni. Tętno Haru zagalopowało. Wróciło do niego wszystko, czego dowiedział się z księgi. A jeśli Plagę wtargnie teraz do jego umysłu? Niczego przed nią nie ukryje, żadnego sekretu, nie da rady, a ona nie będzie miała najmniejszych problemów z podsłuchaniem jego spanikowanych myśli.

Nim zdążył postawić choć szcążkową barierę, ujrzał ją, kroczącą dumnie między regałami. Miała na sobie obcisły skórzany strój, który nosiła podczas misji – a więc dlatego kazała mu zjawić się na treningu

później, musiała wykonać jakieś zlecenie. Wracała z misji, zapewne udanej; na jej jasnej skórze widniała smuga krwi. Czemu tutaj przyszła, co ją przyciągnęło?

– Na kolana, smarkaczu – usłyszał za sobą stłumiony głos jednego z nauczycieli i zorientował się, że Plage jest już bardzo blisko, a on nadal stoi jak wryty, gapiąc się na nią. W trakcie wspólnych treningów nie wymagała od niego ukłonów i innych ceregieli. Zapomniał więc o nich. Spłonął rumieńcem i poprawił się natychmiast, padając na kolana śladem pozostałych. Nie zwrócił uwagi na to, iż klęknął w kałuży krwi. Nasłuchiwał jej zbliżających się kroków, coraz bardziej zdenerwowany.

Wreszcie stanęła obok, nic nie mówiąc. Haru zgadywał, że przygląda się efektom jego niekontrolowanego wybuchu. Nauczyciele również milczeli, a kiedy zerknął ukradkiem w ich kierunku, spostrzegł, że jeden z mężczyzn trzęsie się jak galareta. Z jakiegoś powodu poczuł rozbawienie jego strachem. Z trudem powstrzymał uśmiech i w tym samym momencie usłyszał znużone westchnięcie albinoski.

– Wstać – rzuciła chłodno.

Zrobił, co kazała, lecz nie odważył się teraz na nią spojrzeć. Usłyszał, że nauczyciele również się prostują, co albinoska skwitowała zniesmaczonym prychnięciem.

– Mówiłam tylko do mojego ucznia – wyjaśniła, a trójka zakłopotanych demonów natychmiast opadła z powrotem na kolana, jeszcze korniej chyląc czoła. Rudzielec znów musiał powstrzymać uśmiech. Radość wyparowała, gdy wyczuł utkwione w sobie lodowate spojrzenie.

– To twoja robota?

– Tak, pani – potwierdził. Nauczyciele dali mu to jasno do zrozumienia, nawet jeśli nic nie pamiętał z całego zajścia.

Plage obróciła się ku zwłokom. Pochyliła się nad ciałem, przyglądając się trupowi z uwagą. Przesunęła palcami najpierw po zakrwawionej księdze wbitej w brzuch ofiary, a potem po drewnianym trzonku wystającym z piersi. Czerwone oczy błysnęły, a wąskie usta uniosły się w zadowolonym uśmiechu.

– Należy ci się pochwała, koteczku – powiedziała. – Poradziłeś sobie bez broni. Idealne wykorzystanie otoczenia. Książka i noga od stołu, pomysłowe, choć ja przygniotłabym ją regałem, bądź skręciła jej kark gołymi rękami. Cóż, sposobów jest wiele, a ja nie mogę ograniczać cię tylko do swoich.

Zdumieni nauczyciele westchnęli cicho, a rudzielec poczuł się dziwnie zmieszany. Rumieńce na jego policzkach pociemniały. Pogubił się, nie miał pojęcia, jak traktować słowa Przywódczyni. Kpiła sobie z niego czy mówiła szczerze? Pochwała z jej ust, wyrażona w obecności nauczycieli, wydawała się zbyt łaskawą. A może jego czyn naprawdę zrobił na niej wrażenie? Przecież lubowała się w zadawaniu cierpienia.

– Dziękuję, pani – wydusił z siebie.

– Ależ, pani... – odezwała się zielonowłosa drżącym głosem. – To obraza starszych. Powinien zostać ukarany. Zabił kogoś o wiele bardziej doświadczonego. To kompletny brak szacunku i... – Urwała, gdy Plage zbliżyła się do niej w dwóch susach. Omiotła kobietę zimnym spojrzeniem, a potem stopą docisnęła jej głowę do podłogi.

– Od kiedy to ty decydujesz, co jest słuszne, a co nie, Raphaela?

– Wybacz mi, pani. – Słowa zielonowłosej ledwo przeciskały się przez gardło.

Plage jeszcze mocniej przydepnęła głowę kobiety – aż deska w podłodze zatrzęszczała, a z ust nauczycielki wyrwał się jęk. Potem łagodnym gestem odgarnęła włosy z ramion i kątem oka zerknęła na truchło leżące pod ścianą.

– I tak zamierzałam ją dziś wykorzystać podczas treningu, jako żywy cel dla mojego ucznia. – Ton jej głos był niejednoznaczny: kpiący i lodowato rzeczowy zarazem.

Haru przebiegły ciarki po plecach. Nie potrafił się zdecydować, czy Plage igra z nim, z nauczycielami, czy może mówi całkiem serio. Na dodatek za każdym razem, gdy nazywała go „swoim uczniem”, czuł przyjemne ciepło w sercu, choć nie miał pewności, czy jej słowa nie są wyłącznie ironią, którą celowo wprowadzała go w błąd.

– Posprzątać i znaleźć kogoś nowego na stanowisko staruchy – zarządziła. Potem przeniosła spojrzenie na Haru. – Ty, za mną.

Chłopak natychmiast ruszył z miejsca. Obejrzał się jeszcze na zdezorientowanych nauczycieli i posłał im triumfalny uśmiezek, po czym przyspieszył kroku, by zrównać się z Przywódczynią. W głowie miał mętlik. Nie rozumiał jej zachowania, nie wiedział, co sądzić o odkrytym darze „paradoksalnego jasnowidzenia”, skupionego właśnie na Plage, a przede wszystkim nie miał pojęcia, jak się przy niej zachowywać, by nie dać niczego po sobie poznać. Szedł u jej boku w ciszy, z pochyloną głową. Milczenie zaczynało mu ciążyć. Musiał jakoś zacząć rozmowę.

– Czy nie powinnaś mnie jednak ukarać, pani? To złamanie podstawowych zasad.

Czy on się właśnie podlizywał? Znając Przywódczynię, z pewnością właśnie tak to odebrała. Zerknął na swoje umazane krwią dłonie i wzdrygnął się na wspomnienie tego, co zaszło. Zamordował bibliotekarkę, nie będąc świadomym swoich czynów. Musiał porozmawiać z Plage, może ona wyjaśniłaby mu, co się stało, gdyby raczyła się odezwać.

– Pani?

Łypnęła na niego przenikliwie. Nerwowo przełknął ślinę i niemal wpadł na regał, nie zauważając go. Nie zatrzymał się jednak, chcąc nadążyć za Plage.

– Jeśli to włożenie w tyłek miało zrobić na mnie wrażenie, to ci nie wyszło – zbesztła go szorstko, kierując się ku wyjściu z biblioteki. – Poza tym nie wyobrażaj sobie za dużo. Nie ratowałam cię przed karą. Chciałam się tylko podroczyć z tymi durniami, przy okazji utrudniając ci życie. Jestem pewna, że będą się mścić na tobie za moje... specjalne traktowanie.

Haru najpierw oblała gorąca fala zawstydzona, a potem zmroziła świadomość brutalnej prawdy. Pogrywała i z nim, i z nauczycielami. Jak zwykle po prostu się bawiła, a on robił sobie jakieś głupie nadzieje. Chociaż... nadal chciał wierzyć, że pochwaliła go szczerze. Szkoda, że na wspomnienie pochwały wróciło inne: obraz zmasakrowanego ciała staruszki. Musiał jej powiedzieć!

– Pani, ja... To było dziwne... Ja nie pamiętam...

– Wiem – przerwała mu. – Wyczułam twoją energię, którą przesiąknęły książka i drewno. Powiedziała mi bardzo dużo o tym, co się tam stało. Planowałam poczekać z treningiem do południa, ale zaczniemy go już teraz. Potrzebujesz o wiele więcej czasu, niż sądziłam.



## Rozdział VIII

– Pokaż mi swoją energię – padł krótki rozkaz, kiedy już znaleźli się w sali treningowej.

Jego myśli nadal błądziły wokół biblioteki, książki i morderstwa. Tak wiele pytań i żadnej odpowiedzi, a on musiał skupić się na treningu. Westchnął cicho. Bez słowa sprzeciwu przywołał swoją aurę. Czarne smugi i jęzory energii poczęły krążyć wokół Haru. Słyszał, jak trzeszcza. Widział, jak wystrzeliwują w różnych kierunkach, niespokojnie uderzając o ściany i sufit. Tworzyły coraz większy i grubszy krąg wokół niego. Rzadko przywoływał energię, bowiem zawsze, gdy stał pośród wirującej gwałtownie czerni, odnosił wrażenie, że tkwi w centrum burzy. I wcale nie czuł się bezpiecznie, zdając sobie sprawę z nieobliczalności własnej aury.

Przywódczyni nie wyglądała ani na zadowoloną, ani na przejętą. Czerwone oczy patrzyły bez emocji. Kiedy kilka czarnych błyskawic przemknęło tuż obok niej, nawet nie drgnęła.

– Nie kazałam ci przywoływać aż tyle – mruknęła wreszcie. – Niepotrzebny ten cały pokaz. Tylko bezsensownie marnujesz siły. Zmniejsz aurę tak, by przylegała do twojej skóry. To wystarczy.

Zmniejszyć? Serce Haru waliło jak młotem, z ekscytacji i przemęczenia. Musiał wkładać wiele wysiłku w samo utrzymywanie energii w ryzach, a o możliwości zmniejszenia jej zasięgu słyszał pierwszy raz. Jak miał skłonić nieposłuszną aurę do tego, by się skurczyła? Nie wiedział nawet, od czego zacząć, a tymczasem czarne jęzory trzeszczały coraz głośniejsze, wijąc się wokół niego jak stado potężnych węży. Długo nie mógł ich żywić, bo sam opadłby z sił.

– Jak mam to zrobić?! – krzyknął, tak by białowłosa go usłyszała przez huk energii.

– Jak? Po prostu. Instynktownie. Każdy to wie.

– Ja nie!

– Zauważyłam. I nie obchodzi mnie to. Zrób, co ci kazałam.

W chłopaku zawrzała złość. Rozdęła mu nozdrza, uniosła pierś w gwałtownym wdechu i zmarszczyła brwi. Jednocześnie czarna aura wybuchła jeszcze silniej i zawirowała jeszcze szybciej. Mocniejszy podmuch wiatru omiół całą salę i uderzył w albinoskę, targając jej długimi włosami – ona jednak stała nieporuszona, obserwując go obojętnie. Chłopak irytował się coraz bardziej i zamiast zmniejszać energię, tylko ją powiększał. Zawładnęła nim wściekłość, która szybko rosła, ogarniając jego umysł i tłumiąc wszelkie inne emocje. Ani myślał jej łagodzić.

Naraz albinoska uniosła zaciśniętą pięść. Jeden czerwony błysk wystrzelił z jej dłoni i uderzył w rozdętą energię Haru. Przebił się przez potężny bąbel aury, sprawiając, że lunął na ziemię ścianą czarnej wody, która wyparowała w mgnieniu oka. Młody demon opadł na kolana, zdezorientowany i zdyszany. Łapczywie łykał powietrze, pokasłując i charcząc.

– Wszystko jasne – stwierdziła spokojne albinoska. – Jak wiesz, energia w dużym stopniu zależna jest od emocji. Im są silniejsze, tym mocniej objawia się aura. Ty nie panujesz nad emocjami i pozwalasz, by twoja energia wykorzystywała ten fakt. Nie słucha cię, prawda? To ona włada tobą, nie na odwrót.

Haru tylko potaknął. Usiadł na podłodze, krzyżując nogi i opierając dłonie na kolanach. Nadal oddychał zbyt szybko.

– Wystarczy trochę silniejszych emocji, a twoja energia zaczyna wrzeć – ciągnęła dalej Plage. – Gniew, silny stres i inne takie bzdety. Na dodatek, jak to przed chwilą sprawdziłam, kiedy już przywołasz aurę, bądź sama się w tobie obudzi, wystarczy doprawdy niewiele, by cię zdenerwować i wykorzystać twój brak kontroli. Poza tym nie potrafisz zmniejszać przepływu swojej energii, nie

panujesz nad tym kompletnie.

– A czy to nie lepiej, pani? Po co zmniejszać energię? Im jej więcej, tym jestem silniejszy.

– To zależy. Masz mało doświadczenia, więc im więcej energii używasz, tym bardziej słabniesz. Żeby móc korzystać z całej swojej aury bez większych konsekwencji, trzeba najpierw się tego nauczyć. Zresztą nie każdy wróg, z którym się mierzysz, i nie każda czynność wymagają zaangażowania tak wielkich pokładów mocy. To zwykłe marnotrawstwo. Musisz więc nauczyć się oceniać, ile dana sytuacja wymaga od ciebie energii. Używaj jej tylko tyle, ile potrzeba, by zachować jej dla siebie jak najwięcej.

– Ale ja nie umiem jej nawet przytłumić.

– Wiem i od tego zaczniemy. Musisz odnaleźć w sobie spokój i skupienie, jeżeli chcesz skutecznie panować nad własną aurą. Inaczej takie sytuacje jak w bibliotece będą się powtarzać.

Haru drgnął. Nie miał ochoty ponownie ocknąć się pośród krwawej jatki, nie pamiętając, jak jej dokonał. Nie podobało mu się też, że dyryguje nim jego własna energia – to ona powinna podlegać jemu.

– Kiedy już uda ci się zapanować nad aurą – białowłosa przerwała mu rozmyślenia – nie tylko unikniesz tych nieświadomych mordów i zaników pamięci, ale twoje ataki oraz inne działania staną się sprawniejsze i dokładniejsze.

– Jak to? – Chłopak wlepił w nią zaciekawione spojrzenie, uspokoiwszy już nieco oddech.

– Kiedy energia jest ci w pełni uległa, wsłuchuje się w twoje ciało. Skupia się na ciosach, które zadajesz, i na unikach, które wykonujesz. W ten sposób stają się one o wiele efektywniejsze.

Oczy chłopaka zapłonęły. To była bardzo przydatna wiedza, której poprzedni nauczyciele nie raczyli mu przekazać. Może nie zauważyli, że musi popracować nad swoją energią, a może zwyczajnie nie chcieli go tego uczyć. Dlaczego więc Plage, najważniejsza osoba w całym Syndykacie, postanowiła się nim zająć? I nie od niechcenia czy dla zabawy. Odślaniała przed nim tajniki i uczyła tego, czego prawdopodobnie nikt inny by go nie nauczył.

– Dlaczego to robisz, pani?

Spojrzała na niego, unosząc nieco prawą brew.

– Czemu uczę cię tego wszystkiego? Bo bez mojej pomocy byłbyś bezużytecznym gnojkiem, a takich nie potrzebuję w Syndykacie.

Chłopak opuścił głowę. Chyba faktycznie za dużo sobie wyobrażał, widział to, co chciał widzieć. Przywódczyni nie posiadała żadnych ukrytych motywów, by traktować go lepiej niż resztę. Miała przed nim kilku adeptów i pewnie szkoliła ich tak samo. Chciała, by jej uczniowie byli najlepsi, potwierdzali jej reputację i nie przynosili wstydu swej mistrzyni. Na twarzy chłopca pojawił się cień uśmiechu. Tylko dlaczego ktoś miałby patrzeć na bezlitośnie idealną Plage przez pryzmat jej uczniów? A już na pewno ona sama nie przejmowałaby się taką błahostką jak opinie innych.

– Swoją drogą – w jej głosie wychwycił drwiącą nutkę – coś musiało cię niezłe zdenerwować, skoro zabiłeś staruchę. To musiało być coś poważnego, skoro energia przejęła nawet twoją świadomość.

Haru zerknął spanikowany na białowłosą. Ostre szpony lęku targnęły jego sercem. Wpatrywała się w niego wyczekująco i władczo. Jej słowa nie były zwykłym stwierdzeniem, wyraźnie dawała do zrozumienia, że chce wiedzieć, co zaszło. A on nie mógł jej przecież tego zdradzić! Nie mógł powiedzieć, że tak naprawdę to nie bibliotekarka go zdenerwowała, ale informacje wyczytane z książki, którą mu wskazała, że z ich powodu wybuchł nie tyle gniewem, co mieszkanką podeksycytowania i obawy. Musiał coś wymyślić i to szybko.

– Ona... obrażała cię, pani – wymamrotał. Wyjdzie na to, że znów włązi jej w tyłek, ale przynajmniej zachowa życie.

– Kłamiesz – stwierdziła po prostu, patrząc na niego chłodno. – Zapomniałeś już, że potrafię czytać twoje myśli?

Haru dostał gęziej skórki. Jak mógł pominąć tak oczywisty fakt?! Nie oszuka jej. Bez szans. Jeśli Plage zechce, wdrze się do jego głowy i pozna całą prawdę. A wtedy koniec. Może więc lepiej samemu się przyznać? Na jedno wyjdzie, ale może zyska tym małą iskrę jej przychylności. Serce waliło jak szalone, przez głowę przemykały setki spłoszonych myśli. Nie widział dla siebie ratunku, nie widział logicznego i korzystnego rozwiązania.

– Ja... dowiedziałem się czegoś o sobie – odezwał się, ostrożnie dobierając słowa. Koniec. Stało się.

– Teraz byłeś szczery, brawo. Nie będę wnikać, czego się dowiedziałeś, bo nie mam ochoty słuchać twoich zwierzeń, ale nie radzę ci więcej kłamać. Moja cierpliwość ma swoje granice.

– Tak jest, pani. Wybacz mi – wyrzucił z siebie jednym tchem, po czym z głośną ulgą wypuścił powietrze i natychmiast skarcił się w duchu za nazbyt ostentacyjną reakcję. Na szczęście Plage nie wyglądała na zainteresowaną, uff... Zdarzył się cud, Przywódczyni była tak blisko odkrycia zatrważającej prawdy. Serce waliło mu jeszcze jak młotem, a myśli kłębiły się niespokojnie. Wystarczyło, by zajrzała głębiej, pogrzebała w kłębowisku chwilę dłużej...

– Dzisiaj wrócisz do nauki medytacji i krycia myśli – oznajmiła białowłosa, nie dając mu czasu na dalsze zamartwianie się. – Nie łudź się, że zdołasz coś ukryć przede mną, bo mojego poziomu nigdy nie osiągniesz. Niemniej to ćwiczenie wyrobi w tobie skupienie i spokój, dwa stany najbardziej potrzebne do opanowania rozszalałej energii.

– Rozumiem, pani.

– Zaczynaj.

\*\*\*

Siedział w ciszy dość długo, choć nie umiałby dokładnie sprecyzować upływu czasu. Odcięcie się od rzeczywistości, od dźwięków i zapachów, przyszło mu o wiele łatwiej niż poprzednio. Oczyszczenie głowy z myśli również nie sprawiło mu większych problemów, lecz kiedy przystąpił do tworzenia ściany wokół własnego umysłu, zrobiło się trudniej.

Gdy tylko usiłował wyobrazić sobie otaczający go mur, używał w tym celu zbyt dużo myśli, a za mało samej wyobraźni. Jego skupienie pryskało i musiał zaczynać od początku. Z każdą kolejną próbą głowa bolała go coraz dotkliwiej, co wcale nie pomagało w staraniach. Kilka kropli potu zrosiło skronie, a dłonie coraz mocniej zaciskał na kolanach.

Nie wiedział, czy Plage przebywa w pobliżu i starał się nad tym nie zastanawiać. Nie mógł się zastanawiać nad niczym, a to nie było łatwe. Zamykał oczy, dawał się pochłaniać ciemności, pozwalał, by jego umysł odcinał się od bodźców zewnętrznych. I wtedy przychodził ten najtrudniejszy moment – tworzenie bariery ochronnej dla myśli. Tym razem nie budował w głowie muru. Wyobraził sobie małe otwarte pudełko i zaczął je stopniowo powiększać. Kiedy rozrosło się dostatecznie, zaczął do środka wkładać różne rzeczy. Każda z nich symbolizowała coś innego. Wrzucił do pudła naszywkę z herbem swojej rodziny, która była symbolem wszystkich wspomnień z dzieciństwa. Wrzucił tam swoją kataną, która oznaczała przeszłość i teraźniejszość w Syndykacie. Następnie włożył do pudła księgę; wyodrębnił to zdarzenie spośród innych, by było szczególnie dobrze ukryte.

W pudle znajdowały się już wszystkie wspomnienia, w bardzo prosty sposób podzielone na dwa okresy. Jednak jak miał schować tam myśli, które przecież wciąż się pojawiały i nawarstwiały...? Zaraz! Stop! Znów za wiele zastanawiania się! Za późno – wszystko prysnęło. Dźwięki, zapachy i pełna świadomość własnych myśli wróciły do niego gwałtownie, ściskając mu skronie żelazną obręczą. Syknął pod nosem. Był tak blisko, jego wspomnienia leżały bezpieczne w pudle, schowane przed nieproszonymi gośćmi. Pozostało ukryć tam również własne myśli. Pomasował skronie, krzywiąc się z przemęczenia.

– Już wiem... – wymamrotał do siebie, nagle doznając olśnienia. Przecież to banalnie proste. Musiał

postąpić dokładnie tak samo jak ze wspomnieniami. Należy wybrać symbol, który będzie oznaczać jego myśli, i zamknąć ów znak w pudle razem z pozostałymi. Co byłoby najlepszym emblematem dla jego myśli? Wybór okazał się trudniejszy, niż sądził. Musiało to być coś o wielu znaczeniach, mogącego znamionować wszystko, na dodatek coś twardego, trudnego do złamania, co dodatkowo wzmocniłoby ochronę.

– Rozgwiazda! – powiedział, siedząc z zamkniętymi oczami i palcami przyłożonymi do skroni.

To morskie niepozorne stworzenie nadawało się idealnie. Miało kilka ramion, czyli rozgałęzień, jak błądzące myśli, na dodatek te ramiona czepiały się wszystkiego, znowu tak samo jak myśli. Rozgwiazda łatwo adaptowała się do warunków, więc wchłonie też w siebie każdą myśl, bez względu na jej wagę i rodzaj. Miała też, co istotne, bardzo twardą skórę. Na dodatek występowała w przeróżnych barwach, które mogły oznaczać emocje towarzyszące danym myślom.

Zadowolony z siebie Haru przez dłuższą chwilę nie potrafił się wyciszyć, jednak gdy wreszcie mu się to udało, bez większych problemów przywołał w wyobraźni obraz pudełka i je otworzył. W środku znajdowały się katana, naszywka z herbem i księga. Stworzył w wyobraźni rozgwiazdę mieniącą się kolorami i wrzucił ją do pudła. Następnie zamknął je szczelnie i wyobraził sobie metalowe płyty, między którymi starannie ukrył pudełko. Tym razem sam wycofał się z pozbawionej zmysłów ciemności i z ulgą powrócił do rzeczywistości. Odetchnął głęboko i powoli otworzył powieki.

Niemal podskoczył, kiedy ujrzał siedzącą naprzeciwko albinoskę. Uśmiechała się do niego z lekkim rozbawieniem, podczas gdy jego serce kołatało wariacko. Kilka głębszych oddechów ani trochę nie pomogło.

– Skończyłem... – oznajmił drżącym od wysiłku mentalnego głosem.

– Jesteś pewien? – Przeszyła go spojrzeniem.

Haru zawahał się, w końcu jednak uznał, że nic więcej nie może zrobić. Pokiwał głową.

– Zaraz się przekonamy.

Rudzielec poczuł czyjąś obecność w głowie. Zaskoczyło go to, bowiem wcześniej nie czuł zupełnie nic, kiedy Plage wchodziła do jego myśli. Teraz, po tym czego udało mu się dokonać, obserwował z niepokojem, jak Przywódczyni z łatwością przebija się przez metalowe ściany ogradzające pudełko, a potem otwiera je...

– Nie! – warknął niespodziewanie, zaskakując samego siebie. Chciał się zerwać, lecz jego zeszywniałe mięśnie zaprotestowały. Zmęczonym gestem rozmasował skronie i utkwiał niepewne spojrzenie w Plage.

– Nie panikuj – mruknęła szorstko. – Nie ciekawi mnie, co tam pochowałeś, sprawdzałam tylko, jak to zrobiłeś i ile wytrzymają zabezpieczenia.

Haru odetchnął z ulgą, chociaż pozostał ostrożny. Mogła kłamać dla rozrywki. Jeszcze bardziej przerażał go fakt, że Plage bez żadnych przeszkód włamała się do jego głowy i przebiła przez bariery, które z takim wysiłkiem stworzył. Ale przecież go ostrzegała, że przed nią nic się nie ukryje. Czego się spodziewał? Oderwał dłonie od głowy i opuścił je na kolana, zmuszając się do uśmiechu.

– I jak wypadłem, pani?

– Nieźle – skwitowała sucho. – Nie miałeś szans obronić się przede mną, ale podstawy opanowałeś i na większość intruzów to wystarczy. Im częściej będziesz tego swojego pudełeczka doglądał i wzmacniał jego ochronę, tym większa pewność, że nikt nie wedrze ci się do głowy. Z czasem wyrobisz się i ochrona będzie włączać się instynktownie.

– Dziękuję, pani. – Rudzielec pochylił pokornie głowę. Nie doczekał się żadnego więcej komentarza ze strony białowłosej. Szkoda. Był z siebie dumny i chciał, żeby ona też czuła zadowolenie z jego postępów, choć szczerze wątpił, by ją to w ogóle obchodziło. Niemniej, podbudowany nowo zdobytym

doświadczeniem, był gotowy do dalszej części treningu.

– Co teraz?

– Aż tak ci się spieszy? – Plage wyprostowała się i wtedy chłopak ujrzał łuk i kołczan pełen strzał, które chowała za sobą. Spojrzała na niego z drapieżnym błyskiem w oczach. – Sprawdzimy, czegoś się nauczyłeś.

Dopiero teraz Haru zauważył kilka drewnianych bloków ustawionych na końcu sali. Musiała je przygotować, kiedy on był zajęty medytacją. Na górze każdego z bloków namalowano tarczę w postaci kilku czerwonych okręgów o wspólnym środku, lecz różnych średnicach. Rudowłosa podrapał się po karku i powoli wstał. Szum w uszach i zawroty głowy już ustąpiły, więc utrzymał się na nogach.

– Łuk, pani? Nie rozumiem...

– Nie chodzi o zwykłe strzelanie do celu. – Albinoska podniosła z ziemi łuk oraz strzały i wręczyła Haru. – Nie obchodzi mnie też celność. Będziesz ćwiczył skupianie energii na dłoniach. Tylko. Pamiętaj, masz użyć tyle aury, by tarcze na tym nie ucierpiały. Nie chodzi nam teraz o siłę, lecz o opanowanie energii. Rozumiesz?

Chłopak potaknął z uśmiechem. Zdążył polubić to słówko, którym często kończyła swoje wyjaśnienia. Uwielbiał, gdy coś mu tłumaczyła, nawet jeśli mieszała go przy okazji z błotem. Była najokrutniejszą, ale też najlepszą nauczycielką. W ciągu czterech dni nauczyła go więcej niż wszyscy trenerzy razem wzięci przez trzy lata.

– Najpierw przywołaj energię na dłonie – rozkazała.

Haru zamknął powieki i skoncentrował się. Spróbował zadziałać wyobraźnią, tak jak to zrobił z kryciem myśli. Jednak ledwo przywołał energię, od razu objęła go całość. Czarne grube wstęgi poderwały się do góry i zawirowały wokół niego jak mały huragan. Chłopak zaklął pod nosem i skupił się na pragnieniu wycofania energii lub chociażby zmniejszenia jej nieco. Aura nie miała zamiaru go posłuchać: zatrzeszczała głośno w odpowiedzi, plując wokół błyskawicami. Na więcej nie pozwoliła Plage – wystarczyło, że wsunęła dłoń w czarną masę, a ta zaskwierczała i rozpląnęła się w nicość. Rudzielec zachłysnął się powietrzem, a ból rozdarł mu płuca. Ustał jednak na nogach i zerknął na albinoskę z zawstydzeniem.

– Nie zrażaj się. Jeszcze raz – poleciła, co dodało mu niespodziewanie dużo motywacji. Wierzyła w niego. Nawet jeśli była to kolejna z jego nadinterpretacji, wystarczyła, by pchnąć go do działania.

Przywołał czarną jak mrok energię jeszcze raz, ale znowu momentalnie się rozszalała i pochłonęła go całość, targając ubraniem i kosmykami włosów. Słyszał syczenie, które do złudzenia przypominało szepty. Może o to chodziło, może musiał z własną energią porozmawiać. Jakby to dziwnie nie brzmiało, zaczął w myślach dyktować swojej aurze krótkie polecenia. Powtarzał je w skupieniu aż do skutku, aż wreszcie zelżała nieco, uginając się pod naporem jego rozkazujących myśli. Nie dało mu to jednak zbyt wielkiej satysfakcji – był zanadto zmęczony. Albinoska musiała to wyczuć, bo przesunęła palcami po jego nabrzmiałej, wciąż próbującej się buntować energii i... rozbroiła ją tym jednym gestem, znów zmieniając w obłok pyłu.

– Za dużo myślisz – oceniła, gdy Haru zmagał się z nierównym oddechem. – Nie walcz z energią, musisz ją poczuć, musisz używać jej i poruszać nią instynktownie, jak dodatkową kończyną. Rozumiesz?

Rozumiał, co nie zmieniało faktu, iż nie należało to do prostych zadań. Nie miał jednak zamiaru poddawać się zbyt szybko. Udało mu się ukryć myśli, więc i z własną energią wygra. Nie, nie wygra, raczej pogodzi się z nią. Musiał działać wyobraźnią i zmysłami, nie myślami i komendami. Zadziwiająco, jak słabo pasowało to do brutalnych zasad Syndykatu.

Kolejne mozolne próby opanowania energii niewiele różniły się od poprzednich. Aura Haru sprzeciwiała się uporczywie jego staraniom i przeważnie tylko lekko drgała, dając się ledwie odrobinę

poskromić. Na więcej młodemu demonowi zwyczajnie nie starczało sił. Potem Plage jakimś prostym gestem zatrzymywała i unieszkodliwiała jego aurę, a jemu kazała spróbować ponownie. Więc starał się, robił, czego żądała, aż w którymś momencie poczuł wreszcie, że aura zaczyna ustępować, wnikać w jego ciało, otaczając je łagodniej, jakby w końcu poddała się i zaczęła współdziałać, miast wciąż walczyć. Zmniejszała się, zarazem stając się przedłużeniem jego zmysłów. W miarę ćwiczeń przychodziło mu to coraz łatwiej i kosztowało coraz mniej wysiłku. Im był pewniejszy i spokojniejszy, tym sprawniej panował nad energią, którą nareszcie odbierał jak część samego siebie, czuł ją jak fragment swojego ciała. Wtedy udało mu się spełnić życzenie albinoski – skupił aurę tylko na dłoniach. Czarne wstęgi, drgając delikatnie, znacznie łagodniej niż zwykle, opływały przedramiona, śląc w powietrze cienkie mroczne nitki.

Chłopak uśmiechnął się promiennie, pomimo strużek potu ciekących po twarzy. Nadwyreżone mięśnie drżały i kurczyły się spazmatycznie, lecz to wszystko nie miało teraz znaczenia. Najważniejsze, że opanował sztukę, która od dawna stanowiła dla niego nie lada problem. Kątem oka zerknął na czuwającą nad wszystkim albinoskę. Jak zawsze nie dostrzegł na jej twarzy żywszej reakcji, tylko czerwone oczy zasnuła mgła zamyślenia.

– Udało się, pani – szepnął, chcąc podkreślić wagę swojego dokonania.

– Przecież widzę – odparła. – Ale nie ciesz się tak, bo to nie koniec.

Rudzielec skierował wzrok na tarcze stojące pod przeciwległą ścianą. Nabral powietrza w płuca, starając się odepchnąć od siebie przemożne zmęczenie. Wyciągnął jedną ze strzał, nałożył na cięciwę, którą naciągnął. Energia na dłoniach zaskwierczała, a demon pozwolił jej objąć również łuk. Nie namyślając się zbyt długo, wycelował i wypuścił strzałę. Przecięła powietrze ze świstem, pozostawiając za sobą mglisty czarny ogon. Uderzyła centralnie w tarczę i momentalnie spaliła ją nadmiarem syczącej złowrogo energii. W powietrze uniósł się ciemny dym, na podłogę opadły kawałki zwęglonego drewna.

Haru skrzywił się kwaśno.

– Mówiłam, za szybko świętowałeś. O wiele łatwiej jest niszczyć, niż zapobiec zniszczeniu.

Oczywiście Skrytobójca ma zabijać, nie bronić, ale to ćwiczenie wyrobi w tobie opanowanie i kontrolę.

– Rozumiem, pani.

Chodziło o to, by nauczył się umiarkowania. O to, by wiedział, ile energii wymaga dana czynność i nie marnował jej bez potrzeby. Jak miał to ocenić? Ile energii należy włożyć w strzał, by nie naruszyć tarczy? Zapewne malutko, a to nie było łatwe. Obudzona energia chciała rosnąć, nie maleć. Dopiero co ją opanował, więc brakowało mu wprawy.

Kilka kolejnych strzałów dało podobny efekt. Energia, choć ograniczona tylko do dłoni rudowłosego, wciąż była zbyt duża i obracała drewniane tarcze w popiół. Plage nie komentowała, przyglądała się tylko z boku, nie zaszczycając demona dalszymi radami. Sam musiał wsłuchać się w swoje ciało i zgrać z własną aurą, by odpowiednio nią sterować. Nie wiedział, ile minęło czasu, zanim zdołał sprowadzić energię do poziomu, który nie zagrażał tarczom, lecz gdy raz się udało, każda następna próba przychodziła mu łatwiej.

Nie spostrzegł, kiedy na zewnątrz zapadł wieczór. Był wyczerpany, jego dłonie pełne odcisków, mięśnie obolałe, a oczy podpuchnięte. Nie miał już sił nawet na to, by obudzić energię, więc trening musiał się skończyć. Jednak mimo fizycznego wyczerpania rudzielca przepełniała duma i pewność, iż może osiągnąć jeszcze więcej.

Białowłosa wpatrywała się w niego tak intensywnie, że chłopakowi krew napłynęła do policzków. Nie miał odwagi niczego powiedzieć, więc tylko uciekł wzrokiem, udając nagłe zainteresowanie czubkami swoich butów. Najchętniej padłby na podłogę i zasnął kamiennym snem, ale wiedział, że ostatnie słowo należy do Przywódczyni. Więc pokornie czekał.

- Jutro bądź tu z samego rana – oznajmiła. – Zaczniemy w końcu prawdziwą walkę.
- Prawdziwą walkę?
- Odzyskasz katanę i spróbujesz przeżyć.

# Rozdział IX

– Widzisz, to proste. – Plage uśmiechnęła się ironicznie. – Znajdujemy się na zupełnie innych poziomach. Dopiero teraz to pojąłeś?

Haru ociekał krwią, kucając na posadzce nieopodal drewnianego bloku. Rzęził, a dłonie – w tym jedna zaciśnięta na rękojeści katany – drżały z wycieńczenia. Oczy zachodziły mu mgłą. Był otumaniony i sparaliżowany potęgą Przywódczyni. Pokonała go nie wiedzieć kiedy i stała teraz nad nim władczo wyprostowana, podczas gdy on ledwo kuczał. Rozcięta warga i wielki siniak na skroni nie stanowiły większego problemu, lecz rozorane głęboko ramię – owszem.

Nie odpowiedział jej, bo po co? Obydwoje doskonale wiedzieli, że ma rację. Nie dorównywał jej poziomem w żadnym stopniu. Nie rozumiał tylko, czemu tak bardzo chciała mu to pokazać. Nie sądził, by zależało jej na udowodnianiu czegokolwiek, zwłaszcza własnej siły byle uczniowi. Każdy w Syndykacie ją znał i respektował. Najprawdopodobniej więc znów chodziło o rozrywkę. Ale mógł się mylić. Przy Plage niczego nie był pewien. Oparł się o drewnianą kolumnę i zaciśnął dłoń na ranie. Potrzebował odpoczynku, by się zregenerować, ale nie wiedział, czy albinoska zaplanowała jakiegokolwiek przerwy w morderczym treningu. Zerknął na nią niepewnie spod przydługiej grzywki.

Przechadzała się wolnym krokiem, obracając długi srebrzysty sztylet w dłoni. Chwilę wcześniej zaplamione krwią ostrze otarła o biodro, brudząc skórzane spodnie.

– Nawet nie próbujesz czytać przepływu mojej energii – powiedziała.

– Nigdy mi to za dobrze nie wychodziło, pani... – wyznał, siłę woli skupiając na ranie, by przyspieszyć jej gojenie. Ból promieniował z tego miejsca, nieprzyjemnie gorący, wręcz ogniasty. Ogień źle mu się kojarzył, wolał lód. Uśmiechnął się do swoich myśli.

– I zamiast spróbować to zmienić, siedziałeś leniwie na tyłku? – W lodowatym głosie białowłosej zadźwięczał srogi ton krytyki.

– Próbowałem... – westchnął, przymykając powieki – ale zawsze spętało to na niczym, pani.

– Zapewne przez twoje problemy z kontrolą własnej energii. Teraz, gdy udało ci się to jakoś opanować, możemy podszkolić cię w czytaniu z aury przeciwników. Czy rozumiesz, jakie daje to możliwości?

– Tak, pani. Mógłby w pewnym stopniu przewidzieć zamiary wroga, sposób ataku, planowany unik, prawda?

Przywódczyni potaknęła.

– Tak i jest to bardzo pomocne w walce. Choć nie uratuje cię, gdy przeciwnik okaże się szybszy.

– Chyba więc nie ma sensu, bym czytał twoją aurę, pani. – Haru uśmiechnął się przekornie, coraz lepiej radząc sobie z raną. – Nawet jeśli zdołam przewidzieć, z której strony zadasz cios, i tak nie zdążę go uniknąć.

Czoło albinoski zmarszczyło się w wyrazie dezaprobaty.

– Co ci mówiłam o podlizywaniu się? I wystarczy tej beczynności, wstawaj. Nie jesteś tutaj, by podpierać słupy.

\*\*\*

Było już późno, kiedy Haru wracał z treningu. Wieczorną porą po Wyjąłym Zamczysku kręciło się jeszcze więcej demonów niż za dnia. Skrytobójcy wracali z misji, Młodziki z lekcji, Kapłani szykowali się do nocnych rytuałów. Drażniłyby rudzielca ten gwar i tłok, gdyby nie tłumiący wszystko kokon nadchodzącej



nocy. W pogłębiającym się mroku dźwięki traciły na ostrości, a kontury mijających go postaci rozpląwały się.

Chłopak był wykończony. Plage, zanim odesłała go do pokoju, łaskawie pozwoliła się Haru zdrzemnąć i zregenerować poranione ciało, ale to nie wystarczyło, by w pełni odzyskał siły. Powłóczył nogami, podpierając się o barierki licznych tarasów. Wpatrywał się tęsknie w dwa długie budynki Siedziby Młodzików usytuowane pod samym lasem Shado-Karasu. Ponad dachami jak zwykle krążyły stada gawronów i kruków. Ich skrzek niósł się daleko, na znaczną część Syndykatu, tworząc stosownie ponurą atmosferę.

Rudzielec przyciskał katanę do siebie, ciesząc się w duchu z odzyskania broni. Jednak jego szczęście zakłócało nowe zmartwienie. Właśnie dobiegał końca piąty dzień treningów z Plage. Pozostały jeszcze dwa i będzie musiał powrócić do dłużących się lekcji z innymi nauczycielami zmieniającymi się co tydzień. Wcześniej nie nazwałby zajęć z nimi nudnymi, o ile tylko nie były związane z Alchemią lub Kapłaństwem. Zawsze ciągnęło go do treningów i starał się czerpać z nich jak najwięcej. Jednak po ćwiczeniach z Plage pozostałe lekcje walki wypadały blado i banalnie. Poza tym już czuł, że będzie tęsknił za obecnością Przywódczyni. Nawet jeśli przebywanie z nią było niebezpieczne – szczególnie od kiedy odkrył, że jest jej Jasnowidzem Paradoksu. Zdumiewało go aż tak silne przywiązanie. W pewien sposób Plage wypełniła lukę powstałą po utracie domu i najbliższych. Za rodziną nie umiał już tęsknić, potrafił ich tylko nienawidzić. Białowłosa, choć zimna i niedostępna, znaczyła teraz dla niego o wiele więcej. Była Przywódczynią, którą szanował, i rodziną, z którą chciał przebywać. A przede wszystkim była jego Sacrum, jego świętością, wokół której nieustannie krążyły jego myśli, nawet jeśli nie zawsze je pojmował.

Mijający go Młodzicy rzucali czasem słowa powitania, na które odpowiadał szorstkim skinieniem głowy. Nie ciągnęło go do zawierania tutaj bliższych znajomości, zwłaszcza że większość osób od samego początku podchodziła do niego z rezerwą, nawet ci starsi. Należał bowiem do „rzadkich egzemplarzy”, jak go nazywali za plecami plotkarze. Niewielu miało tak nieskazitelną czarną i niebezpieczną energię. Jedni więc bali się z nim rozmawiać, drudzy zazdrościli, a jeszcze inni szydzili. Teraz, gdy został uczniem Plage, a właściwie wywalczył sobie tę pozycję, wzrosły zarówno strach, jak i zazdrość. Nie przejmował się tym zbytnio, nie czuł potrzeby posiadania przyjaciół. Pragnął jedynie zdobywać jak najwięcej umiejętności.

Kiedy znalazł się już w cieniu Siedziby Młodzików, gdzieś z boku usłyszał kilka chichotów. Ignorując je, siedł wyprostowany przez tłoczące się na szerokim tarasie grupki dyskutantów. Nie miał ochoty udowadniać teraz swojej siły i swoich racji. Jedyne, o czym marzył, to ciepłe łóżko i odpoczynek.

– Podobno zabił tę przygłupią staruchę z biblioteki... – usłyszał gdzieś za sobą.

– I sprzeciwiał się nauczycielom – dodał ktoś inny oburzonym tonem.

– Ten gówniarz niczego nie szanuje...

Z reszty stłumionych szeptów wylapywał już tylko pojedyncze słowa: „łaska”, „Przywódczyni”, „niesprawiedliwość”. Mimo potwornego zmęczenia, czuł pewien rodzaj satysfakcji, bo wiedział, że mają mu czego zazdrościć.

– To może sprawdzimy, czy naprawdę nadaje się na ucznia Przywódczyni! – To zdanie dotarło do jego uszu wyraźnie. Głos osoby, która je wypowiedziała, wydawał się znajomy. Chyba tylko dlatego rudowłosa przystanął i obejrzał się, chcąc spojrzeć w oczy temu, który tak otwarcie rzucił mu wyzwanie. Ku swojemu zdziwieniu pośród tłumu uczniów zobaczył ognistowłosego Aresa Matsumarę, chłopaka, który rywalizował z nim o możliwość szkolenia się u Przywódczyni. Chłopaka, którego sprzał na oczach wszystkich.

– Chcesz poprawkę, Ares? – odparował kpiąco. Dziwił się, że tak szybko wylizał się z tamtych

obrażeń, lecz nie pokazał tego po sobie. Usłyszał chichot przebiegający wśród zgromadzonych wokół Młodzików.

– Miałeś farta. Ale drugi raz ci się nie uda. – Ognistowłosey wyszedł mu naprzeciw z zawziętym wyrazem twarzy. Towarzyszyło mu kilku innych chłopców, najwidoczniej jego popleczników. Rudzielec omiółł wszystkich pogardliwym, choć zmęczonym spojrzeniem.

– Dlatego że tym razem masz wsparcie? No proszę, przynajmniej wiesz, że sam do niczego się nie nadajesz.

Tym razem nikt się nie zaśmiał. Nikt nawet nie drgnął. W powietrzu zaległo wyczuwalne napięcie, a kilkoro Młodzików cofnęło się o krok. Mało kto chciał znajdować się w pobliżu rudowłosego, znając możliwości jego rozwścieczonej aury.

W oczach Haru zabłyśły czarne ogniki. Skarcił się w myślach, bo czuł, że jego zmęczone ciało daje się ponieść emocjom. A emocje źle służyły jego energii. Nie mógł pozwolić, by znowu niekontrolowanie wybuchła. Tym bardziej że po wyczerpującym treningu z Plage nie dysponował zbyt dużym potencjałem aury. Jeśli będzie musiał walczyć, powinien się skupić i uspokoić – w ten sposób nakopie temu pyszałkowi bez nadwyrężania zasobów mocy. Tylko że skupienie i spokój nie przychodziły mu łatwo.

Ares wysunął się jeszcze bardziej przed swoją grupę i spojrzał na rudzielca wyzywająco.

– Widzę, że Plage nauczyła cię też pyskować.

Wśród pozostałych adeptów przemknęły westchnienia zdziwienia i oburzenia, a Haru mocno zacisnęła pięści. Jego przeciwnik trafił celnie i to na samym początku. Nie puści mu tego płazem.

– Jak śmiesz nazywać Przywódczynię po imieniu? – wycedził przez zęby. – Złoję cię jak psa za ten brak szacunku!

Ognistowłosey zachichotał paskudnie; właśnie takiej reakcji oczekiwał. Ostentacyjnie wypiął pierś, obserwując rudowłosego z góry.

– No proszę, kotek się denerwuje! I co teraz, wydrapiesz mi oczy pazurkami?

Nie padła już żadna słowna odpowiedź. Haru wolał działać – odbił się od ziemi, nie łapiąc jednak za kataną. Uderzył gołą dłonią, zaciśniętą w pięść. Trafił Aresa między oczy; zamroczony chłopak potoczył się między kolegów. Wśród obserwatorów zaległo zdumione milczenie, a jęczący żałośnie ognistowłosey zawisł w ramionach jednego ze swoich popleczników.

Rudzielec jeszcze przez dłuższą chwilę stał w miejscu, cały napięty. Głęboko wciągnął powietrze, walcząc z nerwami. Odetchnął głośno, wziął miecz i zamasyście okręcił się na pięcie, uznając, że dał Aresowi jasno do zrozumienia, by więcej z nim nie zadzierał. Niestety ledwo przeszedł parę kroków, usłyszał za sobą wściekły warkot. Nie zdążył uchylić się przed demonem, który rzucił się na niego i wbił w twarde deski tarasu. Haru poczuł, jak policzek boleśnie obciera się o drewno, a plecy miażdży ciężar ciała przeciwnika. Nim zdołał zepchnąć Aresa, jego koledzy pospieszyli mu z pomocą. Przytrzymali rudzielca za ramiona i nogi; zabrali mu też kataną. Zaklął siarczyście, próbując się wyszarpnąć. Łącznie zaatakowało go pięciu Młodzików, a każdy dysponował sporą siłą. Już sam ognistowłosey stanowił problem, ze swoją mieszaną brunatno-fioletową aurą. Jej moc dorównywała energii rudzielca, który na dokładkę był poważnie osłabiony.

Czarna aura zaczęła posykiwać wokół ciała Haru, muskając i parząc przeciwników. Była jednak poważnie wyczerpana, tak samo jak jej właściciel, i nie mogła ich powstrzymać. Tymczasem Ares podniósł się i wymierzał jedno kopnięcie za drugim – w plecy, żebra, żołądek. Haru gryzł wargi, bardziej z upokorzenia niż bólu, i napinał mięśnie, próbując wyrwać się blokującym go osiłkom. Nakazał swojej aurze przylgnąć do ramion i nóg, by w ten sposób kończyny zyskały więcej siły. Szarpnięcia stały się o wiele mocniejsze i chłopak usłyszał zdumione powarkiwania napastników. Wciąż jednak nie ustępowali. Kopniaki spadały nieprzerwanie na jego tułów, a zgromadzony tłum obserwował to

w milczeniu, bez śladu jakiegokolwiek reakcji. Haru zaciskał powieki i wierzył coraz silniej. Gniew wypełniał mu skronie, oczy zachodziły czarną mgłą. Gdyby nie zmęczenie, rozniósł by ich własną energią! Ale teraz nie mógł wykrzesać jej z siebie dostatecznie dużo. Wtedy jak przez mgłę przypomniły sobie słowa Plage.

– *Samą siłą nic nie działasz. Żeby wykorzystać swój potencjał, musisz mieć jeszcze doświadczenie oraz umiejętności. I rozum.*

No tak, skoro brakowało mu zarówno siły fizycznej, jak i mocy, musiał ich przechytryć. Zadowolony rechot Aresa, kopiącego go z coraz większą zapalczewością, wcale nie pomagał w skupieniu. Tak samo jak ból paralizujący ciało. Wystarczyło mu jednak silnej woli, by posłużyć się umiejętnością, której nauczyła go dzisiaj białowłosa. Skoncentrował się i wsłuchał w przepływ energii ognistowłosego. Przez moment nie mógł nadażyć za częstotliwością jego kopniaków, ale wreszcie złapał odpowiedni moment. W tej samej chwili, w której Ares przymierzył się do kolejnego kopnięcia, Haru wysłał w jego stronę czarną wiązkę energii – całej, jaka w nim jeszcze pozostała. Błyskawica uderzyła pod stopą napastnika, a ten wywrócił się jak długi. Przy okazji kopnął jednego z pomocników, dzięki czemu rudzielec uwolnił prawą dłoń. Wykorzystał to natychmiast i złapał następnego z przeciwników za kostkę. Pociągnął z całej siły, błyskawicznie sprowadzając go na ziemię. Zaparł się ramionami o podłozę i teraz już bez trudu wyszarpnął nogi z uścisku pozostałej dwójki. Wyrzucił stopy wysoko w górę, kopiąc obydwu w szczęki. Potem odskoczył do tyłu, zbierając z ziemi porzuconą kataną, i wyprostował się dumnie. Posiniaczony i dyszący, ale triumfujący.

Patrzył na podnoszących się z ziemi chłopaków z odrazą i wściekłością. Miał chęć roznieść ich na strzępy, jeszcze dobitniej pokazać im, gdzie ich miejsce. Nie miał jednak na taki pokaz wystarczającej mocy i przeklinał się za to w duchu.

Przedstawienie „pięciu na jednego” zgromadziło sporą widownię. Jedni chichotali, drudzy wymieniali zaniepokojone szepty, rzucając na Haru ukradkowe spojrzenia. Inni patrzyli otwarcie, wręcz bezczelnie. Rudzielec miał tego dość. Obrócił się i ruszył przez tłum. Nie musiał się przepychać – większość sama schodziła mu z drogi.

\*\*\*

*Wnętrze groty oświetlały jedynie mieniące się kolorami kamienie, które jarzyły się pomiędzy stalaktytami i stalagmitami. Po ścianach spływały krople krystalicznej wody, ściekając do małych, wydrążonych w skale mis. Odgłos kapania dźwięczał nieznośnie jednostajnie.*

*Jaskinia ciągnęła się w głąb licznymi tunelami. Wszystkie wyłożone były dywanem błyszczących kamyków. Im dalej, tym korytarze robiły się węższe i trudniej dostępne. Zaczynały także różnić się między sobą kolorami, po lewej lśniące kamienie barwiły skały na zielono lub niebiesko, po prawej przeważała czerwień. Jeszcze dalej stalagmity łączyły się ze stalaktytami w grube nierówne kolumny, tworząc coś na kształt wielkich uzębionych paszczy. Niektóre tunele zarosły naciekami tak gęsto, że nie sposób się było do nich dostać. W innych stalagnaty ogradzały wydrążone w skałach nisze, czyniąc z nich naturalne klatki. W jednej z takich cel uwięziono trzynastoletnią dziewczynkę, białą jak śnieg.*

*Gruby łańcuch brzęczał głucho, gdy drobne ręce szarpały nim w bezradnej złości. Jeden koniec przytwierdzony został do litej skały, drugi – do szerokiej, kryształowej obroży wysadzanej ostrymi ćwiekami, która obejmowała chudą szyję Plage. Pokrwawione dłonie zaciskały się na urządzeniu, próbując je zerwać. Za każdym szarpnięciem łańcuch dzwonił ponuro, a ćwieki żarzyły się. Dziewczynka syczała i zaciskała powieki, pod jej palcami skwierczała czerwona energia, którą jednak natychmiast pochłaniała obroża.*

*Wyciągała dłonie ku kamiennym, tworzącym celę słupom, lecz nie dosięgała do nich. Nawet gdy*

zapierała się stopami o ziemię i zawisała na napiętych do granic możliwości łańcuchu. Każda próba rozbudzenia energii kończyła się tym samym – wchłonięciem aury przez magiczne urządzenie zatrzaśnięte na poobcieranej szyi.

– Nie wysilaj się. – Perlisty kobiecy śmiech odbił się echem od ścian jaskini; przed klatką pojawiła się Charlotte. – Tego Zaklinacza na pewno nie zerwiesz. Jest zupełnie inny niż poprzednie. A wiesz czemu? Sam Mistrz go dla ciebie zrobił.

Łańcuch znów zabrzączał, kiedy albinoska poderwała dumnie głowę.

– Jakbym nie wiedziała. – Uśmiechnęła się z ironią.

– Do ciebie chyba jeszcze nie dotarło, że to koniec, prawda? – Charlotte pochyliła się ku Plage, obserwując ją spod zmrużonych powiek. Bujne loki opadły na policzki. – Naprawdę myślałaś, że będziesz wiecznie wygrywać?

Mała albinoska szarpnęła się i splunęła siarczyście, prosto między oczy starszej siostry. Zaskoczona Nimfa odskoczyła z krótkim okrzykiem obrzydzenia, a albinoska posłała jej złośliwy uśmiezek.

Charlotte starła ślinę z twarzy i łypnęła wściekle na więźniarkę, która najwidoczniej nie bardzo przejmowała się swoim losem. Nimfa Ognia ściągnęła wargi w wąską kreskę i zacisnęła pięści. Od razu pokryły się syczącym złowrogo ogniem. Poderwała ręce do góry i wystrzeliła trzeszczącą falę w stronę białowłosej. Czerwono-żółte jęzory pochłonęły całą więzienną niszę, nie pozostawiając miejsca na schronienie. Charlotte uśmiechnęła się z satysfakcją, dłużej podtrzymując krążący po celi ogień. Zachichotała pod nosem i kilka razy zacisnęła dłonie mocniej, wzniecając większy płomień. Dopiero gdy usłyszała zbliżający się odgłos kroków, opuściła dłonie wzdłuż ciała, pozwalając, by szalejący żywioł ogarnął niszę po raz ostatni i zniknął. Kiedy ogień ustąpił, ujrzała skuloną pod ścianą albinoskę. Dziewczynka utrzymywała wokół siebie resztki lodowej tarczy, nadtopionej i pełnej dziur. Jej nadpalone ubranie wisiało w strzępach. Wyzierająca spod niego skóra – czerwona już, nie biała – była dotkliwie poparzona.

Czerwonowłosa Nimfa zarozumiale zadarła podbródek.

– I po co ta tarcza? Niewiele pomogła, co? Nawet ty gównu zdziałasz w ograniczającym ruchu pomieszczeniu. I ciesz się, że Zaklinacz zostawił ci choć odrobinę mocy, inaczej byłabyś martwa, gówniaro!

Skulona Plage nie odpowiedziała. Jej zmarniała tarcza popękała i posypała się na dno jaskini. Szkliste odłamki zadźwięczały, a potem uniosły się w górę i zatrzymały, balansując w powietrzu. Spękane usta albinoski, częściowo przysłonięte przez potargane włosy, poruszały się szybko i miarowo. Ćwieki obroży rozjarzyły się, próbując tłumić moce.

Nimfa Ognia spochmurniała i cofnęła się o krok.

– Co ty tam mamroczesz?

Plage, nie przerywając szeptania, spojrzała na Charlotte przez zasłonę nadpalonych, zmierzwionych włosów. Czerwone tęczęwki płonęły dziko, jakby wrzała w nich świeża krew. Wargi na moment zamarły, a potem uśmiechnęły się paskudnie.

– Ślepotą.

Zastygłe w bezruchu szkiełka błysnęły i wystrzeliły w stronę czerwonowłosej jak chmara szarańczy. Zadźwięczały o skalne pręty, przeciskając się między nimi bez trudu. Ze świstem przecięły powietrze i wbiły się w oczy Charlotte. Kobieta wrzasnęła, łapiąc się za twarz. Cofnęła się pod ścianę, w panice uderzając o nią plecami. Zgięła się w pół, a krew zaczęła wypływać spod jej palców.

– Oślepiłaś mnie, gówniaro!

Albinoska wstała, podpierając się poparzonymi dłońmi o skały. Łańcuch brząknął głośno, osuwając

się po chudym ramieniu. Obroża, po walce z czerwoną aurą, wciąż emanowała ostrym światłem. Plage syknęła cicho, chyba nie do końca zadowolona z efektu swojego czaru. Wsunęła smukłe palce pod obrożę i szarpnęła za nią kilka razy – bez skutku.

Charlotte nadal piszczała pod ścianą, potrząsując głową. Gęste smugi krwi wypływały spod jej dłoni, przecinając wykrzywione grymasem bólu policzki. Przez szloch i jęki przebijał się coraz głośniejszy odgłos kroków...

– Ostrzegalem każdą z was. – Głos Dereka był nie do pomylenia z żadnym innym. Po krótkiej chwili jego wysoka postać pojawiła się obok oślepionej czerwonołosej. – Moja Shirane nadal może was skutecznie upośledzić.

– Mistrzu! Stwórcu! – Charlotte upadła u jego kolan, wtulając okaleczoną twarz w fałdy długiego, białego kimona. Mężczyzna nawet na nią nie spojrzął; utkwiał wzrok w wyczerpanej Plage.

– Wynoś się – syknął Derek.

– Ale... Panie... – zajęczała Charlotte.

– Mówiłem, żeby żadna z was tu nie przychodziła! – huknął, nie poruszając się. – Masz, czego chciałaś. A teraz wynoś się stąd, zanim dokończę dzieła Shirane.

Czerwonołosa umilkła. Zadygotała kilka razy w tłumionych wybuchach płaczu, po czym odsunęła się na klęczkach od Dereka. Cofnęła się do ściany i stanęła na drżących nogach. Jej twarz szpeciły setki skaleczeń, a szeroko otwarte oczy były zalane krwią. Ruszyła chwiejnie korytarzem, potykając się i objając o skały.

Derek podszedł do więzienia Plage. Objął dziewczynkę zafascynowanym spojrzeniem i uśmiechnął się lekko. Turkusowe tęczęwki zaśniły zadowoleniem.

– Moja Shirane – zaszczebiotał. – Przechodzisz moje najśmielsze oczekiwania.

– Nie jestem twoja. – Odpowiedź padła natychmiast, opryskliwa i ostra.

Blondyn zaśmiał się krótko i pokręcił głową, cmokając z politowaniem.

– Czyżbyś miała zaniki pamięci? Nie sądziłem, że Zaklinacz działa w ten sposób. A ty zdajesz się zapominać, kto cię stworzył.

– Gównu mnie to obchodzi.

– A powinno cię obchodzić, bo właśnie dlatego należysz do mnie. I teraz dopiero poczujesz, co to znaczy.

Białowłosa przylgnęła do ściany swojej celi i zaczerpnęła tchu. Podniosła dumnie głowę, mrużąc oczy w gniewnym grymasie.

– Nie należę do nikogo, debilu – prychnęła.

– Naprawdę nadal w to wierzysz? Trzeba więc cię uświadomić. – Z tymi słowami wyciągnął dłoń w jej stronę i rozwarł palce.

Niewidzialna fala z impetem uderzyła w Plage i przyparła ją do ściany. Zagryzła wargi, by nie krzyknąć. Z całej siły zacisnęła też powieki, lecz ból był zbyt duży – łzy i tak się wymknęły. Z tłumionym charkotem osuwała się po skałach, by wreszcie upaść na ziemię i skulić w kłębek. Jej ciało drgało spazmatycznie, a palce drapały skały, jakby szukając ujścia dla niemiłosiernego cierpienia. Wreszcie krzyk wydarł się z jej ust, odbijając od ścian celi jak piłka. Derek zachichotał, zamknął dłoń i... wszystko ustąpiło. Wygięte ciało Plage zwiotczało, a płuca rozprężyły się w pełnym ulgi oddechu.

– Wiesz, co się stało? – spytał Stwórca. – Miałaś wrażenie, że coś ci zabieram, prawda? Podobnie czułaś się, kiedy twoje siostry wysysały z ciebie energię. Wtedy jednak nie bolało. Teraz cierpienie było niemal nie do wytrzymania. Cóż, tak już jest, gdy pozbawia się Nimfę jej żywiołu.

Albinoska zadrżała i wbiła w Dereka wystraszone, zarazem pełne nienawiści spojrzenie. Ten jak zwykle odpowiedział odrażająco słodkim uśmiechem.

– Dobrze słyszałaś – potaknęła. – Pozbawiam cię twojego żywiołu. Ten proces potrwa dłużej niż wyssanie samej energii, a do tego będzie bardzo bolesny. Wyciągnę to z ciebie po kawałku, po trochu każdego dnia...

Plage wierzgnęła, poderwawszy się na równe nogi. Zachwiała się i warknęła dziko, rzucając na zagradzającą drogę ucieczki stalagnaty. Szarpnięty łańcuch zajęczał, a obroża ścisnęła szyję i błysnęła oślepiająco, momentalnie opanowując wybuch jej gniewu. Nim się obejrzała, znów leżała pod ścianą, skulona w przyptywie paralizującego bólu.

Derek westchnął jak nad upartym dzieckiem, nie chcącym zrozumieć udzielonej mu lekcji; kucnął przed skalnymi prętami celi, spokojnie przypatrując się cierpieniu Plage.

– Naprawdę żałuję, że muszę odebrać ci twoją boskość, Nimfo Lodu. Jesteś moim najlepszym dziełem. Nie posiadasz słabych punktów i jesteś o wiele potężniejsza od swoich sióstr. – Nonszalancko oparł brodę na dłoni, jakby rozprawiał o pogodzie. – Jednak sama się o to prosisz. Jesteś zbyt niebezpieczna, nawet teraz, pozbawiona większej części swojej energii. Dlatego przestaniesz być Nimfą, Lód nie będzie ci już posłuszny. Lecz to nie koniec. Zabiorę ci coś więcej.

Dziewczynka podparła się na rękach, przysiadła na piętach. Splunęła krwią i zacisnęła drżące dłonie w pięści. Kaskady brudnych włosów przysłoniły twarz, skutecznie kryjąc ją przed wzrokiem Dereka. Najwyraźniej nie chciała, by na domiar złego ujrzał jej rozpacz – już dostatecznie mocno triumfował.

– Zabiorę ci też pamięć – kontynuował swym afektowanym tonem. – Mógłbym tego nie robić, ale wykonałaś na Neiel Rytuał Wiedzy i wiem, że wyciągnęłaś z niej informacje na swój temat. Gdybym nie wymazał ich z ciebie razem z twoją pamięcią, wiedziałybyś, jak odzyskać swoje moce. Stracisz wszystko, nawet zdolność mówienia i decydowania. Zostawię ci tylko tę mniejszą część energii, której twoje siostry nie zdołały z ciebie wyciągnąć. Musisz się do czegoś nadawać, kiedy już staniesz się posłuszną dziewczynką.

\*\*\*

Zmartwiony Haru sunął przez korytarze Siedziby Młodzików wolnym krokiem. Między jego ściągniętymi pochmurnie brwiami pojawiła się zmarszczka. Niektórzy z uczniów rzucali mu natrętne, zaciekawione spojrzenia, większość wołała go jednak omijać z daleka. On nie zwracał na nich żadnej uwagi, nawet ich nie zauważał – jego myśli wciąż pochłaniał najnowszy Sen.

Obudził się obolały i zlany potem, niewyspany, z gulą nerwów rosnącą w gardle. Nie mógł się pozbyć niepokoju, nie potrafił odepchnąć od siebie myśli o tym, jak bardzo Plage została skrzywdzona. Nieustannie miał przed oczami obraz drżącej, poparzonej i poniżonej dziewczynki. Ledwo widział, gdzie stawia stopy, szedł na pamięć, zobojętniały na otoczenie. Ociągał się strasznie, bowiem pierwszy raz nie miał ochoty na trening. A raczej bał się własnej reakcji, kiedy zobaczy dumną Przywódczynię. Ostatni Sen wstrząsnął nim jak żaden wcześniej. A jeśli Plage akurat dziś zechce wkraść się do jego głowy? Wzdrygnął się na samą myśl – na pewno nie byłaby zadowolona z faktu, że byłe Młodzik wie tyle o jej przeszłości, o jej dawnym, pełnym bólu i upokorzeń życiu. Zabiłaby go jak nic.

Kiedy ocknął się ze smętnej zadumy, wychodził już na zewnątrz przez szerokie drzwi. Panujący tu gwar męczył go dziś bardziej niż zwykle, więc przyspieszył, chcąc jak najszybciej uwolnić się od tłumy hałaśliwych Młodzików. Drewniane kładki skrzypiały pod jego stopami, a on sprawnie wymijał innych uczniów, nie odpowiadając na powitania. Nie miał ochoty patrzeć na nikogo, nie miał nastroju na nic. Najchętniej zaszyłby się gdzieś i przeczekał ten dzień w ciszy, próbując zatrzeć natrętne wspomnienie Snu. Niestety szanse na to były marne, w czym utwierdzał go widok wysokiej budowli górującej nad całym Syndykatem. Dzisiejszy dzień spędzi właśnie tam, w Siedzibie Przywódczyni, z nią, postrachem

całego Przedświatu, z Plage Fu-Setusą. Nieoczekiwanie uśmiechnął się do siebie. Szybko pokręcił głową, nie rozumiejąc własnej reakcji. To bał się spotkania czy czekał na nie? Nie miał okazji dłużej tego roztrząsać, bo gdy wkroczył na jeden z szerszych mostków, ujrzał Aresa idącego z naprzeciwka. *Nie dzisiaj...* Skrzywił się niezadowolony i wykręcił na pięcie, ruszając w innym kierunku. Nie uśmiechały mu się żadne sprzeczki ani bójki, może jutro, może za kilka dni, ale nie dzisiaj, nie po tak okropnej nocy.

– Uciekasz, Saruku?! – Obelżywe zawołanie Aresa zatrzymało go w miejscu. Duma nie pozwoliła mu zignorować bezczelnego wyzwania. Zaciśnął pięści i odruchowo zerknął na rękojeść katany, wystającą znad ramienia; nosił miecz na plecach. Może by tak przeciąć aroganta na pół i mieć z nim spokój raz na zawsze?

– Jeszcze słowo i sam będziesz uciekał! – odparował, obracając się ku przeciwnikowi.

Ognistowłosey podszedł do niego i skrzyżował ręce na piersi. Na jego twarzy malował się zawadiacki uśmiech. Na mostku nie było tłoczno, lecz co jakiś czas przechodziła grupka Młodzików, rzucając im wścibskie spojrzenia.

– Nie wyglądasz zbyt dobrze, Haru – zauważył Matsumara kpiącym tonem. – Czyżby coś cię trapiło?

Rudzielec pobladł, wystraszywszy się, że Ares przypadkiem poznał jego tajemnicę. Zaraz jednak odpędził od siebie tę myśl. Nie było takiej możliwości. Spojrzał gniewnie na szczerzącego się szeroko chłopaka.

– Nie twój interes, gnojku. Zejdź mi z drogi, zanim sam cię z niej usunę.

– Szybko się denerwujesz. Słyszałem, że to twój słaby punkt. Nie umiesz nad sobą panować, co?

– Żebyś wiedział, jeszcze chwila i się o tym przekonasz. – Rozejrzał się wokół i kąciki jego ust uniosły się w kpiącym uśmiechu. – Nie zabrałeś dziś ze sobą kolegów? A myślałem, że odwaga nie jest twoją mocną stroną...

Tym razem twarz ognistowłosego wykrzywił grymas złości, a piwne oczy błysnęły złowrogo. Zbity z pantałyku odruchowo cofnął się o krok, lecz nie ustąpił Haru drogi.

– Nie potrzebuję ich, żeby cię tu zatrzymać. A Plage raczej nie będzie zadowolona, kiedy nie zjawisz się na treningu.

– Taaak? I niby co zrobisz? – Złość rudzielca opadła, zamieniając się w obojętność. – Zwiążesz mnie?

Ruszył przed siebie, nie zamierzając ciągnąć tej jałowej dyskusji. Wyminął Aresa ostentacyjnie, z całej siły uderzając go ramieniem. Tamten zaśmiał się tylko cicho i również ruszył w swoją stronę. Haru obejrzał się za nim. Po co mu to było? Jaki cel miała ta głupia słowna przepychanka? Westchnął, postanawiając nie zawracać sobie tym głowy.

Starał się wybierać jak najmniej zatłoczone ścieżki, chowając się w cieniach budynków. Ciągłe wydawało mu się, że jest przez kogoś obserwowany. Czyżby dostał paranoi? Wolał nie rozwodzić się nad tym pytaniem, bo a nuż odpowiedź okazałaby się twierdząca. Na widok biblioteki odetchnął z ulgą. Przechodząc obok niej, wydłużał sobie drogę, ale w pobliżu tego przybytku wiedzy rzadko natykał się na przechodniów. Tylko tutaj mógł poczuć się swobodniej. Skierował kroki na wąski mostek, znajdujący się tuż przy ścianie biblioteki, i wtedy poczuł coś, czego zupełnie się nie spodziewał – krótkie i szybkie ukłucie sztyletu. Wiedział, co to znaczy, natychmiast rozpoznał objawy. Trucizna, i to nie byle jaka. Jego mięśnie ogarnął paraliż. Wszystko stanęło w miejscu, łącznie z czasem, a obraz przed oczami rozmazał się i zlał w kalejdoskop barw. Nie poczuł, że upada na drewnianą kładkę, ale wiedział, że już nie stoi na nogach. Usłyszał czyjeś kroki i dobrze znany śmiech Aresa – dźwięki dochodziły do niego jak zza grubej szyby, zdeformowane i stłumione. Potem wszystko ogarnął mrok.

Beatrice cofnęła dłonie i przyglądała się krytycznie twarzy Charlotte. Obie znajdowały się w wielkim pokoju, pełnym złotych zdobień. Ściany obwieszono obrazami ukazującymi różne części Zaświatu. Na jednym był górski pejzaż z wierzchołkami pokrytymi śnieżnymi czapami, drugi czarował widokiem potężnego wodospadu na rzece przecinającej zielony las pełen mięsistych liści. Inne przedstawiały polany, pustynie, wzburzone wody mórz – niemal każdy zakątek boskiego Zaświatu.

W ciemnych oszklonych regałach, zdobionych złocistymi ornamentami, znajdowały się porcelanowe zastawy i jakieś dziwaczne figurki. Wielkie balkonowe okno wpuszczało do środka szeroki prostokąt światła. Promienie słońca padały wprost na łóże.

Gruby materac obejmowały błyszczące, gięte finezyjnie ramy. Kryształowe nogi łóżka były stosunkowo cienkie i pokryte kwiecistymi wzorami. Charlotte kulila się pod zwykłą, zszarzałą nieco pościelą. Pospolity materiał nie pasował do reszty wystroju, za to korespondował z kiepskim stanem Nimfy Ognia, która pocila się i krwawiła. Widocznie nawet w Zaświatach zmysł praktyczny wygrywał z wyrafinowaną elegancją – nie chciano zniszczyć lepszych pościeli.

– I jak? – odezwała się przygnębionym głosem.

– Zlikwidowałam zewnętrzne obrażenia. Twoja piękna buźka wygląda jak nowa – odparła Beatrice.

– Ale minie jeszcze trochę czasu, zanim odzyskasz wzrok.

Czerwonowłosa zacisnęła wargi i palce na kołdrze.

– Ta gówniara mi za to zapłaci.

– Jeszcze ci mało, siostrze? – skarciła ją Nimfa Wody. – Gdyby ta smarkula nie była ograniczona przez Zaklinacz, na zawsze odebrałaby ci wzrok.

– Jak Mistrz może jej bronić?! – Czerwonowłosa wierzgnęła ze złości. – Powinien ją zabić. Za karę!

– Uspokój się. – Beatrice zbesztala ją po raz kolejny. – Twoja wściekłość w niczym tu nie pomoże. Też mi się to nie podoba, ale wierzę Stwórcy. Jeśli postanowił zostawić ją przy życiu, musiał mieć w tym jakiś cel.

– Ach, moje głupiutkie... – u wejścia rozległ się słodki głos. Nimfa Wody szybko spojrzała w kierunku drzwi, a jej oczy rozbłysły nieskrywanym uwielbieniem. Oślepiąca Charlotte drgnęła tylko, szarpnąwszy pościelą.

Derek opierał się o jasną błyszczącą framugę.

– Dlaczego uważacie śmierć za najsurowszą karę? – Niemal go to bawiło. – Plage spotka coś o wiele gorszego.

\*\*\*

Ocknął się ociężały i niemrawy. Z ociąganiem podniósł powieki, przez moment nie wiedząc, gdzie się znajduje i co się stało. Wspomnienie Snu, niewiele przyjemniejszego od poprzedniego, dręczyło go coraz silniejszą troską o Plage, świadomością nieuchronnie zbliżającego się do niej cierpienia. Chociaż leżał, w głowie mu wirowało. Uniósł wolno dłonie i rozmasował skronie palcami. Poczł mdłości. Skrzywił się z niesmakiem i odetchnął głębiej. Powietrze było chłodne i wilgotne. Chłopak, wtulony prawym uchem w deski mostku, słyszał pod sobą cichy szum jeziora. Odczekał jeszcze chwilę, zanim zdecydował się otworzyć oczy. A kiedy to zrobił, ogarnął go lęk.

Dawno zapadł już wieczór. Ciemności rozjaśniał jedynie mdły blask księżycy. W głuchej ciszy chłopak doskonale słyszał bicie własnego serca, które momentalnie przyspieszyło. Przeleżał tu cały dzień?! Ustronność tego miejsca, którą zawsze tak cenił, teraz okazała się pułapką. Nikt tędy nie przechodził, nikt go nie zauważył. A jeśli nawet ktoś go minął, nie zwracał sobie nim głowy. W efekcie przespał cały dzień i nie stawił się na treningu z Plage. Pobladł, bezwiednie wstrzymując oddech. Co



miał teraz zrobić? Biec na salę treningową? Wątpił, by jeszcze tam na niego czekała. Wrócić do Siedziby Młodzików? Nie zasnąłby w swoim własnym pokoju. A co jutro? Jak pokaże się Przywódczyni na oczy? Zacisnął zęby, czując przepelniającą go gorycz, ciałem zatrzęsała bezsilna złość. Dlaczego w jeden dzień musiało spotkać go tyle nieszczęść?

Odetchnął kilka razy, próbując się opanować. Co mu da uzalanie się nad sobą?

Musi coś wymyślić, pomimo otepiałego bólu głowy. Może uda mu się znaleźć gdzieś Plage? Lecz czy przyjęłaby go teraz? Nie pojawiając się na treningu, okazał kompletny brak szacunku. Blokowała go świadomość tej okropnej przewiny, wyłączała wszelki concept...

– No brawo, wreszcie się ocknąłeś! Myślałem, że nigdy się nie doczekam! – rozległ się za jego plecami drwiący głos. Haru ogarnęła wściekłość.

– Zabiję cię! – Poderwał się gwałtownie, ignorując mdłości. Obrócił się na sztywnych nogach i ujrzał uśmiechniętego od ucha do ucha Aresa.

– Najpierw musiałbyś mnie złapać! – Ares rzucił się do biegu, momentalnie znikając za rogiem biblioteki.

Rudzielec ruszył za nim, lecz wystarczyło ledwie parę kroków, by zorientował się, że jest powolny i ociężały. Trucizna najpewniej nadal działała, mocno ograniczając jego sprawność. Ares wszystko dokładnie zaplanował, tak by upokorzyć rywala, samemu wychodząc bez szwanku. Haru stanął, przytrzymując się grubej barierki mostku. Wiedział, że pogoń byłaby stratą czasu. Spowolniony przez truciznę nie miał szans dorwać Matsumary. Oparł czoło o poręcz. Chłód drewna nie pomógł, oczy go piekły, w gardle rosła gorzka klucha. Zagryzł wargi i kilka razy uderzył dłońmi w barierkę, chcąc odgonić od siebie to dziecinne uczucie. Nie mógł się przecież rozpłakać!

Wtedy usłyszał wrzask. Poderwał głowę i obejrzał się. Na mostku biegnącym wzdłuż biblioteki dostrzegł kontury dwóch postaci. W jednej z nich od razu rozpoznał szamoczącego się Aresa. Drugiego chłopaka, sporo wyższego, nie umiał zidentyfikować. Sądząc po długiej do ziemi szacie, przypuszczałnie szkolił się na Kapłana. Trzymał ognistowłosego za szyję, unosząc go wysoko nad podestem i zbliżając się do krawędzi mostku. Rudzielec uśmiechnął się szeroko i ruszył w ich kierunku co sił w słabych nogach. Nie mógł tego przegapić.

Twarz starszego Młodzika skrywał cień głębokiego kaptura. Tylko jego zmrużone oczy błyszczały, odbijając blask księżyca. Wpatrywały się w skrzywioną z bólu i wściekłości twarz Aresa.

– Wpadasz na mnie, pokrako, i nie zamierzasz przeprosić?

– Powiedziałem już, odwal się! – Ognistowłosey szarpnął się po raz kolejny. Daremnie.

– Nie nauczyli cię szacunku? – Młodzik mocniej ścisnął szyję Aresa, wystawiając jego tułów za barierkę.

– Nie przeproszę cię! Puszczaj, kretynie!

– Wedle życzenia. – Starszy chłopak rozwarł palce, ognistowłosey przechylił się przez poręcz i z głośnym pluskiem wpadł do wody.

Obserwujący to z daleka Haru parsknął śmiechem. Zakapturzony chłopak zerknął na niego. Potem obrócił się przez ramię i ruszył w swoją stronę, znikając w ciemnościach. Rudzielec poczuł, jak ogarnia go satysfakcja, odpychając złe myśli. Słyszał chlupotanie wody i spazmatycznie łapano oddechy. Przyspieszył kroku na tyle, na ile pozwoliło mu zatrute ciało, i wreszcie dotarł do miejsca, z którego miał idealny widok na topiącego się Matsumarę.

– Nie mów tylko, że nie umiesz pływać! – Zarżał głośno, nonszalancko, opierając się o grubą poręcz.

– Zamkn... – Ares urwał. Cała jego głowa zanurzyła się w jeziorze, a dłonie zaczęły chaotycznie uderzać o taflę, tworząc nierówne, załamujące się o siebie fale. Jeszcze kilka razy się wynurzył i zanurzył, na zmianę pluając i łykając wodę. Twarz miał bladą ze strachu.

– Chyba musisz poprosić mnie o pomoc – podpowiadał mu rudzielec, z rozbawieniem obserwujący jego zmagania. Wiedział, że błaganie o ratunek będzie dla Aresa największym upokorzeniem.

– Chciałbyś! Nig...! – Wrzaski ognistowłosego znowu zagłuszył chłupot wody, która ponownie zakryła mu głowę. Wynurzył się błyskawicznie, plując i wymachując rękami. – Nigdy!

– W porządku. – Haru wzruszył ramionami, po czym odsunął się od barierki i uniósł dłoń w geście pożegnania. Zdażył przejść zaledwie kilka kroków, kiedy usłyszał za sobą głośny, pełen przerażenia krzyk.

– Wracaj tu, do cholery! Utopię się!

Rudzielec zatrzymał się i zerknął przez ramię. Kąciki jego ust uniosły się w złośliwym, łobuzerskim uśmiechu.

– Magiczne słowo?

– Proszę! Błagam!

Haru wyszczerzył się radośnie i wrócił do barierki. Wspiął się na nią, a potem zawisnął nad wodą, zaczepiony stopami o belkę. Nie miał ochoty na kąpiel. Wyciągnął ramiona ku szamoczącemu się Aresowi, złapał go za ubranie i szarpnął nim z całej siły, przerzucając nad sobą jak worek. Niedoszły topielec z głuchym łomotem uderzył o ścianę biblioteki. Opadł na mostek, kaszląc głośno i plując wodą. Cały mokry, z włosami przyklejonymi do twarzy, drżał jak osika i szcząkał zębami. Rudzielec stanął nad nim.

– I jeszcze jedno – wycedził.

Ares poderwał się nerwowo i natychmiast otrzymał potężny cios pięścią. Uderzenie w szczękę zamroczyło go; bezwładnie osunął się na drewniany podest. Haru gapił się na niego przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, co jeszcze mógłby mu zrobić. W końcu jednak zrezygnował; nie miał nastroju na wymyślne dowcipy. Zostawił go samego i zagłębił się w mrok wąskich przejść wiodących wzdłuż budowli.

Im dalej szedł, tym czuł się lepiej. Efekty działania trucizny ustępowały i mógł przyspieszyć kroku. Organizm wracał do pełnej sprawności, tylko myśli rudzielca nadal pozostawały w ciemnościach. Nie potrafił uwolnić się od obrazów ze Snu. Na dokładkę dręczyła go świadomość, że zawiódł na całej linii. Zawiódł Plage.

Gdy tylko o niej pomyślał, ujrzał ją, jak kroczy szerokim mostem, który znajdował się przed nim. Serce podskoczyło mu do gardła, a nogi na moment odmówiły posłuszeństwa. Co powinien zrobić? Przyspieszyć, by wyjść jej naprzeciw? Przepraszać, może uciec? Odnosił nieodparte wrażenie, że cokolwiek zrobi, niewiele mu to pomoże, a ona każde działanie lub jego brak uzna za oznakę słabości.

Kiedy się tak gorączkował, białowłosa przystanęła, mierząc go wzrokiem z daleka. Najpierw tylko poczuł jej spojrzenie, dopiero potem odważył się je odwzajemnić. Mróz chodził mu po plecach, kiedy krwiste, błyszczące w mroku oczy wpatrywały się w niego przenikliwie. Wtargnęła do jego umysłu bez ostrzeżenia. Rudzielec zdażył tylko odczuć ciężkie uderzenie jej obecności. Wdarła się do jego głowy zdecydowanie i boleśnie, zupełnie inaczej niż dotychczas. Musiał chwycić poręcz, bo kolana się pod nim ugięły, a w głowie wybuchły iskry. Nawet nie zarejestrował momentu, w którym rozerwała bariery chroniące jego wspomnienia. Przeczesła wszystkie. Chłopak niemal zadławił się przerażeniem. Ona zaraz się dowie!

Zniknęła równie nieoczekiwanie, jak się pojawiła.

Haru chciał przełknąć ślinę, lecz w gardle miał sucho jak na pustyni. Zamrugnął i niepewnie zerknął na Plage. Nadal prześwietlała go spojrzeniem, z kamiennym wyrazem twarzy. Młody demon nie miał pojęcia, jak wiele odkryła, jak daleko sięgnęła. Przerażało go to, a ona milczała, z miną, która niczego nie zdradzała. Potem odwróciła wzrok i wznowiła wędrówkę.

*Jutro. O tej samej porze co zawsze.*

Rudzielec zamarł, słysząc jej chłodny głos we własnej głowie. Mocniej zacisnął palce na poręczy i zaklął pod nosem, przygryzając dolną wargę. Wiedziała czy nie? Zapraszała go na kolejny trening czy... na jego własną egzekucję?

# Rozdział X

*Dziki wrzask przeszył mieniącą się kolorami jaskinię. Odbił się echem wśród kryształowych ścian i zaległ gdzieś w oddali. Po chwili powtórzył się, jeszcze głośniejszy i bardziej żaloszny, pełen cierpienia i nieskrywanej furii. Trwał o wiele dłużej od poprzedniego, a kiedy się urwał, echo i tak poniosło go dalej...*

*Derek stał przed celą, ze słodkim uśmiechem przyklejonym do twarzy. Jego mięśnie były lekko napięte, a białe kimono poruszało się w drgającym powietrzu. Prawą dłoń wyciągał w stronę stalagnatów, za którymi kuliła się skuta Plage. Powoli rozwierał i zaciskał palce, a czerwona wiązka chłodnej aury, biorąca początek z ciała albinoski, płynęła do wnętrza jego dłoni.*

*Białowłosa szamotała się, uderzając stopami i rękami o skały. Drobne ciało prężyło się i wyginało, a wysysana energia uchodziła z niego w postaci jaśniejących, syczących głośno smug.*

*– Coraz bardziej boli, prawda? – Głos Dereka był miękki i delikatny, ale doskonale słyszalny pomiędzy wrzaskami. – To normalne. Z każdym dniem będzie coraz gorzej. Im więcej żywiołu zabieram z twojego ciała, tym staje się ono słabsze i mniej odporne na ból.*

*Plage zacisnęła wargi, tłumiąc kolejny krzyk – przemienił się w łzy, które ciurkiem pociekły po policzkach. Jasne wąsy aury skręcały się i wydłużały, lgnąc posłusznie do rozwartej dłoni Dereka. Kiedy zacisnął palce i opuścił rękę wzdłuż ciała, splot energii przerwał się i zniknął z cichym pyknięciem. Napięte ciało albinoski rozluźniło się i legło bezwładnie, drgając w ostatnich paroksyzmach bólu.*

*– Też chciałbym załatwić to szybciej. – Derek pokiwał głową z politowaniem. – Ale masz za dużo mocy, by zabrać ci ją choćby w rok. Bardzo żałuję, ale będziesz męczyć się tak przez kilka lat. Chciałbym móc od razu wyssać z ciebie wszystko, byś stała się moją korną służką. A jak się czujesz, Shirane, masz jeszcze rozum i wolną wolę?*

*W odpowiedzi usłyszał serię przekleństw, wypowiedzianych w różnych starożytnych językach – co słowo, to bardziej wulgarne, rzucane z większą nienawiścią. W kimś innym wzbudziłyby one co najmniej niepokój, lecz Derek skwitował stek wyzwisk zadowolonym uśmiechem.*

\*\*\*

*Sala treningowa była pusta. Rozejrzał się niespokojnie. Czyżby Plage wystawiła go do wiatru, chcąc zemścić się za wczoraj? Nie, nie sądził, by bawiły ją aż tak dziecinne zagrywki. Może wypadło jej coś ważnego, a może... czaiła się gdzieś w cieniu, niewidoczna, choć obecna.*

*Wkroczył w głąb sali, trzymając kataną w dłoni, gotowy do ewentualnego ataku bądź obrony. Zdążył się już przekonać, że Plage jest zdolna do wszystkiego. Mimo tej pewności, nie potrafił się skupić. Jego myśli wciąż krążyły wokół ostatnich Snów.*

*Czy Derek zabrał Plage żywioł? Sprawił, że przestała być Nimfą? To by wyjaśniało, czemu znajduje się tutaj, w Przedświecie, a nie w Zaświecie. Znaczyłoby to również, że kilka lat swojego życia albinoska spędziła na torturach, zamknięta w podziemnej celi. Ale przecież zachowała wolną wolę, sama podejmowała decyzje, choć Derek zapowiedział, że pozbawi ją również tego. Coś musiało się stać... Może uciekła z więzienia, ratując swoją świadomość, ale niestety nie zdołała odzyskać żywiołu. Istniało wiele możliwości. Trwożyło go to i intrygowało, bo wiedział, że wcześniej czy później pozna rozwiązanie. Zobacz je w Snach. Znajdzie odpowiedzi na swoje pytania. Tylko... czy na pewno chciał je poznać? Niestety nie miał żadnego wyboru. Był na swoje Sny skazany.*

Wzdrygnął się, bowiem nagle dotarło do niego, jak będą wyglądać najbliższe wizje – a on będzie musiał oglądać cierpienie albinoski, powtarzające się noc w noc. Czy poradzi sobie z takim ciężarem? Czy udźwignie coś tak okropnego?

Nagły szum zasuwanych drzwi sprawił, że podskoczył przestraszony. Obrócił się szybko, wyciągając katanę przed siebie. Wstrzymał oddech, gdy czubek czarnej klingi zatrzymał się tuż przed piersią białowłosej. Chłopak nerwowo przełknął ślinę.

Plage obrzuciła go obojętnym spojrzeniem i zbliżyła się o krok. Rudzielec odsunął się odruchowo, a ona znów podeszła, nie spuszczając z niego wzroku. Haru wycofywał się coraz szybciej, z kataną wyciągniętą przed siebie, a albinoska kroczyła do przodu, ignorując wymierzone w siebie ostrze.

– To ostatni dzień, który spędzimy razem – zaczęła tonem zabarwionym lekką nutą rozbawienia. – Brzmi to niemal jak początek ody, prawda?

– Eee... – Nim zdołał wydusić z siebie coś bardziej inteligentnego, poczuł, że uderza plecami o drewnianą belkę, która złośliwie wyrosła na jego drodze. Krew najpierw odpłynęła mu z twarzy, a potem wróciła w ciemnych rumieńcach palących policzki.

– Więc... – Białowłosa od niechcienia złapała dwoma palcami za katanę i odsunęła ją na bok. Drugą rękę oparła o drewnianą kolumnę, tuż nad głową Haru, i pochyliła się lekko, zbliżając twarz do jego twarzy. – Po co ta cała brutalność, mój młody uczniu?

– Ale... ale... – Opuścił ręce wzdłuż ciała, plecami przylgnął do belki. O co tu chodziło? Skąd to nietypowe dla niej zachowanie?

– Coś nie tak, koteczku? – wyszczebiotała figlarnie i jeszcze bardziej się przybliżyła, tak że chłodny oddech omiótł twarz chłopca. Najpierw zrobiło mu się lodowato z przerażenia, a potem gorąco z zawstydzenia. Nie wiedział, gdzie podziać oczy, co robić z dłońmi. W gardle zaschło mu z wrażenia.

– Bo... Myślałem... Eee... – Plótno bez sensu, podczas gdy jego serce kołatało szaleńczo. Oczy wbił w odległy punkt, nie potrafiąc patrzeć na jej zjawiskową i zagadkową twarz, znajdującą się tak blisko.

Wąskie białe wargi wygięły się w uśmiechu.

– Kolejna lekcja. Nie daj się zwieść.

Nim Haru zdążył uchwycić sens jej słów, twarda pięść trafiła go w odsłonięty brzuch. Zamroczyło go momentalnie – nie dała mu szans na żadną reakcję. Upadł na podłogę i osunął się w mrok nieświadomości.

\*\*\*

*Derek kroczył spokojnie po chropowatym podłożu jaskini. Mieniące się kolorami kryształy oświetlały jego kobieco-męskie rysy twarzy. Kimono ciągnęło się za nim, upodabniając go do sunącej przez tunele zjawy. Przemierzał korytarz za korytarzem, bez wahania obierając właściwy kierunek na rozwidleniach dróg.*

*Jeszcze jeden zakręt i dotrze do celi Plage. Na jego usta wpełzł pełen satysfakcji uśmiech. Kiedy wychynął zza skalnej ściany i ujrzał skuloną w rogu albinoskę, turkusowe tęczęwki błysnęły.*

*– To już równe cztery miesiące, moja Shirane – oznajmił na powitanie, podchodząc do stalagnatów ogradzających celę. – Chyba oswoiłaś się już z bólem.*

*– A nawet obróciłam go na swoją korzyść – odparowała zachrypniętym głosem, spoglądając na Mistrza zza zasłony postrzępionych włosów. Czerwone oczy lśniły.*

*– Już zaczynasz bredzić? Czy to nie za... – Zdumiony Derek umilkł w pół zdania. Skóra Plage błyszczała jak setki małych szkiełek, połyskiwała milionami maleńkich światełek. Blondyn cofnął się o krok, a przez jego twarz przemknął cień lęku.*

*– Jak ty...?*

– Skąd to zdziwienie, pajacu? Sam mówiłeś, że jestem twoim najlepszym dziełem. Chyba zapomniałeś, co potrafię. – W miarę mówienia jej biała skóra rozświetlała się coraz bardziej, a dezorientowanie Dereka rosło. Silne błyski raziły go w oczy.

– Jak tego dokonałaś z moim Zaklinaczem na szyi?! To niemożliwe!

– Akurat!

Przekrzywiła delikatnie głowę, wstając ostrożnie. Jej nogi trzęsły się jak galareta.

– Jak to zrobiłaś?!

– Sam mi to umożliwiłeś. Dałeś mi czas i dostarczyłeś niewyobrażalnego cierpienia. A co powstaje, jeśli połączy się te dwie rzeczy? – Niemal wyśpiewała to pytanie w triumfalnym tonie.

– Portal... – Derek z trudem dobywał głos z zaciśniętego gardła. – To... niedorzeczne! Przyspieszysz jedynie sprawę! Wiesz, jaka jest cena...!

– Stracę pamięć i żywioł. Ale najważniejsze, że ty go nie dostaniesz! – Uśmiechnęła się bezczelnie i potarła dłonie, sprawiając, że jasny, oślepiający blask ogarnął ją całą, pochłaniając twarz, ubranie, każdy skrawek skóry, każdy włos. Potem powietrze przeszył długi, przyprawiający o mdłości pisk. Derek upadł na ziemię, z jękiem zasłaniając uszy. Albinoska zmieniła się w wąską wiązkę światła, która jak piorun przemknęła wzdłuż jaskini, przenikając przez grube skały.

Pozostały po niej jedynie zwisający łańcuch i leżąca na ziemi obroża, nadal zamknięta i nienaruszona.

\*\*\*

Ocknął się, gwałtownie nabierając powietrza. Coś drażniło mu gardło, prowokując napad dławiącego kaszlu. Skulił się instynktownie, bo brzuch nadal promieniował okropnym bólem. Skronie pulsowały i miał wrażenie, że coś je ściska, a jednocześnie obrazy ze Snu rozsadały mu głowę.

– Już się napatrzyłeś? – Beznamiętny głos albinoski wprowadził go w osłupienie. Sens jej słów dochodził do niego przez dłuższą chwilę, a kiedy wreszcie dotarł, serce podskoczyło mu do gardła.

Zerwał się, siadając gwałtownie. Zignorował zawroty głowy i omiótł salę spanikowanym spojrzeniem. Dostrzegłszy Plage, mimowolnie jęknął, czując, jak ogarnia go coraz większa zgroza. Wiedziała i testowała go. Najpewniej chciała się zabawić, zanim pozbawi go życia.

Siedziała spokojnie pod ścianą, oparta o nią plecami. Jej głowa była delikatnie pochylona, a powieki półprzymknięte, jakby zasypiała albo się nudziła.

– Skąd to zdziwienie? Naprawdę sądziłeś, że nie wiem? – Nawet na niego nie zerknęła.

– Pani... – Jedynie tyle udało mu się wykrztusić. Nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Zresztą wiedział, że żadne słowa mu nie pomogą. Jeżeli Plage postanowi go zabić, nic jej nie powstrzyma. I wcale nie czuł obawy przed śmiercią. Co więcej, zdawał sobie sprawę, że to nie tylko z powodu szkolenia w Syndykacie, które wyzuło go ze strachu przed śmiercią lub zranieniem, ale dlatego, że jej pozwoliłby na wszystko.

Albinoska odsunęła opadające na policzek włosy, westchnęła krótko, a potem wbiła w chłopca bezdenne spojrzenie.

– Dowiedziałam się o twojej przypadłości już podczas treningu, na którym wybierałam swojego ucznia.

Haru drgnął i zacisnął dłonie. Wiedziała od samego początku? Jak to możliwe, że się nie zorientował?! I dlaczego nie zabiła go od razu? Zaraz, nazwała to „przypadłością”. Czyli nie uważała jego Snów za coś dobrego, pożądanego.

– Jestem gotowy na karę, pani. – Nie do końca wiedział, czemu to powiedział i czemu pokornie pochylił głowę, lecz czuł, że właśnie tak powinien postąpić.

– Karę? – Plage niemal się roześmiała. – Mało ci było tych siedmiu dni? Nawet nie wiesz, jak świetnie się bawiłam, obserwując cię, kiedy niby przypadkowo zbliżałam się do kwestii twojego jasnowidzenia.

Rudzielec zamrugął zszokowany. Przypomniwał sobie te wszystkie momenty, w których albinoska świetnie odgrywała niewiedzę, a jednocześnie prawie odkrywała tajemnicę jego Snów, sprawiając, że serce w nim zamierało. Więc naprawdę tylko się nim bawiła... Poczłł zawód.

– Ale trening... to wszystko tylko...

– Nie, to nie były żarty. – Ton jej głosu nieoczekiwanie spoważniał. – Staralam się przygotować cię jak najlepiej do fachu skrytobójcy oraz do ochrony tego, co wiesz i czego jeszcze się dowiesz.

Skołowany wpatrywał się z niedowierzaniem w Przywódczynię. Za dużo niespodzianek jak na jeden dzień.

– Nie zamierzasz... nie zamierzasz mnie zabić, pani?

– Przyznam, że to była moja pierwsza myśl. Jesteś jedyną osobą w Przedświecie, która zna moją przeszłość i która wie, kim byłam, zanim zesłam z Zaświatu. Na początku uznałam pozostawienie cię przy życiu za zbyt ryzykowne. Jednak, kiedy dowiedziałam się więcej na temat Jasnowidzów Paradoksu, zaczęłam się zastanawiać, czy zabicie ciebie nie byłoby marnotrawstwem.

– Marnotrawstwem...? – Rudzielec coraz mniej rozumiał. Czemu aż tak ryzykowała? Był tylko dzieciakiem, który miał problemy z kryciem własnych myśli. Nie mogła być pewna, że będzie umiał ochronić tajemnice jej przeszłości.

Plage wzruszyła ramionami.

– Kto wie, do czego przydasz mi się w przyszłości. O ile oczywiście przeżyjesz Selekcję, która czeka cię za rok.

– Selekcję?

– Nieważne. Dowiesz się w swoim czasie. I nie łudź się, będę cię obserwować. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, jeśli wyczuję cień zagrożenia, zabiję cię. Na pewno nie zawiedziesz mnie więcej niż jeden raz.

Zimny dreszcz przebiegł mu po karku. Wiedział, że nie żartowała. Musi się pilnować, by nikt nie wydobył z niego niebezpiecznej wiedzy na temat jej przeszłości. Zginie, jeżeli ktokolwiek za bardzo zbliży się do prawdy; niewątpliwie ciekawski też nie przeżyje, by pochwalić się swoim odkryciem. Naraz zrozumiał – Przywódczyni nie musiała się obawiać. Mogła się bawić i obserwować, bo w razie czego zakończyłaby sprawę szybko i ostatecznie.

– Mogę o coś zapytać, pani?

– Już to zrobięś.

Jej uważne spojrzenie krępowało go. Słowa grzęzły w gardle, a serce wariowało. Ilość zaskakujących informacji przytłoczyła go, kolejne pytania nawarstwiały się. Musiał jakoś dać ujście frustracji i ciekawości, choć nie o wszystko umiałby ją zapytać otwarcie.

– Czemu... skoro wiedziałaś o moich Snach już wtedy... czemu wybrałaś Aresa?

Plage parsknęła cichym śmiechem.

– Chciałam sprawdzić, jak zareagujesz i czy będziesz w stanie odebrać mu ten zaszczyt.

– A jeśli nie zareagowałbym wcale?

– Wtedy po prostu zmieniłabym zdanie.

Chłopak też omal się nie roześmiał. Nie miał żadnych wątpliwości, że zrobiłaby dokładnie coś takiego i nikt nie odważyłby się zaprotestować. Bez skrupułów wykorzystywała swoją władzę, respekt u poddanych, i wcale się z tym nie kryła. Cóż, przynajmniej była szczerą.

– A czy... – Przełknął ślinę. Poczłł, jak na policzki wypływają mu rumieńce. – Czy to znaczy, że

będziemy się czasami widywać, pani? – spytał stłumionym, nieswoim głosem i zamarł w oczekiwaniu na odpowiedź.

Białowłosa przez dłuższą chwilę milczała. Patrzyła na niego z obojętną miną. Nie potrafił zgadnąć, co myśli, bo nie zdradzała tego choćby jedna zmarszczka. Jej twarz bez śladu uśmiechu, grymasu gniewu czy choćby cienia innej emocji przypominała maskę.

– Widzę, że nadal niczego się nie nauczyłeś – odezwała się wreszcie lodowato. – Za dużo w tobie uczuć, zbyt szybko się przywiązujesz. Nie pozwolę, byś pielęgnował w sobie tę słabość.

– Ale...

– Milcz! – przerwała mu, podnosząc się jednym płynnym ruchem. – Oto główny minus tego, że jesteś moim Jasnovidzem: owo irytujące i chore przywiązanie. Czytałam o tym i nie zamierzam tolerować.

A teraz...

Rudzielec z rozgoryczeniem obserwował, jak Plage zbliża się do niego. Nie wiedział, co zamierzała, ale czekał posłusznie. Kiedy zatrzymała się nad nim i pochyliła lekko, zawstydzony uciekł wzrokiem. Jak mógł w ogóle o coś takiego zapytać?! Nagle poczuł, jak dotyka jego czoła chłodnymi palcami. Potem usłyszał jakby cichutki szelest – to jej energia wdarła się do jego głowy, przeszywając umysł niczym pocisk. Zamroczyło go momentalnie i ostatnie, co zapamiętał, to jej słowa:

– Czas na kolejną wizję.

\*\*\*

*Złociste pola falującego na wietrze zboża ciągnęły się po horyzont, głaskane przez jaskrawe promienie słońca. Nie było tu jednak tak spokojnie jak zwykle. Nie tylko gwizd wiatru burzył ciszę. Tłumy rozradowanych i rozgadanych ludzi ciągnęły wąskimi piaszczystymi ścieżkami, zmierzając ku centrum, gdzie na łysym fragmencie pola rozstawiono szerokie drewniane podesty. Ludzie tańczyli na nich, śmiejąc się głośno. Rytmiczny tupot ich kroków zagłuszał rozmowy widzów, którzy ustawili się wokoło, obserwując i przyklaskując do taktu. Muzykanci, raczący biesiadników muzyką i śpiewem, skrywali się między podestami a snopami siana.*

*Radosne słowa piosenek opiewały wyjątkowy dzień – Święto Czterech Nimf. Śpiewano o urodzaju, który zapewniała Nimfa Ziemi, o złotych polach rozciągających się wokoło. Wychwalano palące, lecz niosące życie promienie słońca, którym patronowała Nimfa Ognia. Sławiono też deszcz użyźniający gleby i spokój wiatru, który łaskaw był nie niszczyć plonów.*

*Zabawa trwała w najlepsze i ciągnęłaby się jeszcze długo, do późnej nocy, gdyby nieba nie przeszła cienka smuga światła. Prawie niedostrzegalna linia szybko przecięła błękit, niczym spadająca gwiazda, których jednak nie widać za dnia. Dziwne zjawisko przykuło uwagę zaledwie kilku wieśniaków, a odległy szum zwyczajnie utonął wśród gwaru i wesołych śpiewów. Tylko nieliczni zauważyli jakieś nienaturalne poruszenie kłosów, zbyt energiczne i gwałtowne, by mógł je wywołać wiatr. Po chwili jednak niezwykajny ruch wśród łanów zboża przemienił się w typowe łagodne kołysanie i chwilowe zainteresowanie zaskakującym epizodem rozwiało się. Tańce i śpiewy trwały dalej.*

*Czas mijał szybko, a wieśniacy upojeni alkoholem i wyśmienitą zabawą nie dostrzegli, że pojawił się wśród nich ktoś obcy. Nikt nie zwracał uwagi na drobną dziewczynkę, która spokojnie szła przez tłum, bosa, w poszarpanej i brudnej sukience. Posklejane włosy zakrywały jej twarz i oczy utkwione w jednym punkcie. Dla roztańczonych, wesołych i pijanych ludzi była niemal niewidzialna – potrącali ją, popychali, potykali się o nią, lecz ona nie zważała na to i nadal parła przed siebie, uparcie dążąc do obranego celu. Sunęła pomiędzy stłoczonymi wieśniakami, ocierając się mimowolnie o ich spocone ciała. Śpiewy i rechoty otaczały ją z każdej strony, powietrze przesiąknięte intensywnym zapachem*



alkoholu, muzyka dudniła coraz głośniej.

Kąciki białych ust uniosły się w leciutkim uśmiechu.

Dotarła do drewnianych schodków, prowadzących na podest. Powoli podniosła głowę, po czym przekrzywiła ją na bok, przyglądając się tańczącym ludziom. Naraz ktoś potrącił ją brutalnie, popychając na innego wieśniaka. Tamten warknął coś na temat głupich dzieciaków i stanowczo odsunął dziewczynkę na bok. Spojrzała na niego wielkimi czerwonymi oczami i uśmiechnęła się wdzięcznie, na co mężczyzna podrapał się po karku i mruknął:

– Znikaj stąd, kocmołuchu. Nie masz tu czego szukać!

Złapała go za rękaw i pociągnęła kilka razy, drugą ręką wskazując na podest pełen roztańczonych ludzi. Mężczyzna wyszarpnął rękę i obrzucił małą niechętnym spojrzeniem.

– Nie rozumiem, czego chcesz. Nie umiesz mówić czy co? A może szukasz matki?

– Co robią? – zapytała tylko, nieustannie świdrując go spojrzeniem.

Człowiek zarechotał.

– Tańczą, a co mają robić? No już, znikaj stąd!

Mężczyzna odwrócił się do niej plecami i zniknął pośród tłumu. Gwar i gorąco atakowały z każdej strony, a ona znów delikatnie przekrzywiła głowę, wpatrując się w podest. Wreszcie mruknęła coś pod nosem i niespiesznie otrzepała sukienkę, co niewiele jej pomogło, a potem ruszyła po schodkach na podest.

Drewno skrzypiało pod stopami, gdy wieśniacy podskakiwali wesoło, okręcali się niezgrabnie, nie zważając na sąsiadów, raz po raz wpadając na siebie ze śmiechem i przekleństwami. Przepychali się, to znów dobierali do wspólnego tańca. Pośród tego całego rozgardiaszu drobna brudna dziewczynka tonęła niezauważona. Przemykała pomiędzy rozkołysaną spoconą tłuszcą, zgrabnie unikając zdeptania, prześlizgując się jak żmija poprzez chaos roztańczonej gawiedzi. Kiedy znalazła się mniej więcej pośrodku podestu, przystanęła. Jej czerwone oczy błędziły wokół, z zaciekawieniem przyglądając się swawolącym wieśniakom. Wreszcie uśmiechnęła się, wyciągnęła ręce na boki i zaczęła obracać się wokół własnej osi.

Poszarpane fałdy sukienki i postrzępione włosy tańczyły wraz z nią. Kręciła się w kółko, przyspieszając, wirując jak małe tornado. Falujące włosy i sukienka coraz bardziej przypominały rozmazane smugi. Rozpostarte palce dłoni zagięły się na podobieństwo szponów. Pomiędzy nimi przeskoczyło kilka czerwonych cienkich błyskawic. Przy kolejnym obrocie – energii pojawiło się jeszcze więcej, błyskawice rozrosły się, trzeszcząc głośno. Przy następnym – wybuchły z impetem na boki, przeszywając tańczących. Krew trysnęła na deski podestu i na twarze ludzi stojących w pobliżu. Dzikie wrzaski rozdarły powietrze.

Czerwone smugi aury wirowały wraz z dziewczynką i niczym dwa potężne ostrza cięły wszystko na swojej drodze. Przepeławiały wieśniaków, rozrywały na strzępy, rozsadały od środka. Śmiech i zabawa zmieniły się w panikę i grozę. Ucieczka była bezcelowa. Plage kręciła piruet za piruetem, a dwa miecze trzeszczącej energii powiększały się, zagarniając coraz większy obszar. Ścinały wieśniaków wraz ze zbożem i wyrzucały w powietrze już nie złote, lecz szkarłatne od krwi kłosa. Aura huczała i obracała się coraz szybciej, żłobiąc w ziemi głębokie bruzdy i łamiąc deski podestów w drzazgi. Okręcała ciała wieśniaków, unosiła w górę, miażdżyła, obcinała głowy, rznąła nogi w kolanach, udaremniając ucieczkę. Ludzkie członki i wnętrzości fruwały w powietrzu, opadając w krwawym deszczu na pola i obcą dziewczynkę. Mała furia, tkwiąca w centrum tej makabry, nadal okręcała się wokół własnej osi. W ciągu kilku chwil ta piękna, sielska okolica zmieniła się nie do poznania. Zdevastowane pola, zmasakrowani ludzie, zryta ziemia, której bruzdy wypełniała teraz śmierć, nie życie. Krew nadal tryskała, kiedy tylko wąsy energii dosięgały nowej ofiary. Dźwięk dartej

ziemi mieszał się z przeraźliwymi krzykami mordowanych ludzi.

*Albinoska nie zatrzymywała się. Jej ciało było czerwone od krwi. Posklejane kosmyki włosów przylegały do twarzy, ciężki od posoki materiał sukienki przy każdym obrocie tryskał kroplami juchy. Półprzymknięte oczy zasnuwała mgła szaleństwa. A usta? Uniosły się w lisim, drapieżnym uśmiechu...*

\*\*\*

*– Dokonała rzezi, co było do przewidzenia. – Sosha westchnęła ciężko.*

*Cztery Nimfy oraz ich Mistrz zgromadzili się wokół kryształowej misy wypełnionej czystą wodą. Pochylali się nad nią lekko i wpatrywali w gładką jak diament taflę, na której malował się obraz zniszczeń i pogromu.*

*W sali świątyni zapadła ponura cisza. Proste białe kolumny, podtrzymujące wklęsły strop, błyszcząły od drogocennych kamieni, które wyglądały jak oczy i zdawały się obserwować obecnych. W niszach kryły się posągi, symbole czterech żywiołów: wielkie ognisko, potężne drzewo, zastygła w ruchu fala i skręcone w trąbę powietrzną chmury.*

*– Jak ją złapiemy, Stwórco? – Ciszę przerwał głos Beatrice, która z zafascynowaniem przyglądała się twarzy Dereka ściągniętej grymasem głębokiego niezadowolenia.*

*– Nie złapiemy – odparł po prostu.*

*– Jak to? – Neiliel niemal jęknęła i cofnęła się gwałtownie kilka kroków.*

*– Otworzyła portal i uciekła. Ponowne otwarcie portalu możliwe będzie dopiero za kilkaset lat, nie jestem w stanie stwierdzić dokładnie za ile.*

*– I przez ten czas mamy przyglądać się, jak ta biała zdzira rujnuje Przedświat? – Charlotte skrzywiła się sceptycznie.*

*– Tak, mamy się przyglądać i cieszyć, że nie dysponuje pełnią swoich mocy.*

\*\*\*

Ocknął się ze Snu obolały i bardziej niż zwykle skołowany. Przez dłuższy moment nie mógł przypomnieć sobie, gdzie się znajduje i co tu robi. Dopiero kiedy uniósł ociężałe powieki i ujrzał siedzącą nieopodal białowłosą, wspomnienia wróciły. Przekręcił się na plecy i uniósł tułów. Przebiegł niepewnym spojrzeniem po albinosce.

Miała skrzyżowane nogi, a łokcie wsparte na kolanach. Patrzyła na niego w milczeniu, bez śladu uśmiechu, choćby kpiącego. Była niczym kamienny posąg.

Rudzielec nie wiedział, jak się zachować. W końcu zajął taką samą pozycję jak ona, siadając dokładnie naprzeciw niej. Przeszkadzała mu ta cisza zawieszona pomiędzy nimi, dziwnie złowroga.

*– Czemu to zrobiłaś, pani? – zapytał, świadom bezczelnej dwuznaczności pytania.*

Nie mrugnęła nawet, gdy odpowiedziała:

*– Chciałam się przekonać, jak wiele i jak dokładnie widzisz. Twoje myśli zdradziły mi wszystko o twoich Snach, ale żeby zobaczyć je tak samo wyraźnie jak ty, musiałam towarzyszyć ci bezpośrednio podczas trwania wizji.*

Haru potaknął bez słowa. Na chwilę przed oczami stanęła mu wirująca w tańcu dziewczynka, z uśmiechem na ustach dokonująca rzezi. Tego nie wyjaśniła: czemu ich zabiła. Potrząsnął głową, odpychając od siebie okropny obraz. Niby wiedział, że Plage jest zdolna do wszystkiego. Wiedział, ale... nie spodziewał się. Coś takiego oglądał pierwszy raz i było to gorsze od jakiegokolwiek treningu, który przeżył w Syndykacie, nawet od tego zbiorowego, na którym Przywódczyni wybierała dla siebie ucznia. Za to otrzymał odpowiedź na inne z dręczących go pytań. Plage nie była już Nimfą Lodu, straciła swój żywioł, a także część mocy – lecz przynajmniej nie dostał ich Derek. Nadal dysponowała mocą, choć nie

tak potężną jak niegdyś. Pozostawała jedna wątpliwość.

– Odzyskałaś pamięć, prawda, pani? Jak? Kiedy?

– Zadajesz za dużo pytań. Dowiesz się tego sam, prędzej czy później. A teraz dość tych pierdół. –

Wstała, rzucając na chłopaka cień. Sięgnęła po sztylety, wiszące u bioder i zakręciła nimi kilka razy w palcach. – To nasz ostatni dzień. Nie masz chyba zamiaru siedzieć tak beczynie, koteczku?

Rudowłosy zamrugął i podniósł się, sięgając po katanę. Nie potrafił udawać, że nic się nie stało, ale musiał choć spróbować zachowywać się równie obojętnie jak ona. Mocniej ścisnął rękojeść katany i uśmiechnął się zaczepnie.

– Myślałem, pani, że dziś nie będzie brutalności.

Uśmiechnęła się cierpko i błysnęła sztyletami.

– Zmieniłam zdanie.

# CZEŚĆ TRZECIA

## Rozdział I

Uliczka, którą szli dwaj Skrytobójcy, była wąska i śmierdziała, drażniąc ich wyczulone zmysły. Mężczyźni zakrywali nosy rękawami ciemnych płaszczy. Wznoszące się po obu stronach ruiny kamienic okrywały ich złowrogim cieniem pomimo słonecznego dnia. Po zniszczonym bruku wałały się zgniłe skrzynie. Chmary brzęczących much przenosiły się z jednego łajna na drugie. Gdzieś dalej leżała padlina jakiegoś zwierzęcia; z rozciętego brzucha wylewały się wnętrzności, aż czarne od pokrywającego je robactwa. Wielkie szczury przebiegały Skrytobójcom drogę, niemal wpadając im pod nogi. Nie bały się ani trochę. Wspinały się na połamane beczki i stawały słupka, poruszając długimi wąsami i obserwując intruzów czarnymi paciorkami ślepi.

Ciemnowłosi mężczyźni, o zadziwiająco podobnych rysach twarzy, krzywili się z identycznym zdegustowaniem. Czerwone nici obszywające krawędzie ich płaszczy świadczyły, iż należą do Syndykatu. Najwidoczniej szli na ważne oficjalne spotkanie – w przeciwnym razie chroniliby swoją tożsamość za wszelką cenę.

– To na pewno tutaj? – odezwał się jeden z nich nieco piskliwym głosem.

– Przywódca dał nam wytyczne, a on się nie myli.

Nie przerywali równego kroku, starając się nie zwracać uwagi na otoczenie. Wypełniona smrodem uliczka ciągnęła się jeszcze długo, ale w końcu dostrzegli jej wylot, otwierający się na niewielką polanę pożółkłej trawy.

– Coś mi się wierzyć nie chce w te całe plotki na temat jej wieku i wyglądu. Młoda, ładna kobieta w takim miejscu? To na pewno stara, pomarszczona wiedźma – zaczął znów ten o piskliwym głosie.

– Zważaj na słowa, Will, niewykluczone, że ona cię słyszy.

– Phy! I co mi robi? Zmieni mnie w ropuchę?! Daj spokój, to tylko bujdy. Wierzysz w te całe czary-mary?

– Przywódca wierzy. Nie wysyłałby nas tutaj na darmo.

– Jasne. – Will przewrócił oczami i zaraz zmrużył powieki, chroniąc oczy przed rażącym słońcem.

Skrytobójcy wychynęli nagle z cienia uliczki na jasną polanę, która wyglądała na odciętą od świata za nimi. Ruiny miasta, które zostawili za sobą, kończyły się tutaj jak nożem uciął. Dalej była tylko ta polana, pozbawiona drzew i kwiatów, porośnięta jedynie żółtą, wyschniętą trawą, bardziej przypominająca pustynię niż łąkę.

Will rozłożył bezradnie ręce.

– No i?

– Nie rozumiem... – Jego zasepiony towarzysz rozglądał się bacznie. – To powinno być dokładnie za ruinami.

– A jednak. Mówiłem, że to bujdy!

– Poczekaj...

– Co znowu?

– Nie czujesz? Jakaś dziwna aura, ledwo ją czuć, ale kiedy się skupisz, zauważysz, że wypełnia to miejsce, jest wszędzie, niczym powietrze.

Will pokręcił głową i niechętnie przystał na pomysł kolegi. Znieruchomiał, skoncentrował się i... wzdrygnął, cofając o krok. Coś zdecydowanie było nie tak. Woń, której smużka musnęła mu nozdrza, okazała się ostra i dusząca. Miał wrażenie, że wypełniła mu płuca i żyły, zastępując miejsce krwi i tlenu. A przecież ledwo ją wyczuwał.

– Co to takiego? Nigdy wcześniej nie spotkałem się z czymś podobnym.

– Nie mam pojęcia, Will, ale nie podoba mi się to.

Słońce świeciło ostro, z nieba powinien lać się żar, a wokoło zrobiło się naraz niesamowicie zimno. Mężczyźni szczerzej otulili się płaszczami i spojrzeli po sobie skonsternowani. Przecież demony nie powinny odczuwać chłodu tak dotkliwie. Albo ich organizmy nagle zaczęły źle funkcjonować, albo nieoczekiwanie zrobiło się mroźnie, pomimo czystego nieba i palącego słońca.

Po stopach Willa przepęzło coś oślizłego i lodowatego; Skrytobójca odruchowo odskoczył. Intruz, którego odrzucił kopniakiem, był wężem – długim, grubym, o złotej skórze, dzięki której idealnie wtapiał się w tło suchej trawy. Potraktowany wrogo gad zasyczał, wysuwając rozdwojony język, po czym znów podpełzł do mężczyzny. Wytrenowany perfekcyjnie Skrytobójca błyskawicznym ruchem wyrzucił z rękawa ostrą strzałkę, która trafiła węża w łeb, przyszpilając go do ziemi. Gad wił się i rzucał desperacko, na koniec zwinął się w kłębek i zastygł w bezruchu. Will splunął na niego z pogardą. To wszystko? Zarechotał i odwrócił się w stronę towarzysza. Natychmiast znieruchomiał.

Jego kolega stał jak sparaliżowany, blady niczym ściana, z zapadniętymi oczami i rozwartymi do niemego krzyku ustami. Delikatne tchnienia wiatru poruszały połami jego płaszcza i czesały ciemne, krótko ścięte włosy. Jego twarz zastygła w wyrazie przerażenia. Nie oddychał.

Will postąpił krok w jego kierunku i kilka razy przesunął dłoń tuż przed martwymi oczami. Żadnej reakcji. Wsunął dłonie w kieszenie płaszcza, zaciskając palce na rękojęściach dwóch sztyletów. Lustrował otoczenie uważnym spojrzeniem, lecz nie dostrzegł niczego podejrzanego.

– Jagier? – rzucił w stronę kolegi, nie patrząc jednak na niego. – Jeżeli to jeden z twoich durnych żartów, to wiedz, że wcale nie jest śmieszny.

– Twój kolega nie jest niczemu winien – odezwał się za jego plecami ochryply, lecz niewątpliwie kobiecy głos. – No oprócz faktu, że śmiał tu przyjść.

Will obrócił się przez ramię, momentalnie wyciągając dłonie z kieszeni. Rzucone sztylety przecięły tylko powietrze. Skrytobójca zmarszczył brwi w zdziwieniu i złości.

– A ty będziesz następny. – Ten sam głos ponownie dobiegł tuż zza jego pleców.

– Przestań igrać ze mną, więdźmo, pokaż się! – Okręcił się jak fryga, jeszcze szybciej niż poprzednio, i to dwa razy, chcąc ją zaskoczyć. Daremnie. Nikogo nie zobaczył. Nikogo tu nie było...

– Jestem, jestem, tylko ty mnie nie widzisz, ślepy durniu. – Głos rozbrzmiał w jego czaszce, między skroniami, rozsadzając ją potężnym echem. Skrytobójca wrzasnął dziko, złapał się za głowę i upadł na kolana. Wlepił załzawiony wzrok w ziemię i wtedy zobaczył przed sobą białe stopy, które pojawiły się znikąd. Przeszły go ciarki. Miał złe przeczucia. Z ociąganiem podnosił wzrok, sunąc spojrzeniem po smukłych zgrabnych łydkach nieznajomej, po drobnych kolanach, udach okrytych cienkim materiałem czarnej sukienki, po wcięciu w tali, biuście, białej skórze dekoltu i szyi, na której wisiało kilka medalionów i sznurów koralu, wreszcie odważył się spojrzeć tajemniczej kobiecie prosto w oczy – czerwone jak krew tęczęwki, porcelanowy uśmiech, śnieżna cera, wysokie kości policzkowe dodające delikatnym rysom władczości, proste białe włosy okalające młodą twarz. Miała góra dwadzieścia lat, nie była staruchą.

– Ty więdźmo... – wycharczał. – Co zrobiłaś Jagierowi... i mnie?

– Po pierwsze wolę raczej określenie szamanka, jeśli już zamierzasz używać takich epitetów. Więdźma pasuje do kogoś starego, nie sądzisz?

– Przestań pogrywać i odpowiedz na moje pytanie!

– Niby czemu miałabym to robić? Czy aż tak trudno odgadnąć? Sądziłam, że Skrytobójcy są nieco bardziej inteligentni. Naprawdę się zawiodłam. Myślałam też, że są na tyle mądrzy, by tu nie przychodzić.

Jej krwiste oczy błysnęły dziko, a okamgnienie później ból w głowie Willa nasilił się. Warknął gardłowo, mocniej ściskając skronie.

– Przestań, cholerna wiedźmo! Zaraz mi głowa pęknie!

– Nadal nie zrozumiałeś? Jaka szkoda. – Oparła dłonie na biodrach i pochyliła się. Naszyjniki zabręczały cichutko. – Jeszcze raz nazwiesz mnie wiedźmą, a sprawię, że udusisz się własnym językiem.

Will parsknął pogardliwie. Błyskawicznie sięgnął za pazuchę płaszcz i cisnął czymś w białowłosą. Ta nawet nie próbowała się uchylić. Stała spokojnie, z uśmiechem zerkając na miniaturowy sztylet po rękojęść wbity w swoje udo.

– Trucizna – skomentowała. – Jak miło, że wybrałeś coś z mojej specjalności. Na pewno ci to pomoże.

Skrytobójca z obłędem w oczach znowu złapał się za głowę; klęczał, jęcząc rozpaczliwie. Ból rozsadzał mu czaszkę, wyciskał łzy. A przecież nigdy wcześniej nie płakał! Teraz był sparaliżowany cierpieniem, upokorzony własną bezradnością. Miał jeszcze kilka chwytów i broni w zanadrzu, lecz nie potrafił zmusić się do ich użycia. Opętała go, pozbawiła woli!

– Wiedź... – Nim dokończył, albinoska wykonała krótki zamaszysty gest dłonią. Zabełkotał, rozpaczliwie łapiąc się za gardło i osuwając na bok z wybałuszonymi oczami i siniejąca szybko twarzą. Toczył pianę z ust, wierzgał nogami, a oczy mu łzawiły coraz intensywniej. W końcu, tak jak go ostrzegała, zadławił się własnym językiem.

Białowłosa westchnęła i pokiwała głową.

– No, z tobą już nie pogadam. – Okręciła się na pięcie i ruszyła ku sparaliżowanemu Jagierowi. Jej biodra zakołysały się miękko, a medaliony delikatnie zadrgały. Zatrzymała się przed drugim Skrytobójcą i odgarnęła włosy na kark. Spojrzała spod długich rzęs na bladą, zastygłą w przerażeniu twarz. Białe usta wyszeptały kilka słów.

Jagier odżył. Nagły głęboki wdech poruszył jego pierś. Oczy rozbłysły, ale wypełniły się grozą. Z rozwartych ust wreszcie wydobył się przeraźliwy wrzask i mężczyzna ruszył z kopyta jak smagnięty biczem. Zaczął biegać w kółko, krzycząc i wymachując rękami. Jego spojrzenie nadal błędziło w jakimś innym świecie. Potykał się o własne nogi, przewracał, ale zaraz zrywał się i dalej ganiał w kółko jak w amoku. Zatrzymała go dopiero albinoska, która przecięła mu drogę i żelaznym uściskiem dłoni złapała za gardło. Choć był od niej większy, bez problemu uniosła go, tak że ledwie dotykał ziemi czubkami butów.

– Nie dramatyzuj – skwitowała jego szaleńcze przerażenie. – Złe sny już się skończyły, dziecinko. Teraz słuchaj uważnie, jeśli nie chcesz, by koszmary stały się rzeczywistością.

Jagier zwisał w uchwycie drobnej dłoni jak kukła, bezwładny i bezwolny. Wreszcie opanował rozbiegane spojrzenie i zerknął na kobietę. Spróbował przełknąć ślinę, ale uścisk na gardle mu to uniemożliwił.

– Jak miałeś okazję się przekonać – ciągnęła tymczasem szamanka – potrafię wydobyć najbardziej skrywane lęki nawet z pozornie niestrachliwych Skrytobójców. Kiedy wleźliście tu nieproszeni, ja weszłam na chwilę do waszych umysłów. Wydałeś mi się nieco bardziej rozsądny od tego tam – nieznacznie wskazała głową zsiniałego Willa – dlatego postanowiłam zachować cię przy życiu. Choć, jak pewnie wiesz, życie nie zawsze jest lepsze od śmierci. Zwłaszcza gdy ja decyduję o czyimś losie.

Więc jeśli pragniesz umrzeć szybko, wyjawisz mi, czego tu szukacie. Gdy twoje wyjaśnienia mnie zadowolą, może nawet puszcze cię wolno.

Jagier nie był w stanie odpowiedzieć, więc energicznie potaknął głową, na tyle, na ile pozwalała mu niewygodna pozycja. Białowłosa puściła go, a on runął na ziemię, nie dając rady utrzymać się na nogach. Stała nad nim, oczekując wyjaśnień.

– Mój pan – zaczął po chwili Skrytobójca chrapliwym głosem – Przywódca Syndykatu, przysłał nas do ciebie...

– Czego ten dureń chce? Streszczaj się.

– Ma dla ciebie propozycję, ale... sądzę, że nie będziesz zadowolona.

– Wtedy cię zabiję, szybko, tak jak obiecałam. Jeśli jednak propozycja mi się spodoba, odzyskasz wolność. A jeśli nic mi nie powiesz, wrócisz do koszmaru i męczarni.

Mężczyzna nie próbował się bronić jak jego kolega. Nie wiedział, co dokładnie tu zaszło, ale wystarczyło mu jedno zerknięcie na trupa Willa, by domyślić się, że z białowłosą szamanką nie ma szans. A do koszmarów, które zgotowała mu wcześniej, nie chciał wracać. Musiał mówić.

– Plotki o twoich zdolnościach huczą już w całym Przedświecie. Nie wszyscy w nie wierzą, czego przykładem był mój kolega. Mój Pan wierzy, że znasz się na runach i magii, a także na Alchemii. Chodzą też słuchy, że nie masz żadnych problemów z zabijaniem, czy przy użyciu zwykłego noża, czy też bardziej nietypowych narzędzi. Lub nawet gołymi rękami. Po tym, co tu przeżyłem, sam nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Założmy, że mówisz prawdę. – Uśmiechnęła się niewinnie, jak gdyby wcześniej nic się nie wydarzyło. – Co wtedy?

– Mój pan chce... Przywódca prosi, byś do nas dołączyła.

Jasne brwi uniosły się wysoko, a białe usta wykrzywił grymas chłodnego rozbawienia.

– Byłabym dla Syndykatu cennym nabytkiem, co? A może maskotką? Cóż, na pewno przyniosłabym wam ładne zyski. Nie przeczę, mordowanie na zlecenie nawet by mi odpowiadało, ale z kilku powodów muszę odmówić. Po pierwsze, ja nie pracuję dla nikogo, więc niech twój pan wsadzi sobie swoją propozycję głęboko. Po drugie, czy Syndykat uważa, że robi mi łaskę? To ja bym wam zrobiła przysługę, za którą powinniście mi zapłacić. Więc jak, masz coś dla mnie?

Jagier skulił się na ziemi. Oczywiście niczego dla niej nie miał. Przywódca Syndykatu był tak samo apodyktyczny i samolubny jak białowłosa, i pewnie nieźle by się rozeźlił, słysząc jej słowa. Brunet zacisnął dłonie na żółtej trawie i zamknął oczy. Oczekiwał tego, co zapowiedziała, szybkiej śmierci. Choć nie miał pewności, że albinoska dotrzyma danego słowa. Nie wyglądała na taką, która ściśle wywiązuje się z obietnic. Sprawiała raczej wrażenie istoty kapryśnej, kierującej się własnym widzimisię, której do niczego nie można zmusić.

Podeszła do niego bliżej. Uchylił powieki, słysząc skrzypienie. Na skrawku piasku pomiędzy uschniętymi kępami trawy nakreśliła stopą jakieś runiczne znaki. Potem wymamrotała coś pod nosem, wyciągnęła sztylecik z uda – rana była płytka, po białej skórze pocięła tylko wąska strużka krwi – i przesunęła ostrzem po runach, by następnie bez ostrzeżenia nakłuć czubkiem skórę na ramieniu Skrytobójcy. Mężczyzna odruchowo drgnął, a potem syknął przeciągle przez zaciśnięte zęby, kiedy na jego ręce pojawiły się takie same znaki, wypalone w skórze głęboko i boleśnie.

– Co to takiego?

– Wiadomość dla twojego pana. Powinien zrozumieć, to proste runy. Ale wytłumaczę na wszelki wypadek – mruknęła cierpko. – Wyzywam go na pojedynek.

Haru obudził się spokojny, choć nie do końca odprężony. Przywykł już do Snów, choć różniły się bardzo od tych pierwszych. Coraz więcej w trakcie swoich wizji odczuwał, nie tylko widział obrazy, odbierał także emocje niemal każdej istoty, która się w nich pojawiała. Z drugiej strony Sny nawiedzały go rzadziej niż na początku i nie były już tak dokładne, nie pokazywały wszystkiego. Przeskakiwały spore okresy, odsłaniając tylko najważniejsze momenty z życia Plage. Dlatego też teraz, gdy liczył sobie zaledwie szesnaście lat, ona w jego Snach była już dorosłą kobietą.

Minęły dwa lata od ich ostatniego wspólnego treningu i rok od rozpoczęcia Selekcji, o której wtedy wspomniała.

Miejsce, w którym się obudził, nie nastrajało pozytywnie. Wokół panowały niemal kompletne ciemności, choć na zewnątrz świtało – o czym świadczyły mdłe promienie słońca, wpadające do wewnątrz przez wąskie otwory (bo ciężko było je nazwać oknami) pod sufitem. Haru nie widział swoich współtowarzyszy, pochowanych gdzieś po kątach, lecz wiedział, że tu są, słyszał szmery ich oddechów.

Pomieszczenie było przygnębiająco małe. Za ciasne nawet dla garstki demonów, które zdołały przeżyć do tej pory; na samym początku było ich tu o wiele, wiele więcej. Rudzielec wiedział, że nigdy nie zapomni kilku pierwszych tygodni pobytu w tym piekielnym miejscu.

Selekcja – choć już sama nazwa brzmiała groźnie – w rzeczywistości okazała się jeszcze gorsza. Każdego, kto osiągnął wiek piętnastu lat, prowadzono do jednego z baraków usytuowanych daleko od zbudowanego na wodzie Syndykatu, gdzieś wśród płataniny ciemnych drzew lasu Shado-Karasu. Były to sześciennie klitki, wzniesione z czarnej cegły, ustawione jedna obok drugiej w równych długich szeregach. Wewnątrz owych baraków-bunkrów mieszkała czarna pustka, przecinana mdłymi snopami światła, sączącego się z dziur pod sufitem. Nie było tu mebli, żadnych łóżek, stołów, niczego – gorzej niż w więzieniu. Masy młodych demonów tłoczyły się w ciemności, ciasnocie i smrodzie. Nie dostawali jedzenia, musieli walczyć między sobą o kąt do spania, o kawałek zimnej brudnej podłogi, choćby do siedzenia. W klaustrofobiczne boksy wpakowano zdecydowanie za dużo osób. W końcu, przebywając zbyt długo w mroku, ścisku, czując narastający głód i gniew, przekraczali cienką linię szaleństwa. Często wybuchały bójkі, czasami bez konkretnego powodu, a czasami o to, kto weźmie następne zabójstwo zlecone przez Syndykat. Bo wychodził stąd tylko ten, komu powierzono zadanie. Patrzyli więc na siebie wilkiem, każdy był potencjalnym wrogiem, rywalem, który mógł zwinąć sprzed nosa przepustkę na chwilową wolność. I tak zamknięci na małej przestrzeni Skrytobójcy, dawni koledzy, zaczęli się darzyć coraz większą nienawiścią, wybijając się i okaleczając nawzajem, by do odbierania zleceń pozostało jak najmniej chętnych i zdolnych rąk. To była brutalna i sprytna selekcja. W każdej z takich klatek w końcu zostawał przy życiu tylko jeden osobnik, najsilniejszy, najsprytniejszy, jedyny, któremu udało się przetrwać – dopiero wtedy, przeszedłszy ów okrutny sprawdzian, zaczynał naprawdę służyć Syndykatowi i mógł kosztować wolności na co dzień. Choć nawet jego wolność była ograniczona. Oczy Syndykatu zawsze śledziły Skrytobójcę, nie mógł się od nich uwolnić i to przełożeni decydowali, kogo i za ile ma zabić.

Do etapu tej kontrolowanej swobody Haru miał jeszcze daleko, a przecież nie mógł być pewien, że to właśnie on wyjdzie cało z Selekcji. Nie mógł być pewien niczego. Nie oszalał jedynie dzięki Snom. One trzymały go przy życiu, dawały siłę do dalszych zmagania. Z przyjemnością zasypiał po każdym ciężkim dniu, chcąc jak najszybciej zanurzyć się w świetle Plage. Przez ostatni rok obserwował jej losy, zanim zaczęła rządzić Syndykatem. Streszczając, powiedziałby, że była postrachem całego Przedświata, zaszyta w swojej pustelni i mordująca każdego, kto ważył się podejść zbyt blisko.

Kiedy po zaśnięciu nie nawiedzały go żadne Sny, budził się zawiedziony. Stanowiły dla niego jedyną ucieczkę od brutalnej rzeczywistości, tylko w nich znowu towarzyszyła mu białowłosa, chociaż niematerialna i odległa. Była jedyną osobą, którą umiał i chciał akceptować. Całą resztę otaczających go



demonów traktował jak zawszoną bandę, którą prędzej czy później trzeba będzie wyeliminować, by samemu przeżyć.

Drzwi baraku otworzyły się na oścież, skrzypiąc głośno. Do wewnątrz wlało się oślepiające światło, wywołując niezadowolone pomruki. Jasny prostokąt objął środek pomieszczenia, oświetlając leżące zgodnie pospołu sine trupy. W ostatnich potyczkach zginęło kilka demonów, dzisiaj więc powinno starczyć zleceń dla wszystkich.

Do pomieszczenia weszło kilku Kapłanów, odzianych w długie, ciemnozielone płaszcze, przewiązane nad biodrami o ton jaśniejszymi pasami. Jedni zatrzymali się w progu i obserwowali, niby od niechcienia, a jednak ze znaną już adeptom bezwzględnością. Inni rozeszli się na dwie strony i rzucali pod nogi Skrytobójców pożółkłe pergaminy. Haru złapał swoją kartkę w powietrzu i zmierzył przechodzącą obok Kapłankę niechętnym spojrzeniem. Nie zareagowała.

– Do roboty. – W gęstym od smrodu powietrzu rozległ się rozkaz jednego z Kapłanów stojących przy drzwiach. Skrytobójcy zaczęli się podnosić. Rudzielec robił to z ociąganiem. Dłuższy pobyt w baraku jak zwykle rozleniwił go i otumanił. Chociaż tęsknił za słońcem i świeżym powietrzem, to za każdym razem było mu ciężko na nie wyjść.

Wolno zanurzał się w blasku wpadającym przez rozwarte wrota. Przysłonił oślepione oczy ramieniem, chcąc dać im czas na przywyknięcie do jasności. Tak to działało: kilka lub kilkanaście dni w mrocznej klitce, a potem kilka dni na zewnątrz, podczas wykonywania zadania. Świeże powietrze wypełniło płuca, przyprawiając go o chwilowe oszołomienie. Minął ostatnich rozstawionych przy budynku Kapłanów i rozejrzał się po otoczeniu. Zrobił to odruchowo, choć zupełnie niepotrzebnie, bo przecież wychodził tu wiele razy i zawsze witało go to samo: ciemne drzewa, poskręcane ze sobą, tworzące zbitą masę przesłaniającą widok. Las Shado-Karasu, mroczny i złowrogi, po długim pobycie w klitce wydawał mu się jednak niemal rajem. Haru ruszył niespiesznym krokiem między drzewa, omijając je instynktownie; znał ich rozstawienie na pamięć. Spojrzał na kartkę ze zleceniem.

Pochłonął wzrokiem tekst, a jego oczy rozszerzyło zdziwienie. Sama końcówka listu wstrząsnęła nim. Brakowało podpisu, nie było żadnych danych na temat zleceniodawcy, ale tylko jedna osoba mogła skreślić te słowa:

*Jeśli to spieprzysz, zginiesz, koteczku.*

## Rozdział II

Jakiś ciemny zaułek na skraju miasta, w nim kilka drewnianych skrzyń i stopy śmieci. Gdzieś z dala dobiegały odgłosy codziennej krzątania. Tutaj – w cieniu dwóch wysokich budynków tworzących wąską uliczkę – cisza i schronienie przed słońcem. Kiedy Haru się zjawił, już na niego czekała: Raphaela, jego dawna nauczycielka, zielonowłosa kobieta o uśmiechu, który znienawidził od pierwszego spotkania.

– Kopę lat, Haru – rzuciła na powitanie, wyłaniając się z cienia. Rudowłosa momentalnie znieruchomiał na widok jej stroju. Ubrała się na biało, od stóp do głów. Śnieżna biel razila go w oczy i wprawiała serce w nieznośne kołatanie.

– Już na wstępie chcesz mnie sprowokować, co? – wycedził przez zaciśnięte zęby. Miał chęć złapać za katanę, spoczywającą na plecach, ale opanował się.

– O czym ty mówisz? – Kobieta udawała niezrozumienie, ale jej trawiaste oczy błyszczały rozbawieniem. – Coś nie tak? Czyżby ten kolor coś ci przypominał? A może kogoś?

Młody Skrytobójca nie odpowiedział. Wybił się obunóż i z prędkością błyskawicy dopadł do Raphaeli, ramieniem przyduszając ją do ściany. Zaskoczona zielonowłosa syknęła ostrzegawczo, ale nawet nie próbowała się bronić, jakby na coś czekała.

– Nie jesteś godna koloru, który nosisz... Nie masz prawa... – Ramię rudzielca mocniej docisnęło kobietę do muru.

– A więc tobie naprawdę chodzi o nią? – wydyszała, chichocząc chrapliwie. – Tak myślałam, że przyśle ciebie, swojego Jasnowidza. Na dodatek... – Urwała, bo mocniejszy nacisk na krtań odebrał jej możliwość mówienia i oddychania. Rudzielec patrzył na nią przez szparki zmrużonych powiek.

– Wyjaśnisz mi, skąd się dowiedziałaś – odezwał się dziwnym metalicznym głosem, zmienionym narastającym powoli szaleń – albo sam cię do tego zmuszę. Jak myślisz... Czy jako Jasnowidz Przywódczyni umiem zadawać takie same tortury jak ona?

Milczała. Chyba chciała odpowiedzieć, tylko...

Zmniejszył odrobinę nacisk ramienia.

– Po...szekaj... – Niewyraźny bełkot wydobył się z ust zielonowłosej. Haru rozluźnił uścisk i odsunął się, nie spuszczać jednak z kobiety czujnego wzroku.

– Pogadajmy spokojnie – mruknęła, rozmasowując sobie gardło. – Dowiedziałam się, tak. Wiem, czym dla niej jesteś. Ale czy musicie od razu na mnie polować? Nie sądzisz chyba, że jestem na tyle głupia, by sama spiskować przeciwko wielkiej i niezwyciężonej Bogini o Trzech Twarzach.

– Oczywiście, że nie jesteś na tyle głupia, by działać sama. Musi być was więcej. Więcej głupków, których za chwilę wydasz.

– Może... – Zielonowłosa uśmiechnęła się sprytnie. – A może nie. Bo widzisz, wolałabym jednak wykorzystać ciebie i twoje zdolności do zbadania przeszłości Plage. Wielu z nas tylko czeka na okazję, na coś, co pomoże pozbawić ją władzy. Wiem, że nie przejdziesz na naszą stronę, cokolwiek ci zaproponuję. – Nieprzyjemny uśmiech Raphaeli poszerzył się. – Przecież jesteś bezwarunkowo zapatrzony w swoje Sacrum. Biedak... To jak ogłupiający czar, co? Dlatego czekałam, by Plage nasłala cię na mnie. Bo to ja wydrę z ciebie informacje.

Haru zmarszczył czoło i odsłonił kły w parodii uśmiechu.

– Chyba żartujesz... Naprawdę sądzisz, że tak łatwo dobierzesz się do mojej głowy?

– Mogłabym zapytać o to samo. Więc jak, sprawdzimy, kto pierwszy się podda? Czy ja wydam

swoich sprzymierzeńców, czy może ty zdradzisz Plage?

– Dość! – Przepęłnione mrokiem i gniewem ślepie rudzielca błysnęły dziko. Znienacka znów schwycił zielonowłosą za gardło i rzucił nią o ścianę. Świetnie wytrenowana Raphaela obróciła się zgrabnie, zaparła dłońmi o mur, ugięciem łokci amortyzując uderzenie, a potem wybiła się w odwrotnym piruecie do błyskawicznego kontrataku. Zawinęła nogą i chłopak poczuł silne kopnięcie w plecy. Wygiął się, z trudem utrzymując równowagę. Nie zdążył złapać za broń. Kobieta wręcz przeciwnie, z niesamowitą szybkością dobyła długiego noża. Rzucone ostrze wykonało w powietrzu obrót, mierząc w odsłonięty bok demona. Uchylił się jakimś cudem. Szybko przestawił stopy, wykręcając się w kierunku Raphaeli. Zamachnęła się, Haru wystawił zgięte ramię do bloku, ale jej gest był tylko zmyłką, bo w ostatnim momencie zamiast uderzyć, złapała chłopaka za ramię, unieruchamiając go i odchyłając do tyłu, by bez przeszkód przejechać nożem po odsłoniętym brzuchu. Z długiego, choć płytkiego rozcięcia trysnęła krew; młody demon warknął rozjuszony. Powstrzymał instynkt, który nakazywał mu odskoczyć, i zrobił coś, czego zielonowłosa się nie spodziewała. Złapał nadgarstek ręki, w której trzymała nóż, odsunął w bok, a potem gwałtownie przyciągnął przeciwniczkę do siebie, kopiąc kolanem w splot słoneczny.

Stęknęła głucho, tracąc dech. Zachwiała się i zdekoncentrowała na moment. To wystarczyło, żeby rudowłosa zwinnie podciął jej nogi, a gdy upadła twarzą na bruk, klękła między jej łopatkami, przygważdżając Raphaelę do podłoża.

Przekręciła głowę, unosząc ją lekko. Nawet z profilu wyglądała nieciekawie. Rozcięta warga, krew lejąca się ze złamanego nosa. Mimo to uśmiechnęła się wrednie.

– Jeśli przegrasz, wyciągnę z twojej głowy wszystko na temat tej suki Plage, wszystko, kawałek po kawałeczku.

– Zabawne – zaczął chłopak lekkim tonem, z którego był dumny – że mówisz coś takiego unieruchomiona przy ziemi.

Kobieta zerknęła na niego koso, arogancko, nie zważając na ból i swoje upokarzające położenie.

– A jeśli nawet mnie pokonasz, nigdy się nie dowiesz, kto jeszcze należy do spisku.

– Bo pewnie mi tego nie powiesz, co? – Rudzielec parsknął ze złością i mocniej wcisnął kolano między jej łopatki, aż kobieta jęknęła, dławiąc się własną krwią. – Spokojnie, ja mam cię tylko ogłuszyć. Przywódczyni zajmie się resztą. A wtedy... pożałujesz.

– To ty pożałujesz! – syknęła i nagle odzyskawszy siły, przekręciła się, z impetem spychając z siebie rudzielca.

Młody skrytobójca uderzył plecami w ścianę kamienicy i natychmiast musiał kucnąć, by uchylić się przed pędzącym ku niemu nożem. Ostrze o włos minęło jego głowę i z chrobotem uderzyło w twarde cegły, żłobiąc w nich głęboką bruzdę. Demon poderwał się na równe nogi i utkwiał wzrok w stojącej naprzeciwko rywalce.

– Przyjmuję twoje słowa jako wyzwanie – mruknęła, ocierając krew z ust. – A skoro tak, skończyły się żarty.

Haru nie odpowiedział, napinając mięśnie i wyczulając zmysły. Złapał za rękojeść katany schowanej w pochwie na plecach i wyciągnął ją przed siebie. Obserwował przeciwniczkę. Coś takiego podejrzewał – dotąd Raphaela tylko udawała, bawiła się, teraz zamierzała walczyć na poważnie. Wyczuwał to po jej ciężkiej aurze, która zalegała w powietrzu jak gęsta mgła.

– Jeszcze możesz się uratować – ciągnęła kobieta, podrzucając długi nóż. – Wybieraj. Poddajesz się od razu i być może przyjmiemy cię do naszego grona. Albo stajesz do walki, ale nie osiągasz w ten sposób niczego, bo nie masz ze mną najmniejszych szans.

Chłopak taksował Raphaelę pogardliwym wzrokiem. Była jak pasożyt, którego chciał się pozbyć szybko i skutecznie. Jej protekcyjny uśmiezek denerwował go i napawał odrazą. Śmiała przywdziać

biel, kolor, na który nie zasługiwała i który splamiła krwią. Nienawidził jej za to z całego serca, a fakt, że chciała wywołać bunt przeciwko Plage, tylko tę wrogość pogłębiał i prowadził na granicę, spoza której nie było odwrotu. Za linią szaleństwa istniał tylko gniew. Mógł go jedynie wyładować na obiekcie swej nienawiści.

\*\*\*

Ocknął się zalany krwią, niewiele pamiętając z przebiegu walki, czy raczej rzezi. Gniew zawładnął nim do tego stopnia, że właściwie przestał się kontrolować. Nie panował nad sobą, nie zastanawiał się, co robi. Po prostu szedł jak maszyna, nie bacząc na nic, nawet na własne rany. Wytrenowane morderczymi ćwiczeniami ciało instynktownie unikało popełniania błędów, a przeszkolony w sztuczkach umysł podpowiadał podstępne ruchy i niehonorowe chwytły. A że zielonowłosa była mocną przeciwniczką, posiadającą o wiele większe doświadczenie, walka okazała się długa i zażarta.

Haru pamiętał tylko urywki. Nóż naczynający mu pierś, katana rozcinająca bok Raphaeli. Tryskająca krew i jej metaliczny posmak w ustach. Kopniak w szczękę, po którym upadł na bruk. A potem zemsta, gdy w okrutnej ripości złapał kobietę za kostkę, którą wykręcił i złamał. Błysk i zgrzyt ścierających się ostrzy, balet iskier, szybki taniec stóp, bluzgająca krew... Wszędzie coraz więcej krwi, zaulek tonął w niej, ztracał kontury w czerwieni... tak ukochanej przez Haru czerwieni...

Bryzgi i kleksy na obu ścianach – krew spływała po ceglach w dół, zbierając się w kałuże. Umazany posoką Haru stał pośrodku, dysząc głośno i ciężko. Bez emocji wpatrywał się w martwą Raphaelę, którą przebił kataną na wylot. Kobieta miała zgruchotany nos, potwornie zniekształconą szczękę, przeciętą powiekę i skórę naznaczoną licznymi pręgami ran, z których sączyła się krew. Ściekała z poszarpanego ubrania, które dawno przestało być białe, nasiąkając czerwienią jak gąbka, kapała na bruk...

Rudzielec wcale nie wyglądał lepiej; z włosami sklejonymi krwawym brudem, pochlastany, z trudem stojący na drżących nogach. Kolana uginały się pod nim, a stopy ślizgały w lepkiej kałuży. Do rany na brzuchu dołączył komplet innych: na barkach, piersi, udach, głowie. Ale żył. I zwyciężył.

Opuścił ostrze katany, pozwalając, by bezwładne ciało zielonowłosej zsunęło się ze stali i z ohydny pluskiem upadło w kałużę juchy. Haru nagle zachwiał się, zrobił kilka niekontrolowanych kroków i uderzył ramieniem w mur. Nie mogąc dłużej ustać, osunął się po ścianie i skulił na bruku. Był słaby, a z powodu utraty krwi zaczynał odpływać w nieświadomość, tracić czucie w palcach. Musiał odpocząć, zasnąć, by dać swojej energii czas na zregenerowanie rozległych ran. Z drugiej strony bał się, że już się nie obudzi, że jego organizm nie poradzi sobie i zanim zdąży wyleczyć wszystkie rany, umrze z upływu krwi.

Wtedy się pojawiła – jak zwykle bezszelestnie, niczym zjawą, bez zapowiedzi, znikąd. Zarys jej sylwetki zamazywał się pośród czarnych i czerwonych plam latających mu przed oczami. Ale była tu. Stała nad nim, opierając dłonie na biodrach i kręcąc głową z dezaprobatą. Widział ją pierwszy raz od dwóch lat i jego zmęczone serce znów niebezpiecznie przyspieszyło rytm. Zmysły rozszalały się, przesywając ciało przyjemnym mrowieniem spełnionej tęsknoty. Zapomniał o bólu i wycieńczeniu, chciał tylko na nią patrzeć, nawet taką niewyraźną, rozmytą... Jej miętowy zapach wypełnił mu nozdrza i płuca, zastępując powietrze.

– Pani... – Uśmiechnął się błogo sinymi ustami. Biała twarz rozplątywała się, nie potrafił rozpoznać, co wyraża, pewnie nic, jak zwykle, lecz chciał wierzyć, że choć trochę się ucieszyła.

– Spieprzyłś sprawę, Haru Saruku – oceniła lodowatym tonem. Białe włosy zafalowały, kiedy energicznie rozejrzała się po uliczce. Potem kucnęła naprzeciw niego i zaczęła coś mamrotać, na zmianę aksamitnym i szczekliwym głosem, sylaby przeciągały się, to znów kończyły nagle; czerwone oczy błyszczały, gdy wpatrywała się w pobladałą i pokancerowaną, choć dziwnie szczęśliwą twarz chłopaka.

Z każdym jej słowem rany piekły mocniej, lecz nie wysysały już z niego sił. Wracał do przytomności, odyskiwał ostrość widzenia, czucie w kończynach i świadomość własnego ciała. Czy Plage go leczyła?

– Masz zbyt rozległe rany, by zagoiły się podczas snu – oznajmiła. – Tutaj nie mam odpowiednich warunków, by ci pomóc. Dodałam ci jedynie nieco sił, żebyś był w stanie dojść w pewne miejsce. Ale najpierw...

Czując się już lepiej, rudowłosy obserwował, jak albinoska podnosi się z kucek i rusza w kierunku martwej Raphaeli. Taksowała wzrokiem trupa z metodyczną chłodną obojętnością. Jego też tak potraktowała. W jej głosie nie było troski, tylko szorstka oczywistość faktów. W postawie i zachowaniu nic nie wskazywało, by ucieszyła się, że go widzi. Lecz czego oczekiwał? Że rzuci mu się na szyję? Nigdy by tego nie zrobiła. W przeciwieństwie do niego Plage ani trochę nie przeżywała ich ponownego spotkania. Mógł się tego spodziewać, nie miał prawa liczyć na nic więcej, a jednak jakaś część jego „ja” cierpiała. Coś zakłuło i zabolało, i wcale nie chodziło o rany ciała. Choć tych, jak na złość, dorobił się tak wielu, że sam nie potrafił ich zregenerować. Cóż za upokorzenie. Chciał być przy niej silny, sprawny, a mógł tylko przyglądać się beczynnemu i czekać na rozwój wydarzeń.

Białowłosa wyciągnęła dłoń i przyłożyła palce do głowy Raphaeli. Zmarszczyła czoło i lekko przygryzła wargę. W czerwonych oczach błysnęło cierpienie. Działo się coś, co sprawiało jej ból. Gdy skończyła, wróciła do Haru.

– Idiota. Miałeś ją ogłuszyć, nie zabić – rzuciła z dezaprobatą, pochylając się nad nim. – Trochę ciężko czytać z umysłu trupa.

Rudowłosy milczał. Zdawał sobie sprawę, że źle wykonał powierzone mu zadanie, ale w tej chwili zajmowało go co innego: pochłaniał wzrokiem jej twarz, szyję, ramiona. Sny nie umywały się do rzeczywistości. W prawdziwym świecie Plage była jeszcze piękniejsza, a jej obecność, tak bliska i namacalna, oszałamiała. Tęsknił za nią, okropnie tęsknił. Teraz, gdy znów ją widział i mógł jej dotknąć, nie wiedział jak reagować, co powiedzieć...

– Tęskniłem za tobą, pani...

Uniosła brwi, a potem parsknęła cicho. Z rozbawieniem, złością, pogardą? A może z litością? Nie wiedział... Nieważne. Była tu. Tylko to się liczyło. Wzięła go pod ramiona i zaczęła podnosić. Z jej pomocą wstał. Wspierał się o nią, czuł jej ciało u swego boku, jej skórę pod palcami, gładką jak aksamit, boleśnie przyjemną w dotyku, choć lodowatą. Kilka razy, w bezwiednym odruchu, zacisnął dłoń na smukłym barku, mocniej objął ją ramieniem, jakby tulił Plage do siebie... Nie skomentowała. I nie zabroniła. Prowadziła go w sobie tylko wiadomym kierunku, pomagając mu stawiać chwiejne kroki.

\*\*\*

– Plage długo nie wraca.

Zmartwione westchnienie młodej dziewczyny zawisło wśród ścian skromnego pomieszczenia. Drewniane belki nosiły oznaki starości. Ciemne regały, ozdobione kwiecistymi wzorami dobranymi pod kolor wytartego dywanu, zastawione były dziwną kolekcją przedmiotów – książki z kartkami ledwo trzymającymi się grzbietu i piękne nowe woluminy, naczynia z popękanej porcelany i zastawy z czystego złota, puste fiolki i flakony napełnione opalizującymi cieczami. Pod rozwartym na oścież oknem znajdował się stół przykryty kolorową ceratą, na której ustawiono kilka półmisek i kufli. Na wąskiej ławie o grubych nogach siedział zakapturzony młodzieniec – drzemał z pochyloną na piersi głową, wsparty plecami o krawędź blatu. Z sufitu zwisały dzwoneczki i korale, o przeróżnych kolorach i kształtach. Naprzeciw stołu, pod ścianą, znajdowała się wielka, połączana skrzynia, jakby rodem z opowieści o piratach. Wypukłe wieko było lekko uchylone i z wnętrza kufra wyzierały ponabijane klejnotami rękojeści sztyletów, szabli i innej białej broni. Ze ścianki skrzyni zwieszał się posrebrzany

gruby łańcuch, niewiadomego zastosowania, wypełzający z kufra niczym wąż.

Dziewczyna o jasnoczerwonych włosach, połyskujących gdzieś różem, przeszła wzdłuż izby, odgarniając dłońmi dzwoneczki. Talizmany zadźwięczały cichutko. Wciąż się kołysały, gdy czerwonowłosa zatrzymała się przy stole i uniosła do ust płaską miseczkę z parującym i pachnącym intensywnie płynem. Przechyliła nieznacznie naczynie i pociągnęła łyk naparu.

– Ona się rzadko spóźnia, coś się musiało stać.

– Przestań się zamartwiać, Eliara – odezwał się chłopak głosem nieco piskliwym i zabarwionym kpina. – Nie zapominaj, że mówisz o Plage. Jeśli coś się stało, to nie jej, a komuś, kto mało inteligentnie wlaź jej w drogę.

– Pewnie masz rację, Max, ale kłopoty zawsze się jej trzymały, przecież wiesz.

Chłopak nazwany Maxem westchnął cicho, wyprostował plecy i ściągnął kaptur, ukazując szczurzą twarz, przebiegły uśmiezek i parę fiołkowych oczu. Ciemne włosy miał ścięte krótko i niedbale.

– Powiedziałbym raczej, że to ona dostarcza kłopotów.

Eliara zachichotała dźwięcznie i odstawiła naczynko na blat. Przymrużyła powieki i nieco spokojniej zerknęła za okno. Jej zielone tęczęwki błysnęły niespodziewanie, a usta rozchyliły się w niemym zdziwieniu. Nim Max zdążył zapytać, co się stało, drzwi potraktowano potężnym kopniakiem. Brunet poderwał się jak oparzony i wybałuszył oczy ze zdumienia.

W progu stała Plage, brudna od krwi, podpierając na wpół przytomnego rudowłosego chłopaka, który ledwo trzymał się na nogach. Plage omiotła oniemiałą dwójkę lodowatym spojrzeniem.

– Czego się gapicie? – warknęła. – Max, wynocha. Eliara, wiesz, co robić. I spiesz się.

Brunet drgnął, lecz nadal stał, obserwując, jak Plage ciągnie lecącego przez ręce rudzielca w kierunku drugiej izby, gdzie znajdowały się maty do spania. Eliara przebiegła przez sznury dzwoneczków, które zaprotestowały hałaśliwie, i rzuciła się do półki z fiołkami, skąd zabrała kilka eliksirów, po czym równie pospiesznie ruszyła za Plage do sypialni.

Albinoska ułożyła rannego na najbliższym pościeliu i kucnęła, w milczeniu wpatrując się w jego twarz. Eliara przycupnęła obok, blada i zdezorientowana, z przerażeniem przyglądając się rozległym obrażeniom na ciele młodego demona.

– Przyniosłaś, co potrzeba? – usłyszała zimny głos Plage. – Przygotuj Znaki i Bramy. Tam, gdzie go znalazłam, nie miałam zbyt wielu możliwości, by mu pomóc. Mogłam tylko spowolnić upływ krwi. Ale i tak stracił jej za dużo i nadal traci. Obrysuj go. Resztę zostaw mnie.

Czerwonowłosa pokiwała tylko głową, choć jej zdumienie rosło. Rzadko widywała tak poważne przypadki. A większość tych tragicznych, z którymi się zetknęła, okazały się też beznadziejne, niewarte leczenia, więc jeśli Plage była przy tym, obojętnie wzruszała barkami i pozwalała delikwentowi umrzeć. Eliara pierwszy raz widziała, by albinoska z taką determinacją walczyła o rannego – zwykle nawet palcem nie kiwnęła, póki nie zaoferowano jej odpowiedniej zapłaty. Więc albo ten młodzieniec miał bogatych protektorów, albo...

– Eliara! – Dziewczyna drgnęła spłoszona, gdy cierpkie warknięcie przerwało jej rozmyślenia. – Rusz się, do roboty, głupia, już!

Przełknęła ślinę, nawilżając suche gardło. Dwie z fiołek zostawiła przy macie, a kolejne dwie wzięła ze sobą. Wyprostowała się, odkręciła obie buteleczki i zaczęła szeptać. Mruczając skomplikowane formuły, przesuwała stopy po podłodze, okrążając rannego. Jednocześnie przechylała fiołki, wylewając ich zawartość na podłogę. Gęstniejąca ciecz układała się wokół chłopaka w nieprzypadkowe linie – tworzyły rysunek dwóch sierpów księżyca, stykających się wierzchołkami. Rudowłosa jęknął cicho i zwinął się w kłębek, marszcząc matę pod sobą. Białowłosa złapała go za nadgarstki, rozkładając jego ramiona, tak by czubkami palców sięgał utworzonych na podłodze linii. Głos Eliary zadrżał, ale

dziewczyna nie przerywała rytuału, nadal krążąc wokół chorego posuwistym krokiem, szepcząc zaklęcia i rozlewając eliksiry. Zgęstniałe kreski płynu wiły się po podłodze niby dżdżownice i łączyły się w kolejny obrazek ujęty w ramy poprzedniego: dwa mniejsze półksiężyce, odwrócone do siebie grzbietami. Kiedy malowidło było skończone, jego krawędzie rozświetliły się jaskrawo, rzucającym blask na nieporuszoną Plage i podekscytowaną Eliarę. Chłopak zaczął się szamotać i warczeć gardłowo, ale albinoska ani na chwilę nie uwolniła jego nadgarstków. Krew wieloma cienkimi strużkami odpływała z ran, wędrując ku świetlistym liniom rysunku, łącząc się z nimi i barwiąc je na czerwono; a potem wracała do ciała, niby taka sama, a jednak inna – powrotne strumyczki były jaśniejsze i bardziej obfite. Zabieg powtarzał się, krew krążyła tam i z powrotem, a chłopak wciąż się miotał i warczał z bólu coraz głośniejsz. Kiedy krew po raz piąty wróciła do ciała rudzielca, ten nagle wyprężył się jak struna, jęknął głośno, a potem zwiotczał i legł na macie bez ruchu. Plage ułożyła jego ramiona wzdłuż tułowia i omiotła chłopaka badawczym spojrzeniem. Rany zaczęły pokrywać się białym pyłkiem, rozcięcia zasklepiały się, a brud i krew zniknęły ze skóry, jakby czyjaś niewidzialna dłoń ścierała je szmatką.

– Nie przeszkadzaj mi teraz – rzuciła oschle do Eliary. Złapała dwie pozostałe fiołki, wylała sobie ich zawartość na dłoń, potem uklękła okrakiem nad nieprzytomnym rudzielcem. Pochyliła się – białe włosy opadły na bladą twarz chłopaka – przyłożyła ręce do jego skroni i zaczęła szybko poruszać ustami, szepcząc niezrozumiałe słowa, pogrążając się w transie. Czerwone oczy powoli zachodziły mgłą...

Eliara chętnie poobserwowałaby dłużej, lecz bała się narazić Plage. Ostrożnie zebrała puste fiołki, po czym cichutko wymknęła się z sypialni, przemykając za sobą drzwi. Dopiero teraz odetchnęła z ulgą i starła drobne kropelki potu z czoła. Uśmiechnęła się do siebie, a potem zauważyła Maxa, który nadal stał w tym samym miejscu. Zmarszczyła brwi.

– Miałeś chyba iść.

Brunet zamrugął, pokręcił głową i wykrzywił usta w chytrym uśmiechu.

– O nie. Nie odpuszczę sobie takiego przedstawienia.

\*\*\*

Haru toczył po pokoju błędnym wzrokiem. Jak przez mgłę pamiętał wydarzenia sprzed paru świec. Nie wiedział, które z tych obrazów są prawdą, a które iluzją stworzoną przez zmęczony umysł. Nie kojarzył, jak znalazł się w tym prawie pustym pomieszczeniu, ułożony na jednej z mat.

Zmierzchało już, sądząc po półmroku sączącym się zza uchylonej okiennicy. Niedobrze, nie powinien tu być, musiał wracać do baraku. Chociaż wiedział, że nie zdąży na czas i narazi się na karę, chłostę albo inne tortury. Nie miało to jednak znaczenia. Podobnie jak fakt, iż ledwo uszedł z życiem, trafiając do nieznanego miejsca, gdzie marnował czas na bezczynne leżenie. Mimo wszystko uznał kończący się dzień za udany. Zobaczył Plage, prawdziwą, której mógł dotknąć, której zapachem mógł oddychać. Gdzie się podziała? A może... może w ogóle jej nie było? Może znowu mu się tylko przyśniła?

Drzwi skrzypnęły cicho i uchyliły się, a przez szparę wsunęła się jakaś drobna, chyba kobieca postać. Wciąż zamroczony nie widział zbyt wyraźnie. Ale czuł, że podeszła do niego i przygląda mu się uważnie. Kucnęła obok, w ręce miała jakąś miseczkę. Włożyła coś do niej, po chwili wyjęła, wyjęła delikatnie i wyciągnęła w kierunku jego twarzy. Osłabione ciało rudzielca zareagowało instynktownie – ramię poderwało się, a dłoń schwyciła nadgarstek nieznanego. Potrącona łokciem miseczka upadła na podłogę, rozbijając się z trzaskiem i chlustem rozlewanej wody.

– Nie dotykaj – wychrypiał.

Postać, która nabierała coraz wyraźniejszych kształtów, milczała, nie ośmielając się nawet drgnąć. Wreszcie jęknęła cichutko, piskliwie, dziewczęco.

– Przestań, proszę, to boli. Chciałam tylko pomóc.

Puścił ją niechętnie. Ostrość widzenia wracała i rozróżniał coraz więcej szczegółów. Dziewczyna miała drobną, delikatną twarz, otoczoną chmurą czerwonoróżowych włosów. Wyglądała na potulną i niewinną, ale wolał zachować ostrożność.

– Kim jesteś? I czemu tu jesteś?

– Eliara – wyszeptła, masując obolały nadgarstek. Złapała jeden krótki oddech i ku zdziwieniu Haru uśmiechnęła się szeroko, wesoło, bez krztyny złośliwości. – A jestem tutaj, bo Plage kazała mi się tobą zajmować.

Chłopak poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Elektryzujący dreszcz przemknął po kręgosłupie. Więc nie śnił, nie miał omamów, naprawdę tu była i na dodatek zatroszczyła się o niego!

– Przecież... – Nagle dotarło do niego coś ważnego i niepokojącego. – Jakim prawem nazywasz ją po imieniu? Za kogo się niby masz, ty mała czerwona...!

– Spokojnie, spokojnie – przerwała mu, szczerze rozbawiona, unosząc ręce w pokojowym geście. – Tutaj nie ma Syndykatu. Wiem, że jesteś dawnym uczniem Plage, co cudem udało mi się z niej wyciągnąć, więc rozumiem twój szacunek, ale ja przywykłam nazywać ją po imieniu. To miłsze i naturalniejsze, prawda? A Plage nigdy nie protestowała, nie kazała traktować się inaczej. Myślę, że jest jej to obojętne.

– To lepiej nie myśl! – prychnął, czując, jak w głowie zaczyna mu dudnić od jej paplaniny. Nie chciał wdawać się w dłuższą konwersację, ale musiał rozpoznać sytuację. A ta tutaj, trajkotka, zdawała się być kopalnią informacji.

– Jak się tu znalazłem? I dlaczego? – Chciał to wiedzieć, dokładnie, bo choć zachował w pamięci kilka obrazów, były zbyt skąpe, by wywnioskować z nich coś logicznego.

– Plage cię tu przyprowadziła. – Eliara uśmiechnęła się szerzej, nic sobie nie robiąc z jego niechęci. Wydawała się odporna na nieuprzejmości. – Chyba nie była z tego faktu zbyt zadowolona, ale najwidoczniej bardzo chciała ci pomóc. Tam, gdzie cię znalazła, nie mogła. Bo widzisz, Alchemia i Magia Rytualna są bardzo silne, ale ograniczone. Niemal każde zaklęcie, każdy rytuał potrzebuje źródła, z którego weźmie początek. Potrzeba eliksirów, a do eliksirów potrzeba składników. Plage nie miała przy sobie tych, które mogłyby wywołać odpowiedni rytuał. A tutaj jest tego pod dostatkiem. Dlatego właśnie trafiłeś do mnie. Bo Plage chciała ci pomóc, co mnie zaskakuje i cieszy zarazem. Nie wiem, czemu tak się tobą przejęła, ale pierwszy raz widziałam to w jej oczach. No, wiesz co... emocje. Widziałeś kiedyś w jej oczach jakieś uczucia? To niesamowite! Niesłychane! Nigdy wcześniej nie widziałam u niej takiego podejścia! Naprawdę bardzo chciała cię uratować, kurczę, jak nie Plage! A teraz gdzieś wyszła. Nie wiem gdzie. Ona zawsze tak znika, nie wiadomo gdzie i po co, pewnie to zresztą wiesz.

Rudzielcowi zakręciło się w głowie od natłoku informacji, tych istotnych i tych mało ważnych, ale przede wszystkim oszałamiała go świadomość, że Plage mu pomogła. Jego Nimfa, bezduszna i brutalna królowa lodu, uratowała go. Dlaczego? Może znów uznała, że jego śmierć byłaby marnotrawstwem? A może naprawdę coś dla niej znaczył? Choć oczywiście domyślał się, że Eliara mocno przesadzała. Nie miał teraz siły się nad tym zastanawiać. Chciał po prostu znów zobaczyć Plage zamiast tej nawiedzonej gaduły.

– Ach, widzę to w twoim spojrzeniu. – Czerwonowłosa zachichotała. – Wolałbyś zobaczyć Plage zamiast mnie, prawda? Chciałbyś, żeby to ona się tobą opiekowała?

Haru nie wiedział, czy Eliara potrafi czytać w myślach, czy przez zupełny przypadek odgadła, o czym marzył. A może nie trzeba było geniusza, by się tego domyślić. Pewnie miał tęsknotę wypisaną na twarzy. Nie odpowiedział. Wziął głęboki oddech, próbując opanować narastającą w nim złość. Denerwowała go ta sytuacja, czuł się nieswojo i najchętniej by stąd zniknął. Dopiero teraz zaczął przypominać sobie szczegóły walki z Raphaelą i przyglądając się swojemu ciału, szeroko otwierał oczy ze zdumienia. Rany



zniknęły, zostawiając po sobie ledwie kilka blizn.

– Tak, rytuał, który wykonała Plage, kompletnie cię wyleczył. – Eliara czytała z jego gestów i spojrzeń. – Sam nie dałbyś rady zregenerować tyłu obrażeń. Wcześniej byś się wykrwawił. Umarłbyś, gdyby nie Plage. Wiesz, dostrzegam w jej oczach coś dziwnego, gdy na ciebie patrzy. Ale chyba już to mówiłam, nie? To dlatego, że ciężko określić te emocje, które wtedy z niej emanują. Ona w ogóle jest trudna do czytania, bo jak czytać z pustej książki? Ale przy tobie coś się pojawia. Kurczę, nie wiem, o co tu chodzi, ale bardzo mnie to ciekawi.

– To lepiej niech przestanie – mruknął rudzielec mocno zmieszany. Czuł, że na policzkach wykwitają mu krwiste rumieńce. Słowa Eliary poruszyły go, choć tak bardzo starał się trzymać nerwy i emocje na wodzy. Medyczka była zdecydowanie zbyt spostrzegawcza.

– Ha! Tobie też się oczka świecą, kiedy o niej mówię. – Czerwonowłosa zatarła dłonie, rozciągając usta w figlarnym uśmiechu. – Gustujesz w starszych kobietach?

– Co?! – krzyknął pąsowy na twarzy Haru. Miał dosyć jej niestosownych insynuacji i zmierzył dziewczynę wściekłym spojrzeniem. – Zamknij się wreszcie! Dziękuję za pomoc, ale trajkoczących idiotek nie zamawiałem. Swatek czytających z oczu też nie potrzebuję.

Eliara odpowiedziała śmiechem, szczerym i wesołym. Jej oczy błyszczały równie życzliwie co wcześniej. Haru nie powiedział już nic więcej. Usiadł, ignorując zawroty głowy. Poszukał wzrokiem katany i ucieszył się, dostrzegłszy ją koło swojego posłania, spoczywającą bezpiecznie w czarnej pochwie; długiego mocującego pasa też nie brakowało. A on nadal ubrany był w swoje kimono, choć poszarpane i brudne od zaschniętej krwi. Czyli nikt go nie przebrał. Świetnie, bo takiego upokorzenia już by nie zdzierzył.

Podniósł się. Za szybko. Zawirowało mu w głowie, zachwiał się i musiał oprzeć dłońią o ścianę. Zaklął pod nosem. Eliara też się poderwała, odruchowo wyciągając ręce, lecz nie odważyła się go podtrzymać. Obserwowała tylko uważnie.

– Nie powinienes tak nagle wstawać.

– Gównu cię to obchodzi – burknął.

Odczekał jeszcze chwilę, po czym odepchnął się od ściany i pewniej stanął na nogach. Dał radę, więc mógł się stąd wynosić. Nie widział powodu, by dłużej przebywać w towarzystwie tej dziwnej dziewczyny.

Wtedy drzwi znów zaskrzypiały – tym razem o wiele głośniej – rozwierając się z impetem. W progu stanął brunet o podłużnej, chytrej twarzy i fiołkowych oczach. Wysoko uniósł brwi, po czym uśmiechnął się szeroko, ale zupełnie inaczej niż Eliara. W jego uśmiechu nie było śladu życzliwości.

– No proszę, proszę, obudził się nasz przybłęda.

Haru nie dał się wytrącić z równowagi, choć miał wielką ochotę przywitać intruza pięścią. Postanowił rozegrać to w inny sposób. Jego twarz przybrała lekceważący wyraz.

– A to co za pajac? – mruknął pogardliwie, zerkając w kierunku Eliary. Czerwonowłosa zamrugowała, lecz nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, wyręczył ją Max.

– Ja też tu jestem, przybłędo! – prychnął wyzywająco. – Masz problemy ze wzrokiem? Nie zauważyłeś?

Rudowłosa podrapał się po karku i spojrzał na niego z drwiącym uśmieszkiem.

– Zauważyłem. Ciężko przegapić tak wielkiego ściekowego szczura.

– Coś ty powiedział? – Max zakasał rękawy. – Odechce ci się pyskowania, kiedy ci nakopię, smarku!

– Och, wybacz.... – Rudzielec udał skruchę. – Uraziłem cię? Przepraszam, ale nic nie poradzę na to, że masz twarz gryzonia. No i ten smród. Naprawdę ci współczuję...

Max poczerwieniał, nadał się ze złości i zacisnął pięści. Eliara, obserwująca słowną potyczkę z boku,

zakryła usta dłonią, by nie parsknąć śmiechem. Cofnęła się pod ścianę, przewidując dalszy ciąg zdarzeń. I nie pomyliła się.

Brunet runął na rudowłosego. Skrytobójca odskoczył zwinnie, wyhamował i z półobrotu wymierzył przeciwnikowi kopniaka w żebra. Tamten jęknął, zatoczył się, splunął na podłogę i zaatakował ponownie. Tym razem okazał się szybszy od otumanionego eliksirami Haru i uderzył go zgiętym łokciem w mostek. Rudzielec łupnął plecami o ścianę, rozkaszał się, a potem zaryczał wściekle, kontratakując. Zaciśnięta pięść przecięła powietrze, trafiając bruneta w szczękę i odrzucając go na przeciwległą ścianę. Krew trysnęła na maty. Eliara pisnęła wystraszona, lecz nie ruszyła się z miejsca.

– Max! Nic ci nie jest?!

Chłopak potrząsnął głową i zawył żałośnie, chowając twarz w dłoniach.

– Złamał mi nos! Złamał mi nos! Ukatrupię cię, szmaciarzu! – Wsunął prawą dłoń za pazuchę i wyciągnął długi nóż, z rękojeścią wysadzaną diamentami. Ruszył na rudzielca błyskawicznie i z niespodziewaną zwinnością.

Haru chciał skoczyć po kataną, ale nie zdążyłby. Ledwo uniknął błyszczącego ostrza – wygiął się i zimny metal mignął mu tuż przed oczami. Tego już było za wiele. Wściekł się nie na żarty. Złapał Maxa za ramię, które wykręcił jednym sprawnym ruchem, przeciągając zaskoczonego przeciwnika za plecy. Nóż upadł na podłogę, Haru uwolnił ramię bruneta i od razu uderzył go łokciem w brzuch. Potem rzucił się w bok, przeturlał po podłodze i złapał za kataną, wyciągając ją z pochwy. Wystawił miecz przed siebie, zaskakując nadbiegającego Maxa, który zastygł z lekko otwartymi ustami. Haru patrzył na niego spod przymrużonych powiek.

– No dalej – mruknął wyzywająco. – Co jest?

Oczy Maxa płonęły, twarz wykrzywił gniew. Nagle dłoń zanurkowała w rękaw, błyskawicznie dobywając kolejnego sztyletu, równie bogato zdobionego. Odepchnął kataną na bok. Obaj odskoczyli od siebie, mierząc się wściekłym wzrokiem. Haru dyszał i kaszał. Max broczył krwią ze złamanego nosa.

Pobladła Eliara stała pod ścianą, gryząc nerwowo dolną wargę. Nie spodziewała się bójki na śmierć i życie. Myślała, że poszarpią się trochę, pokrzyczą, nic poważnego...

– Przestańcie.

Nie słyszeli jej albo nie chcieli słyszeć. Ponownie ruszyli na siebie. Seria szybkich pchnięć sztyletem nie zrobiła na Haru wrażenia. Sam zaatakował szerokim i płaskim cięciem, wyprowadzonym z prostego łokcia. Max wycofał się pospiesznie, ale sztych katany rozciął mu płaszcz. Potem skoczyli na siebie z jeszcze większą zaciekłością. Szczęk kling i tryskające iskry. Podłoga skrzypiała, a maty ślizgały się pod ich stopami, utrudniając utrzymanie równowagi.

Max przestawał nadążać za błyskawicznymi cięciami i piruetami rudowłosego Skrytobójcy. Haru nabierał coraz większej pewności siebie, atakował szybko i nieczysto – uderzał przeciwnika samym jelcem, podstawiał mu nogę i popychał na ścianę. Atakował nieprzerwanie, raz z ukosa, raz płasko. Ostrze katany spadało na Maxa z każdej strony i w końcu mógł się tylko bronić, stosując uniki i bloki.

W ferworze walki nikt nie zauważył, że Plage już od jakiegoś czasu obserwuje pojedynek, opierając się o framugę drzwi.

Max, zmęczony i wściekły, wyrwał do przodu, zawirował ostrzem sztyletu, jakimś cudem wybijając kataną z dłoni Haru. Rudzielec odskoczył zdumiony, karcąc się w duchu za zbytnią pewność siebie, lecz opamiętał się szybko. Nie pozwolił, by przeciwnik wykorzystał sytuację. Poderwał stopę, kopiąc Maxa w dłoń i wytrącając mu broń z ręki. Sztylet poszybował w powietrzu i wbił się w ścianę kilka palców od głowy Eliary. Dziewczyna pisnęła i uciekła do drzwi, niemal wpadając na Plage. Chciała poprosić, żeby ich powstrzymała, ale albinoska uniosła dłoń, nakazując jej milczenie.

– Nie psuj zabawy, Eliara.

Ani Max, ani Haru nie usłyszeli tych słów, bo właśnie rzucili się na siebie z pięściami. Kołowali się wśród mat, raniąc o skorupy rozbitej miseczki, objając o ściany. Warkoty, pomruki i jęki towarzyszyły uderzeniom, kopnięciom i pchnięciom. Żaden nie chciał ustąpić, choć obaj mieli już dosyć.

– No dobra. – Plage tym razem odezwała się na tyle głośno, iż obaj ją usłyszeli. – Wystarczy tego, zaczynacie się robić nudni.

Zamarli w bezruchu, objęci jak zapaśnicy, z jednakowo głupimi minami. Jak na komendę spojrzeli w kierunku białowłosej. Haru natychmiast odepchnął Maxa, który zatoczył się i wywrócił. Rudzielec zrobił kilka kroków, lecz również upadł, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Oparł dłonie o deski podłogi i podniósł zmętniałe spojrzenie na znudzoną Plage.

– Pani...

– Widzę, że odzyskałeś siły, koteczku.

## Rozdział III

Siedział na macie ze skrzyżowanymi nogami. Zaciskał dłonie na stopach, nerwowo zerkając na milczącą Plage, opartą plecami o ścianę. Miała nieodgadnione spojrzenie, utkwione w jakimś odległym punkcie. Zalegająca między nimi cisza coraz bardziej go niepokoiła, choć z drugiej strony mógł bez przeszkód przyglądać się zamyślanej białowłosej.

Zza zamkniętych drzwi dobiegały głosy: komentarze wzburzonego Maxa i chichoty Eliary, która opatrywała jego złamany nos i kilka sporych krwiaków. Rudzielec też zaliczył parę obtarć, ale nie tyle stanowiły problem, co budziły rozdrażnienie. Wszystko go ostatnio dziwnie drażniło. Nie wiedział czemu.

Ponownie podniósł wzrok na posągową twarz Przywódczyni i nie wytrzymał dłużej. Przerwał milczenie.

– Dziękuję za pomoc, pani – szepnął, pochylając głowę.

– Eliara nagadała ci niestworzonych rzeczy... – Po twarzy Plage błąkał się drwiący uśmiezek. –

Dlatego sądzisz, że powinieneś mi dziękować. Ale nie musisz.

Haru zamrugnął. Takiej reakcji się nie spodziewał.

– Nie, pani... Muszę, gdyby nie ty...

– Ach, zamknij się – ucięła cierpko. – Nic nie wiesz i niczego nie pojmujesz, głupku.

*Tak, to fakt, nie pojmuję* – myślał coraz bardziej zdezorientowany. Nie rozumiał zachowania Plage, które zupełnie do niej nie pasowało. A może się mylił, może wcale nie znał jej tak dobrze, jak mu się wydawało? Westchnął w duchu, jeszcze niżej pochylając głowę. Choć co do jednego nie miał wątpliwości – wiedział, co za chwilę usłyszy. Skoro zaczęli już rozmowę, wcześniej czy później przejdą do głównego powodu ich spotkania. Nie doprowadziły przecież do niego żadne sentymenty, ale konkretne zadanie, które Plage mu zleciła. Haru czuł ściskanie w dołku, kiedy myślał o tym w taki pragmatyczny sposób, ale tak wyglądała prawda. Wynajęła go i tyle. Jeżeli sobie coś roił, to na własną zgubę i odpowiedzialność. *Szlag by to trafił* – sklął się w myślach.

– Spieprzyłeś sprawę, Haru – usłyszał po raz drugi surową ocenę. – Dlatego twoja misja się wydłuży.

– Co masz na myśli, pani?

– Mniej więcej to, że z martwego umysłu Raphaeli nie udało mi się za wiele dowiedzieć. Musisz dopaść kolejnego zdrajcę. Ale tym razem postaraj się, żeby spiskowiec dożył momentu, w którym będę go mogła przesłuchać, rozumiesz?

– Rozumiem, pani. Co wiemy o nich do tej pory?

– Niedużo. Jedyne tyle, że ta obszczana zgraja w jakiś sposób odkryła powiązania między nami i teraz chcą wykorzystać ciebie, by poznać moją przeszłość, wyciągnąć z niej trochę gówna i obalić moje rządy. Musimy się dowiedzieć, kto im przewodzi, jak wykryli, kim jesteś, ilu ich jest, gdzie się ukrywają, co mają w zanadrzu. W gasnących wspomnieniach tej trawiastej suki udało mi się zobaczyć jednego ze spiskowców. Twoim zadaniem będzie go dorwać i przyprowadzić do mnie. Proste?

– Jak drut, pani. – Rudzielec odważył się na łobuzerski uśmiech, którym co prawda nie zrobił na Plage pozytywnego wrażenia, ale nie wywołał też niechęci czy złości.

– Zadanie masz ułatwione, bo ten akurat konspirator powinien być ci dobrze znany. Ares Matsumara. Zgaduję, że pamiętasz gnojka.

Dłonie rudzielca drgnęły. W czekoladowych oczach pojawił się cień rozbudzonej na chwilę energii.

Pamiętał, pewnie, że pamiętał. Nie sposób było zapomnieć.

– Niestety, pani. I cieszę się, że będę mógł go...

– No co? – weszła mu w słowo, obrzucając go chłodnym spojrzeniem spod uniesionych brwi.

Haru wstrzymał oddech, na moment zamarł z rozchyłonymi ustami. Potem zamknął je i wolno wypuścił powietrze z płuc.

– Ogłuszyć i przyprowadzić do ciebie – dokończył spokojnie.

– Brawo. O to chodzi. Tylko się nie zapomnij, koteczku. Jeśli jego również zabijesz w przyпадzie furii, wszystko szlag trafi.

Rudzielec poczerwieniał lekko, chrząknął i podrapał się po karku, odwracając wzrok.

– Jest jeden problem, pani. Jeśli nie wrócę do bunkra na czas...

– To już zostaw mnie. Wykonujesz moje zlecenie. Masz, jakby to ująć, specjalne przywileje. Twoja nieobecność w Syndykacie to naprawdę najmniejszy kłopot i nie zwracaj sobie tym głowy. Bardziej zmartwi cię zapewne fakt, że na czas wykonywania zadania zostaniesz tutaj, na dodatek będziesz miał Maxa za towarzysza.

Skrytobójca z wielkim trudem poskromił wybuch gniewu. Nie mógł pozwolić sobie na takie demonstracje przy Plage, nie był już smarkaczem. Złościwości jednak sobie nie darował.

– Pani – jakoś zapanował nad głosem – na co mi szczur? Będzie tylko wadził, plątał się pod nogami. I nie sądzę, by dotrzymał mi kroku. Wszystko zepsuje, to pewne.

– Racja, Max nie dotrzyma kroku Skrytobójcy – odparła spokojnie. – Ale Skrytobójca nie zna miasta tak dobrze jak Złodziej.

Haru ściągnął usta, szybko analizując jej słowa. Więc ten błazen był Złodziejem. Lepiej zrozumiał decyzję białowłosej, ale nadal nie chciał jej zaakceptować.

– Poradzę sobie sam, pani. Mam za sobą kilkanaście zadań w różnych częściach miasta, znam je dobrze.

– Nie, Haru, to nadal za mało, i nie dyskutuj ze mną. Daję ci rozkaz, a ty go wykonujesz.

Demon zerknął na jej twarz, z coraz większym trudem hamując narastającą wściekłość. Nie był zły na Plage, przywykł do jej apodyktycznego charakteru. Nie był zły na jej decyzję – kierowała się logiką i rozsądkiem, to oczywiste, że chciała, by misja miała jak największe szanse powodzenia. Był zły na siebie i na tego kretyna, którego dopiero co spotkał, a już znienawidził. Nie umiał wyjaśnić czemu, ale czuł, że nie zniesie jego obecności, zwłaszcza po tym, co zaszło. Byli jakby naturalnymi wrogami, dwoma drapieżnikami na tym samym terenie. Ale Plage miała rację – ona rozkazywała, a on posłusznie wykonywał polecenia.

– Tak, pani. Wybacz moją bezczelność. – Wstał i uklonił się sztywno. Pięści zaciskał tak mocno, że aż zbieleły mu kostki. Na język cisnęły się słowa, których nie wypowiedział. Nie zmieniałyby zdania, a on tylko by się ośmieszył, rezonując.

Wyprostował się, jednocześnie rozluźniając dłonie, i dokładnie w tym samym momencie do izby wparował Max, z opatrunkiem na nosie. Zmierzyli się wzrokiem, walcząc na spojrzenia. Powietrze zgęstniało od złości i arogancji, które dominowały w aurach obu demonów.

– No już. – Plage klasnęła w dłonie, jakby uspokajała niesforną dzieciarnię. – Spokój, koguciki. Będziecie się musieli znosić przez najbliższe dni, więc zacznijcie oswajać się od razu.

Haru nie zaprotestował na głos, ale w jego oczach nie błysnęła choć jedna pojednawcza iskra. Max wykrzywił się szpetnie i obrzucił białowłosą złym spojrzeniem.

– Bawi cię to, co? Uwielbiasz rozstawiać wszystkich po kątach. Naprawdę wydaje ci się, że każdy cię posłucha?

Albinoska uśmiechnęła się niemalże wesoło.

– Tak.

Złodziej zaperzył się, zadzierając wysoko podbródek.

– Więc się zdziwisz, gdy jako pierwszy ci powiem: pocałuj mnie w dupę!

– I co jeszcze mądrego mi powiesz, Max?

Plage nie wyglądała na obrażoną czy poirytowaną. Nadal świetnie się bawiła. Haru, wręcz przeciwnie, gotował się ze złości. Wyobraził sobie, jak po raz kolejny miażdży temu beczelnemu głupkowi nos, a potem przebija go kataną. Musiał się mocno powstrzymywać, by nie wprowadzić wyobrażeń w czyn. By zająć czymś ręce, wciąż poprawiał skórzany pas pochwy, ukośnie przecinający pierś. Zarazem wpatrywał się natarczywie w Maxa, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że jeszcze słowo, a jego cierpliwość się skończy.

Złodziej jednak nie zwracał na Skrytobójcę uwagi, pochłonięty swoim buntem, na który Plage z jakiegoś powodu pozwalała.

– Co?! A to, że będę też pierwszym, który nie wykona twojego rozkazu! – ciągnął dalej z zaciętrzewieniem. – Nie myśl sobie, że będziesz wszystkimi wiecznie rządzić. Mam dość twoich kaprysów i żądań. Do cholery z tym wszystkim! Mam dość, Plage, mam cię potąd!

Rudowłosa błyskawicznym ruchem złapał za rękojeść katany. Wyciągnął ją jednak tylko do połowy, bowiem albinoska zatrzymała go stanowczym gestem dłoni. Nie ośmielił się drgnąć, choć jego umysł i ciało coraz usilniej domagały się odpowiedniej reakcji.

Albinoska wsunęła dłoń w pasma długich włosów. Przeczesała je palcami, nie spuszczając kpiącego spojrzenia z Maxa.

– Straszne. Przerazające. Naprawdę cios prosto w serce.

– Naśmiewasz się? – Złodziej zmrużył powieki, co w zamyśle miało wyglądać groźnie, lecz w połączeniu z zabandażowanym nosem wypadło raczej żałośnie. – Jeszcze się, cholera, naśmiewasz!

– Gdzież tam. Skąd. Mówię całkiem poważnie. Przejęłam się twoim występem do tego stopnia, że postanowiłam coś zrobić z twoją niesubordynacją. Eliara!

Zabrzęczały dzwoneczki, podłoga zaskrzypiała pod szybkimi, drobnymi krokami. Chwilkę później drzwi sypialni otworzyły się i pojawiła się w nich uśmiechnięta czerwonołosa.

– Coś się dzieje, Plage?

– Z Maxem coś nie tak. Masz może jakieś środki przeczyszczające?

Brunet poczerwieniał, Haru nie miał bladego pojęcia, co się dzieje, a Eliara rozchyliła usta, wpatrując się w Plage z niedowierzaniem. Białowłosa wykrzywiła usta w niemiłym uśmiechu.

– Wepchnę mu je do gardła, żeby wysrał tę swoją głupotę. Wyraźnie coś mu zaszkodziło i rzuciło się na łeb, bo bredzi niezdrowo. Musiał się czymś, biedak, zatruć, innej opcji nie widzę, skoro zapomniał, jakie mam metody przekonywania.

Teraz Max pobladł – wręcz śmiertelnie. Eliara zachichotała nerwowo, a Haru stłumił rozbawienie, chrząkając w pięść. Z kolei albinoska spoważniała. Krzywy uśmiech zniknął, zastąpiony surową miną. Czerwone, wyniosłe spojrzenie spoczęło na trupio bladej twarzy Złodzieja.

– Oprócz środków przeczyszczających mogę jeszcze wlać w ciebie Elixir Agonii. Chyba nie zapomniałeś, jak ekscytujące przeżycia powoduje.

Złodziej milczał, a rudzielec wolał nie dociekać, czym jest ów eliksir. Przyglądał się białowłosej przez dłuższą chwilę, próbując zrozumieć, czemu służyła ta farsa. Czemu nie powaliła Maxa jednym ciosem, gestem, słowem, jak to robiła z nieposłusznymi w Syndykacie – o ile się tacy trafiali. Czemu bawiła się w słowne przepychanki? Czemu zachowywała się tutaj... inaczej? I czy właśnie dlatego się złościł? Stąd to nieustanne dziwne rozdrażnienie? Czyżby był zazdrosny o jej swobodę w obecności tej śmiesznej dwójki? Wniosek uderzył go jak obuchem. *Nie* – zaprzeczył natychmiast sam sobie – *to*

niedorzeczne.

– Czyli wszystko jasne – podsumowała Plage, przerywając zapadłą w izbie ciszę. – Od jutra zabieracie się do roboty i żadnych więcej sprzeciwów nie słyszę.

Po tych słowach, nie czekając na odpowiedź, ruszyła do wyjścia. Eliara zeszła jej z drogi, uśmiechając się życzliwie. Max odprowadził ją rozeźlonym spojrzeniem, ostentacyjnie zaplatając ręce na piersi.

– Cholerna zdzira – wymamrotał cicho pod nosem, lecz jednak za głośno. Haru usłyszał i tym razem nie powstrzymał się, zareagował od razu. Katana w mgnieniu oka znalazła się pod gardłem Złodzieja. Rudzielec stał tuż obok, przyduszając go ramieniem do ściany.

– Przepróż – wycedził, sztyletując bruneta mrocznymi od energii oczami.

– Odpierdol się, szczyłu. – Złodziej spróbował się wyszarpnąć, ale na próżno. Był sparaliżowany, powietrze wokół drgało, przesycone czarną aurą rudowłosego demona.

– Przepróż – powtórzył zimno.

Max odchylił głowę, próbując uciec przed dotykiem klingi przytkniętej do krtani. Nie było jednak sposobu, by uniknąć ostrza, nieprzyjemnie chłodnego i skrzącego się drobinkami czarnej energii.

Białowłosa stała w progu. Nie odwróciła się nawet. Westchnęła ciężko, ze znużeniem.

– Haru, zostaw go. Nie potrzebuję szacunku od tego gnojka. Nie warto nim sobie ostrza brudzić. Bywa przydatny. To mi wystarczy. I tobie też powinno.

Rudzielec zacisnął mocniej palce na czarnej rękojeści. Obserwował Maxa z miażdżącą pogardą. Miał ochotę go zniszczyć, rozszarpać, nieważne, czy był tego wart, czy też nie. Nie rozumiał, czemu Plage tak łatwo mu odpuszcza, czemu pozwala na taki brak respektu. On nie potrafiłby, nawet gdyby chciał. Tak go wyszkolono. Plage, jako Przywódczyni, należały się bezwzględny szacunek i posłuszeństwo. Czy tylko o to chodziło? Nie wiedział.

Wzdrgał się wewnętrznie, ale zrobił, czego oczekiwała. Cofnął się o krok, puścił Maxa i schował katana do pochwy. Po czym bez słowa usiadł na macie, w tej samej co wcześniej pozycji.

Plage już nie było, Eliara niepewnie zerknęła zza drzwi, a Złodziej pomilczał chwilę, by w końcu wyjść do drugiej izby sztywnym krokiem.

\*\*\*

*Granice lasu Shado-Karasu urywały się nagłym i stromym zboczem, prowadzącym w pełną chrustu dolinkę. Wyschnięta trawa i cierniste krzewy plątały się ze sobą, stanowiąc niebezpieczną pułapkę dla stóp.*

*Wzdłuż granicy zbocza stali Skrytobójcy, wyprostowani i nieruchomi, choć wyraźnie podekscytowani. Zebrała się ich tu ponad setka, więc stali w ciasnych rzędach, tak by każdy miał choć skromny widok na polanę. Niektórzy wspięli się na wysokie, pochyle drzewa, wystające z lasu. Ciemne stroje, z haftowanymi czerwoną nitką kołnierzami, cicho łopotwały na wzmagającym się wietrze.*

*Po obu stronach dolinki, dokładnie naprzeciw siebie, stały dwie postacie, głaskane promieniami słońca wyzierającego zza chmur. Tkwiły nieruchomo, taksując się nawzajem wzrokiem.*

*Strój mężczyzny, przewodzącego Skrytobójcom, posiadał więcej czerwonych haftów, układających się w finezyjne, zagadkowe znaki. Wziął się pod boki i uśmiechnął szeroko, wyzywająco. Kruczoczarne włosy opadały w kędziorach na skronie i czoło. Spojrzenie srebrnych oczu, wręcz nienaturalnie jasnych, zdawało się przenikać wszystko na wylot. Jelec miecza sterczał zza jego pleców, błyszcząc w słońcu, dwie rękojeści wychylały się zza cholewek wysokich skórzanych butów.*

*Stojąca naprzeciw kobieta nie wyglądała na przestraszoną jego groźną postawą. W ogóle nie zdradzała oznak żywszej reakcji. Patrzyła na niego beznamiętnie, z lodowatym spokojem. Tylko dłoń*

wsparta nonszalancko na biodrze sugerowała, iż nie darzy przeciwnika estymą. Miała na sobie obcisły strój: skórzany gorset i spodnie wiązane na łydkach. Długie włosy opadały na plecy lśniąco kaskadą. Kilka nieposłusznych kosmyków muskało nagie ramiona. Z boku głowy wpięła we włosy elegancki jasny grzebyk, z podłużnym trzonkiem figlarnie owiniętym białymi pasmami. Nie posiadała żadnej broni. Prócz bicia – zwiniętego i przytroczonego do paska.

Wśród zgromadzonych na wzgórzu Skrytobójców rozlegały się szmery rozmów. Obserwowali z uwagą i zaciekawieniem. Po ich twarzach przemykały kpiące, złośliwe grymasy.

Dolinę przeszył zimny podmuch wiatru, zatrzeszczał chrustem, poderwał w górę włosy albinoski. Krwiste oczy błysnęły drapieżnie, cienkie brwi ściągnęły się.

– Jakież zasady? Ograniczenia? – zapytała.

Mężczyzna parsknął śmiechem.

– Chyba żartujesz, szamanko, czy kim tam jesteś. Nie ma zasad, żadnych. Walcz, jak potrafisz, i spróbuj przeżyć.

Białowłosa uśmiechnęła się kącikami warg, bezczelnie, z wyrachowaniem, paskudniej niż elfy, które słyneły z takich cynicznych min. Odgarnęła kosmyk włosów za ucho.

– Chciałam ci nieco ułatwić sprawę, dać minimalne szanse, wielki Przywódco Syndykatu, ale skoro nalegasz na brak zasad... – Utkwiła zimne spojrzenie w twarzy mężczyzny. Było w jej wzroku coś takiego, że przeszył go nieprzyjemny dreszcz.

Nie dał się jednak zastraszyć ani wytrącić z równowagi. Wyciągnął broń z za cholewy ruchem niemal niedostrzegalnym. Ostrze świsnęło w powietrzu, o włos mijając głowę albinoski, która uchyliła się w ostatniej chwili. W okamgnieniu mężczyzna pokonał dzielącą ich odległość, mierząc w białowłosą drugim nożem. Ciął z półobrotu. Kobieta zmuszona była odskoczyć, lecz nadal nie zdjęła dłoni z biodra i nie zmyła z twarzy cierpkiego uśmiechu. Mężczyzna zatańczył w piruecie, wyrastając u jej boku, i tym razem ciął z góry na dół, w odsłonięte ramię. Wygięła się jak wąż i ostrze znów minęło jej ciało, a ona miękko poderwała stopę, uderzając prosto w nadstawiony policzek. Kopniak, z pozoru delikatny, odrzucił Skrytobójcę w płataninę ostrych, suchych krzewów.

Przez obserwatorów przeszła fala zdumienia. Ktoś zaklął, ktoś wyszeptał słowa podziwu. Tchnienie chłodnego porannego wiatru wyduło jasną sukienkę. Kobieta powoli opuściła nogę, stanęła w lekkim rozkroku i przypatrywała się przeciwnikowi plującemu ziemią i żdźbłami trawy. Nie pozwolił jej długo napawać się swoim upokorzeniem, bowiem wyprysnął z miejsca jak z procy, mignął czernią ubrania po prawej, potem za jej plecami, by nagle pojawić się tuż przed nią. Nie zdążyłaby odskoczyć, nie zdążyłaby chwycić za broń. Wyciągnęła więc przed siebie dłoń, na spotkanie z opadającym na głowę nożem. Ostrze przebiło śródrezcze, zatrzymując się przed jej nosem, bryznęła krew. Nie zareagowała, nie jęknęła, nie mrugnęła, nie przygryzła wargi. Zagięła palce, obejmując obusieczne ostrze.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy i warknął przez zęby:

– Jesteś szalona.

– Mniej więcej.

Jej dłoń mocniej zacisnęła się na sztylcie, kilka małych czerwonych błyskawic energii wystrzeliło z palców i owinęło się wokół ostrza. Szarpnęła ramieniem, wyrwijąc nóż z dłoni zdumionego Przywódcy. Zmrużyła oczy, śląc z palców jeszcze więcej czerwonych błysków, które oplatały ostrze krwistym kokonem. Zaciskały się i rozrastały, sycząc i skwiercząc, aż wreszcie metal rozprysł się w drobny mak.

Kruczowłosa uskoczył pospiesznie do tyłu, krzywiąc wargi w złości i przestraszu.

– Krwista energia? To niemożliwe! Nie ma takiej barwy!

Albinoska strząsnęła metalowy pył z dłoni, a osad z wnętrza rany wypchnęła energią.



– Więc musisz mieć zwidy.

Nie dała mu szansy na odpowiedź, bo teraz ona ruszyła na niego – była jak zjawą, wydawało się, że przefrunęła ponad ziemią. Coś błysnęło w jej zakrwawionej dłoni. Przywódca odskoczył w tył, łapiąc rękojęść miecza schowanego na plecach. Zdążył go wyciągnąć i odbić broń, którą go zaatakowała, ale jednak nie uniknął zranienia. Kiedy się cofnęli, poczuł ciepło spływające przez brew, na oko. Zamknął powiekę, wytarł krew, ale ta zebrała się ponownie.

– Sprytnie, suko – wycedził. Oddychał nieco szybciej, ale nie był zmęczony. Za to zdumiał się, dostrzegłszy w dłoni albinoski nietypowy oręż: kościany grzebień z podłużnym trzonkiem zakończonym ostrym szpikulcem. Taki kształt ozdoby-broni sugerował, że nie zamierzała tylko go skaleczyć – chciała wyłupić mu oko.

Teraz, jakby nigdy nic, z powrotem wpięła zakrwawiony grzebyk we włosy i uśmiechnęła się łobuzersko. Kruczowłosa zaczął ją okręzać, uważnie obserwując jej dłonie. Spodziewał się kolejnej przykrej niespodzianki. Wodziła za nim wzrokiem. Suche gałązki i cierniste krzewy trzaskały pod stopami mężczyzny, jego buty pozostawiały w runie głębokie wgniecenia. Wyciągnęła rękę i poruszyła figlarnie palcami. Nie dał się sprowokować, splunął na ziemię, nie przerywając okrężania przeciwniczki. Kobieta położyła dłoń na zgrabnym biodrze, przesunęła ją wyżej, dotknęła zwiniętego bicza. Rozwiązała trok, złapała za rękojęść i... smagnęła batem z prędkością błyskawicy, przecinając chrust i wzbijając w górę fragmenty gałązek, źdźbeł i liści. Ponownie strzeliła biczem, wpatrując się w Przywódcę jak w dzikie zwierzę, które trzeba ujarzmić.

Kruczowłosa zazgrzytał zębami, jeszcze raz otarł lewe oko z krwi i zerknął na słońce. Znajdowało się wystarczająco wysoko na niebie, mógł to wykorzystać. Odbił się obunóż. Białowłosa czekała w bezruchu. Kilka razy zmieniał kierunek, myśląc ją i dezorientując. Gdy znalazł się dostatecznie blisko, poruszył mieczem, łapiąc promienie słońca i posyłając refleksy w stronę albinoski. Przymrużyła powieki – czyli udało się ją oślepić. Natychmiast to wykorzystał, tnąc od dołu, ze zgiętego przegubu. Wiedział, że ją ma.

Nie miał.

Podkurczyła nogi w kolanach, przeskakując ponad ostrzem. Zawiirowała nad mężczyzną w kilku saltach i śrubach i runęła na niego, celując stopami w twarz. Cofnął się, lecz niewystarczająco szybko. Trafiła go w pierś, odrzucając na kilka kroków. Grzmotnął o ziemię i przeturlał się, zgarniając sobą gałęzie pełne ostrych cierni. Zatrzymał się pod samym zboczem, uderzając w piaszczystą wyrwę. Kamienie i pył posypały się na niego. Krztusząc się, próbował usiąść; łapał dłońmi wystające kępy trawy, cały czas obserwując, jak albinoska zbliża się do niego – powolnym, pełnym gracji krokiem, raz po raz smagając ziemię biczem. Potem nagle rozplynęła się w powietrzu. I pojawiła się tuż przed nim. Trzask i świst – bicz oplótł mu gardło jak pętla szubienicy. Mężczyzna zacharczał, dusząc się. W panice rzucił się w bok, pociągając lżejszą kobietę za sobą. Wbrew jego oczekiwaniom nie straciła równowagi, mięśnie zadrgały pod skórą chudych ramion i zapartych w rozkroku nóg. Błysnęła drapieżnie zębami i szarpnęła go ku sobie z siłą, o jaką jej nie podejrzewał. Poleciał w stronę białowłosej jak bezwładna kukła, a ona odchyliła głowę do tyłu i uderzyła go czołem w twarz. Znowu zacharczał. Gdy upadł w piach, przydepnęła mu głowę stopą i poderwała bicz do kolejnego smagnięcia. Złapał ją szybko za kostkę i wyrzucił na ziemię, po raz pierwszy zyskując przewagę. Kiedy znalazł się na górze, chlasnął ją mieczem przez plecy, rozcinając skórę. Zarechotał, gdy bryzg krwi prysnął mu na nogi.

Nie poruszała się, rozciągnięta na ziemi, z czerwoną bruzdą biegnącą przez łopatki. Przywódca stał nad nią, wspierając się o wbity w ziemię miecz. Oddychał ciężko, ale uśmiechał się triumfalnie zapiaszczonymi ustami. Jego twarz była posiniaczona i podrapana, oczy pełne krwawych wybroczyn.

– Chyba cię nie doceniłem, dziwko – wycedził, plując juchą. – Ale teraz to bez znaczenia. –

Z trudem wyrwał miecz z ziemi i uniósł go ponad głowę, potem z impetem opuścił w dół.

Albinoska przewróciła się na plecy – klinga wbiła się blisko jej szyi, delikatnie nacinając białą skórę. Czerwone oczy błysnęły dziko. Na wargi wpełzł lisi uśmiezek.

Przywódca cofnął się, blednąc. Wyraz triumfu zniknął z jego oblicza, zastąpiony niedowierzaniem i przerażeniem.

– Czym ty jesteś, kurwa?!

Krwistooka nie raczyła odpowiedzieć. Pokazała mu jedynie środkowy palec w pogardliwym geście. Kruczowłosey wrzasnęły i cięły mieczem po raz kolejny, na odlew. I ponownie przeorał tylko piach, bo białowłosej już tam nie było.

Stała za nim, zgarbiona, ubrudzona piachem i krwią, szepcząc pod nosem niezrozumiałe słowa. Rozcierała coś w dłoniach, na uchwycie biczu – kilka listków i cierni, których sporo znajdowało się wokół. Mężczyzna odwrócił się powoli i zdeorientowany obserwował jej poczynania. Nasadę biczu, wysmarowaną sokiem z liści, chwyciła przebitą dłonią. Nie przestawała szeptać, a do jej rany płynęło drgające powietrze przesycone czerwoną energią. Tkanka zaczęła się szybko regenerować, a rozedrgana lecznicza energia płynęła także na plecy, do drugiej, poważniejszej rany.

Przywódca zaśmiał się gromko, obrzucając otoczenie domyślnym spojrzeniem.

– Więc wybrałaś do walki polanę pełną jakichś leczniczych chwastów. Na których ja się nie znam, a ty masz wiedzę o nich w małym palcu. Cwana żmija. Ale nie myśl, że pozwolę ci tak tu stać i się kurować.

Ruszył na nią jak taran, szykując miecz do szerokiego cięcia. Zmusił ją, by znów się wybiła, a ponieważ była spowolniona przez ranę, końcem klingi naciął jej udo. Nie przejęła się; ledwo wylądowała na ziemi, zawirowała w piruecie. Znalazła się za nim i smagnęła go biczem przez pośladki. Zachichotała krótko i znów wróciła do szeptania inkantacji. Kruczowłosey obrócił się ku niej czerwony ze złości i natychmiast ruszył do kolejnego ataku. Ciął płasko, lecz wysoko, chcąc pozbawić ją głowy. Umknęła, ledwie unikając ostrza. Kilka białych kosmyków, ściętych równo, upadło na piach. Szybkie mamrotanie rozbrzmiewało w powietrzu, odbijając się dziwnym echem, które nie miało prawa tu powstać.

Kolejny świst bata i krwawa pręga znaczy pierś Przywódcy. Szczęk miecza parującego kolejne smagnięcie. Trzask gałązek i cierni łamanych stopami mężczyzny. Przywódca próbował dosięgnąć szepczącej albinoski, której rany zasklepiały się coraz szybciej. Okręzał ją, atakował znienacka i zawsze chybiał. Muskał sztychem gorset, spodnie, zahaczał lub kolejne pasmo włosów, ale kobiety dosięgnąć nie potrafił. Poruszała się jak kotka: zwinnie, szybko i bezszelestnie, pomimo hałaśliwego podłoża. Jakim cudem? Uchyłała się, robiła zwody i strzelała z biczu, zostawiając na ciele mężczyzny coraz głębsze, dłuższe rany. Wszystko działo się za szybko, wymykając się Przywódcy spod kontroli.

Obserwujący walkę Skrytobójcy milczeli, pełni napięcia i oczekiwania. Ich spojrzenia z coraz większym trudem nadążały za przebiegiem pojedynku. Tych dwoje ganiało za sobą z zatrważającą prędkością, śmigali i wlatywali w powietrze, znikali z oczu, by zaraz pojawić się w zupełnie innym miejscu. Wokół Przywódcy rozbudzała się skrzecząca czarno-brunatna energia, uderzająca w ziemię grubymi strumieniami, które wżerały się głęboko. Wokół białowłosej drgała jasnoczerwona poświata, która delikatnie otaczała jej rany i natychmiast goiła skaleczoną skórę.

Wreszcie nadszedł czas, by to zakończyć. Oboje padali z wycieńczenia, oboje sięgnęli granic wytrzymałości. Lecz wszyscy już wiedzieli, kto był górą. Miecz błysnął przy skroni albinoski. Uskoczyła, wzięła solidny zamach i kopnęła rywala w żuchwę. Mężczyzna wzleciał w górę, a potem spadł na kolana. Albinoska strzeliła batem, owijając bicz wokół miecza Przywódcy. Wyszarpnęła mu

*broń z dłoni, przyciągając ją do siebie. Złapała rękojeść, błyskawicznie doskakując do klęczącego przeciwnika. Z przejmującym krzykiem cięła na ukos z góry do dołu.*

*Mężczyzna nie wydał z siebie żadnego odgłosu. Legł martwy tuż pod nogami albinoski.*

## Rozdział IV

Haru rozpamiętywał Sen, drapiąc łapą naderwane ucho. Nazwała go idiotą, gdy podczas treningu zatrzymał gołą ręką ostrze, a sama zrobiło to samo w walce. Poczł spóźnioną satysfakcję. Poruszył długimi wąsami i błysnął rudymi ślepiami w ciemnościach, z niechęcią oglądając się za swoim towarzyszem. Kojot dreptał za nim, z nosem przytkniętym do ziemi, stukając pazurami o bruk uliczki. Otaczały ich mury niewysokich budynków zbudowanych z żółtej cegły. Było duszno, ale nie śmierdziało tu jak w większości zaułków. Słońce nie zdążyło jeszcze wzejść, wokoło gościła szarość wczesnego poranka. Haru nie cierpiał działać o świcie, zwykle wtedy smacznie spał. Dziś było inaczej; mieli za zadanie przeciąć drogę Aresowi, który wykonywał jedną ze swoich misji właśnie o tej porze. Plage dostarczyła im tych informacji – w końcu miała do nich najlepszy dostęp.

Czarny kocur nastroszył sierść i kilka razy smagnął powietrze naprężonym ogonem. Już wiedział, czemu tak bardzo nie znosił Maxa, i to z wzajemnością – z takimi Zwierciadłami Duszy nie dziwota, że kochali się jak pies z kotem. Ech, i lepiej nie będzie. Obserwował kojota przez chwilę, po czym syknął głośno, obnażając ostre kły.

– Przestań wszystko obwąchiwać, kundlu. To tutaj?

Kojot poderwał podłużny pysk i doskoczył do Haru długim susem. Spojrzał na niego z góry, ostro, choć apatycznie – wynik niewyspania i pogardy dla rozmówcy.

– Tak, to tutaj, dachowcu. A ja nie jestem żadnym kundlem, tylko kojotem.

– Jeden pies. – Kocur wyszczerzył zęby, niby w szyderczym uśmiechu. W odpowiedzi Max zmarszczył pysk, a z jego gardła dobył się cichy, gniewny warkot. Fiołkowe oczy błysnęły irytacją. Haru zignorował to kompletnie i wyminął niechcianego towarzysza miękkim, ostentacyjnie wolnym krokiem.

– Dobra, wskazałeś mi drogę, odwalileś swoje arcytrudne zadanie, więc możesz już tego, no...

– Czego? – szczechnął wściekle kojot.

– Gówna psiego. Możesz spadać.

Max pochylił łeb, jeżąc sierść i obnażając kły. Naprężony, na sztywnych łapach, z nastroszonym futrem, zdawał się większy, groźniejszy.

– Jeszcze jeden żart o psach i...

– I co? – prychnął kocur lekceważącym tonem. – Pogonisz mnie na drzewo?

– Żebyś, cholera, wiedział! Ty spadaj, na myszy polować, pchlarzu!

– Lepsze polowanie na myszy niż posikiwanie na murki.

– Kto powiedział, że ja posikuję? – Kojot odruchowo podkulił ogon, jakby miał coś na sumieniu.

Haru nie odpowiedział, już go nie słuchał. Czujny, zastygł w bezruchu; tylko koniec czarnego ogona falował leniwie na boki. Wyglądał jak polujący kot, lecz potencjalną zdobyczą z pewnością nie była mysz. Wielkie ślepie połyskiwały, gdy z uwagą obserwował szeroką ulicę, na którą wychodził zaułek służący im za kryjówkę.

Ulica spała. Drzwi i okiennice były pozamykane. Lekki wiaterek trącał drobiny piasku, przesuując je po nierównym podłożu. Poranna mgiełka wspinała się po żółtych murach, oblepiając je, przylegając do cegieł jak cienkie warstwy bandaży. Na parapetach niskich okien porozstawiano doniczki z kwiatami, które swym stanem budziły litość i wątpliwości, czy są jeszcze żywą, czy już martwą naturą. Z południowego krańca uliczki ktoś nadchodził, rytmicznym, zdecydowanym krokiem, ani wolnym, ani szybkim. Haru wiedział, kim jest ów cień majaczący jeszcze w oddali. Rzucił Maxowi ostre spojrzenie.

– Nawet nosa nie wychylaj, kundlu. Sam go załatwię, a ty siedź tu cicho. Nawet nie szczeknij.

– Spadaj na drzewo, szczurołapie.

Haru nie raczył skomentować rzuconej na pożegnanie obelgi. Wychynął z uliczki, skradając się tuż przy ścianie. Najtrudniejsze, jak zwykle, okazało się stłumienie energii. Musiał to zrobić – wyciszyć aurę do minimum – jeśli nie chciał zostać zbyt wcześnie wykryty. Przemykał pod parapetami, bezszelestnie chował się za drewnianymi pojemnikami na śmieci, rozpływał w mroku, by w końcu zamrzeć w całkowitym bezruchu za wypełnioną piachem donicą ustawioną przy drzwiach jednego z budynków. Ukryty za nią oceniał, jak daleko znajduje się cel. Próbował wyczuć jego aurę, ale nadchodzący stłumił ją, jakby spodziewał się ataku. Haru spał się cały i czekał.

Ares nie zmieniał tempa marszu, stąpając bezgłośnie i spokojnie. Zza jego pleców sterczały rękojeści bliźniaczych katan. Płomienne włosy falowały, czesane tchnieniami wiatru, muskane pajęczyną mgły. Piwne oczy uważnie badały otoczenie. Coś wyczuwał, lecz nie zatrzymywał się, nie obracał i nie zwalniał. Sprawiał pozory mało czujnego.

Haru znał tę sztuczkę, obydwaj przecież szkoleni byli w tym samym miejscu. Matsumara chciał, by ewentualny napastnik rozluźnił się, a potem zginął, zaskoczony szybką reakcją. Haru nie dał się nabrać, ale nadal nie był pewny, jak wiele Ares wie, ile się domyśla, czy już wyczuł jego aurę. Czekał więc nieruchomo, wychylając się zza donicy coraz rzadziej, opierając się głównie na zmysłach słuchu i węchu.

Matsumara przeszedł obok, nie zauważając go. Ale coś wychwycił, jakąś zmianę ciśnienia powietrza, związana z obecnością obcej energii. Haru widział, jak mięśnie na ramionach Aresa napinają się, jak rysy jego twarzy tężeją. Nie było sensu dłużej czekać. Ugiął łapy, zakołysał się i wyskoczył do przodu jak sprężyna, wysoko, celując w kark ofiary...

...która odwróciła się niespodziewanie, błyskawicznie chwytając za bliźniacze katany. Obie świsnęły w powietrzu, tnąc jedna po drugiej na ukos. Kocur, będąc już w powietrzu, nie mógł się cofnąć ani odbić w bok. Mógł tylko wykręcić swoje ciało; w iście akrobatycznej śrubie przeszybował między krzyżującymi się ostrzami wroga – otarł się o zimny metal, kalecząc łapę, ale bezpiecznie wylądował z drugiej strony. Jeszcze nim dotknął bruku, ogarnęła go czarna mgiełka i w mgnieniu oka przybrał ludzką postać. Przeturlał się, wyhamował, kucając w lekkim rozkroku, i natychmiast wyrzucił zatrutą strzałkę. Powinna trafić i byłby to koniec zadania, najlepszy koniec: szybki, błyskawiczny, niedający szans na ripostę.

Lecz strzałka chybiła, czy raczej została sprawnie odbita przez jedno z ostrzy Aresa. Spojrzenia młodych Skrytobójców spotkały się na krótki moment – oba były pełne zawziętości – i ruszyli na siebie z impetem.

Rudzielec przeskoczył ponad jedną z kling, drugą sparował w powietrzu kopniakiem. Wylądował miękko za plecami przeciwnika i zamachnął się do uderzenia jelcem w potylicę, lecz przeszył tylko powietrze i musiał dać szybki krok do przodu, by nie stracić równowagi. Ares był już obok, jego dwa ostrza błysnęły groźnie, gdy chciał je zamknąć na szyi Haru jak nożyce. Rudzielec zanurkował w popłochu, żegnany przez burzę iskieł i zgrzyt ocierających się o siebie główki. Zachował zimną krew i odpowiedział momentalnie: pochylony nisko uderzył przeciwnika zgiętym łokciem prosto w krocze. Matsumara nie przewidział tego. Stęknął i chwiejnie uskoczył do tyłu. Haru nie czekał, wyprostował się, obracając katanę w dłoni. Ciął ostrzem od dołu, celując w gardło przeciwnika.

W ostatnim momencie zatrzymał sztych tuż przy drgającej nerwowo grdyce Aresa. Nie przegapił dreszczu, który wstrząsnął ciałem Matsumary. Uśmiechnąłby się kąśliwie, gdyby nie świadomość, że doprawdy niewiele brakowało, aby znów spieprzył sprawę.

Ognistowłosy patrzył na niego skonsternowany, z obydwoma ostrzami uniesionymi w daremnym już zamiarze ataku. Lekko poczerwieniała twarz wykrzywiła się w grymasie złości i pogardy.

– Czemu się zatrzymałeś? Masz napad durnego miłosierdzia?

Dopiero teraz rudzielec uśmiechnął się szeroko.

– Miłosierdzia? Łaską z mojej strony byłoby, gdybym cię teraz zabił.

– Przestań bredzić! – Ognistowłosey oprzytomniał. Bliźniacze katany z trzaskiem uderzyły w broń rudzielca, odbijając ją gwałtownie. Haru uskokzył, instynktownie zawirował, unikając młynkujących kling. Zblokował kilka kolejnych cięć, następujących szybko po sobie; z trudem nadążał z robieniem uników i parowaniem ciosów kataną. Nie dał się zranić ani razu, ale zaczynało go męczyć ciągłe uskakiwanie i blokowanie podwójnych ciosów. Musiał działać z niesamowitą szybkością. Musiał myśleć z wyprzedzeniem, bo Ares często tylko markował uderzenie jednym z mieczy, podczas gdy właściwe cięcie wyprowadzał drugim. Robiło się coraz trudniej, a rudzielec nie mógł odpowiedzieć bezwzględny atakiem, bo nie mógł ryzykować, że zabije ognistowłosego. Miał go tylko ogłuszyć.

Zanurkował po raz kolejny, unikając ostrza mierzącego w jego skroń. Atak drugiej katany – wyprowadzony pod dziwnym kątem, ze zgiętego nienaturalnie przegubu, celujący w kolana – całkowicie zaskoczył Haru. Miał za mało czasu, by poderwać się do góry, nie zdążyłby. Improwizował: czarna mgła otuliła go i zamieniła w kota – mniejszego i nisko przyczajonego. Ostrze przeszło niknącą mgiełką ponad czarnymi uszami. Nie czekał, aż przeciwnik kolejny raz otrząśnie się ze zdumienia. Przemknął między nogami Aresa, przeszkadzając mu w odzyskaniu równowagi po nieudanym ataku. Ognistowłosey potknął się i runął na bruk, z hukiem i serią szpetnych przekleństw. Haru natychmiast wskoczył mu na plecy i ponownie zmienił postać, przyduszając przeciwnika swoim ciężarem. Siedząc mu na łopatkach, stopami dociskał nadgarstki, uniemożliwiając sięgnięcie po broń. Zamachnął się potężnie i uderzył rękojęcią w potylicę – natychmiast poczuł, jak napięte mięśnie Aresa rozluźniają się i wiotczeją. Złapał za płomienne włosy i podniósł ciężką głowę, sprawdzając reakcję. Żadnej. Puścił włosy, czoło Aresa stuknęło o bruk.

Zadowolony rudzielec podniósł się, otrzepał i schował katanę. Spojrzał przeciągle w zaułek kryjący się między budynkami. Coś napawało go niepokojem. Ciężka aura roztaczała się stamtąd i płynęła wprost do niego. Nie mogła to być energia Maxa, była zdecydowanie za silna, za cierpka. Haru zawahał się, zerknął na nieprzytomnego, kontrolnie szturchnął go nogą.

– Obrazisz się, gdy na chwilę zostawię cię samego? Nie? Tak myślałem.

Ruszył ku uliczce ostrożnym krokiem, dla bezpieczeństwa kładąc dłoń na rękojęści katany. Słyszał jakieś szmery, bzyczenie owadów i przyciszone rozmowy. Powiało zimnem. Mimowolny dreszcz przebiegł mu po karku, uszy poraził czyjś żałosny stęk – kobiecy głos, bardzo słaby, gasnący...

– Pani!

Wiedział, że to ona. Po prostu wiedział. Ruszył jak oparzony i pędem wbiegł do zaułka...

I zamarł w miejscu. To już nie była zwykła uliczka. Białe, gdzieniegdzie delikatnie zaróżowione płatki sakury wirowały pośród wysokich drzew, równo i miarowo jak w tańcu. Wszystko tonęło w zjawiskowej bieli: bruk, budynki, nawet niebo. Zdawało się, że drzewa wiszą w mlecznej przestrzeni stworzonej z płatków. A może to były chmury? Albo puch, miękkie, dopiero co powstałe pióra? Rudowłosey nie potrafił określić, czym była ta delikatna, otaczająca go zewsząd biel, którą czuł na skórze, choć nie był w stanie jej dotknąć. Ztracał się w kuszącej aksamitnej miękkości, otulającej go jak puszysty płaszcz.

Wtedy ją zobaczył. Chowała się za konarem jednego z drzew, wyglądając zza niego ostrożnie, z figlarnym uśmiechem jak podczas zabawy. Ubrana w śnieżną sukienkę była niemal niewidoczna na tle oślepiającej bieli krajobrazu. Jedyne jej oczy kontrastowały z otoczeniem, wyróżniając się intensywną, zniewalającą czerwienią.

– Pani... – Gdy tylko się odezwał, spłoszyła się niby łania i uciekła w gęstą chmurę płatków.

Rudzielec natychmiast ruszył za nią, wymijając kolejne drzewa, które pojawiały się z każdym

kolejnym krokiem. A Plage? Cały czas umykała przed nim. Miękkimi, kocimi susami przemykała od jednego drzewa do drugiego, okręcając się tanecznie. Jasna sukienka wirowała wokół szczupłych nóg, długie włosy falowały ponętnie.

Wszystko odbywało się w kompletnej ciszy – głuchej, nieznośnej, od której dudniło w uszach.

– Pani! – Skrytobójca krzyknął, jego podniesiony głos rozległ się echem wśród drzew i rytmicznie poruszających się płatków, a potem wrócił ze zdwojoną siłą. Rudzielec spostrzegł, że jego głos odbił się tuż przed Plage, jakby trafił w nieprzenikalną barierę. Nie usłyszała go i nadal mknęła przed siebie, z gracją ducha, z delikatnym uśmiechem na porcelanowej twarzy.

Rudowłosy poczuł się zrozpaczony i bezradny, a jednocześnie oczarowany – powabem jej ruchów, kroków i gestów. I nijak nie mógł jej dosięgnąć. To było frustrujące.

– Poczekaj, proszę!

Teraz go usłyszała. Brakowało logicznego wyjaśnienia, jakiejś zasady. Po prostu nagle otaczająca ją szklana bariera znikła i głos Skrytobójcy dotarł do niej bez problemu. Odwróciła się, ciągnąc za sobą połyskującą falę włosów. Spojrzała na niego z jakimś niezmiernym zdziwieniem.

– Pani, to ja... – Rudowłosy przyglądał się jej z troską i narastającym niepokojem. Dłonie zaczęły mu drżeć, tak bardzo chciał ją do siebie przyciągnąć, przytulić. Ale reszta ciała odmawiała posłuszeństwa, nogi były jak z ołowiu i nie mógł nimi poruszyć. Musiał czekać.

Plage przez dłuższy moment również stała, mierząc go badawczym spojrzeniem. Potem jednak jej brwi uniosły się łagodnie i ruszyła ku niemu lekkim krokiem. Rudzielec z bijącym sercem obserwował, jak się zbliża. Nie mógł się już doczekać momentu, w którym jej dotknie, choć samo patrzenie na nią sprawiało mu radość, przenikało szczęściem.

– Wreszcie jesteś, Plage...

Stała tuż przed nim, na wyciągnięcie ręki i nic nie mówiła, obdarzając go jedynie ciepłym, stęsknionym spojrzeniem i uśmiechem. Haru cieszył się i martwił. Widział w krwistych oczach głębokie emocje i zdawał sobie sprawę, że musiała przeżyć ich rozstanie, prawdopodobnie cierpiała tak samo jak on. A on zrobiłby wszystko, byle tylko oszczędzić jej udręki. Coraz bardziej chciał ją objąć i przytulić, odegnąć wszelkie troski, lecz wciąż nie potrafił się poruszyć. Niemniej świadomość tego, że i ona tęskniła, że nie był jej obojętny, budziła w nim jakąś ciepłą nutę, wzruszenie. Tylko skąd ta tęsknota w jej oczach? Z powodu rozłąki? Pogubił się i nie wiedział, jak powinien się zachować.

Zaraz... Jakiej rozłąki? Przecież rozstali się zaledwie kilka, najwyżej kilkanaście świec temu. Więc czemu miał wrażenie, że nie widzieli się znacznie dłużej? Dlaczego, ot tak, nazwał ją po imieniu? Czemu zdawało mu się, że trafił gdzieś, gdzie nie powinien być?

Rozwiązanie problemu nie pojawiło się. Reakcja Plage całkowicie pochłonięła jego uwagę. Zrobiła mały krok i powoli położyła mu dłonie na piersi, by potem równie niespiesznie przesunąć je na plecy. Serce podskoczyło mu do gardła, ciało oblała fala gorąca – Plage tuliła się do niego, a jego ogarniała niewypowiedziana błogość. Objął ją w talii drżącymi dłońmi i kilka razy otwierał usta, by coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Miał ściśnięte gardło i przyjemny mętlik w głowie. Potem usłyszał dźwięczny chichot. Domyślił się, o co chodzi. Opierała policzek o jego tors i musiała słyszeć, jak dudni mu serce.

– Słyszysz, jak bije? – szepnął czule, dziwiąc się, że dał radę wydobyć z siebie głos.

– Długo już nie pobije – padła oschła odpowiedź, która zmroziła go do szpiku kości.

A jego serce faktycznie zamarło, gdy Plage przystawiła mu nóż do gardła. Chłopak poczuł ukłucie zimnego ostrza, a przed oczami zawirowało mu z rozpacz. Piękna biel płatków sakury spłynęła krwią lejącą się z nieistniejącego nieba. Drzewa obumarły, a ze spróchniałych ran sączyła się śmierdząca lepka maź. Biała przestrzeń pod stopami Haru zaczęła skrzypieć i trzeszczeć, a kiedy zerknął w dół, ujrzał, jak

śnieżna, puszysta nicość krzepnie. Stał na zamrożonym jeziorze, z którego wyrastały lodowe kolce. Obawiał się, że tafla lodu popęka, a on runie na ostre szpikulce. Wtedy jakiś impuls kazał mu podnieść wzrok. Krwawy krajobraz wokół również porósł grubym, połyskującym szronem, trzeszczącym złowrogo. Ale nie to było najgorsze. Albinoska uśmiechała się do niego z lodowatym spokojem. Skrytobójca poczuł, jakby i jego serce złodowaciało. Przekonanie, że zaraz zginie z ręki ukochanej kobiety, blokowało w nim wszelkie reakcje, wszelki opór.

Ukochanej...?

Usta białowłosej drgnęły, unosząc się w drwiącym uśmiešku, mocniej docisnęła sztych do gardła Haru i bez chwili wahania pociągnęła ostrzem po skórze.

Krew bryznęła jak z fontanny, ale rudzielec nie poczuł bólu. Zacisnął powieki, otworzył je, obraz przed oczami zamazał się, zmienił...

Max stał nad nim, trzymając się za rozcięte niegroźnie ramię. Nabijana brylantami rękojeść sztyletu połyskiwała w jego dłoni. Haru nie wiedział, co się dzieje – znów znajdował się na szerokiej ulicy, otoczonej żółtymi budynkami. Leżał na plecach, pod jednym z parapetów. Potężny ból głowy rozsadał mu czaszkę, przyprawiając o mdłości.

– Co się...? – Chwycił się za skronie i rozejrzał. Kilka kroków na prawo, pod drzwiami kolejnego budynku, leżał nieprzytomny Ares, z rozrzuconymi na boki nogami i rękami, z piachem i skorupami rozbitej doniczki rozsypnymi na plecach.

– Zatrął cię czymś – odezwał się Max. – A przynajmniej tak mi się wydaje. Zaraz po tym, jak go ogłuszyłeś, zacząłeś wpatrywać się w jeden punkt, jak zaczarowany. Próbowałem cię ocucić, ale bez efektu. Bredziłeś coś, wołałeś Plage... Znaczą swoją panią. Nawet nie zauważyłem, kiedy ten sukinkot się ocknął, podniósł i chlasnął mnie przez ramię, ledwo odskoczyłem. Na szczęście nie miał już siły na nic więcej, był jak niemrawa mucha, więc z łatwością grzmotnąłem go doniczką w łeb.

Haru przetarł powieki wierzchem dłoni, nie komentując. Próbował sobie przypomnieć moment, w którym Matsumara mógł go czymś zatruć. Żadnych skojarzeń. Nie pamiętał też, by w Syndykacie istniała trucizna powodująca tego typu halucynacje. Takie realne, że niczego nie podejrzewał, gdy się zaczęły. Usiadł powoli, walcząc z zawrotami głowy. Rozmasował kark i od niechcenia zerknął na rozcięte ramię Maxa.

– Kto cię prosił o pomoc? Miałeś się nie wtrącać.

– Ha! I bardzo chętnie zostawiłbym cię na pastwę losu! Gdyby nie fakt, że Plage pociachałaby mnie wtedy na kawałeczki.

Rudzielec milczał, nie patrząc na niego. To, co widział, co przeżył, zanim wrócił do rzeczywistości, było zbyt ważne, wywarło na nim zbyt duże wrażenie. Nie potrafił przejmować się błahostkami w postaci fochów Maxa.

Co się z nim działo? Haru wiedział, że nie była to żadna trucizna. To jego umysł. Pokazał mu coś niezrozumiałego, coś metaforycznego i dziwnego. Nie miał pojęcia, czemu akurat w takim momencie i co mogła oznaczać ta wizja. Nie miał też pewności, czy chce to wiedzieć.

Podniósł się, opanowując chęć wymiotów, i utkwiał spojrzenie w nieprzytomnym ciele Matsumary. Podeszedł bliżej, przewrócił go nogą na plecy i przyjrzał się jego podrapanej, poobijanej twarzy. Czuł, że głowa za chwilę mu eksploduje. Mdłości narastały. Nadal coś było nie tak, zdecydowanie nie tak. Wtedy znów poczuł ciężką i cierpką aurę roztaczającą się z zaułka. Czyżby ktoś bawił się jego kosztem?

Ruszył ku uliczce ostrożnym krokiem, dla bezpieczeństwa kładąc dłoń na rękojeści katany. Słyszał jakieś szmery, bzyczenie owadów i przyciszone rozmowy. Powiało zimnem. Mimowolny dreszcz przebiegł mu po karku, uszy poraził czyjś żaloszny stęk – kobiecy głos, bardzo słaby, gasnący...

– Pani!



Wiedział, że to ona. Po prostu wiedział. Ruszył jak oparzony i pędem wbiegł do zaułka...

I zamarł w miejscu. To już nie była zwykła uliczka.

Poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie, a panika łapie za gardło, pozbawiając oddechu.

Leżała w wielkiej kałuży krwi. Oparta plecami o ścianę, z rozchlastanym brzuchem, otwartym długim, głębokim cięciem. Na bruk wylewały się wnętrzności. Odsłonięte mięśnie drgały spazmatycznie. Powoli odwróciła głowę, spojrzała na niego znad umazanych krwią policzków. Uniosła drżącą dłoń.

– Koteczek... Koteczek... – Jej głos przypominał skrzek, słaby i brzydki żabi skrzek. Oczy o głębokim, bezdennym spojrzeniu nie błyszczały, ani chłodno, ani drapieźnie. Nie błyszczały wcale.

– Pani...! – Rzucił się do niej jak oszalały. Nie zważając na cierpki zapach krwi i odrzucający smród wnętrzności, padł na kolana, przebiegł wzrokiem po poruszających się jelitach. Nie wiedział, czy cieszyć się, że Plage jeszcze żyje. Złapał ją za dłoń, czując, jak łyzy ciurkiem ciekną mu po policzkach.

Zrozpaczony, nie hamując szloch, wpatrywał się w jej martwiejącą twarz, już nie białą, ale siną i ściągniętą cierpieniem. Wąskie usta drgnęły, próbując unieść się w uśmiechu.

– Nie patrz... Nie powinieneś mnie takiej pamiętać... Zapamiętaj mnie inną... Taką... wiesz jaką...

– Nie mów, pani! Nic nie mów! – Haru nie panował nad swoim głosem, nad siłą, z jaką ścisnął jej dłoń wiotczącą coraz bardziej.

– Dureń... Nic mi nie jest.

Uśmiechnęła się nagle szeroko, paskudnie, obłąkańczo. Z gardła buchnęła krew, chlusnęła przez wargi, zalała brodę i dekolt. A ona, nadal się uśmiechając, podniosła drugą dłoń, wskazując przeciwny kraniec uliczki.

Haru, z trudem powstrzymując wymioty i wrzask rozpacz, spojrzał we wskazanym kierunku. Stała tam smukła lisica, bielejąca w ciemnościach jak gwiazda na nocnym niebie. Chuda, na długich patykowatych łapach, z dwoma ogonami ciągnącymi się za nią jak welony. Czerwone oczy, dzikie i zimne zarazem, przeszywały go na wskroś. Mroziły, nie pozwalały się poruszyć. Poczuł, że dłoń albinoski wyslizguje się z jego uścisku. Nie zdążył jej złapać i plasnęła w kałużę krwi. Rozgorączkowanym wzrokiem wodził od ciała albinoski do lisicy. Serce tłukło się o żebra, w skroniach tętniło, gorycz paliła, odbierając zdolność logicznego myślenia. Potrafił już tylko patrzeć, przyglądać się przez szklistą ścianę łez.

Białowłosa była martwa. Nieruchoma. Głowa delikatnie przechyliła się na ramię, ręce leżały wzdłuż ciała, dłonie nurzały się w jeziorku krwi. Długie włosy oplatały ciało jak pajęczyna, lepiły się do wilgotnej skóry, do paskudnej rany. Lisica obserwowała, falując leniwie ogonami. Wreszcie ruszyła. Białe futro pokrywał skrzący się szron. Długie pazury stukały o bruk, potem łapy zachlupotały cichutko w kałuży. Zatrzymała się naprzeciw zdrętwiałego, bladego z przerażenia Haru. Spojrzała na niego przelotnie i... zanurzyła pysk w rozciętym brzuchu Plage, wbiła kły we wnętrzności, szarpnęła gwałtownie, rozbryzgując posokę. Wpiła się głębiej, coś zabulgotało i zachrząściło obrzydliwie, a rudzielec wrzasnął głośno, chowając głowę między kolana. Nie chciał tego oglądać.

– Hej! – Ktoś szarpnął go za ramię. – Opanuj się! Obudź się wreszcie, do cholery!

Poderwał głowę, nadal wrzeszcząc. Łzy spływały mu na wargi, czuł ich słony smak. Zachłusnął się krzykiem. Rozejrzył się w popłochu. Z rozgoryczeniem stwierdził, że znajduje się w zaułku, lecz wszystko wokół wygląda normalnie, bez krwi, bez umierającej Plage, pożeranej przez własne Zwierciadło Duszy.

– Kurwa... Co to było?

– Też chciałbym wiedzieć! – szcęknął stojący nad nim Max, szary jak papier i równie przerażony. – Wpadłeś w uliczkę jak oparzony, runąłeś na kolana i zacząłeś wrzeszczeć. O co tu chodzi?!

– Nie wiem... – odparł rudzielec. Dopiero teraz przypomniał sobie o łzach i starł je pospiesznie

z twarzy, próbując nie myśleć o tym, że Max i tak je widział. Czuł się dziwnie... pusty. Jakby coś się z niego wylało.

## Rozdział V

– Nic ze mnie nie wyciągniesz, Saruku. – Ares buntowniczo szarpnął ramionami, przełożonymi za metalowe oparcie krzesła i przywiązanymi magicznymi linami blokującymi energię. – Na nic ten cały cyrk.

Haru obserwował go, siedząc naprzeciwko na takim samym krześle. Rozparty w nonszalanckiej pozie, demonstracyjnie zadzierał podbródek. Przez chwilę nie odpowiadał, wsłuchując się w dźwięczenie dzwoneczków poruszanych przez wiatr. W izbie panował lekki, orzeźwiający przeciąg. Przy stole pod oknem siedzieli Max i Eliara, która opatrywała zranione ramię Złodzieja. Oboje nie wykazywali zainteresowania więźniem. Rudzielec wręcz przeciwnie, doskonale bawił się jego kosztem.

– Masz absolutną rację, Ares. Ja nic z ciebie nie wyciągnę. – Uśmiechał się od ucha do ucha, a pewnie uśmiechnąłby się dookoła głowy, gdyby tylko mógł.

– Przestań ze mną igrzać! – warknął ognistowłosa, znowu szarpiąc się w więzach. – Wiem, czego chcesz. Dobrze wiem, o co ci chodzi. I co, będziesz mnie torturował? Bo moich myśli nie umiesz odczytać, jesteś za słaby.

Rudzielec milczał, nie przestając się wesoło szczerzyć. Widział, że działało to na Matsumarę jak czerwona płachta na byka.

Kątem oka dostrzegł przestraszoną twarz Eliary słuchającej opowieści Maxa. Nie docierały do niego przyciszone słowa, ale domyślał się, że Złodziej zdaje właśnie dziewczynie relację z ostatnich wydarzeń. Na samo wspomnienie halucynacji wzdrygnął się. Przestał się uśmiechać i w zamyśleniu spojrzał przez uchylone okno...

Plage nie dała mu myśleć za długo.

Weszła do pomieszczenia zdecydowanym krokiem. Drzwi zaskrzypiały przejmująco, a potem huknęły, zamknięte siłą przeciągu. Czerwone oczy od razu spoczęły na związanym Aresie. Ognistowłosa nie odważył się odwzajemnić spojrzenia, drgnął tylko jak przeszyty prądem. Nikt nie powiedział ani słowa, a Haru poczuł nagle głęboki smutek. Bez słowa podniósł się z krzesła, zrobił kilka kroków i stanął między skrzynią a drzwiami prowadzącymi do sypialni. Oparł się o ścianę i z trudem podniósł spojrzenie na białowłosa. Władcza i wyniosła, z oczami połyskującymi okrucieństwem. Ten znajomy obraz nie wygrał jednak z tymi, które wciąż tkwiły w jego głowie.

Albinoska przeszła przez pokój, złapała puste krzesło, obróciła je oparciem do przodu i usiadła na nim okrakiem. Splotła dłonie na oparciu i położyła na nich podbródek, uśmiechając się kącikami warg. Ares patrzył w dół, na jej wysokie buty. Już nie szarpał się w więzach, nie ośmielił się choćby drgnąć. Białowłosa zastukała podeszwą o drewnianą podłogę.

– Mogłabym po prostu przeczytać twoje myśli. Tak byłoby najszybciej. Ale to dla mnie trochę męczące. No i nudne. Wiesz, co będzie o wiele ciekawsze? No? Odpowiadaj, kiedy pytam grzecznie. Bądź posłuszny, szczekaj. Daj głos.

– Nie wiem...

– Że co?

– Nie wiem.

Nie dało się dostrzec momentu, w którym poderwała dłoń. Szybkość, z jaką trzasnęła go w twarz, była zatrważająca. A impet uderzenia porażał. Ares padł na ziemię wraz z krzesłem. Jego policzek poczerwieniał, krew wypłynęła spomiędzy warg, a z gardła wydobyło się jakieś niewyraźne charknięcie.

Plage skinęła dłonią na rudowłosego.

– Podnieś go i przytrzymaj.

Haru usłuchał, lecz bez przekonania. Stracił wcześniejszy zapał. Jakoś przeszła mu ochota na oglądanie tego, co miało niebawem nastąpić. I nie chodziło o to, że odstręczały go tortury. Ale ani na chwilę nie potrafił zapomnieć o halucynacjach. No i oczy albinoski, z których wyzierało coś nieopisanie złego, wprawiały go w zakłopotanie i budziły przerażenie. Nie sądził, że kiedykolwiek będzie zdolny współczuć Aresowi. Teraz, patrząc w bezduszne oczy Plage, właśnie zaczął.

Max i Eliara obserwowali w ciszy, nagle bardzo zafrapowani przesłuchaniem więźnia. Albinoska zastukała paznokciami w oparcie krzesła. Wbiła spojrzenie w pąsową twarz Matsumary.

– Więc jeszcze raz. Co będzie ciekawsze od nudnego czytania myśli? Nie zapominaj o tym, czego nauczył cię Syndykat, zdrajco. Z szacunkiem, śmieciu.

– Nie wiem, co będzie ciekawsze, pani... – Ares spuścił wzrok. W jego piwnych oczach wrzał gniew, który jednak na Plage nie robił żadnego wrażenia. Podobnie jak krew kapiąca mu z nosa.

– Od razu lepiej, gówniarzu – skwitowała i gwałtownie pochyliła się do przodu, tak że dwie tylne nogi krzesła uniosły się, a ona siedziała teraz na samym oparciu. – I jeszcze jedno. Nie zrób mi zawodu i nie wyśpiewaj wszystkiego od razu. Daj mi się trochę zabawić. Pocierp trochę.

– Będziesz bawić się wyśmienicie, pani – wycedził ognistowłosy. – Bo nie mam zamiaru niczego ci mówić.

Nie nastąpił żaden wybuch gniewu. Albinoska nie uderzyła go, nie prychnęła, choćby z kpiną. Wręcz przeciwnie, uśmiechnęła się szeroko, z zadowoleniem.

– Wspaniale. Na to liczyłam. – Jej zimny głos pobrzmiwał w tle dziwnym, okrutnym rozgorączkowaniem, niewróżącym dobrze więźniowi. – Zaczniemy od czegoś prostego.

Haru nie odrywał od niej wzroku. Stojąc za plecami Aresa, nie skomentował, kiedy wygięła zgrabnie nogę i uderzyła stopą o oparcie, wywracając krzesło i odpychając je za siebie. Milczał, gdy stanęła przed Matsumarą i pochyliła się nad nim, dobywając krótkiego sztyletu. Nie powiedział słowa, kiedy przejechała ostrym czubkiem po zaczerwieniom od uderzenia policzku Aresa, na razie delikatnie, nie nacinając skóry. Przerwał milczenie, gdy niespodziewanie zerknęła na niego.

– Muszę z tobą porozmawiać, pani. Jak najszybciej.

Jej twarz nie wyrażała zdziwienia, co z kolei zaskoczyło Haru. Plage wyglądała tak, jakby spodziewała się tej prośby. Skinęła nieznacznie głową, a potem niby od niechcienia docisnęła sztylet mocniej, przebijając skórę.

– Jak tylko skończę, koteczku.

Ares zaszamotał się na krześle i z jękiem zagryzł wargi, podczas gdy ostrze niespiesznie sunęło przez jego policzek, pozostawiając za sobą krwawiącą linię. Potem skręciło i ruszyło do góry, z ukosa przecinając wcześniej powstałą ranę. Dotarło niemal pod oko, bardzo wrażliwe miejsce, gdzie jeszcze bardziej zwolniło, w rozmyślnym okrucieństwie. Matsumara nie mógł wiedzieć, że wycinane znaki to runy. Sztylet obrysował załamane bólem oko i na tym Plage skończyła krwawy mistyczny malunek. Ognistowłosy zachłysnął się gwałtownie wciągany powietrzem. Potrząsnął głową, rozbryzgując wokół krople krwi. Poblądły, z oczami przepełnionymi trwogą i wściekłością, spojrział na białowłosą i zazgrzytał zębami. Walczył ze łzami, starał się nie krzyczeć.

Jej oczy obserwowały, oceniały, badały...

– No, dalej, zrób mi tę przyjemność i oświadczyć, że nadal nic nie powiesz.

– Nic nie powiem, biała dziro!

Plage uśmiechnęła się i niespodziewanie wcisnęła mu kolano między nogi, miażdżąc genitalia. Chłopak zawył z bólu. Złapała go lewą dłonią za włosy, ostrym szarpnięciem odchyliła głowę do tyłu,

wyginając go i naciągając jak łuk. Sztylet w prawej dłoni błysnął groźnie, a po chwili już nacinał skórę na drugim policzku. Albinoska kreśliła kolejne runy, teraz robiąc to jeszcze wolniej, z jeszcze szerszym uśmiechem.

Matsumara nie hamował już ani wrzasku, ani łez.

Eliara, szara jak papier, wstała od stołu i bez słowa skierowała się do wyjścia. Max został i nieudolnie zgrywał twardego, ale przeczyła temu drgająca grdyka, gdy raz po raz nerwowo przełykała ślinę. Haru nie cofnął się od krzesła, ale odwrócił wzrok, nie próbując udawać, że krwawe widoki sprawiają mu przyjemność. Nieobce było mu mordowanie, żył z zabijania na zlecenie. Lecz nauczono go pozbawiać życia szybko i bez znęcania się nad ofiarą. To, co działo się tutaj, tuż pod jego nosem, nie miało nic wspólnego z naukami Syndykatu.

Krzesło skrzypiało przejmująco pod miotającym się Aressem. Próbował kopać, ale nogi również miał przywiązane. Był spętany przez sznury, przez dłoń albinoski boleśnie odginającą kark i przez jej ciało, wiszące nad nim jak fatum. Kolana również nie cofała, sprawiając mu mnóstwo przenikliwego i upokarzającego bólu. Kolejne runy znaczyły twarz Matsumary, coraz więcej krwi spływało mu po brodzie i szyi, wsiąkając w koszulę.

– Przytrzymaj go. – Spokojne słowa Plage dotarły do rudzielca jakby z oddalenia, przytłumione. – Bo biedaczek zaraz wywróci krzesło.

Posłuchał, złapał za oparcie. Kilka ciepłych czerwonych kropli prysnęło na dłoń Haru. Wzdrygnął się bezwiednie. Bezgłośnie zaczerpnął tchu, próbując zachować zimną krew. Nie było to łatwe.

Albinoska cofnęła się nagle i zachichotała, rozkładając ręce. Sztylet ociekał juchą, czerwone smugi barwiły jej przedramię, ciągnęły się od palców, przez dłoń, docierając aż do łokcia. Ares zawisł w więzach, pochylając pociętą twarz. Krew zmieszana ze łzami kapała na spodnie, na drżące kolana, klatka piersiowa unosiła się w szybkich, rwanych oddechach.

– Pięknie – oceniła białowłosa, z twarzą wyjątkowo pełną emocji. – No, na co czekasz, Matsumara? Buntuj się dalej, sprzeciwiaj się, daj mi się zabawić. Szybko!

Max chrząknął cicho, niby ze znużeniem spoglądając w okno. Jego twarz była blada, spojrzenie fiołkowych oczu mąciło zakłopotanie. Haru poczuł dreszcz na karku, gdy zerknął na albinoskę. Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Nie była sobą, nie była już chłodną pięknoscią. Była oszalałą, lubującą się w okrucieństwie istotą, której nie znał, nie chciał znać. Już wcześniej czuł przed nią respekt, ale teraz zaczął się zwyczajnie bać. Okropnie bać. Jakby lata szkolenia w Syndykacie nie miały miejsca.

Ares długo nie odpowiadał. Uodporniony na ból, nie poddawał się łatwo. Łzy ciekły po zakrwawionych policzkach, ale nie wyglądało, by tortury go złamały. Podniósł obolały kark, zmrużył opuchnięte powieki.

– Brzydzę się tobą, Przywódczyni – wycedził. – Nie dowiesz się ode mnie niczego.

Zaśmiała się cierpko i zawirowała w piruecie, tnąc sztyletem z półobrotu. Ognistowłosa krzyknął, a na jego piersi, pod rozciętą koszulą, pojawiła się czerwona krecha.

Haru milczał, zaciskając dłonie na oparciu krzesła. Nie rozumiał tej bezsensownej i beznadziejnej walki Aresa. Nie pojmował, czemu nie chce mówić. Przecież doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli cudem wytrzyma tortury, Plage i tak wtargnie do jego głowy, wyciągając wszystko, każdą tajną informację. Po co więc ten opór, całe to przedstawienie z udawaniem niezłomnego? Przez chwilę miał chęć wykrzyknąć mu to wprost do ucha, ale powstrzymał się. Nie był pewien reakcji albinoski.

Białowłosa pochyliła się ponownie nad swoją ofiarą. Wsunęła dłoń w rozcięcie koszuli i szarpnęła, rozdierając materiał. Posłała Aresowi zalotny uśmiech... a potem zaczęła sunąć sztyletem po ranie, delikatnie i leniwie, co jakiś czas zatrzymując się i pogłębiając krwawą bruzdę. Ares zaciskał zęby, jęczał cicho i krzywił się, odruchowo napierając na więzy.

– Nadal nic? – spytała słodko białowłosa – Powiedz, że nic.

– Wypchaj się! Możesz mi... – Reszta jego słów przeobraziła się w nieludzki wrzask, gdy palce albinoski głęboko wpiły się w ranę.

– Jesteś wspaniałą ofiarą, Ares – szeptała, nie zważając na wibrujący krzyk chłopaka. – Jeszcze takiej nie miałam.

Haru i Max milczeli. Starali się nie patrzeć na więźnia. Rudzielec miał utrudnione zadanie, bo nawet kiedy odwracał twarz, kątem oka widział zdecydowanie za wiele. A przeraźliwy wrzask Aresa przewiercał mu uszy, nie dawał spokoju, drażnił...

Białowłosa nie wyjęła dłoni z rany – szarpnęła w dół, rozdzierając ją i odrywając spory kawał skóry. Mięśnie Aresa zapulsowały, z gardła wydobył się następny krzyk, głośniejszy, straszniejszy niż poprzednie. Ledwo przebrzmiał, Plage rozdarła ranę ponownie, a Matsumara zaskowyczał zachrypniętym, pełnym udręki głosem.

– Będę cię obdzierać ze skóry po kawałeczku – cedziła Plage, przekrzywiając głowę. – A ty nadal będziesz milczał. Nie zdradzisz mi żadnej informacji. Dawno się tak świetnie nie bawiłam.

– Jeszcze trochę... – mamrotał ognistowłosa, przewracając zamglonymi oczami. – Jeszcze chwilka...

Albinoska trzasnęła go dłonią w pocięty policzek. Krew chlapnęła na podłogę, krzyk przeszył izbę od podłogi po sufit. Ares zakołysał się mocno na krześle, ale Haru nie pozwolił, by więzień upadł. Plage oblizła wargi.

– Nie myśl, że pozwolę ci zemdleć. Nie ma tak łatwo, szczeniaku, nie ma. Wiem, na co liczysz, Ares.

– Zabij mnie... Zabij... – mamrotał.

– Właśnie o to ci chodzi, prawda? Słyszałeś już o tych kilku przypadkach, gdy mnie poniosło. Wiesz, że lubię przesadzić i że torturowani przeze mnie czasami giną zbyt szybko. Sądziłeś, że i teraz mnie poniesie. Że nie powstrzymam się i zabiję cię zbyt wcześnie. Wystarczyłoby wytrzymać te męczarnie, cały czas milcząc. Syndykat cię zahartował, uodpornił na ból. Myślałeś, że zniesiesz moje tortury, a ja, w amoku gniewu i rozczarowania, zabiję cię i nie zdołam się niczego dowiedzieć.

Matsumara zaszlochał rozpaczliwie, zdradzając, że Plage trafiła w sedno. Zachybotał się na meblu po raz kolejny, płat oderwanej skóry zwisał mu aż do brzucha i podrygiwał przy każdym oddechu.

– Wzrusza mnie twoje oddanie i lojalność wobec spisku – ciągnęła dalej białowłosa. – Jestem naprawdę poruszona. Tylko widzisz... Jeśli chodzi o moje ofiary, ginęli tylko ci, których męczyłam dla zabawy, którzy nie mogli zdradzić mi niczego ważnego. Jeżeli jednak ktoś posiadał interesujące mnie informacje, wił się z bólu bez końca, to znaczy do momentu, gdy wszystko piękniutko wystękał. Max, podaj mi Elixir Agonii.

– O, nie – odezwał się brunet słabym głosem, wstając od stołu. – Mnie w to nie mieszaj, ja wychodzę. Niedobrze mi się robi.

Albinoska nieszczęśliwie się przejęła. Niemniej odprowadziła Maxa przeciągłym spojrzeniem, sprawiając, że zbladł jeszcze bardziej. A kiedy drzwi wyjściowe zamknęły się za nim, zerknęła znacząco na Haru.

– Który to? – Skrytobójca niepewnie zerknął na fiolki rozstawione na ciemnym regale. Miał wrażenie, jakby coś nim sterowało, coś obcego, nieznanego i bardzo złego.

– Czarna ciecz. Strasznie śmierdzi.

Odsunął się od krzesła, przelotnie zerknął na własne dłonie umazane krwią. Nie czuł wyrzutów sumienia ani obrzydzenia. Nie czuł nic, zupełnie nic. Był pusty jak gliniane naczynie. Przeszedł przez zwisające z sufitu dzwoneczki, nie potrącając ani jednego. Zabrał z półki wskazany eliksir i wrócił na miejsce. Utkwił spojrzenie w obliczu Plage – jej piękną twarz kaził grymas maniakałnego, pozbawionego logiki okrucieństwa, ale oczy patrzyły z lodowatą premedytacją na cierpienie ofiary. Coś nim szarpnęło,

ścisnęło skronie, wprawiło ręce w drżenie.

– Pani... Po co to...? Wystarczy już... Dostał za swoje. Nie możesz po prostu przeczytać jego myśli?

Spojrzała na niego z odrazą, z mroźną wzdargą.

– Taki jesteś troskliwy? Chcesz zająć jego miejsce?

Nie odpowiedział. Podał jej fiolkę, którą odebrała bez słowa. Ognistowłosa obserwował ich, pojękując i szlochając. Zaszamotał się jeszcze słabo, zawył bełkotliwie.

– Powiem! Wszystko powiem!

– Och, nie, nie, nie powiesz. – Białowłosa pomachała flakonikiem. – Nie doszliśmy jeszcze do końca zabawy. Szkoda byłoby zatrzymywać się w połowie.

Ares jęknął coś nieskładnie. Plage przysunęła się energicznie, wpatrując w jego załzawione oczy. Emanowała złem i brutalnością.

– Zatkaj mu nos i przytrzymaj.

Haru nie sprzeciwił się rozkazowi. Czuł się coraz bardziej pusty. Przekraczał granicę, do której nie powinien się nawet zbliżać. Czuł, że narusza w sobie coś, czego nie powinien tykać, a co Plage właśnie rozrywała na strzępy, zostawiając tylko bezwzględność, brak skrupułów i zamiłowanie do zadawania cierpienia innym.

Odchylił Matsumarze głowę; dwoma palcami zatkał mu nos, drugą ręką sprawnie unieruchomił kark. Wtedy albinoska odkorkowała fiolkę, chwyciła więźnia za policzki, ściskając mocno, aż rozchylił wargi i zęby, i siłą wlała mu płyn do gardła. Na koniec przytrzymała mu żuchwę od dołu i zasłoniła usta, żeby nie wypluł specyfiku. Wypił wszystko, do ostatniej kropelki. Białowłosa cofnęła się. Haru puścił Aresa i w oczekiwaniu na efekt zacisnął pięści.

Nic się nie stało.

Ognistowłosa opuścił bezwładnie głowę, w osłupieniu wgapiając się w ranę, w widoczne mięśnie klatki piersiowej. Zachichotał głupkowato, robiąc się nagle pod tężącą maską krwi przeraźliwie blade. Nadal nic się nie działo, a po chwili w pomieszczeniu zaległa kompletna cisza.

Haru zerknął pytająco na Plage, zastanawiając się, czy wszystko poszło tak, jak należy. Odrzucił jednak myśl o pomyłce albinoski, kiedy dostrzegł na jej spokojnej twarzy uśmiech zadowolenia. Przełknął ślinę, nie wiedząc, czego i kiedy się spodziewać.

Naraz Aresem coś zatrzęsło, aż całe krzesło zadygotało. Jego opuchnięte powieki uniosły się i spojrzały na albinoskę błagalnie.

– Powiem ci wszystko... Pro...

– Agonia.

Na to słowo, rzucone swobodnym, lekkim tonem, runy wycięte na twarzy więźnia zaskwierczały, rozświeciły się czerwonym blaskiem, wreszcie zasyczały głośno, kopiąc śmierdzącym czarnym dymem. Matsumara zaczął wrzeszczeć i szamotać się histerycznie, nie zważając na wpijające się w ciało sznury. W końcu wywrócił się wraz z krzesłem. Haru nie zdołał go utrzymać, a kiedy się pochylił, zamarł, rezygnując z próby podniesienia chłopaka. Krzesło trzeszczało i stukało nierytmicznie o podłogę, gdy ognistowłosa rzucał się jak ryba wyjęta z wody, krzycząc, a raczej skowycząc, kwicząc jak zarzynane zwierzę. Wrzask udręki przepełniał całe pomieszczenie, wylewał się z niego i płynął dalej, kalecząc uszy, wywracając duszę na nice...

– Ulga.

Haru ledwo usłyszał wypowiedziane przez Plage słowo. Ale zadziało od razu. Ares zakrztusił się i zwiotczał. Wciąż jednak drżał, stukając zębami i szlochając zduszonym, schrypniętym głosem. Z ust wypływały mu krew i spieniona ślina.

– Genialny eliksir, prawda? – Albinoska postawiła stopę na odsłoniętych żebrach ofiary i spojrzała

prosto w oczy Haru. Rudzielec uciekł wzrokiem, przemknął spojrzeniem po ledwo żywym Aresie i poczuł, że robi mu się niedobrze.

– Nie podoba ci się? – ciągnęła Plage przesadnie zawiedzionym tonem. – Szkoda, Haru, szkoda. – Cofnęła stopę z ciała więźnia. – Nie wiesz, co dobre. Agonia.

Ares krzyknął, ciszej niż poprzednio, bo jego zdarte gardło nie było już zdolne do głośnych protestów. Rzucił się na podłozie, raz, drugi, trzeci, potem zaczął miotać się jak opętany, wyginając nienaturalnie, jęcząc żałośnie i napinając ciało do granic możliwości. Więzy coraz mocniej wrzynały się w spętane nadgarstki i kostki, żyły nabrzmiwały pod naciągniętą skórą, z rozwartego do krzyku ust płynęła spieniona krew.

Haru nie patrzył na mękę ognistowłosego. Ograniczył się do słuchania, co nie znaczy, że chciał słyszeć te wszystkie odgłosy, które wyrwał z niego ból – żabi skrzek, kwik zarzynanej świni, miauczenie obdzieranego ze skóry kota, dychawiczne kasłanie, stęki, dławienie się – ale nie miał wyboru.

– Ulga.

Kakofonia dźwięków ucichła. Pozostały po niej głośnie rżenie i świszczący oddech. Rudzielec zerknął na Aresa kątem oka i mimowolnie wstrzymał oddech; leżał tam, w kałuży krwi, z otepiałą twarzą, zaśliniony, zakrwawiony, unurzany we własnych odchodach, z powykręcanyimi stawami, bo tak usilnie próbował zerwać pętające go więzy. Rudowłosa zaczerpnął tchu, co jednak nie przyniosło mu ukojenia – powietrze przesiąknięte było zapachem krwi i odorem nadchodzącej śmierci. Czyżby Plage przesadziła?

– No dobrze. – Białowłosa westchnęła ciężko. – Trzeba kończyć zabawę, już ledwo dychasz. Nie sądzę, żebyś był zdolny cokolwiek powiedzieć, a przynajmniej wystarczająco wyraźnie. Przeczytam ci myśli.

Ares zajęczał cicho i żałośnie. Haru skrzywił się kwaśno. *Ironia* – pomyślał. – *Kurewska ironia losu.*

\*\*\*

Znajdowali się na tyłach budowli, w małym ogródku zarośniętym krzaczkami ziół. Słońce wisiało wysoko na niebie, co jakiś czas przysłaniane płynącymi powoli rzadkimi chmurami. Mała fontanna pośrodku ogródka była stara i popękana, porośnięta kępkami mchu. Tryskająca w górę woda perliła się w słońcu, śląc krystaliczne kropelki na liście pobliskich roślin. Czasami fontanna zaciągała się, plując wodą bardzo skąpo lub wcale.

Ogródek otaczał niewysoki drewniany płot, niedawno zapewne odnawiany, bowiem gładkie belki lśniły, obiecując, że nie ukłują żadną zadną. Dwa wysokie drzewa – jabłoń i drugie, nieznanego mu gatunku, o poskręcany pniu – zapraszały w objęcia rzucanego przez siebie cienia. Stając przy prawej krawędzi kwadratowego ogrodzenia, można było spoglądać na płaskie dachy budowli znajdujących się poniżej, na tarasach schodzących stopniowo ku dołowi doliny.

Haru przysiadł na płotku, wyciągnął nogi przed siebie i wsparł dłonie na belkach. Zapatrzył się na białowłosą, obmywającą ręce w fontannie. Obserwował jej chłód, obojętność i pierwszy raz pomyślał, że to maska kryjąca zło. Objawiło się w pełni, gdy torturowała Aresa. Ale czy demon szkolący się na bezwzględności Skrytobójcę powinien się tym przejmować? Według nauk i reguł panujących w Syndykacie – bynajmniej. Stosując kryterium własnych uczuć, które zalecano tłumić czy wręcz wypierać, zaczął się przejmować.

Nie wiedział, co Plage zamierzała zrobić z Aresem, teraz nieprzytomnym, i chyba nie chciał tego wiedzieć. To, czego doświadczył, uczestnicząc w torturach Matsumary, przytłoczyło go. A zdążył przywyknąć do myśli, iż nic już nie jest w stanie zrobić na nim wrażenia, zaś pobyt w Syndykacie i Selekcja to najgorsze, co mogło go spotkać.

– Czego się dowiedziałas, pani? – przerwał w końcu milczenie.



Albinoska wzruszyła ramionami. Odgarnęła włosy z czoła moką dłonią.

– Wszystkiego, co potrzeba. Wiem, gdzie się kryją. Wiem, że spiskowców jest piętnastu, nie licząc już oczywiście Raphaeli i Aresa.

– Piętnastu?

– Też jestem zdziwiona – potaknęła, choć wyraz jej twarzy na to nie wskazywał.

– To niedużo...

– Owszem. Sądziłam, że będzie tego robactwa o wiele więcej. Na szczęście odkryłam ów żaloszny spiszek bardzo wcześnie, nie zdążył się jeszcze porządnie rozwinąć. Gdybym się spóźniła, wyrosłoby mi przeciwników jak grzybów po deszczu i miałabym większy problem. Póki jest ich mało, można zdrajców po prostu po cichu powybić, nim sprawa się rozniesie. A z tak nikłą liczbą poradzę sobie sama.

– Sama, pani? Ja mógłbym...

– Nie, nie mógłbyś – ucięła krótko. – Twoja praca dla mnie właśnie się skończyła. Jutro wracasz do celi i kontynuujesz etap Selekcji. Nie spieprz tego i postaraj się przeżyć.

*Przeżyję. Żeby móc cię znowu zobaczyć* – pomyślał.

Albinoska wpatrywała się w niego przeciągle. Zastanawiał się, czy nie odczytała tej myśli, ale po chwili uznał, że to niemożliwe – poczułby, gdyby wdarła mu się do głowy i otworzyła jego pudełko.

– Chciałbym więc tylko... – zaczął niepewnie, drapiąc się po karku i mocniej wyciągając nogi. –

Działo się dzisiaj coś bardzo dziwnego... Ze mną...

– Tak podejrzewałam. – Plage wsunęła dłoń do kieszeni płaszcza i wyciągnęła z niej grzebyk z zaostrzonym jak szpikulec trzonkiem. Przysiadłszy na murku fontanny, zaczęła czesać kaskady lśniących włosów. – Dzisiaj jest dość wyjątkowy dzień. Zastanawiałam się, czy wpłynie na ciebie, skoro jesteś moim Jasnowidzem Paradoksu. Kiedy tylko powiedziałeś, że musimy porozmawiać, zgadłam, że coś się wydarzyło.

– Wyjątkowy dzień? – Rudzielec uniósł brwi, spoglądając na Przywódczynię z zaciekawieniem.

– Jak wiesz – albinoska rozejrzała się i ściszyła nieco głos – Nimfy nie rodzą się. Zostałyśmy stworzone. Nie obchodzą nam urodzin. Mamy odpowiednik tego święta, które nazwane zostało Odrodzeniem. Tak jak urodziny są obchodzone co rok, tak i my co rok się odradzamy. Oczywiście rok w Zaświecie, w miejscu, w którym powinnam żyć, tutaj, w Przedświecie, oznacza około szesnastu lat.

– Szesnastu – powtórzył Haru szeptem. – Więc to dziś jest twoje... Odrodzenie?

– Tak. Nie martw się, nie musisz składać mi życzeń. Nieszczerólnie za tym przepadam, tym bardziej że mam już za sobą kilka tych Odrodzeń. Kilkanaście... Kilkaset... Nieważne. – Ostatni raz przeczesała włosy grzebieniem i odłożyła go na murek fontanny. – Czasami w dzień Odrodzenia dzieją się dziwne rzeczy. Niekoniecznie z samymi Nimfami. Tym razem padło na ciebie. Co się działo?

Rudzielec przełknął ślinę i wbił spojrzenie w swoje stopy. Nie wiedział, od czego zacząć i czy powiedzieć jej wszystko. Mogłaby nie uwierzyć w to, co widział i czuł podczas dziwacznych wizji, pewnie nawet nie chciałaby słuchać takich bredni. Z drugiej strony jej wyczekujący wzrok świdrował go na wylot, zmuszał do mówienia.

– Czy to możliwe, żeby coś się we mnie... przestawiło? – spytał cicho. – Jestem Jasnowidzem Paradoksu, nie powinienem widzieć przyszłości. A miałem wizje... zagmatwane wizje, sprawiające wrażenie właśnie przyszłości. Czy coś takiego jest możliwe, pani?

– Oczywiście, że jest. Mało co nie jest w dzień Odrodzenia. Ale skąd pewność, że widziałeś przyszłość?

– Nie umiem tego wyjaśnić, pani. Po prostu czułem, że minęło wiele czasu, że ja mam więcej lat, a coś przeminęło i zostało za mną.

– Rozumiem. – Nie zaprzeczyła, lecz też nie potwierdziła podejrzania, iż zajrzał w przyszłość. Nadal

bezustannie wlepiła w niego spojrzenie zimnych oczu. – Co więc widziałeś?

– Nic miłego – skłamał, zapominając, że przy niej kłamać nie należy. Chociaż, poza beztruskimi zabawami wśród płatków sakury, w wizjach faktycznie nie spotkało go nic przyjemnego. – W pierwszej z tych halucynacji zabiłaś mnie, pani. W drugiej widziałem coś gorszego.

Plage uniosła brwi, przez jej porcelanową twarz przebiegł cień niesprecyzowanych emocji. Trwało to jednak bardzo krótką chwilę, potem jej oblicze okrył lód obojętności.

– Nie zamierzam pozbawiać cię życia. Przynajmniej na razie.

– Może to miało... metaforyczne znaczenie – wybąkał rudzielec, nagle zmieszany własną otwartością.

Albinoska uśmiechnęła się samymi kącikami warg.

– Chciałbyś w to wierzyć, co? A druga halucynacja? Co przedstawiała?

Haru nerwowo przełknął ślinę i mocniej zacisnął dłonie na drewnianej belce, gdy okropne obrazy przemknęły mu przed oczami. Nie był pewien, czy dobrze robi, opowiadając Plage o swoich przeżyciach. Ale co mogło się stać? Poza tym była jego jedyną... No, kim? Przyjaciółką? Ha! Zabiłaby go bez skrępowań w razie potrzeby. Dziwna definicja przyjaźni. Chora.

– Widziałem, jak umierałaś, pani – powiedział to krótko, ze ściśniętym gardłem, nie wchodząc w zbędne szczegóły. – Twoje Zwierciadło Duszy stało obok i obserwowało. A potem... zaczęło zjadać twoje ciało.

Białowłosa spoważniała, rysy jej twarzy stwardniały, zdawała się jakaś czujniejsza, bardziej napięta. Haru nie był pewien, czy to nie złudzenie, ale zauważył, że jej dłonie drgnęły. Gdyby była zwykłym demonem, przeciętną kobietą, nie zdziwiłby się. Ale ona nie była zwyczajna i rzadko kiedy okazywała emocje w ten sposób.

– Rozumiesz coś z tego, pani?

– Nie wiem, czy twoje wizje to faktycznie przepowiednie, ale tę drugą mogę ci od razu przetłumaczyć. Moim domem jest, a przynajmniej powinien być Zaświat. Stanowi to dla mnie pewne ograniczenie. Moje ciało, przebywając w zwykłym świecie, słabnie, powoli traci niektóre z właściwości, których używa do trzymania aury w ryzach. Zwierciadło Duszy to symbol energii, która pochłonie mnie, jeśli pozwolę sobie na zbyt długie przebywanie w Przedświecie. A tkwię tutaj już naprawdę długo. Zapewne zbliża się ten moment, w którym zmuszona będę wrócić do Zaświatu. Inaczej zginę, pożarta przez potęgę własnej energii, której nie zniesie moje słabnące ciało.

Cisza, jaka zapadła, mroziła powietrze. Haru nie poruszał się, sparaliżowany i przejęty. Lęk ścisnął mu żołądek, niewidzialne szpony wbiły się w serce. Przełknął głośno ślinę i zmarszczył czoło, próbując zrozumieć...

– Jak to wrócić do Zaświatu, pani? Przecież Derek... i twoje siostry... Zabrali ci moc, nie będziesz mogła się bronić. Poza tym... – Urwał, w porę gryząc się w język. *Nie możesz mnie tak zostawić.* Chciał, lecz nie mógł jej tego powiedzieć. Wyśmiałyby go, wykpiła bez litości. Nie czuła tego co on. To było pewne.

– A co do pierwszej wizji – odezwała się Plage, zupełnie ignorując jego wypowiedź. – Spełnijmy ją teraz.

Nim się zorientował, siedziała mu na kolanach okrakiem, podsuwając zimny metal sztyletu pod gardło. Uśmiechnęła się do niego i nie umiał stwierdzić, czy to uśmiech figlarny, czy drwiący. Serce zadudniło mu gwałtownie i znowu nie wiedział, czy bardziej z przerażenia, czy z podniecenia. Ostrze przesunęło się powoli po skórze, łaskotało delikatnie i podnosiło poziom adrenaliny we krwi. W uszach zaczynało szumieć i dudnieć.

– Nie można pozwolić... – szeptała mu do ucha – żeby taka ładna wizja się zmarnowała.

Nie miał pojęcia, jak się zachować, jak reagować. Jak zwykle wyśmienicie się bawiła. Nie umiał jej

odepchnąć. Zresztą nie byłoby to żadnym rozwiązaniem. Jeśli faktycznie chciała go zabić, zrobi to, nie zważając na protesty ani prośby. Serce biło mu coraz szybciej, w uszach tętniło, podniecenie buzowało we krwi. Albinoska powoli przysunęła się bliżej, kosmyki białych włosów muskały jego szyję. Była na odległość oddechu, patrzyła mu prosto w oczy, magnetycznie i oszałamiająco. Nie potrafił oderwać od niej wzroku, nie umiał nie marzyć, nie tęsknić... choć czuł się z tym pragnieniem jak kompletny głupiec. Nie wiedział, czy jego twarz jest blada, czy czerwona. Nie czuł zimna ani gorąca. Większość bodźców, które normalnie powinien odbierać, zniknęła za grubą kotarą jednego i obcego mu jak dotąd uczucia – pożądania. Wiedziony pragnieniem nie do odparcia położył dłonie na jej talii. Nie powinien, był dla niej dzieciakiem, gówniarzem... Ale gdyby go za takiego uważała, nie rozchyliłaby delikatnie ust, nie pochyliłaby się w jego stronę, nie musnęłaby jego warg swoimi... Jakby go przeszył piorun! Chociaż muśnięcie było niezwykle miękkie, ledwo wyczuwalne... I tak odurzające, iż natychmiast zmieniło się w żarliwy, namiętny pocałunek, taki który porywa myśli w kosmos i usypia czujność...

*Duży błąd, koteczku.* – Cierpki, rozbawiony głos rozbrzmiał wewnątrz jego czaszki. – *Bardzo duży.*

Klinga, zimna i ostra, przesunęła się szybko, przechodząc przez krtań jak przez masło. Krew buchnęła i rudzielec nie czuł już pocałunku swojej pani. Nie czuł już niczego.

*Koteczku?*

*Haru!*

*Kretynie!*

Zamrugnął, łapiąc się odruchowo za szyję. Plage stała przed nim, pochylona lekko, machając mu dłonią przed oczami. Kiedy spojrział na nią roztargnionym, zagubionym wzrokiem, zastygła w pół gestu i uniosła brwi.

– Wizja?

Haru pobladł, potem oblał się rumieńcem. Z trudem przełknął ślinę, opuścił powoli dłonie, nie wiedząc, co z nimi począć.

– Tak... chyba... To znaczy... O czym mówiłaś?

– O tym, że Derek i jego harem mogą mi naskoczyć.

## Rozdział VI

*Znów czuł, że ma więcej lat, a jego ciało nurza się w przyjemności...*

*Leżała na jego gołym torsie – naga, parująca niedawną rozkoszą. Chudziutka i leciutka, unosiła się wraz z jego oddechem. Gładził ją po włosach, upajał się jej słodko-miętowym zapachem. Czerwona satyna zsunęła się z białych ramion, gdy Plage uniosła się i oparła dłonie o łóżko, po obu stronach głowy rudzielca. Białe pasma włosów, splątane niesforne, otuliły jej śliczną twarz, opadając na szyję i pierś Haru. Oczy miała przymglone, rozmarzone...*

*Wpatrując się w nią, wygiął wargi w łobuzerskim uśmiechu i zamknął dłonie wokół wąskiej talii, przyciągając ją do siebie mocniej. Zachichotała zmysłowo. I z zadowoleniem. Tego właśnie chciała, jego uwagi, co osiągnęła bez trudu. Zgodnie z podstępny uwodzicielskim planem. Nie przeszkadzało mu to. Uwielbiał ją również za ów mocny, dominujący rys charakteru.*

*Choć w łóżu nie zawsze była górą, nie zawsze pozwalał jej dominować. A ona nie protestowała, poddawała się, nagle dziwnie krucha, bezbronna, uległa... Tylko jej uśmiech pozostawał lisi i pełen zwycięstwa.*

*Uwiodła go, znowu...*

*Uwodziła go za każdym razem, wystarczyło, że przeszła obok, otarła się o niego, spojrzała. I wiedziała o tym doskonale. Była świadoma tego, jak na niego działa.*

*Przesunął dłonie niżej, wzdłuż pleców, pośladków, szczupłych ud. Zamruczała w odpowiedzi i położyła mu głowę na ramieniu. Jej włosy łaskotały go w policzki.*

*– Kotku... – szepnęła aksamitnym altem – zrobmy to jeszcze raz.*

*Unióś lekko brwi, ale usta rozciągnęły się już w szerokim uśmiechu aprobaty. Delikatnie, choć stanowczo obrócił się, kładąc ją na plecy. Satynowa pościel zaszeleściła oburzona zbyt gwałtownym poruszeniem. Splótł jej palce ze swoimi i przytrzymał. Uwięził w słodkiej niewoli. Albinoska odchyliła głowę, prężąc łabędzią szyję i unosząc białe piersi. Wiedział, że robiła to celowo, kusiła go. Choć wcale nie musiała się starać. Wystarczyło, że tu była. Omiótł ją zachłannym, choć czułym spojrzeniem. Mocniej zacisnęła ich splecione palce, niecierpliwie zakołysała biodrami. Nie mógł pozwolić jej czekać.*

*– Jak sobie życzysz, Królowo.*

*Nim zdążyła odpowiedzieć, zamknął jej usta głębokim pocałunkiem.*

\*\*\*

– Budzi się! Plage!

– Widzę, nie drzyj się, Eliara. Czego tu szukasz, Max?

– Wczorajszego dnia.

– A nie szczęścia? Bo będzie ci za chwilę potrzebne.

– Jakaś ty groźna!

– Bardzo groźna.

Łoskot ciała uderzającego o ścianę, głuchy jęk i łomot upadku na podłogę. Zdecydowane kroki, świst uderzenia i kolejny jęk, głośniejszy, błagalny.

– Przepraszam! Przepraszam, no! Nie po twarzy! Bezdusznym żmija! Ję... – Wyzwiska przeszły w bełkot. Krzyki bólu, prośby o łaskę, ciężkie westchnienie i piskliwy głos mówiący:

– Przestańcie, proszę.

Zimny okład spoczął na jego czole, przynosząc ulgę, chłodząc nieznośne gorąco. Powoli, ociężałe otworzył sklezione powieki. Zerknął niemrawo w stronę, skąd dochodziły dźwięki. Zmarszczył brwi. Nie pamiętał, jak się znalazł z powrotem w sypialnianej izbie i co się właściwie stało.

Pod sobą czuł wygodną matę. Obok kuciała Eliara, wpatrując się w niego uważnie i z niepokojem. Przy jej kolanach leżało kilka szmatek i stała miseczka wypełniona przezroczystą, lśniąca ciecżą. Za czerwonołosą medyczką stała Plage, stopą w ciężkim bucie dociskając głowę Maxa do podłogi.

Haru spróbował poruszyć dłońmi, ale były niesłychanie ciężkie, a mięśnie sflaczały, niezdolne do wysiłku. Spocił się jak mysz, przed oczami latały mu plamy, białe iskry bólu wybuchały pod czaszką. Obrazy ze Snu, a może z wizji, wkradały się do wspomnień i przyprawiały o przyjemne, zakazane dreszcze.

– O kurczę, ale ma wypieki! – Eliara zapiszczała, wyraźnie zmartwiona. – Haru, widzisz mnie?

Nie odpowiedział, nie pokiwał nawet głową. Odwrócił wzrok i wbił spojrzenie w białowłosą. Nie zapanował nad szerokim, czułym uśmiechem, który wykwitł na jego ustach.

– Och, chyba się rozmarzył. – Eliara zachichotała, ale zaraz posmutniała. – Gorączka robi swoje. Ale nie mam pojęcia, skąd się wzięła. To dziwne...

– Nie dramatyzuj. – Plage cofnęła się wreszcie od rozciągniętego na podłodze Złodzieja i obróciła przodem do Haru. – Samo przejdzie.

– Jak to samo, Plage? Trzeba coś zrobić, pomóc mu...

Rudzielec ledwo słyszał toczącą się rozmowę, ledwo rozróżniał sylwetki obecnych. Bardziej więc wyczuł, niż zobaczył, że Przywódczyni wreszcie idzie w jego stronę i kuca obok. Tylko jej twarz widział wyraźnie. Czerwone oczy patrzyły na niego z góry. Usłyszał, jak albinoska odsuwa miskę i opatrunki, jak nakazuje Eliarze odejść.

– Sam musi sobie pomóc.

\*\*\*

*Czerń. Nieskończona pustka. Bezbrzeżna przestrzeń pozbawiona krawędzi.*

*Śmierć. Kostucha. Siedziała naprzeciw niego przy drewnianym stoliku. Układała wróżbę z kart ilustrowanych odrażającymi obrazkami. Rysunki przedstawiały najróżniejsze sceny zgonów. Poczynając od brutalnych, do których zaliczało się zasztyletowanie lub ścięcie głowy, a kończąc na śmierci naturalnej, ze starości, w wyniku wypadku bądź choroby. Haru zobaczyć mógł tylko niektóre z ilustracji – te, które Kostucha wykladała przed nim. Reszta kryła się w wysokim kopcu kart, przypominającym wąską, niebotyczną wieżę, utrzymującą się w pionie bez jednego wahnięcia.*

*Dłonie Śmierci miały nieładny zielonkawy kolor. Niezdrowy. Gdzieniegdzie skóra była popękana albo podziurawiona, ukazując wnętrza pozbawione mięśni, nerwów, naczyń krwionośnych, wypełnione tylko próchniejącymi kośćmi. Paznokcie, którymi przesuwała po kartach, były żółte i długie, zakrzywione i ostre niczym szpony drapieżnego ptaka. A mimo to nie rwały kart na strzępy, choć w ruchach Kostuchy trudno się było doszukać delikatności.*

*Śmierć była kobietą. A przynajmniej ukazała mu się w ciele kobiety. Nosła na sobie poszarpany całun z głębokim kapturem, który opadał jej aż na nos. Spod spłowiałego materiału wystawały skołtunione czekoladowe loki. Usta miała wyschnięte i spękane, pokryte strupami. Od kącików warg ku uszom biegły długie zwężające się szramy, które sprawiały wrażenie wyciętego na twarzy szyderczego uśmiechu.*

– Czy pamiętasz swoją pierwszą ofiarę? – Blizny poruszyły się, głos był metaliczny, jednostajny, bez wznoszącej się pytającej nuty.

*Niemniej pytanie zostało zadane i rudzielec chciał udzielić odpowiedzi, ale odkrył nagle, iż ma*

zaszyte usta. Nie czuł bólu ani przerażenia. Tylko gniew, że nie może odpowiedzieć na pytanie Kostuchy. Ta uśmiechnęła się delikatnie, a szramy na policzkach wygięły się szkaradnie. Na jej kolana wskoczył wychudły kocur, który pojawił się znikąd. Jego pierwsza ofiara, zamordowana dla kawałka mięsa. Skrytobójca poczuł nagłą potrzebę wyjaśnienia tego, ale zaszyte usta skutecznie mu to uniemożliwiały.

– To nic wielkiego. – Głos Kostuchy brzmiał lekceważeniem. – Każdy zrobiłby to samo, wiele zwierząt i ludzi zabija dla pożywienia. To zgodne z prawami natury, z ładem panującym na świecie. A jednak z jakiegoś powodu cię to dręczy.

Nie! – chciał krzyknąć. Nie dręczy. Czemu miałyby dręczyć? To normalne, zgodne z prawami natury. Co z tego, że od owego banalnego zabójstwa wszystko się zaczęło? Co z tego, że tym banalnym zabójstwem postawił na sobie pieczęć? Stygmat przynależności do Syndykatu, do komanda zabójców, morderców żyjących ze śmierci innych.

– Nie służysz Syndykatowi – odezwała się Kostucha półgłosem. – Służysz mnie. Pamiętasz swoje drugie morderstwo? – Przysunęła mu jedną z kart, a potem cofnęła dłoń, skrzypiąc paznokciami o blat stołu. Ilustracja na karcie przedstawiała staruszkę, której ciało przebite zostało nogą stołka i rogiem grubej książki. Obrazek namalowano w groteskowym, karykaturalnym stylu.

– To kolejna do mojej kolekcji. Kolejna dzięki tobie. Bardzo ciekawa. – Kostucha pogłaskała anorektycznego kota po grzbiecie; zwierzę nie poruszało się, obserwując rudzielca nienawistnym spojrzeniem błyszczących żółtych ślepi.

– To zabójstwo, wynik twojej furii, wywarło na tobie mniejsze wrażenie niż to, do którego sprowokował cię przemożny głód. Czemu?

Nie mógł odpowiedzieć. Ale wiedział czemu. Syndykat. Pozbawił go skrupułów, wpoił zabijanie jako coś naturalnego, nieobciążającego sumienia w najmniejszym stopniu. Zabójstwo. Była staruszka, nie ma staruszki. To wszystko. Zamordowanie jej nie wstrząsnęło nim tak jak zabicie kota, bo Syndykat nauczył go obojętności względem śmierci. Kiedy zabijał kocura, swoją pierwszą ofiarę, żyły w nim jeszcze współczucie i sumienie.

– Bardzo słusznie – Kostucha potwierdziła i położyła kościstą dłoń na stole. Pod jej palcami wyrósł drugi kopczyk kart, niewielki w porównaniu z wieżą po lewej stronie. Wzięła go w dłonie i poczęła tasować.

– To talia twoich zabójstw. Na każdej karcie inne. Są tu ci, których zabiłeś w więzieniu, by samemu przeżyć i ci, na których dostałeś zlecenie. Jest tu także Ares, do którego śmierci się przyczyniłeś. Podsumujmy wszystko, od samego początku, poczynając od kota, który wbija pazury w moje nieczujące kolana. – Tasowała karty z niesamowitą szybkością i uśmiechała się bliznami. – Zabiłeś, by nie umrzeć z głodu. Zabijałeś, by przeżyć. Zabijałeś, bo tego nauczył cię Syndykat. Bo gdybyś nie zabijał, oni zabiliby ciebie. Czy w związku z tym mogę cię usprawiedliwić? Czy mogę cię ulaskawić? Czy może lepiej byłoby, gdybyś sam stał się jedną z kart? Rysunkiem na niej. Ciekawi mnie, w jaki sposób zostałbyś namalowany. Przebity sztyletem, a może usychający z nieodwzajemnionej miłości? Mam już setki takich kart. Tysiące, miliony niespełnionych kochanków, więdnących niczym kwiaty bez wody. Nie byłbyś szczególnie wyjątkowy, tak samo konający z żalu, duszący się goryczą niespełnienia.

Rudzielec zacisnął dłonie na krawędziach krzesła. Szarpnął się i warknął bezgłośnie, wypuszczając powietrze przez nos. Ignorując fukanie kota, wpatrywał się gniewnie w Kostuchę, w jej dłonie błyskawicznie segregujące karty, bawiące się nimi, bawiące się zakłętymi w nich duszami. Potem poderwał ramiona i huknął pięściami w stół. Smukła wysoka wieża kart nawet nie drgnęła.

– Służysz mi wspaniale – kontynuowała niewzruszona Kostucha. – Jak każdy morderca. Dostarczasz mi wielu kart i nadal będziesz ich dostarczał. Nie pozwalasz mi się nudzić. Mogę przyglądać się

nowym obrazkom, przebierać w nich i wybierać najciekawsze. Tak, jesteś moim dobrym sługą. Czy w związku z tym powinnam się zlitować? Powinnam cię ułaskawić? Czy moja kosa powinna ominąć kogoś, kto służy mi z takim oddaniem? A może powinnam być sprawiedliwa, równie obojętna dla wszystkich, podnosząca kosę na każdego, kogo czas po prostu nadszedł? Przecież tak głoszą wasze ludowe wierzenia, wszelkie baśnie i przypowieści. Śmierć jest jednaka dla wszystkich, nie zważa, kim jesteś i co posiadasz, nie obchodzi jej twoje czyny. Kiedy gaśnie twoja świeczka, ona bierze kosę i ścina cię z tego świata, tak jak ścina się żyto z pola. Zabawne, oceniają Śmierć, wcale jej nie znając. Jak ty byś mnie ocenił, Haru?

Kocur na kolanach Kostuchy nastroszył się, wygiął grzbiet i zasyczał, szczerząc szpilkowate kły. Haru wyprostował się, odsunął krzesło i spojrział na Śmierć z góry. Nie bał się jej, nie czuł przed nią respektu. Nie wiedział, czy to odwaga, czy głupota. Nie czuł niczego, co powinien czuć w takiej chwili. Nie mógł odpowiedzieć, ale spojrzenie jego czekoladowych oczu mówiło za niego.

– Gardzisz mną, Skrytobójco, tak, wiem. – Kostucha nie przestawała tasować kart w monotonicznym drażniącym sposobie. – Syndykat uczy i tego. Lekceważenia śmierci. Wyzbycia się strachu przede mną. Nie gniewam się. Bowiem nie zmienia to faktu, że cały Syndykat nadal mi służy. Z Przywódczynią na czele.

Rudzielec drgnął. Instynktownie zerknął na niebotycznie wysoki kopiec kart. Potem na Śmierć. Uśmiechała się – ustami i bliznami – życzliwie i ujmująco, nie było w jej uśmiechu ani chłodu, ani nienawiści. Nie było w nim niczego, co od zawsze przypisywano Śmierci. Tylko szramy nadawały jej twarzy okrutny grymas. To blizny tworzyły ów sztuczny szyderczy uśmiech. Może wycięty na jej obliczu przez odwieczne wierzenia i zabobony...

– Zgadłeś, Skrytobójco. A ten niesłychanie wysoki kopiec, te wszystkie karty należą do Plage, do Shirane no Chou. Dostarczyła mi ich wszystkich, dokonała licznych zabójstw. Żadne z nich nie było powodowane głodem, rzadko które obroną konieczną. Większość ofiar zabiła z premedytacją, inne dla kaprysu. Jest wyrachowaną, a zarazem szaloną zabójczynią i służy mi lepiej od ciebie. Czy w związku z tym powinnam ją ułaskawić? Czy moja kosa powinna ją ominąć?

Haru impulsywnie przesunął stopami po czarnej przestrzeni. Runął na Kostuchę, złapał ją za wątłe ciało, za spłowiały całun. Uniósł w górę z łatwością, niczym pusty worek. Kocur, który zeskoczył z kolan Śmierci nie wiadomo kiedy, stał na stole, zjeżony i wściekły, szczerząc kły w przeciągłym syku. Kaptur zsunął się z głowy Kostuchy, opadł na plecy i ukazała się twarz... Puste oczodoły, wypełnione tylko czernią, czubek głowy, pozbawiony włosów i skóry, lśnił bielą kości.

Rudzielec nie przeraził się, nie wzdrygnął. Mocniej zacisnął dłonie i szarpnął za poły powłóczystej szaty. Kostucha westchnęła ze smutkiem, spojrzała na niego czarnymi oczodołami.

– Jej kopiec robi się powoli zbyt wysoki. Niedługo runie.

Rudowłosy chciał wrzasnąć, warknąć na nią wściekle. Zaszyte usta zapiekły go, zaczęły uwierać, boleć. W gardle wibrował stłumiony charkot. Szarpnął Śmiercią raz jeszcze, silniej, zapalczywie, ze złością...

...i rozpadła mu się nagle w dłoniach, rozsypała w czarnej przestrzeni w stos białych kości. W dłoniach został mu tylko spłowiały całun. Cisnął nim wściekle i zakręcił się w miejscu, drapiąc palcami gardło. Miał wrażenie, że stłamszony wrzask za chwilę rozerwie mu płuca i krtań. Anorektyczny kocur zeskoczył ze stołu, podszedł do niego i zaczął ocierać się o łydki, mrużąc przymilnie. Demon znieruchomiał, złodowaciał.

– Ale czy należy winić Plage, czy tego, który ją stworzył? – W bezbrzeżnych ciemnościach rozległ się metaliczny głos Śmierci. – Shirane to tylko dziecko. Dziecko, które nigdy nie powinno zostać powołane do życia. On o tym wiedział, znał konsekwencje. Ale stworzył ją, zbuntował się, owładnięty obsesją, chęcią przeciwstawienia się zasadom panującym w naturze. Złamał te reguły i stworzył

potwora. Na własne życzenie. A potem on i reszta jego pomiotów uganiali się za dzieckiem-potworem, by obedrzeć je z mocy i żywiołu, by jakimś cudem naprawić błąd, a przynajmniej ograniczyć jego skutki. Kto jest pokrzywdzony? Oni czy ona? Czy Derek skrzywdził Plage przez sam fakt, że ją stworzył? A czy Shirane miała prawo wyboru? Czy mogła stać się inna, niż się stała? Czy może Derek, tworząc coś zakazanego, z założenia przypisał jej okrucieństwo i krwiożerczość? Czy była na to skazana? Czy nie może się uwolnić?

– Zamknij się!!! – Wrzask rozerwał mu wargi. Ból runął na niego jak góra piasku, wbił się w skórę milionami sztyletów. Krew spłynęła po brodzie, skapując na pierś i zaciśnięte w pięści dłonie. Otaczająca go czerń zapulsowała dziwną energią, zwęziła się, zajęczała przejmująco. I pochłonęła go.

\*\*\*

Obudził się zlany potem. Powieki znowu sklejała lepka wydzielina. Otwierał je powoli, z cichym sykiem irytacji. Chciał zetrzeć ropę dłońmi, lecz czyjeś zimne palce chwyciły go za nadgarstki.

– Nie trzyj, głupku. Trzeba to przemyć. – Chłodny głos skarcił go, jakby był dzieckiem. Dobrze wiedział, czyj to głos. I uśmiechnął się.

Włożyła mu w dłonie mokrą szmatkę. Przemył powieki i wreszcie mógł na nią spojrzeć. Właśnie się wyprostowała, więc nie dojrzał jej twarzy. Podeszła do ściany i usiadła na podłodze, wyciągając nogi i krzyżując je w kostkach. Białe włosy opadały na policzki i zawijały się na ramionach. Wokoło panował mrok, rozpraszany nieco przez mdły blask lampy naftowej zawieszanej u drzwi.

Haru przyłożył ściereczkę do twarzy, chłonąc jej chłód. Było mu potwornie gorąco. Powoli gubił się w Snach i wizjach, jeszcze trochę i przestanie je odróżniać od rzeczywistości. Wyjrzał zza szmatki, obserwując białowłosą.

– Czemu tu jesteś, pani?

– Bez powodu.

Zsunął ściereczkę z twarzy, spojrzął w sufit, westchnął przeciągle. Zastanawiał się, czy czytała jego Sen, czy widziała to co on. A jeśli tak, to czy wyciągnęła z jego głowy również wcześniejszą, o wiele przyjemniejszą halucynację. Jej wspomnienie rozпалиło go gwałtownie, przeszło serce dotkliwie i na wskroś. Potrząsnął głową, zagryzając wargi. Nie powinien tego rozpamiętywać. Tym bardziej gdy Plage była w pobliżu.

A wizja mniej przyjemna? Jej wolał nie pamiętać w ogóle. Najchętniej wyrzuciłby ją z głowy, wymazał raz na zawsze.

– Powiniennem zostać, pani... Pomóc ci...

– Nie i nie dyskutuj ze mną. Temat jest dawno skończony. Jutro wracasz tam, skąd przyszedłeś. Jasne? Haru spochmurniał, zmarszczył brwi.

– Nie, nie jest jasne... – Bardzo się starał, by jego głos zabrzmiał pewnie, by choć nie chrypiał. – Nie zostawię cię z tym samej, pani. I to jest moje ostatnie słowo. Akurat tutaj muszę ci się sprzeciwić.

Zgłupiał. Zdurniał. Oszalał. Podpisał na siebie wyrok śmierci. Bardzo nieprzyjemnej. Nie wytrzymał i znów wbił spojrzenie w sufit. Milczenie, jakie zawisło między nimi, zmroziło go, wywołując gęsią skórę na całym ciele.

Wreszcie albinoska parsknęła lekceważąco. Jej głos kłuł go niczym lodowe szpikulce:

– Za kogo ty mnie masz? I za kogo uważasz siebie, Haru? Myślisz, że potrzebuję twojej pomocy, ochrony? Że ktoś taki jak ty może mi w ogóle pomoc oferować? To, co za chwilę powiem, pewnie cię upokorzy i zrani twoją męską dumę, ale niestety, smarkaczu, to jedynie ty możesz być chroniony przeze mnie. Sam na obrońcę nie bardzo się nadajesz, zwłaszcza mojego.



Trafiła w sedno. Upokorzyło to i zraniło jego męską dumę. Choć spodziewał się usłyszeć coś podobnego. Nie odrywając wzroku od sufitu, zacisnął zęby i pięści. Nie czuł złości, tylko smutek. I nagle, zupełnie niespodziewane ukłucie zazdrości.

– Oni ci pomagają – wycedził. – A nie są w niczym lepsi ode mnie. I również nie nadają się na twoich obrońców.

– Ach, więc o to chodzi... – Usłyszał w jej głosie nutę rozbawienia, tak odmienną od wcześniejszego mroźnego tonu. – Masz rację, nie są moimi strażnikami. Naprawdę sądzisz, że potrzebuje kogoś takiego? Chodzących za mną krok w krok upierdliwych osiłków? Nie, dziękuję. Moje relacje z Maxem i Eliarą to czyste interesy.

Rudzielec milczał przez chwilę, zastanawiając się, czy o jego inteligencji tudzież charakterze miała równie niskie mniemanie. Oby nie. W każdym razie wiedział, że kto jak kto, ale Plage naprawdę nie potrzebowała niczyjej ochrony. Jednak martwił się. Po tym, co widział w wizjach, nie mógł się nie obawiać o jej los.

– Zdradzisz, na czym te interesy polegają, pani?

– To proste, koteczku. Eliara i Max są przedstawicielami tych, którzy pracują dla Syndykatu poza jego murami. Max i inni Złodzieje dostarczają informacji; szlajają się nie wiadomo gdzie, więc zbierają wiele wiadomości, czasami rozgłaszają plotki, czasami kradną dla Syndykatu, ogólnie wykorzystywani są do brudnych i mało ważnych spraw. W zamian otrzymują nietykalność. Gdyby nie służyli Syndykatowi, zostaliby unicestwieni. A Eliara? To jedna z tych naiwnych Medyczek, które po prostu łakną wiedzy, ale są zbyt delikatne na brutalne szkolenie, jakie oferujemy w Syndykacie. Udostępniam im wiedzę, one w zamian dostarczają niezbędnych ziół i eliksirów. Bo jak wiesz, Alchemia i Magia Rytualna potrzebują tego wszystkiego, by w ogóle istnieć. A zdobycie odpowiednich składników staje się coraz trudniejsze.

– Skoro są tylko pionkami, pani, czemu pozwalasz im na brak szacunku?

– Bo mam gdzieś ich zasrany szacunek. Bo tutaj nie ma Syndykatu, koteczku. Tutaj mogę sobie pozwolić na chwilę oddechu, swobody. Złodzieje i Medyczki nie wymagają zbyt wiele uwagi, dobrze wiedzą, co ich czeka, jeśli zaczną podskakiwać. Gdybym natomiast w Syndykacie pozwalała na coś takiego, gdybym nie wymagała absolutnego posłuszeństwa, nie wprowadzała żelaznej dyscypliny, wyobrażasz sobie, co by było? Jeden wielki burdel. Żeby utrzymać w ryzach Skrytobójców, Kapłanów i Alchemików, trzeba im od czasu do czasu nakopać, koteczku, przypomnieć, kto nimi rządzi. Nie, właściwie na każdym kroku trzeba im o tym przypominać. Muszą wiedzieć, że stoję ponad nimi. Czy teraz już rozumiesz?

Rudzielec przytaknął, zamyślony i nieobecny. Powoli obrócił głowę, wtulił policzek w materac i skierował spojrzenie ku białowłosej. Siedziała w tym samym miejscu, w tej samej pozycji, z twarzą przesłoniętą długimi włosami. Nagle wydała mu się zmęczona i bardzo krucha.

– Nie męczyci cię to czasami, pani? Ta cała władza?

Łypnęła na niego. Tęczówki zamigotały krwistym blaskiem. Usta wygięły się w ponurym grymasie.

– Czasami męczy, czasami nudzi, a czasami wciąga, wszystko zależy od mojego humoru, koteczku. Przynosi satysfakcję, ale nie jest łatwe. Trzeba się trochę pomęczyć, a w zamian można zabić za krzywe spojrzenie... Nie, do tego władza raczej nie jest mi potrzebna, wybac, mieszam pojęcia. – Uśmiechnęła się zimno i odgarnęła włosy za ucho. – Po co mi właściwie ta władza? Nie wiem. Chyba po prostu nie mam nic innego do roboty. A do rządzenia Syndykatem potrzebna jest taka suka jak ja.

– Nie jesteś taka, pani... – Obserwował ją niepewnym, zamyślonym spojrzeniem. Czuł, że coś wisi w powietrzu. Plage była bardzo rozgadana. Jak nigdy.

– Aleś ty naiwny. – Wydeła wargi. – Nabrałeś się na moje wdzięki, a w twoim wieku nawet nie jesteś w stanie należycie ich docenić.

Rudzielec zaśmiał się nerwowo, dziękując bogom za panujący wokoło mrok, bowiem poczuł, że rumieni się po cebulki włosów. Chciałby jej wdzięków nie doceniać, ale zauroczyła go sobą bez reszty, zwłaszcza po ostatnim Śnie, na którego wspomnienie podbrzusze paliło go i nabrzmięwało żarem.

– A wiesz, co mnie najbardziej frustruje? – odezwała się białowłosa, przykładając dłoń do zmarszczonego w zadumie czoła.

– Nie wiem, pani. Co takiego?

– Ty, koteczku. Właśnie ty mnie frustrujesz. Cholernie.

Haru znów podziękował za mrok wszystkim bogom, w których nie wierzył, ale przydawali się w takich chwilach. Powoli przytknął szmatkę do twarzy, ale nie była już tak chłodna i mokra jak wcześniej, nie przyniosła spodziewanej ulgi.

– Ja...?

– Pomyśl logicznie, a dostrzeżesz brak logiki w tym wszystkim. – Westchnęła posepnie i oparła głowę o ścianę za sobą. – Wiesz, ile mam lat? Parę setek. A ty? Trochę ponad szesnaście. Jesteś dzieciakiem, cholernym gówniarzem. I to właśnie ty, jako jedyny naprawdę mnie znasz. Utrapienie. Powinnam zabić cię od razu. Za dużo wiesz, za dobrze mnie znasz.

– Możesz mnie zabić, pani. – Uniósł się nieco, po raz pierwszy podczas trwania tej dziwnej gorączki, i rozłożył ramiona gotowy na cios. – Choćby teraz.

– Ech, jesteś głupkiem.

\*\*\*

*Kostucha wyglądała inaczej niż ostatnio. Dziś była zwierzęciem, dokładniej wielką, masywną suką. Miała krótkie spiczaste uszy, szeroki i nieładny pysk umazany krwią, parę białych, ślepych oczu. Była czarna jak noc, błyskała żółtymi kłami. Warowała przy marmurowym tronie, połyskującym pośrodku sali wypełnionej spiralnymi kolumnami.*

*Alabastrowy stolec znajdował się na niewysokim podeście, do którego prowadziły płaskie, wąskie schodki. Podłogę wyłożono czarnymi kryształowymi płytami. Kolumny, na których wryto sceny brutalnych mordów, stanowiły jedyne wypełnienie i ozdobę pomieszczenia. Ścian nie dało się dostrzec, filary ciągnęły się bez końca wzdłuż i wszerz; sufitu też nie było widać, zasłaniała go krwista gęsta mgła, raz po raz jaśniejąca złowrogim blaskiem.*

*Na tronie siedziała Plage. Patrzyła wysoko ponad głowę rudzielca, nie zwracając na niego uwagi. Czerwone bezdenne oczy przerażały martwością spojrzenia. Jej suknię uszyto ze skrawków zakrwawionych ludzkich skór, pozszywanych ze sobą niezdarne. Prześwity w tej makabrycznej szacie odsłaniały białe, niemal przezroczyste ciało. Szczupłe dłonie spoczywały na masywnych poręczach tronu, długie palce bębniły o marmur.*

*Śmierć, oblizawszy zakrwawiony pysk, poderwała cielsko i oparła przednie łapy o bok tronu. Zaskomlała cicho, trącając nosem dłoń albinoski. Plage pogłaskała ją mechanicznie, nie przestając wpatrywać się w ten sam odległy, istniejący tylko dla jej oczu punkt.*

*Haru uklonił się sztywno i klęknął na jedno kolano. Coś kazało mu zachowywać się w taki właśnie sposób. Wysoka, niknąca w mgle wieża kart zmaterializowała się tuż przed nim. Demon znieruchomiał, obawiając się, że ją potraci. Białowłosa powoli przeniosła na niego wzrok. Nie mrugała, jej powieki były szeroko rozwarte. Jak u lalki.*

– Ty mnie znasz. Znasz mnie dobrze – przemówiła głębokim, niskim głosem. – Rozwal ten kopiec kart i skończmy z tym.

*Skrytobójca poderwał głowę i wbił w nią zaniepokojone spojrzenie. Patrzył prosto w jej szkarłatne oczy. Były puste, pozbawione blasku, życia. Nie znalazł w nich żadnej odpowiedzi, tylko nieskończoną*

pustkę.

– Nie, pani. Na to nie mogę się zgodzić.

– Czyżby? – Tym razem to Śmierć się odezwała swoim metalicznym głosem, który wydobywał się znikąd i zewsząd. Jej pysk pozostawał zamknięty, zbyt długie dolne kły wbijały się w górną wargę. – Na co więc się zgadzasz, demonie? Na co pozwalasz, Skrytobójco? Na to, by kopiec kart nadal rósł, aż wywróci się sam, zawali pod własnym ciężarem?

– Nie. – Podniósł się z klęczek, cały czas obserwowany przez białe ślepia Kostuchy. – Postaram się, by ten kopiec przestał rosnąć.

– Podejmiesz się tego? Naprawdę sądzisz, że umiesz to zatrzymać?

– Więcej. Uwolnię ją od ciebie. Sprawię, że twoja kosa ją ominie. Nigdy nie dostaniesz Plage. Postaram się o to.

Suka kłapnęła zębiskami, zmarszczyła pysk w grymasie odsłaniającym dziąsła, jakby się uśmiechała. Jednym susem zeskoczyła z podestu, jej pazury zastukały o kryształowe płytki.

– Moja kosa nie omija nikogo. Nie ma na to sposobu, żadnego. Nikt nie uchyli się przed ostrzem, nikt go nie uniknie. A na pewno nie ktoś, kto jest przeklęty. – Zarzuciła łbem, rozpryskując ślinę i krew, wskazując na nieobecną duchem Plage.

– Zdejmę z niej przekleństwo. Nie dotkniesz jej, przysięgam.

– Co zaoferujesz mi w zamian? Swoją duszę?

– Nie! – Białowłosa wrzasnęła i łupnęła pięściami o poręcz tronu, aż cała sala kolumnowa zatrzęsała się w posadach. – Wynoś się, zapchlony kundlu. Wrócisz wtedy, gdy będziesz mi potrzebna. Na tę chwilę zostajesz odwołana. Wypierdalaj stąd na swoich koślawych łapach.

– Jak sobie życzysz, moja pani. – Suka położyła uszy po sobie, podkuiliła ogon i poczęła się oddalać, tyłem, na ugiętych łapach. Niknąc między kolumnami, jeszcze raz łupnęła niewidzącymi oczyma w stronę rudzielca. – Spróbuj. Spróbuj szczęścia. Po to istniejesz, Jasnowidzu. Spróbuj wypełnić swoje przeznaczenie. Ono nigdy nie wypełnia się samo.

Skórzasta suknia zaskrzybiała nieprzyjemnie, gdy białowłosa podniosła się z tronu. Schodziła po schodkach pełnym gracji krokiem. Miała bose stopy. Haru obserwował jej dumną postawę, piękną twarz, alabastrową skórę, zgrabne ciało... odziane w koszmarną suknię, czyniącą z niej monstrum.

Zapierała dech w piersiach.

– Skończmy z tym, koteczku. Znasz mnie. – Podniosła dłoń, wskazując na wiszącą w powietrzu więź z kart. – Nie wierzysz chyba w to, co mówisz. Nie zdołasz mnie odmienić. Za dużo tych kart, za dużo... Moja wieża niedługo runie, zgaśnie świeczka. Potwory takie jak ja nigdy się nie zmieniają.

– Nieprawda. Nie wierzę! Każdy ma szansę. Pomogę ci w tym, pani. Musisz mi tylko pozwolić. – Zbliżył się do niej o krok, wyciągnął dłonie, jakby chciał ją objąć. Wpatrywała się w niego pustym wzrokiem, bez krztyny zrozumienia. Potem złapała sztywną suknię w dłonie, dygnęła dostojnie i zawirowała w tanecznym piruecie. Oczy miała zamknięte, długie włosy uniosły się, suknia ze skór załopotowała jak skrzydła ptaka.

– Pani, zatrzymaj się! Inaczej...

Uderzyła w kopiec kart, nie przerywając tańca. Mgła zalegająca u sufitu rozbłysła krwistym blaskiem, karty wybuchły, rozprysły się wśród kolumn, poszybowały na wszystkie strony, zatrzepotały jak tysiące motyli skrzydeł. Wypełniły sobą salę, mieniąc się kolorami. A ona wirowała wśród nich, z delikatnym uśmiechem unoszącym kąciki zakrwawionych warg. Haru nie poruszał się, sparalizowany i przerażony. Karty śmigały wokół niego, muskały odsłoniętą skórę drobnymi cięciami, opadały na ramiona, odbijały się od kurtki i ześlizgiwały na posadzkę. Każda inna, każda z odmiennym rysunkiem, przedstawiającym inny sposób zabijania.

*Plage wirowała. Coraz wolniej... i wolniej... Z coraz większym trudem, bardziej ociężale. Krew lała się jej z ust, brudziła brodę, szyję, piersi. Słaniała się na drżących nogach. W końcu straciła równowagę...*

*Nie pozwolił jej upaść. Podbiegł natychmiast, złapał w ramiona. Z pozoru lekka jak piórko, leciała przez ręce – bezwładna, z odchyloną do tyłu ciężką głową, umierająca. Demon słyszał jej oddech, płytki, urywany, rżący. Odgarnął białe kosmyki, ujrzał blednące oczy pozbawione woli walki.*

*– Skończmy z tym, koteczku... – wycharczała, przy każdym słowie plując krwią.*

*– Nie. – Wpił palce w skórzastą suknię, czuł jej mdlący odór. – Nie będziemy niczego kończyć.*

*Jęknęła zrozpaczona i jeszcze bardziej zwiotczała w jego ramionach. Zemdląca. Haru z całej siły pociągnął za skóry. Suknia pękała z leniwym trzaskiem, zszywające ją ścięgna puszczały niechętnie, z oporem, wrzynając się w palce, raniąc do krwi. Ale nie ustawał. Rwał i ciągnął, aż rozdarł suknię, która opadła na posadzkę, odsłaniając nagą, zimną albinoskę. Przyciągnął ją do siebie. Do swojego ciepłego ciała. Nie czuł pożądania. Czuł tylko, jak drży, jaka jest krucha i delikatna.*

*Schował ją w ramionach, tulił najczulej, jak potrafił.*

*Nie słyszał już jej oddechu.*

## Rozdział VII

Ocknął się rankiem. Do sypialni przez uchylone okiennice wlewały się blade promienie słońca, rysując na ścianach jaśniejsze prostokąty. W snopach światła unosiły się drobinki kurzu. Haru obserwował je przez chwilę, wyobrażając sobie kolorowe karty zamiast nich. Potrząsnął głową i usiadł gwałtownie. Momentalnie tego pożałował.

Ciało miał odrętwiałe i obolałe. Przykrywająca go pierzyna była mokra od potu. Skrzywił się z obrzydzeniem i zsunął ją. Miał na sobie tylko portki, szybko poszukał wzrokiem ubrania. Nie chciał pokazywać się półgoły. Kimono leżało po jego prawej stronie, starannie złożone w kostkę, czyste i pachnące miętą. Pospiesznie zamknął umysł na pchające się do głowy myśli i obrazy. Zerknął w stronę okna. Przez chwilę zdawało mu się, że widzi stojącą przed nim Plage, okrytą jedynie satynową pościelą, którą niedbale owijała wokół siebie. Patrzyła za okno, delikatnie sunąc palcami po szybie.

Przetarł powieki i westchnął zrezygnowany.

*Dosyć. Przecież Odrodzenie już się skończyło, o północy. Koniec tych wizji, naprawdę mam dość.*

Złapał za ubranie i żwawo się poderwał. Leżenia również miał dość, musiał rozprostować kości, rozchodzić zdrętwiałe ciało. Kiedy założył pachnące i czyste ubranie, jakiego od dawna nie nosił, poczuł się nieswojo i trochę niewygodnie. Zapiął pas biegnący przez pierś na ukos, z pochwą przyczepioną na plecach. Odnalazł na podłodze katanę i schował ją. Ruszył ku drzwiom i uchylił je ostrożnie.

Siedząca za stołem Eliara zajadała się pachnącym smakowicie gulaszem; gdy go zauważyła, pomachała dłonią, a potem otarła nią usta. Uśmiechnęła się przyjacielsko.

– Dzień dobry, Haru! – zawołała wesoło.

– Taa, dobry – odparł rudzielec, rozglądając się po izbie.

– Nie ma jej.

– Hm?

– Plage, nie ma. Bo to oczywiste, że za nią się tak rozglądasz. – Splotła dłonie ponad miseczką gulaszu i wsparła na nich brodę. – Ciekawi mnie, czemu Plage wygoniła mnie wczoraj wieczorem z sypialni, a sama została przy tobie całą noc. Co wyście tam robili, co? Przyznaj się!

– Naprawdę nie mam ochoty na twoje żarciki – wymamrotał zgodnie z prawdą, czując jednocześnie, jak motyle trzepoczą skrzydełkami w jego brzuchu.

– No już dobrze, dobrze, nie denerwuj się. – Czerwonowłosa połknęła jeszcze kilka kęsów dania i odsunęła naczynie na bok. – Muszę się zbierać, do zobaczenia wieczorem!

Chłopak uniósł brwi, odprowadzając ją do drzwi zaskoczonym spojrzeniem. *Albo ta pokręcona Eliara niczego nie wie, albo Plage zmieniła zdanie.* Miał nadzieję na to drugie, ale podejrzewał raczej to pierwsze. Nie wiedział, co ze sobą począć. Odejść, tak po prostu, bez słowa pożegnania? Nie wiedział, kiedy Plage się pojawi i czy w ogóle się pojawi. Nie mógł zwlekać z powrotem, i tak już zapracował sobie na szczególną nienawiść współlokatorów bunkra. Wiedział, że rzucą mu się do gardła, kiedy tylko wróci, z zawiści, z chęci ukarania go za tak długi pobyt na zewnątrz.

Poprawił skórzany pas, przeszedł przez sznury zwisających z sufitu dzwoneczków, krzywiąc się na ich brzękliwą muzykę. Usiadł przy stole i wsparł łokcie na blacie. Nie musiał długo czekać. Drzwi zaskrzypiały, a potem zamknęły się z trzaskiem. Pomieszczenie wypełniła zniewalająca woń mięty.

– Co ty tu jeszcze robisz?

Spojrzał na nią przez ramię, ponuro, bez uśmiechu.

– Czekam na ciebie... Plage.

– Jak mnie nazwałś? – syknęła jadownicę, oparła dłonie na biodrach, zarzuciła białymi włosami.

– Plage – bąknął, wytrzymując jej mrozące spojrzenie. – Przecież tutaj nie ma Syndykatu.

Przez dłuższy moment oboje milczeli i wpatrywali się w siebie w napięciu. Przy czym albinoska zdawała się bardziej skrępowana. W końcu zamrugła szybko, potarła powieki i uśmiechnęła się złośliwie.

– Nie sądziłam, że kiedykolwiek się odważysz.

– Nie sądziłem, że wyjdę z tego żywy.

– Bez przesady, nie zabijam za mówienie do mnie po imieniu. No... może czasami.

Jej drapieżny uśmiech podniósł go na duchu, w sposób, którego nie rozumiał. Nie pozwoliła mu jednak dłużej się nad tym zastanawiać. Ściągnęła brwi, nałożyła na twarz maskę chłodu.

– Tylko nie przeginaj. Na terenie Syndykatu nadal jestem dla ciebie Przywódczynią, panią.

– A poza Syndykatem? Kim dla mnie jesteś?

– Ty mi powiedz.

Cisza znów zaległa między nimi. Haru podrapał się po karku, zakłopotany i zarumieniony. Chrząknął i spojrzał na nią odważnie.

– Jesteś moim Sacrum, Plage. I moim przeznaczeniem.

Albinoska zarechotała krótko, rubaszenie i rudzielec poczuł się jak dureń. Za szybko, za dużo, powinien ograniczyć się do Sacrum. Przeznaczenie zabrzmiało zbyt poważnie. Zbyt... przyszłościowo.

– Uważaj, bo mi się za chwilę oświadczysz, Paradoksie. A na to jesteś troszkę za młody. I trochę nie w moim guście. Może gdy podrośniesz i zmężniejesz, kto wie? Albo nie. Zmieniłam zdanie. Właściwie to nie liczę na zbyt wiele.

Chłopak naburmuszył się, zły, że zrobił z siebie głupka, a jej dał broń do ręki, powód do kpin. Wstał od stołu. *Ale to prawda – pomyślał. – Jesteś moim przeznaczeniem. Żyję po to, żeby cię chronić. Nie przed innymi, a przed tobą samą. Istnieję po to, żeby zdjąć z ciebie klątwę, uwolnić cię od przekleństwa, odsunąć od Śmierci. To dlatego nieświadomie wybrałaś mnie na swojego Jasnowidza.*

Już otwierał usta, by coś powiedzieć, gdy sparaliżowało go wrażenia bycia obserwowanym, i to wcale nie przez Plage. Czuł czyjąś obecność, co najmniej cztery obecności. Zerknął na białowłosą. Jeśli on to wychwycił, ona też musiała. I nie mylił się – dostrzegł jej wyrachowany, chłodny uśmieszek i błysk w krwistych oczach. Wyteżył umysł i bez trudu ustalił położenie czterech aur. Dwie były na dachu, a dwie u frontowych drzwi. Nie kryli się specjalnie, najwidoczniej nie zależało im na ataku z zaskoczenia.

– A więc przyszli... Co za głupota. – Białowłosa parsknęła cicho, nie poruszając się. – Przyjęliście moje zaproszenie?! Czyżby dodatek w postaci głowy Aresa tak was poruszył?!

Nikt nie odpowiedział. Dwie z aur, te u drzwi, poruszyły się powoli, nadal w żaden sposób się nie maskując. Nie podobało się to rudzielcowi. Byli zbyt pewni siebie, musieli mieć coś w zanadrzu. Albinoska nie wyglądała na przejętą. Ale to nie ona rozmawiała ze Śmiercią. Nie ona patrzyła na śmierć ukochanej osoby.

Aury rozdzieliły się, zatrzymały pod oknami. *Co oni kombinują? Może lepiej na nich nie czekać...* – Haru nie zdążył dokończyć swojej myśli. Gdy ugiął kolana do skoku, przez prawe z okien, to bliższe albinosce, buchnął jęzor ognia. Huknęło, trzasnęło głośno i błysnęło oslepiająco. Płomienie momentalnie rozsiadły się na ścianach, podłodze i suficie, pochłonęły kilka sprzętów, paląc je na popiół. W izbie zapanowało nieznośne duszące gorąco.

– Plage! – krzyknął w panice. Niepotrzebnie. Już była obok niego, z twarzą zmienioną gniewem, umazaną sadzą, z nadpalonym rękawem płaszcza, spod którego wyzierała poparzona skóra na ramieniu. Woń mięty stłumił odór spalonych włosów.

– To nie jest zwykły ogień – syknęła widocznie podenerwowana.

– Trzeba stąd wyjść, zanim...

Ogień buchnął ponownie, drugim oknem. Huk był głośniejszy, długi jęzor ognia zatańczył tuż przed twarzami Haru i Plage, zagarnął stół, ławę i regał, liźnął przeciwległą ścianę i stojącą pod nią skrzynię ze skarbami. Zaskwierczało głośno, zawyło przesywając, poleciały iskry, a potem rozległ się przenikliwy, wysoki pisk.

– Elikiry! – zawołała albinoska. – Trzeba się wynosić! Zaraz wybuchnie!

Haru, ignorując ból poparzonej dotkliwie szyi, złapał Plage za nadgarstek i pociągnął przez środek izby, najslabiej zaatakowany przez ogień, ku drzwiom, które wyważył kopniakiem. Wypadli na zewnątrz, kasłając. Zobaczyli dwójkę zamaskowanych mężczyzn; z ich dłoni tryskały iskry. Nie zdążyli mrugnąć, kiedy kolejna dwójka zeskoczyła z płonącego już dachu.

Plage wyszarpnęła dłoń z uścisku, okręciła się, łapiąc za sztylet przytroczony do paska na biodrach. Dłużej rudzielec nie mógł jej obserwować, bo sam musiał się bronić. Sięgnął po katanę i ciął do tyłu, na oślepa – nie zdążyłby się obrócić. Poczł opór, usłyszał szczęk i zgrzyt ścierających się ostrzy. Napiął mięśnie ramienia i sparował instynktownie, odpychając wroga na bok. Zamaskowany mężczyzna przekoziółkował, zgrabnie lądując na ugiętych nogach; wyciągnął przed siebie obie dłonie, złączył je i wystrzelił długim, poziomym słupem ognia. Zdumiony rudzielec ledwo odskoczył; wyhamował na piasku, podpierając się ręką. Za jego plecami rozległ się huk wybuchu, w powietrze poleciały fajerwerki, drzazgi i odłamki. Obrócił się odruchowo i ujrzał szczątki budynku zapadającego się do środka, nikiącego w ognistej paszczy. Z nieba zaczął padać deszcz rozżarzonych okruchów. Haru kątem oka dostrzegł białowłosą – rozprawiła się z napastnikiem, leżącym teraz u jej stóp z rozerwaną krtanią, ale osaczyła ją pozostała dwójka.

By jej pomóc, musiał uporać się ze swoim przeciwnikiem, który znowu zaatakował ognistym strumieniem. Rudowłosy padł na ziemię, przeturlał się pod płomieniem i wybił jak sprężyna. Runął na mężczyznę, przewracając go na ziemię. Przetoczyli się po piachu kilka kroków, wzbijając kurz i zostawiając krwawe ślady. Kiedy się zatrzymali, Haru chlasnął go przez gardło bez wahania. Krew trysnęła fontanną z rozciętej tętnicy. Rudzielec otarł twarz rękawem, ścierając z oczu sadzę i posokę. Poszukał Plage wzrokiem, a gdy ją odnalazł, wściekłość się w nim zagotowała.

Napastnicy strzelali słupami ognia, celując w ziemię, krążąc wokół przykucniętej białowłosej. Rysowali na ziemi ognisty okrąg, który zamykał ją w klatce płomieni i duszącego dymu. Jej szeroko otwarte oczy przepełniała czerwona energia, eksplodująca iskrami błyskawic, usta wykrzywiał gniew. Ociekający krwią sztylet zadrżał lekko. Opuściła rękę. Wyczerpane mięśnie kurczyły się spazmatycznie, żyły na szyi nabrzmiały, twarz okalały potargane włosy. Stała z dumnie uniesioną głową, choć na uginających się kolanach. Niespodziewanie z jej zaciśniętych pięści wystrzeliły dwa potężne strumienie energii. Bez trudu przedarły się przez ścianę ognia i uderzyły w zamaskowanych mężczyzn, wyrzucając ich w powietrze. Jeden runął w pożerane przez pożogę resztki budynku. Drugi zarył w ziemię, z nieprzyjemnym chrzęstem łamanych kości.

Rudzielec natychmiast podbiegł do niego, biorąc zamach kataną...

– Nie! – Głos Plage zmroził go, zamarł z uniesioną ręką. Obejrzał się przez ramię – białowłosa była wściekła jak nigdy, prysła maska lodowatej obojętności, jej szeroko rozwarte oczy nie przestawały ciskać czerwonych gromów, emanując złowróżbnym szkarłatnym blaskiem.

– Pilnuj budynku – wycedziła. – Ten, który do niego wleciał, zaraz się wyczołga.

Rudzielec, patrząc na pogorzeliśko, pokiwał głową bez przekonania. Z chaty niewiele zostało: połamane belki, zwęglone sprzęty, tańczące na gruzach płomienie i kikuty ścian. Czy ktoś mógł wyjść stamtąd żywy? Chłopak nie miał jednak zamiaru kwestionować rozkazu albinoski, zwłaszcza

wypowiedzianego tonem nieznoszącym sprzeciwu. Wyteżył zmysły i niemal się wystraszył, dostrzegając zarys aury przeciwnika poruszającego się wśród zgliszczy. Nie dowierzał, ale nie tracił czujności, śledził ruchy aury dopóty, dopóki mężczyzna nie wyłonił się spośród trzeszczących płomieni. Czołgał się po ziemi, ubranie miał niemal doszczętnie spalone, ale skórę i włosy – nietknięte. Haru nie zastanawiał się długo, doskoczył do niego, przytrzymał nogą i przebił kataną, wbijając czarną klingę między łopatki. Mężczyzna, już pozbawiony maski, którą strawił ogień, szarpnął się, brocząc krwią, jęknął, zakasłał i znieruchomiał. Rudzielec wyciągnął kataną z martwego ciała i odsunął się od płonącej budowli oraz bijącego od niej żaru. Ruszył w kierunku białowłosej, ostrożnie, gotów na wszystko.

Stała okrakiem nad wbitym w ziemię przeciwnikiem, którego kręgosłup był nienaturalnie wygięty. Jego maska przesiąkała krwią, kilka kropli spłynęło po szyi, kapiąc na piach. Sparaliżowany, nie mógł się ruszać ani powiedzieć słowa, ale wytrzeszczone oczy mówiły same za siebie. Haru wiedział, co się działo. Wpatrzona w mężczyznę albinoska czytała jego myśli, sprawiając mu przy tym potworny mentalny ból. Kiedy skończyła – czego dowodziła ulga malująca się w oczach spiskowca – zmarszczyła brwi, zasyczała przeciągle, a potem poderwała dłoń ze sztyletem i z całej siły wbiła ostrze w pierś mężczyzny. Ten jęknął głucho, jego oczy zmętniały... Skonał.

Plage cofnęła się, zakręciła i jak zjawa pojawiła przed rudzielcem. Złapała go za gardło żelaznym uchwytem dłoni i uniosła nad ziemię, choć była niższa i o wiele drobniejsza. Patrzyła wypełnionymi energią oczami, lekko przekrzywiając głowę i zaciskając usta.

Haru nie próbował się wyszarpnąć. Złapał ją tylko za przedramiona i patrzył na pokrytą sadzą twarz, której krwista łuna nadawała upiorny wyraz, na potargane, popalone włosy, na szkarłatne tęczęwki. Zaczynało mu brakować tchu, żar pożogi parzył plecy.

– Plage... Uspo... Uspokój się...

– Zdrajca. Mały, jebany zdrajca. Pokażę ci, co znaczy zdradzić Shirane no Chou. Żałuję, że nie mogę cię zamrozić i rozłuc na małe kawałeczki.

– Plage, proszę... – Z trudem wykrztuszał słowa z miażdżonego gardła. – Nie rozumiem, o czym mówisz...

– Nie łżyj! – wrzasnęła, a jej źrenice wybuchły błyskawicami. – Nie łżyj, szczurołapie!

– Proszę... Wysłuchaj mnie najpierw...

Popatrzyła na niego przenikliwie. Fukuła coś pod nosem w nieznanym mu języku, a potem rozwarła palce. Opadł na nogi. Ledwo utrzymał równowagę, na zmianę kaszląc i spazmatycznie łapiąc powietrze.

– Gadaj – warknęła Plage.

Spojrzał na nią błagalnym wzrokiem. Rozmasował szyję, odchrząknął raz i drugi.

– Nie wiem, o co chodzi i... czemu nazywasz mnie zdrajcą. – Głos miał chrapliwy, mówił z trudem. – Ale nie znam tych ludzi, w życiu ich nie widziałem. Byłem cały czas z tobą, Plage. Cały czas miałaś mnie przecież na oku. Nigdy bym cię nie zdradził, nie wydał naszej tajemnicy. Przecież możesz przeczytać moje myśli! Zrób to i przekonaj się, że nie mam z tym nic wspólnego!

– Bardzo chętnie.

Nim się zorientował, wdarła się do jego głowy. Rozerwała pudełko osłaniające wspomnienia. Zaczęła w nich przebierać. Mniej ważne odrzucała na bok jak śmieci, grzebała w nich, szukała z uwagą. Chłopak nie próbował się opierać, więc nie czuł zbyt wielkiego bólu, poddawał się jej, nie myśląc o niczym. Trwało to ledwie parę chwil. Potem Plage się wycofała, tak samo gwałtownie jak wtargnęła. Wyglądała na zdezorientowaną i zakłopotaną. Wściekłość w jej oczach gasła, energia zniknęła powoli, rysy twarzy łagodniały. Zerknęła na niego, dziwnie zagubiona, lecz zaraz prychnęła cicho, odwracając wzrok.

– Mówisz prawdę, nic nie wiesz.



Haru nie był pewien, czy jej zakłopotanie wynika z faktu, iż oskarżyła go bezpodstawnie, czy z powodu tego, co znalazła w jego wspomnieniach, do których zaliczały się także przeżyte wizje.

– Nie rozumiem, Plage... O co tu chodzi? Czemu wzięłaś mnie za zdrajcę? I co to były za sztuczki?

Ogień na szczątkach budynku dogasał, trzaskając cicho; brakowało wiatru, który mógłby go roznieść dalej, więc dogorywał między piaszczystym podłożem z jednej strony, a nawodnioną glebą ogródka z drugiej. Plage wpatrywała się w niknące płomienie.

– Popeliłam bardzo głupi błąd, Haru – zaczęła poważnie. – Przejrzałam umysł Aresa, ale nie wzięłam pod uwagę faktu, że ten gówniarz nie musiał wiedzieć wszystkiego. I nie wiedział. Najwidoczniej nie zdradzono mu najważniejszych szczegółów, uznając, że jeszcze na to nie zasługuje. A skoro on nie wiedział, ja też się nie dowiedziałam, że całym spiskiem kieruje twoja uroczą rodzinka, która na dodatek zaczęła się bawić w Kult Ognia.

Rudowłosa zmartwiało. Tylko oczy rozszerzyło mu gniewne zdumienie. Na wzmiankę o rodzinie, o której właściwie już zapomniał, coś w nim zawrzało. Wzbierająca energia sprawiła, że oparzenia, rany i obtarcia zapiekły dotkliwie. Syknął i rozmasował ramię. Albinoska obróciła się do niego bokiem.

– Gdy usłyszałam o twojej rodzinie, pomyślałam, że ty... Ech. – Westchnęła ciężko i zmrużyła powieki, kryjąc irytację. – Furia odebrała mi zdolność logicznego myślenia, ale nie będę cię przeproszać.

– W porządku... – odparł ostrożnie, obserwując ją bez złości. – Co z tym Kultem Ognia?

– Cholera! – Pisk Eliary wdarł się między nich i jak na komendę spojrzeli w jej kierunku.

Medyczka złapała się za głowę, miała łzy w oczach i przerażenie wymalowane na pobladłej twarzy. Dygotała jak gałązka trącona wiatrem, a jej podbródek drżał, jakby za chwilę miała się rozpląkać.

– Co wyście narobili?

\*\*\*

Eliara nie dała im spokoju, dopóki nie zgodzili się pójść razem z nią. Zabrała ich na skraj miasta, gdzie płynęła płytka rzeczka, zmierzająca do rosnącego w pobliżu lasu. Przy kamienistym brzegu stała skromna murowana chatka – dom Eliary.

Medyczka poprosiła, by obmyli się w rzece. Ich mrukliwe protesty skwitowała śmiechem. Dopiero kiedy doprowadzili się do porządku, dała im maści na oparzenia. Rudzielec podziękował krótko, a białowłosa fuknęła, że ma się tym mazidłem wypchać. Eliara nie przejęła się i po prostu wcisnęła puderko z balsamem w dłoń Plage, a potem patrzyła bezradnie, jak pudełko szybuje płasko w stronę rzeczki, odbija się od powierzchni wody, raz, drugi, i opada na dno pośrodku nurtu. Westchnęła, ale nie nalegała dłużej.

– Co straciliśmy? – spytała.

– Trochę eliksirów, pewnie trochę broni i innych dupereli. – Białowłosa, siedząc na brzegu, szukała czegoś za pazuchą zniszczonego płaszcza. – To tylko jeden magazyn. Nic wielkiego.

Eliara przytaknęła i przybrała zwierzęcą postać. Przycupnęła na jednym z większych kamieni jako smukła łasiczka o jasnym futerku. Wbiła spojrzenie paciorkowatych oczek w dwójkę towarzyszy, przekrzywiła łepkę. Przyglądała się, jak Plage wyjęła grzebyk i zaczęła rozczesywać swoje mokre włosy, a rudzielec, pólżąc nieopodal na trawie, ukradkiem ją obserwował, sądząc, że nikt tego nie widzi. Zachichotała w duchu i spojrzała znacząco na ich pomoczone ubrania.

– Powinniście byli najpierw się rozebrać, potem wejść do wody – zauważyła wesoło.

Haru łypnął na nią tak groźnie, że niemal spadła z kamienia. Ze śmiechu. Plage nie zareagowała, co z kolei trochę ją zaniepokoiło.

– Co się tam stało? – Gdy tylko zadała to pytanie, zauważyła, że rudzielec również czujnie nadstawił ucha.

Plage nie przerywała czesania włosów. Delikatnie zmarszczyła nos.

– W skrócie? Dużo ognia, trochę wybuchów i trupy. Nic więcej nie musisz wiedzieć, Eliara.

Rozczarowana łasiczka opuściła łeppek. Czowała, że coś ukrywają, że mają sekret, w który nie zamierzają jej wtajemniczyć. Dlatego najpierw nie chcieli z nią iść, a teraz milczeli jak zakłęci.

– No dobrze, dobrze, porozmawiajcie sobie sami. Ja poszukam Maxa, bo gotów dostać zawału, jak wróci do magazynu.

Haru odprowadził łasicę wzrokiem, przez chwilę śledził też jej aurę, by mieć pewność, że odeszła wystarczająco daleko. Potem usiadł, krzyżując nogi, i wbił spojrzenie w plecy albinoski.

– Wyjaśnisz mi teraz?

– Pewnie zauważyłeś – zaczęła, odgarniając włosy do tyłu – że ogień, którym władali, nieco mnie osłabiał.

– Zauważyłem. Rozwścieczył cię też.

– Byłam zła na siebie – oznajmiła. – Ale mniejsza o to. Kult Ognia wyznają ci, którzy czerpią moc z modlitw słanych do Nimfy Ognia, czyli do tej suki Charlotte. To pierwszy raz, gdy spotykam ich tutaj, w Przedświecie. W Zaświecie to normalne, istnieją tam wszystkie cztery Kulty.

– A Kult Lodu?

– Nie spotkałam się z nim. Widać nikt mnie nie lubi. Ale wracając do sedna, ogień, którym władają zdrajcy z Kultu, jest magiczny i na tyle silny, że potrafi mnie osłabić. Nie posiadam swojego żywiołu, więc nie mogę się bronić przed ich magią, a moje ciało jest mało odporne na gorąco, oczywiście nie na takie zwykłe jak żar ogniska czy słońca. Tak czy siak, twoja rodzina musiała się tego wszystkiego dowiedzieć i zaczęli tworzyć Kult w Przedświecie. Muszę to zdusić w zarodku, zanim zbytnio się rozwinie. Wybieraj, Haru, wracasz do bunkra czy idziesz ze mną?

## Rozdział VIII

Theresa Saruku niespiesznym krokiem przemierzała korytarze świątyni. Jej odbicie, ukazujące się na ścianach z cennego kryształu, kroczyło obok. Zerkała na nie, poprawiając jasne loki i wygładzając prostą srebrzystą suknię pasującą kolorem do jej oczu, prostowała mankiety i rękawy – musiała być idealna, jeśli chciała zrobić wrażenie na nowych członkach wstępujących do Kultu.

– Wrócisz do mnie, kiedy ją zniszczę – szepnęła, na moment przystając i dłużej wpatrując się w swoje odbicie. – Przejrzysz na oczy, wybaczysz i wrócisz.

– Pani Saruku? – ozwał się głos za jej plecami. Odwróciła się i spojrzała na odzianego w czerwień otyłego kapłana. Tłusty brzuch wylewał się bokami i pęczniał nad pasem, którym była przewiązana sutanna. Łysa czaszka błyszczała niczym kryształowa kula. Kiedy tak stał, z pochyloną skromnie głową, aż bił światłem łysiny po oczach. Theresa powstrzymała się od komentarza i skinęła przyzwalająco dłonią.

– Oczekujemy cię w Sali Modlitw – oznajmił kapłan, podnosząc na nią niepewny wzrok.

– Zaraz tam będę. Wiesz, że nigdy się nie spóźnię.

– Oczywiście, pani. – Ukłonił się raz jeszcze i wycofał w odnogę korytarza.

Theresa spojrzała na swoje odbicie, dotknęła dłonią ściany. Przyglądała się sobie, poprawiając nerwowo strój i fryzurę, choć żadnych poprawek nie wymagały. Po raz ostatni przyglądała dłonią włosy i ruszyła w ślad za kapłanem.

Mijała nisze wypełnione posągami i oświetlone światłem płomieni zawieszonych w powietrzu. Sama te płomycki stworzyła, po kilku dniach spędzonych na modlitwach. Po kilkunastu – umiała jeszcze więcej. I z każdym mijającym dniem modliła się do Charlotte bardziej żarliwie.

*Pani Ognia, święta wielka Charlotte, Pani nieokiełznanej wściekłości, daj mi siłę, bym mogła pokonać twą odwieczną przeciwniczkę, niewdzięczną córę lodu, która nigdy nie powinna była się narodzić. Daj mi siłę, bym mogła wyrwać mego syna z jej okrutnych szponów.*

Charlotte nigdy nie odpowiadała słowami, ale dawała coś o wiele bardziej praktycznego: umiejętność władania ogniem. Dawała możliwość pokonania Przywódczyni Syndykatu, dawnej Nimfy Lodu. Theresa nie mówiła nikomu o tajemnicy Plage. Nie mówiła, bo była przekonana, że nikt jej nie uwierzy, tak jak nie uwierzył i wyśmiał ją zmarły mąż.

*Nikt nie uwierzy, póki mój syn, Jasnowidz Shirane, nie poświadczy, że mówię prawdę, póki nie pokaże innym prawdziwej przeszłości Przywódczyni Syndykatu. Ale ona będzie już wtedy martwa. Zginie z moich rąk lub za moją sprawą.*

Z zamyślenia wyrwał ją głos kapłana, dobiegający z Sali Modlitw. Potężny, twardy głos, który wymuszał spuszczenie wzroku i korne słuchanie. Przynajmniej wśród nowych chcących przystąpić do Kultu Ognia. Na niej nie robił już wrażenia, choć nadal nie pojmowała, w jaki sposób ten niski grubas zmieniał się w groźnego głosiciela porażających i porywających kazań.

Minęła ostatni z posągów, przedstawiających wyobrażenia Charlotte, zgrabnie przekroczyła przez próg rozwartych drzwi i wkroczyła do sali pewnym krokiem. Z początku nikt nie dostrzegł jej obecności. Klęczące w kryształowych ławkach demony, odziane w obowiązkowe jasnoczerwone płaszcze, pochylały głowy i kulili ramiona. Zadowolona Theresa uśmiechnęła się do stojącego za błyszczącym ołtarzem kapłana. Odpowiedział jej pełnym satysfakcji spojrzeniem, ani na moment nie przerywając swojej przemowy. Saruku wygładziła suknię i przeszła bokiem sali, stukając o gładkie płytki obcasami jasnych

pantofelków. Wyłapała kilka ukradkowych spojrzeń, wyżej uniosła podbródek i skierowała się ku małemu marmurowemu tronowi po prawej stronie ołtarza, ustawionemu na kilkustopniowym podwyższeniu. Weszła po schodkach, obróciła się z gracją i zasiadła wśród fałd jasnoczerwonego materiału wyściełającego stolec. Powiodła uważnym wzrokiem po zebranych, na których padało światło unoszących się pod sufitem płomyków. Chciała przyjrzeć się swoim nowym uczniom. Niewiele mogła wywnioskować, patrząc po bladych, przestraszonych twarzach, wyzierających spod kapturów. Zawsze jednak odprawiała ten rytuał i natarczywie przyglądała się zgromadzonym, wprawiając ich w zakłopotanie, jeszcze większe niż to wywołane grzmiącymi słowami kapłana.

Tym razem jednak została zbита z pantałyku. Podczas oględzin stało się coś nieoczekiwanego i skandalicznego. Jakaś dziewczyna, o drobnej twarzy i kasztanowych, poskręcanych w loczki włosach, spojrzała jej prosto w oczy, bez strachu, bez wstydu, gorzej – z aroganckim uśmieszkiem na ustach. Theresa miała ochotę wstać i uderzyć ją w twarz za ten brak szacunku, ale opanowała się w porę, zaciskając palce na poręczach tronu. Nie mogła sobie pozwolić na tak egzaltowane zachowanie, musiała być ponad to. Odpowiedziała więc smarkuli lodowatym spojrzeniem i wyprostowała się dumnie.

Przez dłuższą chwilę obserwowała kapłana, wsłuchując się w jego podniosłe słowa, sławiące Charlotte i jej wiecznie płonący ogień. Przymknęła powieki, śląc w myślach kolejną modlitwę do swojej Pani. Z jakiegoś powodu nie mogła się jednak skupić. Coś ją rozpraszało. Czyjś nachalny wzrok. Znów gapiła się na nią tamta bezczelna dziewczucha. *To zwykła smarkula* – uspokajała się, jednocześnie czując, jak ogarnia ją groza i niepokój. Coś było nie tak.

Dziewczyna znowu uśmiechnęła się kpiąco i pochyliła do siedzącego obok niej chłopaka. Tamten drgnął, zacisnął złożone modlitewnie dłonie, zmarszczył czoło. Było w nim coś znajomego. Theresa czuła, że skądś go zna, że gdzieś już go widziała. Dziewczyna położyła dłoń na ramieniu towarzysza – wzdrygnął się jeszcze bardziej i zerknął na nią czekoladowymi oczami. Coś odpowiedział...

*Te oczy...*

Theresa próbowała dokładniej przyjrzeć się twarzy chłopaka, ale odwrócił się zbyt szybko.

*Widziałam gdzieś te oczy. Te gesty. Będę musiała z nim porozmawiać, gdy tylko modły dobiegną końca.*

– Modlitwa do Pani Ognia da wam siłę! – huczał tymczasem kapłan. – Da wam moc! Ale wszystko zależy od was i tylko od was! Nic nie przychodzi samo! Będziecie się modlić, długo i żarliwie, zdzierając kolana do krwi! Nasza Pani Charlotte to potężna i wymagająca Bogini! Chce zobaczyć wasze zmęczenie, chce usłyszeć wasz płacz! Tylko tak zasłużycie sobie na jej uwagę! Wynagrodzi wam cierpienie, zrekompensuje dni i tygodnie spędzone na nieustannych modlitwach! Każda spędzona na kolanach świeca przybliży was do niej! Ten czas da wam pierwiastek jej mocy, im dłużej będziecie się modlić, tym wasz ogień będzie silniejszy! Wy, którzy przyszlście tu dziś po raz pierwszy! Musicie zdecydować, czy jesteście gotowi na mękę?! Czy chcecie osiąść moc ognia?!

– Komu by się chciało męczyć dla tej suki? – Głos dziewczyny o kasztanowych lokach był spokojny i niezbyt głośny, a jednak zmroził całą salę, wywierając jeszcze większe wrażenie niż grzmiący ton kapłana. W zaległej grobowej ciszy słyhać było tylko oddechy zgromadzonych. Ich zdumienie i rosnące oburzenie zagęszczało i tak już ciężkie powietrze.

Theresie przebiegł dreszcz po karku, gniew przyspieszył bicie serca. Gdyby nie puder, którym zmatowiła twarz, jej policzki byłyby czerwone z wściekłości. Skierowała swoje władcze i karcące spojrzenie ku bezczelnej smarkuli, ale tamta nie zwróciła na nią uwagi.

Kapłan, który pudru nie używał, był czerwony jak burak. Jego oczy błysnęły groźnie znad pulchnych polików. Grube paluchy zacisnęły się w pięści, którymi z całej siły huknął w ołtarz.

– Błuznierstwo i niewdzięczność! – ryknął. – Jeśli nie rozumiesz potęgi Pani Ognia, wynoś się stąd!

Czy przyszedł tu tylko po to, by ośmieszać majestat naszej Bogini?! Jeśli tak, to lepiej wyjdź sama, póki możesz. Wynoś się, nim wykurzą cię stąd ci, którzy posiadli dar ognia!

Spojrzenia wszystkich skierowały się ku dziewczynie. Ta podniosła się powoli, odrzuciła kaptur z głowy i wbiła w kapłana spojrzenie lodowatych, szarych oczu. Siedzący obok niej chłopak podniósł się również, ale nie zdjął kaptura, kryjąc twarz w jego cieniu.

– Bardzo się boję – zakpiła dziewczyna. – Gacie gubię ze strachu, tak mnie przeraziła twoja groźna przemowa. – Wskoczyła na ławkę, tylko po to, by odbić się od niej stopami i przesybować w salcie ponad pozostałymi ławami. Wylądowała na ołtarzu, stając na nim w delikatnym rozkroku. Kapłan wyraźnie pobladł i cofnął się odruchowo. Dziewczyna wzięła się pod boki i omiotła salę pogardliwym spojrzeniem.

– Zgromadzeni! – zawołała, parodiując głos kapłana. – Panie i panowie! Durnie i idiotki!

– Zabieraj się stąd! Straaaaaże! – Kapłan próbował chwycić ją za nogę, ale kopnęła go w twarz z taką siłą, że przeleciał kilka kroków, uderzył o ścianę i padł nieprzytomny na posadzkę.

– Zaczniście służyć tej dziwce Charlotte! – kontynuowała. – Zróbcie to! Każdy, kto zacznie jej służyć, stanie się wrogiem Plage Fu-Setusy!

Po sali powędrowały zaniepokojone szepty. Zgromadzeni wiercili się w ławkach, popatrywali po sobie zdezorientowani, odważniejsi zaczęli pokrzykiwać, odgrażać się, ale zaraz umilkli, przytłoczeni głosem dziewczyny:

– Plage Fu-Setusa zabija swoich wrogów jak muchy i cieszy się, gdy ich chmara rośnie! Dlatego mówię wam, stańcie się sługusami tej ognistej dziwki! Plage wam to wynagrodzi!

– Dość tego! – Rozkazujący okrzyk Theresy przeszył salę jak piorun. Znów zaległa cisza. Kobieta podniosła się z tronu, powoli i dystyngowanie. Spojrzała na dziewczynę, w jej oczach płonął ogień.

– Och, jejku! – Tamta zaśmiała się dźwięcznie. – Jakie śliczne oczka! Aż chce się je wydłubać i zawiesić nad kominkiem!

Theresa po raz kolejny doceniła potęgę pudru, czując, że jej policzki płoną. Zacisnęła dłonie i spojrzała na szepczące, oniemiałe demony.

– Proszę wszystkich o wyjście z sali – odezwała się, opanowując drżenie głosu. – I puszczenie tego incydentu w niepamięć. Modlitwa odbędzie się jutro. Ja tymczasem rozprawię się z...

– Jutra – przerwała jej bezceremonialnie stojąca na ołtarzu dziewczyna – nikt z was nie dożyje.

Theresa ujrzała, jak kasztanowłosa wyciąga z zanadza małą buteleczkę, wypełnioną przezroczystą cieczą, jak ciska nią o ziemię, jednocześnie zasłaniając twarz gałgankiem dziwnego, połyskliwego materiału. Z roztrzaskanego szklanego pojemniczka wydobyły się kłęby ciemnego dymu, który momentalnie ogarnął Theresę, nachalnie wdarł się do nosa i płuc. W głowie jej zawirowało, w oczach pociemniało. Uderzyła w coś twardego – odczuła dotkliwy ból w biodrze, ramieniu i z boku głowy. Dopiero po chwili zorientowała się, że upadła.

Jak przez mgłę widziała innych, padających niczym okadzone muchy. Wywracali się, uderzając o posadzkę. Dusili się i dławili. Niektórzy czołgali się, próbując uciekać, ale było już za późno. *Dla mnie też...?*

Czyjeś stopy zatrzymały się przed nią. Ktoś pochylił się i wziął ją na rękę. Czowała, że leci, bardzo szybko, jakby niesiona przez wiatr, który zabrał ją z kłębow trującego dymu na jeden z korytarzy. Wirowało jej przed oczami, niemal nie czuła obejmujących ją ramion. Kryształowe ściany błyszcząły, rażąc refleksami światła. *Zabierzcie to!* – chciała krzyknąć, ale nie mogła wydobyć głosu. Usłyszała skrzypnięcie zamykanych drzwi, odgłos ryglowania. Potem czekoladowo- pomarańczowa plama pochyliła się nad nią, błysnęła szarymi ślepiami.

– Po co ją zabrałeś, koteczku? – odezwała się plama zniesmaczonym tonem. Mówiła głosem tamtej

bezczelniej dziewczuchy! – Na co nam to ścierwo?

– Ja... – Ten głos był męski, obcy, a jednocześnie dziwnie znajomy. – Zanim zginie, chcę z nią zamienić parę słów.

– Skoro tego potrzebujesz. – Plama powoli przybierała kształt ludzkiej twarzy. – Pozamykałeś wszystkie drzwi? Jesteś pewny, że nikt nie wyjdzie z sali? Dobrze, wszyscy mają się udusić. A teraz, skoro mamuśka jest z nami, pogrzebię trochę w jej głowie.

– Po co?

Theresa poczuła, jak silne ramiona, nienauczone delikatności, ściskają ją szorstko, zbyt mocno.

Plama nabrała kształtów. Saruku odzyskała ostrość widzenia i upewniła się, że znów ma przed sobą dziewczynę o kasztanowych lokach.

– A po to, koteczku, że posiada w swojej główce plan tej świątyni i wie, ilu sługusów Charlotte tu przebywa. Dowiem się, powybijam ich od razu i pozbędę się problemu.

– Chcesz iść sama...? Plage, przecież to...

– A co? Mam poczekać, aż sobie pogadasz z mamusią? Nie ma czasu, Haru.

Theresa była całkowicie oszołomiona tym, co usłyszała przed chwilą. *Niemożliwe* – powtarzała w myślach. – *Niemożliwe. Niemożliwe!* Zadygotała, wierzgnęła, chcąc się wyrwać. Ale Haru, jeśli to on ją trzymał, nie zareagował – nie zmniejszył ani nie zwiększył siły uścisku, jakby w ogóle nie zwrócił uwagi na jej protest. Chciała krzyknąć, ale wciąż nie mogła wydobyć z siebie głosu. Resztki dymu drażniły jej płuca i gardło. Lecz znów zaczęły do niej docierać szczegóły rozmowy.

– Zrób to szybko, Plage. – Znajomy głos zadrżał nieznacznie. Dziewczyna parsknęła z pogardą.

– Masz jeszcze dla niej jakieś uczucia? No dobra, niech ci będzie.

Theresa poczuł bolesne ukłucie, przeszywające skronie. Miała wrażenie, że czyjeś dłonie rozwierają jej głowę i wysuwają szufladki wypełnione posegregowanymi alfabetycznie wspomnieniami. Przebierają w nich, szukając szybko i sprawnie, niektóre z nich wyciągają i przeglądają. A potem dłonie wycofały się, zostawiając ją obnażoną, okradzioną, zdezorientowaną.

– Phi, nie miała nawet ukrytych myśli – skwitowała dziewczyna. – Wiem już wszystko. Muszę się pospieszyć, póki Elixir Przemiany działa. Łatwiej mi będzie poruszać się po świątyni w skórze kogoś, kogo nikt nie zna.

– Gdzie się spotkamy? Kiedy?

– Spokojnie, panikarzu, znajdę cię.

Saruku nie usłyszała stukotu oddalających się kroków, ale wiedziała, że dziewczyna odeszła. Zostali sami, ona i jej syn; była tego pewna, nie mogła się mylić. Stał, trzymając ją na rękach, w milczeniu. Chciała podnieść głowę i spojrzeć na niego, ale nie miała na to siły. Ani odwagi.

– To naprawdę ty, synku? – wyszeptała wreszcie. – Wróciłeś do mnie?

Nie odpowiedział. Wyczuła, że się wzdrygnął. Były w tym odruchu ciała wściekłość, żal i gorycz. Położył ją na ziemi, nie siląc się na delikatność, i spojrział z góry czekoladowymi oczami swojego ojca. Przypatrywała mu się, jego rudym niesfornym włosom, które również odziedziczył po ojcu, pełnym ustom, które miał po niej... Chłonęła widok jego twarzy, której ostrych rysów nie pamiętała, ani tego zaciętego grymasu ust, zmarszczonych gniewnie brwi, a już na pewno nie ona nauczyła go tej pogardy bijącej z wąskich jak u kota źrenic. To Syndykat zrobił z jej syna mordercę, wroga.

– Przyszedłeś mnie zabić, synku?

– Nie nazywaj mnie tak. Od dawna nie jesteś moją matką. – Oparł się plecami o ścianę, nie spuszczając z niej wzroku.

Zza zaryglowanych drzwi dobiegało czyjeś pojękiwanie. Ktoś konał. Theresa poczuła dławienie w gardle, nie wiedziała, czy z przerażenia, czy z powodu zalegającej w jej ciele trucizny.

– Zawsze chciałam, żebyś wrócił, choćby po to, żeby mnie zabić. Popełniłam błąd, wiem...

Zostawiłam cię, oddałam, sprzedałam. Ale zrozum mnie, syneczku, baliśmy się, byłeś inny... Zrozum mnie, przebac...

– Zamknij się! – ryknął, uderzając pięścią o kryształową ścianę. Dźwięk popłynął daleko w głąb korytarza. – I mówiłem, nie nazywaj mnie synem. Przestałem nim być w chwili, kiedy oddałaś mnie do Syndykatu. To oni stali się dla mnie rodziną.

– O czym ty mówisz? – Spróbowała usiąść, ale nie dała rady. – Wiem, czego tam uczą i jakich metod używają! Wiem, że było ci tam źle, że cierpiełeś!

– Ty... wiesz? – wycedził drwiąco. – Co ty możesz wiedzieć? Nic nie wiesz! Nawet jeśli było mi tam ciężko, to zrozumieli mnie i nauczyli życia. Docenili to, jaki jestem. Nie bali się, jak ty i ojciec. Wyboicie się wszystkiego, czego nie potraficie pojąć. Syndykat dał mi schronienie i poczucie, że mam gdzie wracać, dali mi cel, dla którego mogłem dalej żyć, nauczyli, jak wykorzystywać siłę, którą wy odrzuciliście ze strachu.

– Ależ synku! – zawołała ze łzami w oczach. – Oni tylko cię wykorzystują! To mordercy i z ciebie też zrobili zabójcę! Jesteś dla nich użytecznym przedmiotem, jesteś im potrzebny, tylko...

– Właśnie, potrzebny – potwierdził, wpatrując się w nią przenikliwie. – Dla was byłem odmieńcem, którego się brzydziliście. A Syndykat mnie potrzebuje. I to Syndykat mnie wychował. Nie ty, nie matka. Syndykat mi ciebie zastąpił... Plage... zastąpiła...

– Nie wymawiaj jej imienia! – Tym razem Theresie udało się usiąść pod ścianą. Łzy ciurkiem płynęły po policzkach, kapiąc na pogniecioną, pobrudzoną suknię, którą przestała wreszcie uporczywie poprawiać. – To ona cię zabrała, nie pamiętasz tego?! Ona mi ciebie odebrała!

– Sama mnie oddałaś! – huknął chłopak, a jego oczy zapłonęły czarną furią. – I wiesz, co ci powiem? Jestem ci cholernie wdzięczny, że to zrobiłaś! Spotkałem ją tylko dlatego, że się mnie wyparłaś. Ale nie żałuję tego, co się stało. Nie tęsknię za tobą, za wami, bo mam Syndykat i mam... Plage. Chciałem ci tylko to powiedzieć. Możesz przestać uważać się za moją matkę.

Theresie zabrakło słów. Słone łzy spływały do rozchyłonych, wygiętych rozpaczą ust. Dłonie zaciskała na sukni, rwąc ją niemalże. Nie potrafiła zrozumieć, uwierzyć. Jak mógł ją tak potraktować?! Jak mógł powiedzieć coś takiego?! Chciała zawołać, ale... wciąż szukała właściwych słów, a on już odchodził, spokojnym, pewnym krokiem. Nie odwrócił się, nie spojrzął na nią. Nie czuła już bijącej od niego wściekłości, raczej ulgę, zadowolenie. Uwolnił się. I był szczęśliwy, że wyznał jej to wszystko. Był szczęśliwy, zostawiając ją tutaj, samą, zapłakaną, pod drzwiami sali pełnej trupów. Nie mogła...

Nie mogła mu tego darować.

\*\*\*

Pantofelki utrudniały jej bieg, więc zdjęła je i wyrzuciła. Dalej biegła boso. Korytarz za korytarzem, coraz szybciej i szybciej. Najpierw prowadził ją tylko zapach syna, potem także trupy i krwawe ślady na ścianach. Mijała zwłoki wyznawców, starając się nie patrzeć na ciała i nie liczyć, które to już z kolei. Ślizgała się na kałużach krwi, wywracała i znów podnosiła. Biegła dalej, oddychając głośno i nierówno, unosząc brudną od kurzu i posoki suknię.

Kryształowe korytarze przeszły w tunel wykonany ze starych, spękanych cegieł. Z obu stron ciągnęły się szeregi drzwi; nad każdym zawieszony był mały płomyk. Pokoje adeptów Kultu Ognia – przeznaczone do snu i modlitwy. Theresa wpadła do pierwszego, łapiąc dłońmi za framugę. Zatrzymała się w progu, zdyszana i strwożona.

Młody wyznawca leżał w jeziorku posoki, z rozciętym szeroko gardłem. Rozbryzgana wszędzie krew wskazywała na to, iż ofiara, zanim skończyła, szamotała się po celi. Theresa zacisnęła wargi i wycofała

się, walcząc z mdłościami. Zaszlochała, pochyliła się, opierając dłonie na kolanach. Stała tak przez chwilę, próbując się uspokoić. Kątem oka zerknęła do przeciwległego pokoju, którego drewniane drzwi były szeroko rozwarte...

Natychmiast zwymiotowała na podłogę, brudząc sobie skraj sukni.

W pokoju leżał kolejny trup, oskalpowany. Krew zalewała mu twarz i wybałuszone oczy. W martwych zaciśniętych kurczowo dłoniach trzymał swój własny skalp. Wokoło roило się od krwistych śladów butów, kręciły się wokół zwłok i wychodziły na korytarz, biegnąc w głąb tunelu.

Theresa otarła usta i ruszyła powoli wzdłuż tropu. Nie zaglądała do pokoi, obawiając się, że kolejnego widoku krwawej masakry nie znieśie. Nie wiedziała, na co natrafi, choć przecież większość pomieszczeń powinna stać pusta; wyznawców było jeszcze niewiele. Dopiero co zaczęła zasilać szeregi Kultu nowymi demonami, podżeganymi do buntu przeciwko Przywódczyni Syndykatu. Czy już na samym początku miała ponieść klęskę?

Znowu usłyszała rozmowę. Dwa, już znajome głosy – rozpoznawszy je, momentalnie przywarła do ściany. Ostrożnie zbliżyła się do źródła dźwięków. Dobiegały z celi przed nią, lecz bała się wyjrzeć za framugę. Bała się zaatakować znieścacka, zaryzykować.

– To już wszyscy?

Drgnęła, słysząc głos Haru. I wzdrygnęła się jeszcze raz, wychwytyjąc cieplejszy ton, przeznaczony specjalnie dla Plage, dla tego potwora niemającego prawa istnieć. Zdała też sobie sprawę, jak silne musi być uczucie, którym ją darzy, skoro pojawia się ono nawet w pytaniu o trupy. Theresa zacisnęła dłonie, aż pobielały jej knykcie. Nienawidziła jej, z całego serca nienawidziła tej suki.

– Wszyscy – odparła Plage. W jej głosie Saruku też wychwyciła emocje. Ale nie umiała określić ich natury. – Możemy wracać. Jestem wykończona, czytałam w myślach niemal każdemu, żeby mieć pewność, że niczego nie przegapię.

Theresa poczęła się wycofywać, ostrożnie przesuwając stopy po posadzce. *I przegapiłaś mnie, kretynko!* – zaśmiała się w myślach. – *Ucieknę i zacznę znowu. Zbiorę Kult na nowo i zniszczę cię!*

– Chciałabyś.

Świsnęło. Błysnęło. Plage już była przed nią, dociskając sztylet do jej gardła. Elikwir Przemiany przestawał działać. Jej skóra znów była biała, oczy czerwone, tylko włosy gdzieś tam skręcały się jeszcze w kasztanowe loki.

– Na przyszłość – zaczęła spokojnie – nie myśl tak głośno. Zwłaszcza gdy śmierdzisz rzygowinami na odległość.

Theresa syknęła ze złością i rozpaczą. Nie miała zamiaru stać beczynnym, słuchając jej impertynencji. Umiała się bronić; przed nią – na pewno. Przywołała płomień do zaciśniętych w pięści dłoni i...

– Plage, poczekaj!

Haru wyrósł u boku albinoski, nie mówiąc nic więcej. Umknął spojrzeniem w bok. Saruku cofnęła ogień, nie mogła ryzykować, był za blisko.

– Miała być martwa, koteczku.

– Zostawmy ją, Plage. Niech po prostu zostanie sama.

Białowłosa westchnęła i mocniej docisnęła sztylet do gardła Teresy.

Saruku poczuła, jak rozsadza ją gniew, jak krew się w niej gotuje. Wściekłość budziła w niej ogień. Musiała go użyć. Nie chciała się dłużej opierać.

– Nie mogę, Haru – oznajmiła Plage. – Za dużo o mnie wie. O mnie i o tobie. Ona musi zginąć. Chcesz ją zabić sam czy mam to zrobić za ciebie? Uważam uczucia za słabość, którą należy tępić, ale dla ciebie zrobię wyjątek i pozwolę ci na to nie patrzeć.

– Ja...



Wybuch ognia był tak niespodziewany i gwałtowny, że zaskoczył samą Theresę. Trzeszczące płomienie, które wystrzeliły z jej dłoni, momentalnie ogarnęły przestrzeń przed nią, objęły ściany, zawirowały i ruszyły dalej, wzdłuż korytarza, pochłaniając kilkoro drzwi, wyważając je i wpadając do środka cel. Spopieliły drewniane sprzęty i szukały innego żeru. Wkrótce rozszedł się odór palonych ciał. Czarny dym kłębił się pod sufitem, w powietrzu tańczyła sadza i rozżarzone okruchy.

Theresa wyczuła swąd tłącego się materiału. Spojrzała w dół; suknia wcześniej sięgająca kostek teraz kończyła się na wysokości ud. Jeszcze przed chwilą miała długie rękawy – teraz nie zakrywały łokci. Jej skóra błyszczała, emanowała ciepłem i siłą. Saruku poczuła przypływ potężnej energii.

– Dziękuję ci, Pani Ognia! – zawołała głośno, ze śmiechem, i nagle zdjął ją lęk. Rozejrzała się w popłochu. Nigdzie go nie było. Nigdzie nie było Haru! Pośród kłębowców czarnego dymu i gasnących płomieni nie widziała nikogo. W nozdrza wdzierał się smród spalonych ciał, ale wierzyła, że to nie Haru, że to trupy wyznawców Kultu, o ironio, pochłonięte przez ogień.

– Haru! Syneczku!

– Głupia... – Przyprawiający o dreszcze syk kazał jej się odwrócić i natychmiast dostała pięścią między oczy.

Uderzyła o posadzkę, sunąc po niej z hałasem łamanych płytek, zdzierając skórę z ud. Plage skoczyła i stanęła nad nią. Nie miała już na sobie płaszcz, tylko obcisłe ubranie, miejscami nadpalone. W dziurach czerwieniła się poparzona skóra, zmierzwiłone włosy opadały na umazaną sadzą twarz, swąd spalenizny mieszał się z zapachem mięty.

– Srająca płomieniami, zdradliwa suka!

Kopniak w żebra był niemiłosiernie bolesny, wymierzony dokładnie w miejsce, które zabolę najbardziej. Drugi dosięgnął twarzy, gruchocząc szczękę, wybijając kilka zębów.

– Nikt ci nie powiedział, że nienawidzę ognia?! – Wrzask Plage towarzyszył kolejnemu uderzeniu, tym razem wspomaganemu czerwonymi błyskami energii. Impet ciosu poderwał Theresę z posadzki, ciskając ją o ścianę. Przeciwniczka nie dała jej odetchnąć. Już tam była i czekała – opadła prosto na jej wysunięte kolano, które wbiło się w brzuch, wywołując ohydny ból. Saruku rzygnęła krwią i wymiocinami. Potem bezwładnie osunęła się na podłogę, a Plage postawiła jej stopę na potylicy, wciskając twarz w cuchnącą kałużę. Kobieta ostatkiem sił obróciła głowę, by móc oddychać.

– Twój ogień mnie osłabia, ale nie spłonę w nim tak łatwo, jak myślisz – albinoska cedziła słowa z lodowatą pogardą. – Ale Haru może w nim zginąć w mgnieniu oka, o tym nie pomyślałaś, durna dziwko?

– Niech zginie! Skoro nie wróci do mnie, ty też nie będziesz go mieć!

Ledwo to wykrzyczała, zrozumiała. Naraz pojęła, czego pragnie. Nie chciała jedynie zemsty. Nie chciała tak po prostu zabić Plage. Musi zgładzić ich oboje, bo dopiero wtedy skończy się jej udręka. Gdyby zabiła tylko albinoskę, musiałaby potem patrzeć w rozgniewaną i zrozpaczoną twarz syna. Obcą, wrogą, na której nigdy nie ujrzałyby wybaczenia.

Usłyszała nad sobą ciche prychnięcie, poczuła kolejnego kopniaka, wymierzonego między żebra, w to samo miejsce co poprzednio. Jęknęła głucho, dusząc się smrodem wymiocin. Następne kopnięcie, w skroń, odrzuciło jej głowę do tyłu. Uderzyła potylicą o ścianę, zamroczyło ją silnie.

– Czemu mnie nie zabijesz...? – wycharczała, uśmiechając się przerażająco szeroko. – To ze względu na Haru? Przywódczyni Syndykatu poddaje się takiej upokarzającej słabości jak współczucie, a może to coś... więcej?

Białowłosa pochyliła się gwałtownie, złapała ją boleśnie za brudne policzki, brutalnie obracając ku sobie. Spojrzała Theresie w oczy, przeciągle, przenikliwie. Nie mrugała, nie marszczyła brwi, przywdziała na twarz porcelanową maskę.

– Przywódczyni Syndykatu traktuje swoich uczniów jak swoje dzieci – powiedziała poważnym tonem.

Theresa nie wytrzymała. Zacisnęła palce, zgrzytając paznokciami o posadzkę. Pięści objął ogień, buchając niewielkimi płomykami. Saruku zamachnęła się szybko i zniecka. Lecz jednak za wolno. Plage odskoczyła zgrabnie, odgarnęła włosy z twarzy. Po jej ciele zaczęły przeskakiwać czerwone błyskawice energii. Saruku podparła się drżącymi rękami i usiadła, a potem wstała, chwytając się nierówności ściany. Obserwowała białowłosą nienawistnym wzrokiem.

– Gdyby mi na nim zależało... – zaczęła słabym głosem. – Nie zabiłabym cię, bo wiem, że nigdy by mi tego nie darował. Ale przestało mi zależeć. Zginąć musicie oboje.

Plage przekrzywiła głowę, spojrzała na nią z chłodnym rozbawieniem.

– Ty? Zabić mnie?

Saruku wrzasnęła, wyrzuciła dłonie przed siebie, wystrzeliła z nich dwa grube słupy ognia. Płomienie zatańczyły w korytarzu, wypełniając go przelewającymi się falami, zaskwierczały głośno, błysnęły oślepiająco. Kobieta rozpierała ognista energia. Czują siłę i wzbierający w niej gniew. Zaśmiała się szaleńczo i ruszyła do przodu, nie przestając atakować płomieniami.

Kroczyła dumnie przed siebie. Widziała zarys sylwetki albinoski, która uskakiwała pospiesznie, raz po raz niknąc jej z oczu. Podążała za rywalką niespiesznie, z wyciągniętymi przed siebie rękami. Ogień trzeszczał, buchał z jej dłoni, to w postaci słupów, to potężnych płomienistych kul. Strzelała nimi coraz szybciej, w coraz większym zapamiętaniu.

Białowłosa umykała zwinnie. Wybijiała się wysoko w górę, kręciła salta, wyginała ciało niczym żmija, przelatując między jęzorami ognia jak jarmarczna akrobatka. Ale Theresa nie zrażała się, napinała ramiona, aż mięśnie drżały pod skórą, i ciskała płomieniami. Ogień z hukiem wyważał drzwi, błędził po ścianach, zawracał i szukał kolejnego ujścia dla swej żarłocznej natury. Kilka kul Saruku posłała tuż przed albinoską, następnymi pociskami zamknęła jej drogę odwrotu. Płomienie buchnęły w górę, czerniąc sufit i skwiercząc przejmująco. Kobieta, poruszając palcami, sprawiła, że ogień owinał się wokół białowłosej, zamykając ją w gorącej kulistej pułapce.

*Już po niej* – pomyślała z satysfakcją i zacisnęła dłonie, chcąc, by to samo zrobił ogień, by zdusił tę przeklętą albinoskę. Jednak trzeszcząca kula płomieni nie posłuchała jej. Skurczyła się tylko na moment, nieznacznie, a potem rozszerzyła, rozepchnięta niewidzialną siłą. Palce Theresy również się odgięły, poczuła w nich przenikliwy ból.

– Giiiń!!! – Z wrzaskiem zamknęła dłonie, zaciskając je w pięści, ale kula ognia, zamiast zmiażdżyć albinoskę, została rozsadzona od środka. Huknęło potężnie, fala wybuchu odrzuciła Saruku do tyłu. Znowu z trzaskiem pękających płytek przejechała po posadzce. Gdy wyhamowała, zapierając się dłońmi, natychmiast zerwała się na równe nogi. Malutkie płomienie muskały jej skórę, skakały po ramionach, głaskały policzki. Uniosła podbródek, z triumfem spoglądając na skuloną białowłosą.

– Następnego razu nie wytrzymasz.

Plage kuciała, opierając dłonie o podłogę. Oddychała szybko, obserwując przeciwniczkę spode łba. Po jej ciele przeskakiwały czerwone błyskawice, kilka smug krążyło wokół kostek, kurcząc się i rozszerzając.

Nagle jej aura wybuchła czerwonym słupem, otulając drobną postać ochronnym kokonem, szkarłatną tarczą. Popalone, skołtunione włosy falowały niczym na wietrze.

– Nie doczekasz się następnego razu. – Wyprostowała się, dumna, wyniosła, przerażająca. Czerwone oczy przepęniała energia: wirująca, skrząca się, straszna.

Theresa zrobiła krok w tył, zimny dreszcz przebiegł jej po karku. Przywołała więcej ognia. Płomienie buchały z jej rąk i spod stóp, otaczając ją magicznym kręgiem. Oczy również zapłonęły. Zacisnęła usta w wąską linię. *Daj mi siłę, Pani Charlotte. Tak wielką jak nigdy. Zniszczę tą, która śmiała ci się*

przeciwstawić.

W odpowiedzi na swoją modlitwę usłyszała cierpki śmiech albinoski. Spojrzała na nią ostro, karcąco. Wierzyła w przepelniającą ją siłę. Wyrzuciła przed siebie dłonie, rozpostarła szeroko palce, wystrzeliła dwie fale ognia, które momentalnie złączyły się w jedną i runęły na białowłosą. Theresa widziała, jak płomienie ją pochłaniają, stojącą nieruchomo, otuloną czerwoną poświatą, uśmiechniętą lekceważąco. Potem usłyszała głuchy trask i grom. Mrok korytarza rozdarła oślepiająca błyskawica. Gruba czerwona lanca energii przedarła się przez ścianę ognia, uderzając Saruku w pierś, wyrzucając ją w powietrze. Krwisty bat aury owinął się wokół niej i ściągnął w dół, wbijając w posadzkę – usłyszała trask pękających płytek i gruchotanych kości.

Wokół wirowały pył i odłamki posadzki. Nie zdążyła mrugnąć, gdy poczuła uderzenie pięścią, potem drugie, trzecie, kolejne. Nie widziała, co się dzieje. Obraz przed oczami zamazywał się i chwiały, ból przygniatał, krew spływała do gardła... Poderwała dłonie, strzelając ogniem na oślep. Usłyszała ciche przekleństwo Plage, ciosy przestały padać. Zamrugwała, rozejrzała się niemrawo.

Nad nią stała Plage w czerwonej poświacie swej aury. Jej poparzona twarz wyglądała przerażająco. Z rozcapierzonych palców strzelały szkarłatne błyskawice. Jedną z nich owinęła kamienny odłamek i przyciągnęła do swoich dłoni.

– Ciekawe – wydyszała schrypniętym głosem – czy twój mózg bryzgnie na ścianę, czy po prostu go nie masz i popsujesz mi zabawę.

– Plage, poczekaj. – Haru wychynął z pobliskiego pokoju, przeszedł obok wyłamanych z zawiasów drzwi. Nie miał na sobie góry ubrania, jego ramiona i tors były czerwone od oparzeń, osmolone i pokryte zwęglonymi strzępkami materiału. W okolicy prawego obojczyka Theresa dostrzegła wypaloną do mięśni ranę.

– Miałeś czekać, dopóki cię nie zawołam – wycedziła białowłosa, unosząc kamień. – Nie wtrącaj się. Nie przeszkadzaj.

Theresa obserwowała w milczeniu, jak rudzielec podchodzi do białowłosej, jak czule zaciska palce na jej nadgarstkach i delikatnie wyjmuje odłamek z dłoni, a potem obejmuje ją, szepcząc coś do ucha. Patrzyła, jak tuli albinoskę, nie zważając na warkliwe protesty ani na próby wyrwania się z jego uścisku, pozorne, bo przecież była znacznie silniejsza i gdyby chciała, zamiast odpychać go niezdarnie, cisnęłaby nim o ścianę jak lalką, jak nią...

Saruku miała dość tego poniżającego ją widoku. Miała dość troski i oddania, z jakimi jej syn traktował tę białą zdzirę! Wykrzesala z siebie resztki sił, ostatki energii i wstała. Połamane ciało chrzęściło głośno. Oparła się ramieniem o ścianę. Wszystko ją bolało. Czuła się ślamazarna i niezdarna. Robiła za dużo hałasu, ale zaplątana w swych objęciach para nie zwracała na nią żadnej uwagi. To przelało czarę goryczy. Bardziej siłą woli niż mięśni uczyniła długi krok w ich stronę, podniosła rękę, zatrzymując dłoń kilka cali od nich. Na opuszkach palców już pojawiły się iskry. Zachichotała triumfalnie.

Haru złapał ją za nadgarstek i zmiażdżył go w uścisku. Poczowała ból i upokorzenie. Czuła się obnażona pod jego gniewnym, pogardliwym wzrokiem.

– Wybacz mi...

– Wynoś się.

Łzy zakręciły się jej w oczach, dolna warga zadrżała mocno. Za wiele tego... Kolana ugięły się pod nią, zatoczyła się, zawyla ze złości na własną bezradność. A potem szloch rozpaczy wyrwał się z jej piersi. Już nie mogła dłużej go powstrzymać. Potknęła się o coś, upadła, uderzając silnie głową o wystający fragment posadzki. Ból rozsadał czaszkę. Zdawał się cisnąć do oczu, wypływać w krwawych łzach. Widziała już tylko czerwień, siły ją opuszczały, nieodwracalnie, ciało wiotczało...

– Wy...bacz...

Nie była pewna, ale zdało jej się, że Haru odsunął się od białowłosej, kucnął nad nią i skinął głową, szepcząc niemal niedosłyszalnie:

– Wybaczam.

# Epilog

Najwyższą Pracownię Alchemiczną wypełniał ostry zapach kadzideł. Nieprzenikniony szary dym kłębił się u sufitu. Rzadsza mgiełka unosiła się na wysokości oczu, owijała wokół mebli, omijała rozgrzane fiolki rozstawione na blacie stołu, by dać się wchłonąć przez lepką zawartość glinianej miseczki.

Albinoska odgarnęła kosmyki włosów z czoła, z dezaprobatą spojrzała na lekko drżące dłonie. Otarła je o talię, wyciągnęła sztylet zza wąskiego paska opinającego szczupłe udo. Bez wahania przesunęła ostrzem przez wnętrze dłoni i skropiła krwią maź wypełniającą miseczkę. Odłożyła sztylet na stół, zanurzyła palce w maści, lewą ręką chwyciła zwierciadełko. Przyglądając się swojemu odbiciu, zaczęła rysować na twarzy runy; kolejne znaki pojawiały się na czole, policzkach, nasadzie nosa, brodzie, łączyły się ze sobą starannie poprowadzonymi liniami i symbolami, ostatecznie tworząc na twarzy białowłosej makabryczną maskę.

Odłożyła lusterko obok sztyletu, czekała, aż malunki na twarzy wyschną. Czują ich woń. Pachniały jej krwią. Spojrzała na rozciętą dłoń i resztkami posoki posmarowała sobie powieki. Zakręciło się jej w głowie, ale zignorowała to. Zerknęła na rozwartą księgę leżącą przy krawędzi stołu. Przemknęła wzrokiem po tekście.

– Dobrze – szepnęła do siebie, wciągając do płuc wszechobecny dym kadzideł. – Ostatnia faza.

Podniosła ze stołu dwa metalowe szpikulce, cienkie niczym igły, lecz o wiele dłuższe i bez uszka na nic. Zanurzyła ich czubki w gorącej cieczy bulgoczącej w jednej z fiolek. Wyciągnęła delikatnie, ostukała o brzeg ampułki i uśmiechnęła się posepnie.

– W końcu dowiem się, kim byłam, zanim trafiłam na pole pełne przygłupich wieśniaków – skomentowała, wpatrując się w ostre czubki szpikulców. – Albo oślepnę.

Nie wahała się dłużej. Zdecydowanym i precyzyjnym ruchem wbiła obie igły w kąciaki oczu, od strony nosa. Wcisnęła je odrobinę głębiej i syknęła z bólu. Potem wyciągnęła je szybko. Znowu zakręciło się jej w głowie... Złapała za krawędź stołu, ale nie utrzymała równowagi, blat był zbyt gładki, na dodatek umazany krwią. Upadła na podłogę, zwinęła się na niej, dygocząc jak w malignie.

Niespokojne, złowrogie szepty wypełniły jej głowę, eksplodowały wielością głosów, słów, emocji. Przygryzła dolną wargę do krwi i szczelnie zastroniła uszy dłońmi. Nie pomogło. Szepty nasiliły się, rozsadzały jej czaszkę. Tworzyły niemożliwy do rozszyfrowania chaos, nie umiała żadnego z głosów rozpoznać, wyłuskać z gwaru. Nie potrafiła nawet rozróżnić poszczególnych słów, zlepionych ze sobą, wymieszanych, rzucanych za szybko, za wolno, za cicho, za głośno...

Z kącików oczu wypłynęły łzy. Nie, to nie były łzy. Łzy nie są takie ciężkie, lepkie. Krew... znowu... Coś targnęło jej ciałem, obróciło na plecy. Poddała się temu, wiedząc, że tak silnej Alchemii nie można się sprzeciwić. Czyjeś niewidzialne ręce chwyciły ją za gardło, zaczęły dusić, ktoś usiadł na niej, przygniatając ją swym ciężarem.

– Złaż ze mnie, klocu – wydyszała.

– Nie dowiesz się – odpowiedziało Niewidzialne setkami szeptów. – Lepiej jest, gdy nie wiesz. Lepiej i dla mnie, i dla ciebie, jeśli się nie dowiesz.

– W dupie to mam – wychrypiała opryskliwie, próbując zlokalizować wroga. – I lepiej będzie dla ciebie, jeśli mnie posłuchasz.

– Nic mi nie zrobisz. Nic nie zrobisz strażnikowi swojej duszy. – Masa szeptów, nachodzących na siebie, przeplatających się, rozbrzmiała w jej głowie bolesną kakofonią. Niewidzialne dłonie jeszcze

*mocniej ścisnęły jej szyję. Plage zaczęło brakować tchu. Wyciągnęła ręce na boki, macając podłogę w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni. Natrafiła na zakrwawiony szpikulec. Złapała go w palce i uderzyła w niewidocznego napastnika. Przeszywający jęk niemal ją ogłuszył. Skrzywiła się z bólu, jednocześnie poczuła, że rozluźnia się uścisk na szyi i znika przytłaczający ją ciężar. Usłyszała syk – jakby ktoś przebił nadmuchany świński pęcherz. W drgającym powietrzu formowały się zarysy flaczejącej postaci. Prychnęła hardo, zrzucając z siebie to, co zostało z napastnika. Złapała za krawędzie stołu, podciągnęła się, wstała... I natychmiast runęła z powrotem.*

*Nie poczuła uderzenia o podłogę, opanowana dziwną mieszanką emocji. Ból, satysfakcja, strach, uniesienie. Uczucia plątały się, zlepiały, przepełniały ją, przyprawiając o mdłości. Widok przed oczami poczerniał, a potem zamigotał i spadł na nią kaskadą obrazów. Przemykały błyskawicznie, nieprzerwanie. Coraz bardziej zbierało jej się na wymioty. Coraz więcej informacji wwiercało się pod czaszkę, pulsowało, atakowało kurtynę niepamięci, skrywającą zagubione wspomnienia. Maską z runów wymalowana krwią na jej twarzy rozjarzyła się, dotkliwie parząc skórę, wrywając krzyk udręki. I nagle wszystko ustało, urwało się, ucichło.*

*A Plage już wiedziała...*

\*\*\*

– Więc tak odzyskałaś pamięć... – szepnął do siebie Haru, zaciskając dłonie na pościeli koloru krwistej czerwieni.

*Nie obudziłem się jeszcze – pomyślał z przekonaniem. Rozejrzał się ostrożnie wokoło; nie rozpoznawał tego miejsca. Wyjrzał zza czerwonej zasłony baldachimu. Na wyłożonej puszystym czerwonym dywanem podłodze leżało mnóstwo czerwonych poduszek. Czerwone kotary zakrywały pomalowane na czerwono framugi okien. Niska komoda z ciemnego drewna stała w rogu, na niej znajdowało się lustro, oparte czerwonymi ramami o ścianę. A ściany obito materia w czerwone kwieciste wzory. Chłopak jęknął.*

– Ktoś tu lubi czerwony.

– Ja lubię – odezwał się znajomy głos. – Przeszkadza ci to? Godzi w twój arystokratyczny gust?

Plage wyszła zza uchylonych drzwi, znajdujących się naprzeciw łóżka, owinięta grubym ręcznikiem, oczywiście czerwonym, z którym jej mleczna skóra pięknie kontrastowała. Mokre włosy przylegały do głowy, opadały ciężko na plecy. Ramiona i policzki były zroszone kropelkami wody. Patrzyła na niego chłodno i spokojnie.

Haru momentalnie zaschło w gardle i oblał się rumieńcem. Przez długą chwilę tylko gapił się na Plage, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Zrobiło mu się gorąco, w brzuchu trzepotały skrzydełkami setki motyli.

– Nie... Też lubię czerwony – wymamrotał z głupawym uśmiechem. Powoli odwrócił głowę, próbując nie zdradzić, z jak wielką niechęcią to robi, mimo oczywistego zażenowania sytuacją. Chrząknął cicho i przyjrzał się sobie. Cały tors i prawy bark owijały bandaże; z opóźnieniem wrócił ból poparzonej skóry. Musiał spać krótko, skoro rany jeszcze się nie wygoiły. Nawet jeśli były tak głębokie jak ta nad obojczykiem.

Bardziej jednak martwiła go pamięć. A raczej jej brak. Pamiętał, jak i kiedy się poparzył, ale potem – pustka. Nie miał pojęcia, jak się znalazł w miejscu tak wyraźnie naznaczonym obecnością Plage. I co tutaj robił...? Dyskretnie odchylił pościel, upewniając się, czy ma na sobie spodnie. Miał. Czyli...

*O czym ty myślisz, do cholery?! – skarcił się w duchu i momentalnie poczuł ukłucie między skroniami. Spojrzał na Plage, znów oblewając się pąsem. Czyta mi w myślach. – Tego był pewien, widząc jej figlarny uśmiech. – I nieźle się bawi.*

Zachichotała jakby w odpowiedzi.

– Spokojnie. Nie mam w zwyczaju deprawować młodzieży. Naprawdę nie wiesz, gdzie jesteśmy?

Pokręcił przecząco głową. Zły na siebie i upokorzony jej komentarzem, szybko wstał z łóżka, ruszając do okna. Odsunął kotarę. Promienie porannego słońca oświetlały Wyjące Zamczysko, budynki łączące się ze sobą mostkami i tarasami, niby-miasto zbudowane na wodzie, muliste jezioro i otaczający je las Shado-Karasu. Syndykat. Widziany z bardzo wysoka.

– Czy my jesteśmy...

– Tak. W mojej Siedzibie. W mojej wieży.

– Ale... – Chłopak obrócił się przodem do albinoski. – Czemu tu jestem? Przecież nikt nieproszony nie ma tu prawa wstępu. A ja...

– A ty nie jesteś już nieproszony – przerwała mu, wchodząc za parawan stojący obok komody. – Nie musisz też już wracać do bunkra. I nie martw się o nic, wszystko załatwiłam. Od dzisiaj jesteś... jakby to nazwać... moim osobistym Skrytobójcą. Pracujesz tylko dla mnie i ze mną, nie podlegasz rozkazom Starszych, nie bawisz się w te małe gówniane zlecenia, które otrzymuje większość Skrytobójców. Będziesz wykonywał tylko to, co ja ci zlecę.

– Ale... – Ogłupiała, nie śmiejąc uwierzyć we własne szczęście, z zapartym tchem obserwował jej cień padający na papierowe ścianki parawanu. Zrzuciła z siebie ręcznik i sięgnęła po fragment garderoby leżący na komodzie. Zaczęła obwiązywać biodra bandażem. Była naga... Speszony uciekł wzrokiem.

– Dostaniesz swój pokój piętro niżej. Wczoraj nie był jeszcze gotowy, dlatego przyprowadziłam cię tutaj. Ledwo stałeś na nogach. Nie pamiętasz?

Nie. Pamiętał, że był w kiepskim stanie, w jeszcze gorszym niż Plage. Pamiętał śmierć swojej matki i pustkę, czarną pustkę pochłaniającej go energii. To dlatego nie mógł przypomnieć sobie drogi do Syndykatu i do Siedziby Przywódczyni.

– Energia wymknęła mi się spod kontroli, tak? – Bardziej stwierdził, niż zapytał, opierając się o ścianę plecami i znów obserwując sylwetkę albinoski widoczną za parawanem. Nie mógł się powstrzymać.

– Tak – potwierdziła, kończąc właśnie obwiązywać bandażem piersi. – Zbyt wiele ran, zmęczenie i za dużo emocji naraz. Nie wytrzymałeś. Nie straciłeś co prawda przytomności ani nie wpadłeś w amok, ale w pełni świadomy nie byłeś.

– Skąd moja matka wiedziała o tobie? Wyczytałaś to z jej myśli?

– Owszem. Widziałam w jej głowie człowieka, który zdradził jej te informacje. Naszym następnym zadaniem będzie odnalezienie go. Ale najpierw musisz się pozbierać. Odpocząć. Tutaj. Ze mną.

– Dlaczego to robisz? – spytał niespodziewanie. – Do czego jestem ci potrzebny?

Milczała. Sięgnęła po skórzane spodnie. Wciągnęła je powoli, leniwie, potem założyła gorset, wiążąc go samodzielnie bez większych problemów. Westchnęła cichutko.

– Bo ja, Haru, zawsze dostaję to, czego chcę. A teraz pragnę mieć cię obok siebie, blisko. Nie wiem czemu i nie obchodzi mnie to. Po prostu tak czuję. I nie zamierzam się temu uczuciu sprzeciwiać.

– To... dobrze. – Uśmiechnął się do jej cienia widocznego na papierowej ścianie. – Też nie będę się temu sprzeciwiać, pani.

– A ty, koteczku? – Wyszła zza parawanu, stając w promieniach słońca wpadających przez odsłonięte okno. Jej skóra mieniła się niczym miliony maleńkich kryształków. Miękkim krokiem podeszła do łóżka, usiadła, odrzuciła włosy na ramiona i pochyliła się, by zawiązać rzemyki spodni na łydkach. Chłopak przełknął ślinę. Nie uciekł wzrokiem.

– Ja?

– Czego chcesz?

– Pomóc ci – odparł otwarcie, bez ogródek, wytrzymując jej zimne spojrzenie. Wytrzymał też jej lisi uśmiech.

– W czym mi chcesz pomagać?

– Nieraz byłaś w mojej głowie. Jestem pewny, że widziałaś moje Sny i wizje. Wiesz, w czym chcę ci pomóc.

– Dobrze... – Podniosła się, łapiąc dłonią za drewniany słupek baldachimu. – Mówisz o wizjach dotyczących mojej śmierci czy może o fantazjowaniu na mój temat?

Haru odwrócił wzrok, zastanawiając się, czy można zemdleć od ciągłego oblewania się rumieńcem. Czuł, jak Plage wwierca się w niego spojrzeniem. Chciała go podejść i udało się. Zaskoczyła go i spieszyła. Podrapał się po karku, obrócił do okna i odchrząknął, nim powiedział:

– O tym pierwszym.

– Jestem zawiedziona. – Udała rozczarowanie, co go zabolalo. – Ale skoro już wybrałeś nudniejszy temat... To miłe, że chcesz mi pomóc się zmienić – kpiła – wręcz urocze, koteczku. Ale nierealne. Zupełnie nierealne.

– Dlaczego jesteś taka pewna? – Z posępną miną przyglądał się krukowi i gawronowi szybującym za oknem, okrążającym wieżę i pikującym nad lasem Shado-Karasu.

– Bo jestem czymś, co nie ma prawa istnieć. Bo jestem przeklęta. Bo znam siebie i wcale nie mam ochoty się zmieniać.

– Obiecałem – wydusił przez ściśnięte gardło. – I zrobię wszystko, żeby tej obietnicy dotrzymać. Może nie jestem tak silny i tak bezwzględny jak ty, ale jestem uparty i pokażę ci inną drogę... Uwolnię cię od tego przekleństwa.

– Problem w tym, że nie chcę, byś mnie uwalniał. – Pojawiła się obok niego jak zjawą, ujęła pod brodę i powoli obróciła jego twarz ku sobie. Patrzyła mu przeciągle w oczy. – Nie nadaję się na dobrą, grzeczną dziewczynkę. Lubię zabijać, Haru. Lubię mordować i zadawać cierpienie. Nie zmienisz tego.

Społgądał na nią uważnie, marszcząc brwi. Wreszcie pokręcił głową i złapał jej dłonie, ignorując zdumienie, w jakie wprawił ją tym gestem. Czule ścisnął szczupłe palce.

– Pomogę ci. Obiecuję.

Uśmiechnęła się i był to pierwszy szczerzy uśmiech, jaki widział na jej twarzy. Szczerzy, ale smutny. Powoli wyswobodziła dłonie, kładąc jej na ramionach Haru. Wspięła się na palce, a gdy się lekko pochylił, pocałowała go w czoło.

– Jesteś głupkiem.

\*\*\*

Czuła się dziwnie. Była zdrętwiała, obolała i pusta. Jak opróżnione naczynie. Czuła się ciałem pozbawionym duszy. Nie przejmowała się tym. Bowiem żyła. Wróciła z piekieł. Nie podobało jej się to miejsce, ale mogła znieść niewygodę dla nieśmiertelności.

– Dociera coś do ciebie czy nadal się nie ocknęłaś?

Podniosła wzrok, słysząc znajomy głos. Spojrzała zza czarnych kosmyków opadających na oczy. Warknęła gardłowo. Nie odzyskała jeszcze mowy. Wszystko przychodziło stopniowo. Powoli. Zbyt powoli. Ale musiała to znieść, w zamian zyskując życie, nieskończoność.

Otoczały ją skalne ściany groty, pokryte różnokolorowymi kryształami, które raziły refleksami światła. Jasne, ociekające wodą stalaktyty zrastały się z bliźniaczymi stalagmitami, tworząc wielkie uzębione paszczęki klatek-potworów. Przed jedną z tych paszczy stały dwie kobiety, jedna płomienscie ruda, druga z włosami złotymi jak żyto. Nimfa Ognia i Nimfa Wody.

Już od kilku dni tłumaczyły jej swoje żądania. Na początku nie potrafiła pojąć ich słów. Była zbyt



otępiąca, nie rozumiała prostej mowy. Teraz, gdy już tę zdolność odzyskała, zaczynała tego żałować.

– Zaczynasz w końcu pojmować – zagaiła blondynka słodkim głosem, mrużąc turkusowe oczy. – Ale jutro pewnie wszystko zapomnisz. Dopiero kilka dni minęło od twojego zmartwychwstania. Nie bój się, będziemy tu codziennie. Codziennie będziemy ci wbijać do głowy cel, dla którego się tu znalazłaś.

– Daj spokój, Beatrice. – Ognistowłosa wydeła pogardliwie wargi. – Ona nadal nic nie rozumie. Nie widzisz? Gapi się na ciebie jak niedorozwinięta.

Chciała wstać, ale nie dała rady. Warknęła głośnie i szarpnęła głową, odrzucając czarne kudły z czoła. Wlepiała spojrzenie w Nimfę Ognia, w Charlotte, bo pamiętała już jej imię. Nie mogła im tylko odpowiedzieć. Nie mogła im wygarnąć.

– No i co się gapisz? – Ognista uniosła brwi, uśmiechając się z lekceważeniem. – Nie próbuj się stawiać. Zawdzięczasz nam życie. Dałyśmy ci nieśmiertelność. I możemy ci ją odebrać, jeśli okażesz się nieposłuszna albo zbędna.

– Dlatego – kontynuowała Beatrice, opierając się o strzelisty skalny kiel – podczas naszych wizyt będziesz nas słuchać bardzo uważnie. Wykonasz grzecznie każdy nasz rozkaz. Dla własnego dobra. Musisz się wiele nauczyć. Musisz przyswoić sobie pewną wiedzę. Musisz być gotowa. I to my cię przygotujemy.

Znów szarpnęła głową, warcząc, przeskakując wzrokiem od jednej Nimfy do drugiej. Mówiły codziennie o jakimś zadaniu, ale każdego wieczoru jej pamięć szwankowała i rano musiały powtarzać wszystko od nowa. Ale wiedziała, że w końcu zapamięta, że jej ciało i umysł wreszcie się połączą i wrócą do normalnego funkcjonowania. Potrzebowała tylko trochę więcej czasu. One też to wiedziały, inaczej nie przychodziłyby tu codziennie, żeby... co?

– Znów trzeba ci powtórzyć? – Charlotte westchnęła głośno, z demonstracyjnym politowaniem. – To proste, wręcz idiotycznie proste. Plage Fu-Setusa. Kojarzysz?

Szarpnęła się, złapała dłońmi za skalne pręty i zgrzytnęła wilczymi kłami. Pamiętała. Aż za dobrze. Pamiętała jej marmurową twarz i lodowate spojrzenie. Brzydziła się nią, gardziła, pragnęła unicestwić.

– Kojarzysz. – Charlotte pochyliła się nad nią i zachichotała złośliwie. – Pewnie, że kojarzysz. Ona tu niedługo wróci. Wróci do Zaświatu, dłużej nie da rady kryć się w Przedświecie. A ty na jej powrót będziesz gotowa, rozumiesz? Postaramy się o to, żebyś była gotowa.

Odpowiedziała jej pełnym satysfakcji uśmiechem, patrzyła w oliwkowe oczy pewnie i wyzywająco. Uniosła wargi, ukazując długie wilcze kły, oblizła się, szczeknęła głucho, złowrogo. Odgarnęła czarne włosy, by lepiej widzieć obie Nimfy. Przemknęła po nich wzgardliwym spojrzeniem.

– Skoro nie umiecie zabić jej same – wychrypiała – pokażę wam, jak się to robi.

Siostry zerknęły po sobie i uśmiechnęły z jadowitym zadowoleniem. Ich oczy błyszczały w półmroku jaskini. Przez dłuższą chwilę milczały, najwidoczniej rozmawiając telepatycznie. Potem Beatrice odchyliła głowę i przymknęła powieki.

– To właśnie twoje zadanie, Ophelia.

**KONIEC TOMU PIERWSZEGO**

# Oficyna RW2010 proponuje:

## **Martyna Goszczycka: POTĘPIENIE**

Drugi tom Sagi Wizji Paradoksalnych

*Każdy dar może prowadzić do potępienia.*

Plage znika z Przedświatu, Haru znowu zostaje porzucony. Jedyne, co albinoska mu po sobie zostawiła, to list, w którym wyjaśnia, czemu musiała odejść. Jasnowidz desperacko próbuje znaleźć sposób, by dotrzeć do białowłosej – co nie będzie, proste, bo wróciła do Zaświatu.

Jedyną nadzieją młodego demona jest Eliara, która zdaje się wiedzieć dużo więcej od niego. Jednak medyczka, mimo swojej przyjaznej natury, wcale nie jest skora do pomocy i uparcie unika Haru. Śledzenie Eliary i skłonienie jej do współpracy to dopiero początek problemów...

Haru czekają starcia z rusalkami, wilkołakiem, magiem...

A Plage czeka zatopiona w lodzie. Czy Haru zdoła do niej dotrzeć na czas?

## **Dariusz Kankowski: RE-HORACHTE. PIERWSZE SPOTKANIE**

Powieść przygodowo-fantastyczna, w której akcja goni akcję i roi się od tajemnic. Czterech chłopców wyrusza w rejs, który na zawsze odmieni ich życie. Zaczyna się od katastrofy morskiej, następnie wybucha wulkan, a potem napięcie rośnie.

Młody autor w swoim powieściowym debiucie funduje nam fantastyczną podróż, pełną przygód, zwrotów akcji, gwałtownych emocji i wzruszeń. Czytelnik, zasiadając do lektury, rusza razem z młodymi bohaterami w jazdę bez trzymanki. Czekają ich: walki, ucieczki, dziwne spotkania, wędrówki w czasie i przestrzeni, zmagania z przeznaczeniem, mordercze turnieje, a przede wszystkim szukanie drogi do prawdy o sobie samym...

## **Dariusz Kankowski: RE-HORACHTE. MARTWY CHŁOPIEC**

W drugiej części cyklu powieściowego *Re-Horachte* powracają znani nam z *Pierwszego spotkania* bohaterowie. Wydaje się, że chłopcy zapomnieli o wydarzeniach sprzed roku, że wrócili do codzienności. Tymczasem młodych przyjaciół czeka kolejna niebezpieczna, pełna przygód i emocji podróż, przed nimi kolejne tajemnice do odkrycia.

Nieoczekiwanie podejmą się misji odnalezienia starożytnych artefaktów. W trakcie okaże się, że ich los jest nierozzerwalnie związany z wydarzeniami z odległej przeszłości oraz tajemniczymi Dziećmi Stulecia, które według przepowiedni mają ocalić świat przed nieuchronnie nadciągającą zagładą. Będą pościgi, ucieczki, walki, trudne wybory i nieprzewidziane spotkania. Oraz... anioły.

A kim jest Martwy Chłopiec? Koniecznie musisz się dowiedzieć!

## **E. M. Thorhall: ZAMEK LAGHORTÓW**

*Ostrzegamy: ta opowieść wciąga i pochłania.*

Nie będziecie się mogli doczekać ostatniej strony, a potem będziecie żałować, że to już koniec. Akcja, turnieje, dworskie obyczaje, intrygi, zjawy, dziwne istoty, rodzące się uczucie, którego obie strony się wypierają, humor, barwny język, plastyczne opisy – to wszystko znajdziecie w I tomie powieści z cyklu *Zbrojni* pod tytułem: *Zamek Laghortów*.

Młodziutka Kyla, uciekając przed niechcianym ślubem, trafia pod opiekę Sir Eryka i jego żony Lady Lyanny. Poznaje zamek, jego mieszkańców, nawiązuje przyjaźnię, uczy się fechtunku, odkrywa prawdę o swoim pochodzeniu. Wiele się wokół niej dzieje. Wszyscy zdają się lubić i akceptować jasnowłosą podopieczną Laghortów, prócz jednej osoby: ponurego, opryskliwego Morhta. Ten pochodzący z Varthenu surowy i oschły dowódca najemników z jakiegoś powodu od samego początku nie znosi dziewczyny i nie zamierza jej pobrać. Panna drażni go, irytuje i wzbudza niezrozumiały dla niego samego gniew. Kyla znosi jego zachowanie do czasu...

Kontynuacja losów bohaterów w drugim tomie cyklu po tytułem *Handlarze niewolników*.

## **E. M. Thorhall: HANDLARZE NIEWOLNIKÓW, II tom cyklu ZBROJNI**

*Ta powieść ekscytuje i niepokoi.*

Jak potoczyły się dalsze losy dzielnych zwiadowców i ryzy Sir Eryka? Muszą mierzyć się z kolejnymi wyzwaniem losu czy wiodą spokojny i nudny żywot na zamku? Nuda na pewno nie czeka czytelnika. Tym razem autorka odważyła się na znacznie więcej niż spokojne opisy przyrody i okolic zamku, na śledzenie turniejów czy relacje z dworskich intryg. Dzieje się sporo. Na początek szarą zamkową codzienność ożywia duże i radosne wydarzenie, jakim są zaślubiny jednego ze zbrojnych. Co nie znaczy, że dalej będzie sielankowo.

Uzbrojona grupa handlarzy ludźmi napada świtem na jedną z wiosek należących do Sir Eryka. Na ratunek uprowadzonym wyrusza drużyna pod dowództwem Morhta. Czy i tym razem surowy Vartheńczyk poradzi sobie z każdą przeciwnością i niespodzianką? A może wręcz przeciwnie – może z jakiegoś powodu stchórzy i ucieknie? A Kyla? Co ta dziewczyna ma wspólnego z półumarłymi istotami? Jaką więź ją z nimi łączy? Okażą się sojusznikami czy wrogami?

Niespodziewane zwroty akcji, czarny humor, zbrojni, rozpustne dziewczki, gildia łotrów, przemoc i gwałt, miłość i magia, barbarzyńcy i... dhampir. Co tu, na ciemnika, robi dhampir?

## **Dariusz Kankowski: PŁACZ PRZODKÓW**

Król spotyka dziewczynę z rasy niewolników, którą natychmiast pragnie pojąć za żonę, by spłodzić z nią dziedzica. Ale to nie bajka, tylko początek horroru. Akcja toczy się w odległych, ponurych czasach, gdzie opowieści rzadko kiedy kończą się szczęśliwie. Ciemiężeni Gi toczą beznadziejną walkę o wyzwolenie spod władzy swoich okrutnych panów, K'Anu, i ich bezlitosnego władcy, który z chwilą narodzin stał się panem całego znanego świata. Darem, który Neill otrzymał od Wszechrodziców, jest władza nad wszelkimi żywymi stworzeniami. Nikt nie może się mu sprzeciwić. A jednak Liść, prosta dziewczyna z ludu, to zrobiła. Czyżby utracił moc?

To historia walki o wolność i własną duszę, mroczna fantasy opowiadająca o odkrywaniu prawdy o bogach, przeznaczeniu i ludzkich uczuciach. Czy miłość jest silniejsza od przyjaźni, a pożądanie od lojalności? Czym uciszyć płacz przodków, wciąż rozbrzmiewający w głowie?

## **Radosław Lewandowski: YGGDRASIL. STRUNY CZASU**

*Struny czasu* opisują zmagania kilkudziesięciosobowej średniowiecznej społeczności, przeniesionej przypadkowo i bezpowrotnie w okres paleolitu środkowego, w czasy gdy po ośnieżonych równinach dzisiejszej Europy wędrowały olbrzymie stada reniferów, dzikich koni i ciągnących w ślad za nimi drapieżników. Potężne mamuty nie miały godnych siebie przeciwników, z wyjątkiem mrozu i prymitywnych słabo uzbrojonych łowców, którzy równie często występowali w roli myśliwego co ofiary.

Wraz z mieszkańcami wioski, w przeszłość zostaje przeniesiony niewielki oddział Wikingów, najemników, których Thor wystawił na najcięższą próbę w drodze do Walhalli. Temporalni podróżnicy, a wraz z nimi cała ludzkość, stają w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

Kontynuacja serii w powieści *Yggdrasil. Exodus*.

## **Joanna Łukowska: PIERWSZA Z RODU: ZNAJDA**

To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Estera pisze pamiętnik, licząc, że ktoś go przeczyta; o ile po latach mroku ktoś jeszcze będzie umiał czytać. Rosa, młody przywódca skrzatów z Boru, rozmyśla o nieciekawej sytuacji swych pobratymców. Wielebna Maura czyni wyrzuty pozbawionej uczuć Pustej z powodu zagubienia Obiektu. Jakim sposobem dzieciak wymknął się z sieci? A jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los? Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka? Milczy i uśmiecha się szczerbato, odważnie patrząc w mroczną twarz Boru. Skrzatów też się nie boi, choć nie należą one do codzienności ludzkich szczeniąt. Kim jest to dziecko?

*Znajda* to opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że Droga jest ważniejsza od Celu. Bo choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...

## **Agnieszka Hałas: DWIE KARTY**

Wszystkie anioły umarły, a bogowie odeszli. Magia dzieli się na srebrną i czarną; ta druga jest skażona, wyklęta. Po ziemi grasują demony, czyhające na dusze śmiertelników.

W Shan Vaola nad Zatoką Snów pojawia się oblakany człowiek, który twarz ma pociętą ranami, a ze swej przeszłości pamięta jedynie urywki. Walcząc o byt w światku żebraków i przestępców, stopniowo buduje sobie nową tożsamość. Jego perypetie splatają się z losami całej gamy postaci – bezdomnego chłopca imieniem Znajda, alchemika, na którym ciąży paskudna klątwa, szcurołapa, którego córkę uwiódł i porzucił pewien nicpoń, arystokratki, której brat zginął zabity przez srebrnych magów... A w tle toczy się intryga uknuta przez Otchłań.

Mroczne, lecz bez epatowania makabrą, pełne plastycznych szczegółów obyczajowych, *Dwie karty* otwierają cykl powieściowy *Teatr węży* o świecie Zmroczy, na który składają się jeszcze powieści: *Pośród cieni* oraz *W mocy wichru*.

## **Katarzyna Uznańska: ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA**

*Gdy łowca staje się ofiarą...*

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści terażniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.

## **Marek Ścieszek: POLA ŚMIERCI**

Na początku pola śmierci miały być tylko interesem, nieludzkim, bluźnierczym, ale prowadzącym do łatwego zarobku. W świecie fantasy w sprawy zwykłych ludzi lubią się jednak mieszać siły nadprzyrodzone. Przy czym nie sposób jednoznacznie stwierdzić, w którym miejscu przebiega granica porządku. Nic nie jest albo czarne, albo białe. W szarościach niknie pewność co do istoty zła. Zamęt, mroczna siła stojąca w opozycji do Natury, powołuje do życia Bestię, która dzieło ludzi postanawia kontynuować na własnych warunkach. Konflikt jest nieunikniony. Jaką rolę odegra w nim człowiek zamknięty w klatce? Po której stronie opowie się tajemniczy Zakon Rycerzy Smoka? A przede wszystkim kto w tym świecie zasługuje na miano prawdziwej bestii: dziecko Zamętu czy sam człowiek? Odpowiedzi należy szukać na bezkresnych Polach śmierci...

## **Agnieszka Hałas: PO STRONIE MROKU**

Piekło ma wiele obliczy, a wszystkie one stanowią część planów Stwórcy. Na odwieczną maszynę przeznaczenia składają się miliony pojedynczych trybików. Takich jak hiszpański alchemik El Claro, wojownicza Sangre Veland, rudy demon Samir von Katzenkrallen czy jedenastoletnia strzyga Maszka. Dwanaście opowiadań połączonych wspólnym motywem Szeolu zabierze was w podróż przez różne czasy i miejsca – od współczesnej codzienności po rubieżę zaświatów, od średniowiecznych Karpat po zbombardowane Nagasaki i płonące World Trade Center.

## **Romuald Pawlak: RYCERZ BEZKONNY**

Nie całkiem poważna fantasy o rycerzu bezkonnym, który zaczął od dorabiania pasowaniem zwłok, zrobił krótką, ale intensywną karierę jako świecki inkwizytor, by wreszcie oddać się swemu prawdziwemu powołaniu: magii. A wszystko to za sprawą kupca, który przejął za długi rodzinny majątek Fillegana, zmuszając go do emigracji z rodzinnego Wake w Anglii na kontynent. Oto dlaczego kupiec zawsze będzie wrogiem rycerza, a rycerz krzywo spoglądać będzie na bogatego kupca... chyba że sam stanie się po stokroć bogatszy. Skoro nie całkiem poważna literatura, to należy się tu spodziewać i kultu Monty Pychotka, i morderczej mandragory, wystąpienia mumii Ramzesa XII, a nawet gadającego mchu.

## **Dawid Juraszek: CAIREN. DRAPIEŻCA**

*Gdyby Marco Polo był Conanem Barbarzyńcą... miałby na imię Cairen!*

Dziesięć wartkich opowiadań. Dziesięć orientalnych przygód z prężeniem mięśni i przymrużeniem oka. A w nich bez liku zaginionych cywilizacji, walnych bitew, powabnych dziewczek, groźnych monstrów, magicznych sztuk, starożytnych grobowców, literackich nawiązań, i czego tam jeszcze.

Pośród szczęku mieczy, szabl, koncerzy, sztyletów, kindżałów, pugałów i handzarów, jęku cięciw, bają mędrców i westchnień rozkoszy... W ociekającym przepychem pałacach Czungii, przedwiecznych ruinach miast Goryo, podmorskich grotach potworów Nipponii, przybytkach zmysłowych uciech Syamii... Ramię w ramię i twarzą w twarz z Mengutami, Tuerami, Malajami, Jugurami, Manczami i Parsami... Przez spienione grzywacze Oceanego Morza, niezgłębione dżungle Kmerii, śnieżne pustkowia Xybelii, monsunowe ulewy Czamby... Wszędzie tam, bez zbytej rewerencji dla chanów, szejków, cesarzy, kalifów, sułtanów, królów, szachów, szogunów czy maharadzów, dumnie, butnie i zuchwale kroczy CAIREN!

## **Romuald Pawlak: CZAREM I SMOKIEM**

Nie ma nic gorszego niż bolesny brak profesjonalizmu. Co może zrobić mag-pogodnik, który nie umie zapanować nad aurą? Może tylko wylecieć z roboty u malarza Astrogoniusza i wpłatać się w kłopoty, które zaprowadzą go najpierw na dno statku, potem wydzwigną do pałacowych kajut, by znów strącić w piekielne otchłanie. Spotkane na drodze kobiety okażą się niebezpieczne, mężczyźni zechcą zabrać życie – i tylko spotkany w kolejnym więzieniu smok będzie rozumieć naszego maga.

Sojusz pogodnika ze smokiem zostanie zawarty w następujących celach: najeść się po uszy, mieć do spania wygodne łóżko, zdobywać piękne kobiety, zemścić się na Astrogoniuszu. Aha, i na podłym karle Garzfulu, który sprawił, że Rosselin został wygnany z pałacu. Jak z powyższego opisu widać, jest to śmiertelnie poważna opowieść o magii, smokach i trudach pracy zawodowej.